

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

Dragonlance Saga

Cykl Bohaterowie tom drugi

Nancy Varian Berberick

Ostrze Burzy

Notatka Astinusa

Lata pomiędzy 348 AC i 352 AC historycy nazywają Wojną Lancy. Nazwa ta rozpowszechniła się wśród ludów zamieszkujących Krym. Był to czas, w którym bogowie walczyli ze sobą, Dobro wystąpiło przeciwko Złu. Takhisis oddała władzę nad podległymi jej smokami, ponurymi stworami ognia i śmierci, swoim wodzom, których obdarzyła tytułami Smoczych Władców. Paladine i Mishakal postanowili w inny sposób udzielić swej pomocy i łaski walczącym z armiami smoków i Królową

Mroku. Przez jakiś czas Paladine wędrował więc z kenderem Tasslehofem Burrfootem i jego towarzyszami. Znali go pod imieniem Fizbana. Mishakal użyła swej wiedzy i umiejętności jednej z towarzyszek Tasslehoffa, kobiecie z Równin, rozumiejącej znaczenie wiary. Owa kobieta przywróciła tę wiarę wielu mieszkańcom Krynnu.

Taki był główny zarys wydarzeń wojennych. O innych wątkach wspomina się jedynie we wzmiankach.

Jedna z takich wzmianek intryguje wielu badaczy historii. Znalaziono ją w kronikach z roku 238 AC i brzmi ona, jak następuje... „Nordmaar pada pod naporem smoczej armii. Krasnoludy w Thorbardinie wykonują Królewski Miecz, któremu nadają miano Ostrze Burzy”...

Jest jeszcze tylko jedna wzmianka, która odnosi się do Królewskiego Miecza, a dotyczy wydarzeń o dwa lata późniejszych... „Niewolnicy Lorda Verminaarda uciekają z jego kopalni w Pax Tharkas dzięki pomocy grupy śmiałków, pomiędzy którymi byli Tasslehoff Burrfoot i mag Fizban. Królewski Miecz krasnoludów został odnaleziony”.

Pomiędzy tymi dwiema skąpymi wzmiankami można doszukać się historii wyjaśniającej, dlaczego po pierwotnej, ostrożnej odmowie pomocy tym, którzy walczyli przeciwko Królowej Mroku, krasnoludy z Thorbardinu wzięli w końcu udział w Wojnie Lancy.

Nie umiemy jeszcze odpowiedzieć, co w tej historii jest prawdą, co zaś upiększeniem dodanym przez legendę. Powiedziałbym jednak, że znaczna jej część brzmi wiarygodnie. Co do reszty - tej zaś jest niewiele - mogę rzec tylko tyle: krasnoludy w Thorbardinie powiadają, iż legenda jest prawdą zgęszczoną tak, by każdy - nawet krasnolud żlebowy - mógł ją zrozumieć.

Prolog

Tak jak Bard słyszy nikłe i nieuchwytnie, lecz wyraźne brzmienie melodii pieśni, którą ma wyśpiewać, tak jak tkacz opowieści słyszy głęboko w sobie słowa i tony legendy, do opiewania której się narodził, tak krasnolud Isarn Hammerfell wiedział, że Ostrze Burzy było powodem, dla którego zajął się sztuką kowania oręża. Ten miecz miał być jego dziełem największymi, cierpliwie czekając na swe narodziny, krył się niemal za każdą klingą, która wyłaniała się spod młota Isarna. Głównia czekała, aż Isarn Hammerfell uzna się za godnego jej wykucia.

Kiedy wreszcie ostrze zostało wykute, kiedy wyłoniło się spośród płomieni i kąpieli w hartujących je olejach i objawiło swą urodę i doskonałość wyważenia, Isarn ofiarował je swemu thanowi, Hornfelowi z Hylar.

Jeśli Hornfel uzna je za godne siebie, uczyni zaszczyt płatnerzowi, wieszając je na ścianie wśród

innych, równie mistrzostwo odkutych,

starych mieczy, jak to czynili thanowie od wielu pokoleń.

Jeśli klinga tam zawiśnie, Isarn nie wykonuje już żadnego miecza. Kuźnia, w której przepracował tak wiele lat, stanie się własnością jego czeladnika i młodego krewniaka - Stanacha Hammerfella. Sam Isarn odłożył swój młot i cęgi, odstawi w kącie wszystkie narzędzia, które pokochał, pracując nimi od wielu lat, i dokończy życia otoczony szacunkiem i czcią współplemieńców.

Ponieważ wykucie tego miecza miało być jego najlepszym dziełem, urzeczywistnieniem wizji i nieporównywalnego mistrzostwa, Isarn użył najczystszej stali, w którą przekształcił twarde żelazo wytopione jego własną ręką.

Sam udał się do kopalni, choć był mistrzem kowalskim i nie musiał sam starać się o rudę. Wiedział jednak lepiej niż ktokolwiek inny, gdzie szukać najprzedniejszej rudy, znał jej gorzki zapach i wyczuwał jej obecność fizycznie. Długo krążył mrocznymi, oświetlonymi jedynie migotliwym światłem kaganków korytarzami, szukając grubych żył rudy, o której wiedział, że jest najczystsza. Wyrwano ją ze ściany pokładu pod jego osobistym nadzorem.

Nikt go nie widział przez wiele dni po jego powrocie do kuźni w Thorbardinie. Głęboko w sercu gór czekał, obmyślając kształt Ostrza Burzy. Ani razu nie wziął do ręki inkaustu i pergaminu, bo projekt miał wryty w sercu i odcisnięty w duszy. Wiedział, jak ma wyglądać miecz. Dłonie krasnoluda znały kształt rękojeści oręża. Jego uszy wsłuchiwały się już w pieśń młota i kowadła, ognia i pary.

W końcu dostarczono mu rudę. Pozostawało jeszcze znaleźć właściwe klejnoty do ozdoby rękojeści. Rękojeść miała być dziełem czeladnika Isarna, Stanacha Hammerfella. Do tradycji sztuki płatnerskiej należało powierzanie tego zadania tym, którzy mieli kontynuować dzieło mistrza.

W Thorbardinie znajdziesz nie tylko kowali - są tam również mistrzowie sztuki jubilerskiej, złotnicy i kowale srebra. Isarn udał się do towarzyszy, którzy byli mistrzami tych rzemiosł. Od swojego kolegi, szlifierza klejnotów, otrzymał pięć szafirów bez najmniejszej skazy. Cztery z nich miały barwę nieba o zmierzchu, piąty zaś był ciemniejszy i usiany wewnątrz gwiazdkami. Kamienie miały ozdobić rękojeść oręża. Przeznaczono na nią najczystsze złoto i najbielsze srebro na oplot.

Teraz Isarn gotów był już do wykucia miecza. Współ z czeladnikiem zaczął tworzyć dzieło swego życia.

Zbudowali palenisko. Przygotowali dwa cebry, jeden na wodę, która miała ochłodzić wytopione żelazo, drugi na olej, w którym będzie

hartować się stal. Stanach poruszał miechami w powolnym, równomiernym rytmie, którego nauczył go Isarn. Podtrzymując płomień, Stanach obserwował tańczące na ścianach kuźni pomarańczowe odbłaski ognia. Pracy przy miechach nie żądano odeń od dawna - od czasu pierwszych, nużących dni terminu. Jakże znajoma była mu dziś ta praca! I jakże inna!

Ani on, ani jego mistrz nie mieli zobaczyć narodzin Ostrza Burzy, Stanach wiedział jednak, że długo przyjdzie mu poczekać na ponowne odczucie tak intensywnej magii tworzenia. Za wiele lat sam da Życie swej, na razie jeszcze nie określonej, wizji idealnej głowni.

Stal powstaje przy współdziałaniu wszystkich pierwiastków składających się na ten świat. Najpierw spoczywa w ziemi jako ruda. Potem przechodzi przez ogień, powietrze i wodę, by stać się kowalnym żelazem. Stanach patrzył właśnie, jak Isarn wytapia grubą, ciemną sztabę żelaza. Każdy ruch mistrza był ostrożny i rozważny. Isarn, który z niezwykłym mistrzostwem wytapiał już żelazo tysiące razy i którego dłonie poruszały się przy tym kierowane jakby własną wolą, każdą czynność wykonywał teraz niezwykle starannie i rozważnie, niczym terminator, którego po raz pierwszy wypuszczono do kuźni.

Stanach patrzył na mistrza, jakby widział go podczas pracy po raz pierwszy. Zapamiętam to, pomyślał. Żar z paleniska wycisnął już ze Stanacha pierwsze krople potu. Nie odkrywając wzroku od twarzy Isarna, otarł czoło grzbietem dłoni. Obraz mistrza wykuwającego Ostrza Burzy zapamięta na zawsze.

I na zawsze, pomyślał, gdy z pieca wypłynął potok żelaza, zapamiętam wyraz oczu Isarna. Było to spojrzenie zakochanego, który nie widział nic, prócz obiektu swej miłości.

Gdy żelazo stygło, obaj zachowali milczenie. Słowa były im niepotrzebne. Stanach nie miał żadnych pytań. Duszę Isarna wypełniało poczucie więzi pomiędzy nim samym a pierwotnymi substancjami. Gdy żelazo wreszcie ostygło, przekształcając się w twardą i zimną sztabę, Isarn umieścił, je w glinianej kadzi - zrodzonej z ziemi i pamiętającej jeszcze pocałunki płomieni.

Stanach podniósł ciężką kadź, wypełnioną pyłem węglowym, w którym tkwiła sztaba, i umieścił ją nad paleniskiem, stawiając ją dokładnie tam, gdzie wskazał mistrz. Pot spływał mu po twarzy nieustanną już strugą, która wsiąkała w brodę. Do karku przyklepił mu się mokre kędziory. Dawno już zrzucił koszulę, zostając tylko w skórzanym, kowalskim fartuchu. Potężnie umięśnione ramiona krasnoluda lśniły od złotawego odblasku płomienia.

Serce paleniska buchało płomieniami, o których powiadano, iż buszują w sercu Krynnu. W tym strasznym żarze pył węglowy miał połączyć się z powierzchnią żelaznej sztaby, tworząc twardą, lśniącą pokrywę - warstwę stali.

Z najdalszego kąta kuźni Stanach przyniósł ceber z wodą. Jeszcze kilka godzin temu woda była zimna, teraz ogrzała się, jakby ceber stał w pełnym słońcu. Podał napój Isarnowi, potem napił się sam. Woda smakowała im niczym najprzedniejsze wino. Przyniosła ulgę spieczonym gardłom.

Stanach zaczerpnął chochlę wody i wylał ją sobie na głowę. Ochłodził sobie kark i grzbiet. Stanach poczuł nagle ukłucie smutku. Po raz pierwszy od kuźni przypomniał sobie, że gdy Ostrze Burzy stanie się czymś więcej niż tylko wyobrażeniem, nigdy już nie będzie pracował u boku Isarna.

Isarn, jego mistrz i krewniak, był także jego przyjacielem. Na serce Stanacha padł cień żalu, niczym chmura przesłaniająca oblicze miesiąca. Wystawił na zewnątrz pusty ceber, by napełnił go najmłodszy z terminatorów, potem wrócił do ognia i cieni tańczących na ścianach. Obserwował, jak stary krasnolud cierpliwie czeka, by żelazo zamieniło się w stal - Isarn pełen ufności czekał na cud, którym Reorx obdarzył swe dzieci od czasu, kiedy pierwszy krasnolud w jaskini ustawił kowadło.

To cud prawdziwy, rozmyślał Stanach. Więź i połączenie. Więź z bogami i połączenie pierwotnych żywiołów. Była to pierwsza lekcja, jakiej udzielił mu Isarn. Ufaj bogom, poznaj żywioły, zawierz swym umiejętnościom. Stworzenie najprostszej klingi to nic innego jak akt uwielbienia. To uwielbienie Isarn doskonalił przez całe życie.

Z płomieni wyłoniła się stal purpurowa jak miesiąc i lśniąca niczym słońce. Mrużąc oczy przez nieznośny upał, Stanach położył sztabę na kowadle. Isarn delikatnie ujął w potężne dłonie młot i unosił go w górę. Był gotów do uformowania Ostrza Burzy.

Stali nie rzeźbi się jak drewno, kształtuje się ją, kładąc na kowadle i nadając właściwą długość i ostrość uderzeniami młota. Choć Isarn wykuł niezliczoną ilość głowni, choć jego dłoń i młot stanowiły jedność, uderzał teraz bardzo rozważnie. Każde uniesienie młota i każde jego uderzenie było przemyślane. Praca postępowała jednak szybko, Isarn wykorzystywał swe bogate doświadczenie, wiedzę i wyczucie. Nie można było dopuścić, by stal oziębiła się do punktu, poniżej którego przestawała być kowalna.

W kuźni Isarna rozbrzmiał hymn miecza radosny dźwięk, który sprawił, że rozśpiewało się i serce Stanacha. Słyszał oto Pieśń Królewskiego Miecza i wiedział, że nigdy przedtem młot i

kowadło Isarna nie

odpowiadały takimi dźwiękami. Nie zaśpiewają też tak po raz drugi, dopóki sam Stanach nie zdecyduje się na wykucie własnego, mistrzowskiego dzieła

W pieśni nie było słów, te jednak mistrz i czeladnik słyszeli w swych sercach. Pieśń sławiła głownię, długą i smukłą, Stanachowi zaś wystarczyło raz tylko spojrzeć na nią, by wiedzieć, że dzięki dłoniom Isarna stanie się idealnie wyważona. Mistrz formował ją teraz zdzierakiem i gładzikiem, a opiłki jak srebrny pył sypały się na posadzkę.

Stanach pomyślał, że ostrze jest jak smuga srebrzystej, gwiazdnej poświaty.

Po ukształtowaniu głowni trzeba ją było ponownie zwrócić ogniowi, aby ją rozgrzać.

- To - powiedział Isarn do czeladnika - ostatnia podróż głowni w ogień, jej ostatni taniec wśród płomieni.

Jakże często słyszał Stanach te słowa w przeszłości! Teraz jednak, kiedy patrzył, jak Isarn wsuwa ostrze w żar paleniska, wysłuchiwał ich, jakby powiedziano mu je po raz pierwszy.

Isarn rozgrzewał głownię i wyklepywał młotem starannie i pieczołowicie, jak kuł ją przedtem. Stanach podsycił ogień do właściwej temperatury, teraz zaś sprawdził, czy olej jest należycie oziębiony. Zadowolony z oględzin spojrzął na mistrza i miecz.

Po rozgrzaniu ostrze nie przypominało smugi gwiazdnej poświaty, ale lśniło purpurą niczym słoneczny jęzor, niczym krwiście czerwone jądro paleniska.

Wreszcie Isarn zanurzył głownię w oleju. Stanach obserwował, jak słoneczny żar blednie i zanika. Czerwone żelazo stało się srebrzystą stalą, czystą jak śnieg i mocną niczym skała. Isarn, którego płuca pełne były gorzkich wyziewów i oparów, którego ramiona i twarz zalewał pot, delikatnie wyjął Ostrze Burzy z cebra.

Miękką szmatką ostrożnie startł z głowni lśniący olej i położył miecz na kowadle - tak jak nowo narodzone dziecię kładzie się na piersi matki, która dała mu życie.

Stanach patrzył na roztańczone na klindze odbicia płomieni i podziwiał rudy połysk zbroczą. Czując, iż serce wali mu tak mocno, aż zaczął żywić obawę o żebra, postąpił krok do przodu i stanął między kowadłem i paleniskiem. Jego cień nie przyćmił blasku głowni.

Ostrze Burzy, miecz doskonały w każdym calu, miał własne, ogniste serce. Serce to tworzyła cienka nić purpury, uwięziona w zimnej stali... i żaden cień nie zdoła jej zaćmić.

Isarn wytrzeszczył zdumione oczy i wyciągnął drżącą sękatą dłoń. Stary kowal sięgnął po głownię, potem cofnął rękę, jakby nie mógł lub nie chciał dotknąć stali. - Widzisz to? - wyszeptał. - Chłopcze, czy widzisz to samo co ja?

Stanach nie zdołał wydusić z siebie głosu. Oszołomiony kiwnął tylko głową i cofnął się o krok. Patrząc na niezwykłą urodę ostrza nie opatrzonego jeszcze rękojeścią, przypomniał sobie słowa starego poematu - tak wiekowego i tak często cytowanego, iż stał się niemal dziecięcą wyliczanką.

Krasnoludy górskie wiedzą. Oto, co uczyni króla: Miecz Królewski, co ma serce tknięte przez Reonxa Ojca Dusza, której wszelką mądrość wytopiono w tyglu cierpienia, Młot, co legendarny Kharas kryje go wśród mgieł.

Miecz Królewski, wykuty dla króla, noszony przez niego podczas jego panowania i wreszcie razem z nim pochowany. Dusza, której mądrość zahartowały cierpienia: ogień bitew, doświadczenie, sądy i decyzje, wedle których miał żyć jego lud. Młot Kharasa, od dawna gdzieś ukryty, którego w każdym pokoleniu coraz mniej przedstawicieli rasy krasnoludów uważało za coś więcej niż tylko legendę.

Jest legendą czy nie - pozostawało jednak faktem bezspornym, że żaden wysiłek zjednoczenia

górskich krasnoludów pod wodzą jednego króla nie został uwieczniony powodzeniem od czasu, gdy utracono Młot Kharasa.

Stanach wzdrygnął się nagle, czując chłód, ogarniający go mimo spływającego mu po twarzy potu. Zamknął oczy, odetchnął głęboko, by pozbyć się drżenia, i ponownie spojrzął na miecz.

Nitka purpury pulsowała miarowo, jakby w istocie była sercem tchniętym przez Reorxa i obudzonym przezeń do życia. Gdy Stanach tak patrzył, jego własne serce zaczęło uderzać w tym samym rytmie. Legendy utrzymywały, że tak pulsuje jedynie Królewski Miecz.

Od trzystu lat w Thorbardinie nie wykuto Królewskiego Miecza. Dopiero teraz... Stanach potrząsnął głową.

Znał legendy. Któryż krasnolud ich nie znał? Niegdyś włądała nimi dynastia Wielkich Królów. Ostatni z nich, Duncan, panował w Thorbardinie podczas Wojen o Bramy Krasnoludów przed trzystu laty. Miał obrońcę i przyjaciela, legendarnego Kharasa z poematu. Powiadano, że ów Kharas, którego imię znaczy w mowie solamnijskiej rycerz, w kuźni Reorxa wykuł bojowy młot. Powiadano, że nikt nie walczył dzielniej od

Kharasa w krwawych i okrutnych czasach, które nastąpiły po Katakliźmie, kiedy to armia najeźdźców, składająca się z ludzi i krasnoludów zamieszkujących wzgórze, wiedziona przez tajemniczego maga Fistantilusa, usiłowała wdrzeć się do górskich dziedzin i dotrzeć do wyimaginowanych skarbów Pax Tharkas i Thorbardinu.

Thorbardin odparł atak najeźdźców, utracono jednak wtedy coś więcej niż tylko Pax Tharkas. Krasnolud walczył przeciwko krasnoludowi. Był to największy z grzechów. Rozjuszyło to Reorxa. Rozwścieczony bóg uderzył w świat swoim młotem - tym samym, którym wedle legendy wykuto bojowy Młot Kharasa. Reorx nie poprzestał na zniszczeniu świata, który nappełnił go wielkim gniewem. Zmienił jego oblicze.

Wygląd świata, rozdartego i zniekształconego Katakliźmem, zmienił się raz jeszcze. Równiny Dergoth stały się bagniskiem, zionącym zjadliwymi oparami i znanym odtąd jako Równiny Śmierci. Gdy młot boga uderzył w Zhaman, niegdyś dumną i wyniosłą fortecę magów, ta runęła i zapadła się, rozpętując przeraźliwą wicherę piasku i kamieni.

Powiadano, że gdy Kharas ujrzał te ruiny, tworzyły one wizerunek ogromnej, wyszczerzonej w uśmiechu czaszki. Miejsce to do dzisiaj zwane jest Trupią Czaszką - i odpowiednia to nazwa na kamień nagrobny dla tysięcy istot zabitych, które same zabijały współplemieńców.

Oblicze świata nie było jednak jedyną rzeczą, która uległa zmianie. Wkrótce po wojnie umarł Duncan. Jego synowie wszczęli zacieklą walkę o tron, nie czekając nawet na pogrzeb ojca. Pograżony w żałobie po utracie króla i druha, Kharas patrzył na bezwzględne i cyniczne zmagania o władzę i postanowił, że na tronie nie zasiądzie żaden z niegodnych niego pretendentów.

Pochował więc Duncana we wspaniałej wieży, znanej odtąd jako Grobowiec Duncana. Wieża ta, w której żaloba i magia spłoty się w jedno, cudownym sposobem zawisała nad prastarym cmentarzem krasnoludów, zwanym Doliną Thanów.

Następnie Kharas przy pomocy Reorxa ukrył Młot i oznajmił, że bez tego oręża żaden krasnolud nie wstąpi na tron Wielkich Królów Thorbardinu.

Prawda to czy nie - Stanach przypomniał sobie jednak, że od tego czasu żaden krasnolud nie został koronowany na króla. Historia pełna była opowieści o tym, jak cierpiały i jakie szkody ponosiły krasnoludy, gdy ludem władał król. Było to w czasach takich jak obecne, kiedy z Krain Zewnętrznych docierały pogłoski o wojnie. Pogłoskom tym towarzyszyły teraz wieści o pojawieniu się smoków i rosnącej potędze Królowej Mroku.

Stanach drżącą dłonią wytarł pot z czoła. Nikt nie mógł władać bez Młota Kharasa i

Królewskiego Miecza. W ciągu minionych lat wielu usiłowało wykuć Królewski Miecz - niektórzy dlatego, iż mniemali, że wystarczy im miecz, by mogli władać jako regenci, inni mieli nadzieję, że miecz wskaże im drogę do Młota Kharasa. Miecze te były pięknymi okazami sztuki płatnerskiej, żaden jednak nie okazał się Królewski. Reorx ani razu nie dotknął ostrza, ani razu nie obdarzył główni nicą gorejącej w stali purpury... Aż do tej chwili.

Kowale krasnoludów opowiadają, że każde uderzenie młota o kowadło będzie odbijało się w nieskończoność w Echach Kuźni - ogromnej, wyciosanej przez krasnoludy pieczarze łączącej Północną Bramę z Thorbardinem. Patrzącemu na głównię Stanachowi przyszło do głowy, że jeśli legenda mówi prawdę, uderzenia młota starego Isarna muszą brzmieć jak odwieczna pieśń Ech Kuźni.

Wzdrygnął się ponownie. Gdy oderwał spojrzenie od dotkniętej palcem boga główni, ujrzał, że Isarn płacze. Stary kowal wykuł oto Królewski Miecz dla swego thana, Hornfela z Hylarów.

Rozdział pierwszy

Niegdyś przed kataklizmem było to dokładnie takie samo miasto krasnoludzkie jak każde inne. Teraz jednak Thorbardin, ostatnie z potężnych niegdyś królestw krasnoludów, było na Krynnie grodem jedynym i unikalnym. Zbudowany we wnętrzu góry, w jaskini długiej na dwadzieścia dwie mile z północy na południe i szerokiej na czternaście ze wschodu na zachód, Thorbardin był w takiej samej mierze wielkim grodem, w jakiej był niemal nie do zdobycia fortecą. Z jednej strony miasta broniła Południowa Brama, posiadająca potężne umocnienia i kilka wewnętrznych linii obwarowań. Ruiny Bramy Północnej, zniszczonej podczas Kataklizmu, przekształciły się w wąską, o szerokości pięciu stóp, półkę skalną, wiszącą nad położoną tysiąc stóp niżej doliną. Grań ta strzegła Thorbardinu od strony Równin Śmierci. Od stuleci żyli tu krasnoludowie górscy, tłocząc się w kuźniach, tawernach i szynkach, świątyniach, sklepach i w domach. Mieli tu nawet parki i ogrody. Hodowali też warzywa w cieplarniach zbudowanych głęboko pod miastem. Krasnoludy opuściły pola za Południową Bramą dawno temu, po Wojnach o Bramy. Światła w cieplarniach dostarczały wąskie okna, wycięte w górskich zboczach, wpuszczające z zewnątrz blask słoneczny do miasta i na pola warzywne.

Choć Thorbardinem zwano całe miasto, w istocie składało się na nie sześć mniejszych grodów, każdy zaś z nich był thanatem - niezależnym państwem, położonym wewnątrz góry. Wszystkie, prócz jednego, przylegały do brzegu podziemnego jeziora, wykutego przez krasnoludy, a zwanego Morzem Urkhan.

Szóste i najpiękniejsze było Drzewo Życia należące do Hylarów. Ukształtowane na wzór stalaktytu, wznosiło się pośrodku morza na dwudziestu ośmiu poziomach. W tym mieście, dostępnym jedynie za pośrednictwem łodzi, znajdowały się siedziby urzędów i władz. Zasiadała tam Rada Thanów, której nominalnym przywódcą wybrano Hornfela. Rada owa była jedynym ciałem zarządzającym Thorbardinem od trzystu lat.

Rozwiązywano tu sprawy sześciu królestw krasnoludzkich, które niekiedy walczyły ze sobą zaciekle i zajadle, jak przystało na narody dumne i niezależne. Krasnoludy czujnie strzegły swych praw i przywilejów i nie ścierpiałyby podeptania któregokolwiek z nich.

Thorbardin był prastarą siedzibą górskich krasnoludów. Wszystko inne, nawet ich własne ziemie na górskich zboczach, nazywano Krainami Zewnętrzny.

W głębi zaś, pod wielkim grodem Thorbardinu, leżały pieczary, należące wyłącznie do magów derro Theiwaru. Były to Głębokie Jaskinie, położone znacznie niżej niż lochy i cieplarnie i daleko poza obrębem rozległej, wysoko sklepionej groty, która dała schronienie miastu w sercu góry.

Głęboko w tajemniczych dziedzinach Theiwarów leżała Komnata Czarnego Miesiąca. Oświetlały

ją pochodnie, rzucające krwawą poświatę na ściany wysoko sklepionej jaskini, której pułap nikał w mrokach. Na pierwszy rzut oka miejsce to wywierało na patrzącym wrażenie pieczary powstałej w sposób naturalny i nie tkniętej dłonią kamieniarza - w istocie jednak jaskinia była efektem wielu lat pracy biegłych w swym fachu mistrzów.

W ściany wprawiono tu ozdobne, metalowe kaganki podobne do koszy. Kaganki te dokładnie dopasowano do nisz wyłobionych w żywej skale. Ściany zaś wygładzono, by ukazać patrzącemu przepych kamiennych żył i ich ogromną różnorodność.

Na pierwszy rzut oka podłoże groty wydawało się surową i poszarpaną skałą. Przy bliższym obejrzeniu go okazywało się, iż wygładzono je niczym wyszlifowane drewno. Posadzkę pokryto grubą warstwą szkła. Rozlane niegdyś niczym płynny ogień, wiedzione dłońmi magów, zastygło, wypełniając zagłębienia i grubą na cal warstwą pokryło najwyższe występy.

Mimo iż od tego czasu upłynęły cztery stulecia, nie znalazłbyś miejsca, w którym powierzchnia szkła byłaby choć zatarta. Powiadano, że tej powierzchni nie zdołałby zarysować nawet najtwardszy z diamentów.

Pośrodku Komnaty, wzniesione sztuką magiczną, stało okrągłe podwyższenie z czarnego marmuru. Nad podwyższeniem, jakby zawieszona w powietrzu, spoczywała gruba, szklana płyta pełniąca rolę stołu. Za nią ustawiono głęboki fotel, obity miękkim, czarnym aksamitem.

W tym właśnie miejscu Realgar, than Theiwarów, studiował stare, magiczne księgi, rzucał zaklęcia i planował morderstwa. Tej nocy, podczas której Stanach i jego mistrz wpatrywali się w puls

nici szkarłatu w wykutym dla Hornfela mieczu, Realgar nie planował zabójstwa.

Tej nocy planował kradzież. Na morderstwo, pomyślał Realgar z uśmiechem, przyjdzie czas później, historia zaś nazwie śmierć Hornfela egzekucją zdrajcy. Dla Hylara wykuto Królewski Miecz.

Donosiciel nie użył tych słów. Wydawało się, że nawet nie wiedział, czym w istocie jest to tak przedziwnie nazwane ostrze. Po prostu powtórzył plotki z karczmy, które rozpuszczał posługacz z kuźni Isarna.

- Zgodnie z tym, co utrzymuje ów szczeniak, miecz jest dziwnie oznakowany - mówił donosiciel. - Stal jest zabarwiona czerwienią. To głównia niepodobna do innych srebrzystych kling, które wcześniej wychodziły spod młota Isarna.

Nie, rozmyślał teraz Realgar. Nie jest jak doskonała, błękitnosrebrzysta stal. Stalowe ostrze z ognistym sercem, takie, jakie zgodnie z opowieściami miał legendarny król Duncan.

Czy był to jednak Królewski Miecz, który może wprowadzić na tron Wielkiego Króla i który powinien być grzebany razem z nim? Żaden kowal nie wykuł Królewskiego Miecza od trzystu lat, ostatnią głównię pochowano razem z Duncanem. Potem zaś obrońca i druh Duncana, Kharas, ukrył swój boski Młot i pozostawił krasnoludów pogrążonych w bezkrólewiu, które ma trwać, dopóki nie odnajdzie się legendarny oręż.

Bogowie jednak powrócili i nawiedzili dziedziny śmiertelników, wtrącili się też do walki, Dobro stanęło przeciwko Złu i powiadano, iż wkrótce płomień wojny ogarnie cały Krynn. Ponad górami widziano nocą przecinające niebo smoki, mroczne stwory podległe Takhisis. Realgar obnażył zęby w leniwym uśmiechu. Tej nocy jeden z bogów mógł nawiedzić i Thorbardin.

Czy istotnie Reorx dotknął paleniska w kuźni Isarna? Czy przekształcił zwykłą stal w Królewski Miecz?

Isarn musiał myśleć, że tak. Choć sam wyczerpany pracą wyszedł z kuźni, by wypocząć, pozostawił w niej czeladnika, któremu powierzył osadzenie główki w rękojeści i - zgodnie z tym, co

powiadał posługacz -kazał Stanachowi zostać w kuźni na noc i strzec oręża.

Gdyby to był Królewski Miecz, Isarn nie zostawiłby go nie strzeżonego, ale właśnie postawiłby przy nim straż. Realgar zacisnął pięści. Nie inaczej, Stanach miał strzec głowni całą noc, rano zaś broń opatrzona już rękojeścią miała zostać przekazana thanowi. Znak bożej łaski. Królewski Miecz nie uczyni Hornfela królem. Trzeba byłoby jeszcze

posiadać Młot Kharasa, a nawet Hornfel nie żywił złudzeń, że ów oręż można odnaleźć. Zbyt dawno utracony, zbyt dobrze ukryty Młot nigdy już nie utwierdzi na tronie żadnego króla krasnoludów.

Królewski Miecz jednak, płonący ogniem kuźni, może wprowadzić na tron regenta - thanem zaś, który zasiądzie na tronie, będzie Hornfel.

Wielu członków Rady Thanów będzie popierało nową godność Hornfela. Jeśli ktokolwiek potrafi pojednać kłótliwą Radę, to jest nim Hylar. Co prawda, nie udawało mu się to zbyt często. Jednak jedynie tytułarni, dowodząc Radą i nie posiadając rangi wyższej niż pięciu innych thanów, potrafili zjednać sobie członków Rady częściej niż którykolwiek z pozostałych thanów. Zbyt często już Rada Thanów postępowała tak, jak sobie tego życzył Hornfel. Jako królewski regent, Hornfel będzie nią po prostu rządzić. Choć nikt nie nazwie go Wielkim Królem, stanie się właściwie władcą Thorbardinu.

Realgar wypluł z siebie przekleństwo. Zawsze płonęła w nim żądza władzy, tętniła w jego żyłach jak krew. Władzę thana Theiwarów zdobył nie zwykłą drogą, ale krętą ścieżką morderstw, oszustw i czarnej magii. Hylara, dziedzica dawnych królów, nienawidził równie głęboko, jak nienawidził światła słońca.

Powoli otworzył zaciśniętą pięść. Poruszył wdzięcznie dłonią i wypowiedział zakłęcie przywołania. Przed podwyższeniem mrok zgęstniał, zawirował i przybrał postać dymu.

- Bądź pozdrowiony, thanie - rozległ się szept, gdy cień przybrał ostateczną postać.

Realgar nie odezwał się słowem, dopóki złodziej nie uklęknął przed nim w kornym pokłonie. Kiedy przemówił, ubrał polecenie w zwięzłe słowa i szybko odprawił sługę. Gdy został sam, zajął się planowaniem śmierci Hornfela.

Isarn może sobie uważać wykucie Królewskiego Miecza za znak łaski bogów. Realgar, który wielił mroczną i złą boginię Takhisis, czuł za wydarzeniami nocy dłoń swej władczyni. Rankiem będzie miał Królewski Miecz i zostanie obwołany regentem sześciu królestw krasnoludów.

Skarn był złodziejem Realgara, nie należał jednak do oddanych mu ludzi. Otarł dłonie z krwi i rozmyślał o zabiciu czeladnika, który leżał teraz nieprzytomny na posadzce kuźni, kiedy ujrzał miecz. Natychmiast zapomniał o Stanachu.

Osadzona w rękojeści prosta i smukła klinga miała barwę Solinari. Zbrocze miecza było nicią słonecznej czerwieni. Oręż leżał na kowadle, tam gdzie zostawił je Stanach, kiedy zwałił się na twarz, uderzony przez

Skarna rękojeścią sztyletu.

Złodziej szybko obmyślił własny plan. Miał z Realgarem porachunki. Nazywał thana swym panem, nigdy jednak tak o nim nie myślał. Zawsze natomiast pamiętał, że mag zabił jego syna.

Realgar nazwał to nierozwagą przy używaniu magii. Gdy Tourm skończył, than nawet nie wyraził żalu - ograniczył się jedynie do zwykłego, suchego wyjaśnienia.

Choć derro byli plemieniem skłonny do zajmowania się czarną magią, Realgar czuwał, by żaden z nich nie wzniósł się ponad poziom jego własnych umiejętności. Niekiedy podejmował się nauki tych, którzy byli dość utalentowani, by osiągnąć poziom wyższy niż posługiwanie się najprostszymi zaklęciami. Nazywał ich magusiami i zawsze powiadał to słowo z pełnym

wyższości prychnięciem.

Jednym z nich był Tourm. Mógł stać się kimś. Gdyby otrzymał właściwe nauki, mógłby wyruszyć do Krain Zewnętrznych, udać się w podróż do Wieży Wielkich Czarów i zdać Test, stając się jednym z członków Bractwa Czarnych Szat. Zdałby Test z pewnością. W jego duszy płonął ogień magii, życiem młodego derro kierowało olbrzymie pragnienie kształcenia się w Sztuce.

Realgar wiedział o tym doskonale. Musiał znać potencjalne możliwości mocy Tourma i rozpoznał zagrożenie. Poprosił Tourma - nie, rozkazał mu -by zaczął pracę nad zaklęciem, wiedząc, że młodzieniec nie zdoła nad nim zapanować. Realgar beczynn timerwował, jak Tourm ginie w śmiertelnej męce, podczas gdy niekształtny stwór zrodzony w Otchłani, oddzierał mięśnie od kości i wyrywał z ciała duszę młodzika. Prawdą było, że zaklęcie rzucił sam Tourm, jednakże uczynił to na rozkaz Realgara.

Skarn od wielu lat szukał okazji, by pomścić śmierć Tourma. Teraz wreszcie znalazł sposób.

Podniósł miecz i uśmiechnął się zimno. Miecza tego pożądał Realgar. Skarn nie wiedział po co, mało go to zresztą obchodziło. Wiedział jedynie, że gdy than zlecał mu zdobycie miecza, w jego oczach zapalił się płomień chciwości. Teraz zaś Skarn domyślił się, że Realgarowi chodziło o coś więcej niż tylko zwykłe zaspokojenie chęci posiadania. Ten miecz był Realgarowi do czegoś potrzebny.

Niektóre z tajnych ścieżek, odchodzących od Thorbardinu mrocznymi szlakami, nie znane były nawet patrolom granicznym. Skarn znał je wszystkie. Zostawił Stanacha leżącego tam, gdzie upadł. Gdy Realgar wreszcie zrozumiał, że Królewski Miecz dlań przepadł, Skarn był już daleko poza Thorbardinem.

Rozdział drugi

Płaczące dziecko obudził ten sam koszmar, który dręczył większość spośród ośmiuset ludzi, usiłujących znaleźć ucieczkę we śnie; wszystkim

im przyśnił się koszmar niewoli. Gwiazdy, niczym tańczące, srebrne światelka na tle czarnego nieba, patrzyły, jak kobieta podniosła się chwiejnie i pogrążona jeszcze we śnie, podeszła do dziecka. Nie była matką malca - jej własne dziecko umarło rankiem. Podczas dwóch dni ucieczki w góry z niewoli w kopalniach Pax Tharkas umarło pięciu dorosłych, słabych i chorych, oraz dwoje dzieci.

Na razie, rozmyślał Tanis, półelf. Wpatrując się w płomień dogasającego ogniska, przysunął nogą wiązkę chrustu. Był śmiertelnie znużony. Ośmiuset ludzi bardzo wolno przemieszczało się przez wąskie przełęcz między Pax Tharkas a Szlakiem Południowym.

Szlak Południowy nie był jednak drogą ku wolności. Był zaledwie jej początkiem.

Usłyszał dochodzący z tyłu odgłos kroków, cichy niczym szept matki uspokajającej dziecko. Odwracając się błyskawicznie położył dłoń na rękojeści miecza i uśmiechnął się przepraszająco, gdy rozpoznał stojącą za nim osobę. - Goldmoon! - szepnął. - Rozmyślałem właśnie, gdzie się podziałas. Piękna była owa kobieta z Równin i choć na jej twarzy malował się ten sam wyraz znużenia, które odczuwał Tanis, emanował od niej niewzruszony spokój, który ukoił półelfa niczym dotknięcie matczynej dłoni. - Szukałam Tasslehoffa. - I co, znalazłaś go?

- Nie. - Goldmoon uśmiechnęła się. - Oczywiście, że nie. Była to jednak dobra wymówka, by przejść się po wzgórzach.

- Nie sądziłem, że komuś potrzebna jest wymówka, by robić to, co wszyscy robimy od dwóch dni i co będziemy robić najpewniej jeszcze przez kilkanaście następnych.

- Niekiedy potrzebna mi jest samotna przechadzka, by zebrać myśli. -Goldmoon z gracją usiadła obok półelfa. - Tanisie, dokąd poprowadzimy ludzi?

W istocie, dokąd? - Nie mamy zbyt wielu możliwości wyboru. - Tanis odrzucił głowę w tył. - Verminaard wkrótce pośle za nami smokowców - o ile już tego nie uczynił. Tas zablokował wrota dość skutecznie, nie wytrzymają jednak zbyt długo. Musimy szybko zabrać stąd ludzi. Nie możemy zawrócić. Musimy podążać naprzód. - Dokąd?

- Goldmoon, jest tylko jedno miejsce, gdzie można stawić im opór, jedno miejsce, gdzie można znaleźć bezpieczne schronienie.

-

- Thorbardin. - Goldmoon potrząsnęła głową. - Podczas tych trzech lat krasnoludy nie brały udziału w wojnie, choć rozdarła ona Krynn na części. Dlaczego sądzisz, że wpuszczą teraz do Thorbardinu ośmiuset uciekinierów?

- Przekonamy ich. - Tanis cisnął chrust w płomienie i patrzył, jak ogień zaczyna lizać gałęzie i korę. - Tego już próbowano. - Będziemy prosić. Goldmoon tylko westchnęła. - Tanisie, nie zechcą słuchać.

- Zatem nakłonimy ich, by nas posłuchali. - Tanis uśmiechnął się smutno, a w jego zielonych oczach pojawił się niebezpieczny błysk. Nie da się zignorować, pomyślał, ośmiuset głosów.

Wysoko, na nawiedzanych jedynie przez orły zboczach Thorbardinu, rozciągał się labirynt wąskich przejść, które - choć niewidoczne z niżej położonych dolin i kotlin - znane były krasnoludom niemal od początków istnienia samego miasta. Nie sposób było dotrzeć do nich z dolin. Zakaz postawiły same góry. Z wnętrza fortecy krasnoludów aż od Wrót Południowych wiodły jednak ku owym przesmykom ścieżki tak wąskie, że za możliwe do przejścia uznałaby je jedynie kozica lub krasnolud zrodzony w Thorbardinie. Wzdłuż tych ścieżek słyszano tylko dzikie zawrozczenie górskich wichrów. Zimą i latem powietrze było tu zimne i rozrzedzone. Stanach Hammerfell uważał owe ścieżki za prywatną własność.

Piął się nimi teraz z przytroczoną do pasa manierką. Przez cały dzień pracy przy palenisku pocił się niemal do krwi, para buchająca z kadzi do hartowania zatykała mu płuca, aż zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek będzie mógł normalnie oddychać. Potrzebował teraz spokoju, osiągalnego jedynie na tych wyżynach; potrzebował miejsca do rozmyślań.

Wsparł się plecami o gładź górskiego głazu. Łyk krzepkiego krasnoludzkiego spirytusu rozgrzał mu trzewia. Daleko w dolinie mrok zaczął już wypełniać jary i wąwozy, zimnym i czarnym aksamitem zaciągając usiane złotem i brązem zbocza.

Zaledwie godzinę temu Stanach dowiedział się, że Ostrze Burzy znaleziono Na Zewnątrz. Z krain, których niebo na szerokich, skórzastych skrzydłach przecinały smoki i gdzie zaciekle walczyły ze sobą wrogie armie, podczas gdy bogowie toczyli równie zajadły spór, nadeszły pogłoski o młodym banicie i leśnym zwiadowcy, który władał mieczem z rękojeścią zdobną szafirami. Po dwóch latach od dnia kradzieży Królewski

Miecz został wreszcie odnaleziony. Hornfel zaś już gotował się do posłania mężów, by odzyskali oręż. Rzecz nie wydawała się prosta. Hornfel żywił obawy, iż pogłoski o mieczu dotarły też do Theiwara Realgara. Wysłannicy Hylarów będą musieli działać szybko i mieć się na baczności. Aby osiąść Miecz Królewski, Realgar nie cofnie się nawet przed zabójstwem.

Podczas tych dwóch lat nie było choćby jednego dnia, w którym Stanach, spoglądając na palenisko w kuźni, nie wspominałby owej nocy, kiedy to z rudy, ognia i wody zrodziło się Ostrze Burzy. Nigdy też nie zapominał, że tej samej nocy miecz został skradziony. Tej samej też nocy Isarn - jego krewniak, mistrz i przyjaciel - pograżył się w rozpacz i szaleństwo. Stanach nie dbał więc o niebezpieczeństwo. Chciał jedynie odzyskać Ostrze Burzy.

Chciałby wyruszyć, jeśli już do tego dojdzie, ze swoim krewniakiem Kyanem zwanym

Czerwonym Toporem. Jako zwiadowca pogranicznych patroli, Kyan znał Krainy Zewnętrzne lepiej niż którykolwiek z krasnoludów. Tak przynajmniej utrzymywał, Stanach zaś nie miał powodów, by mu nie wierzyć. Choć obaj ze Stanachem byli w tym samym wieku, Kyan wyglądał na starszego ze względu na posiadane doświadczenie - Kyan zawsze sprawiał wrażenie kogoś, kto ma się na baczności i uważa na zagrożenia, które Stanach mógł sobie jedynie wyobrażać. Pogranicznik wyglądał też zawsze jak ktoś, kto z owymi niebezpieczeństwami poradzi sobie gładko i bez trudności. Stanach, który nigdy nie opuścił

jaskiń Thorbardinu, jak wszyscy zaś krasnoludowie preferował rodzinę, postanowił zawierzyć swe życie i bezpieczeństwo Kyanowi.

W razie gdyby Kyan nie był dostateczną rękojmią bezpieczeństwa, Hornfel posyłał z nimi maga Fajarę. Czy może zdarzyć się coś, rozmyślał Stanach, czemu nie dałby rady Fajara? Znał tego złotowłosego człowieka od trzech lat, kiedy to Fajara przybył do Thorbardinu. Nazywał się Jordy, choć wszyscy mieszkańcy Thorbardinu nazywali go Fajarą. Przewiskiem tym obdarzyła go dzieciarnia dlatego, iż wszyscy lubili jego grę na flecie. Mag i Stanach zostali bliskimi przyjaciółmi. Beztroski humor i optymizm maga rozjaśniały napady posępnej melancholii, której coraz częściej ulegał ostatnio Stanach.

W Thorbardinie czas najszybciej upływał w którejś z licznych oberży nad kuflami piwa. Nastrój przyjaciół poprawiał się zaś jeszcze bardziej, gdy z granicy z Krainami Zewnętrznymi wracał Kyan i wciskał im jedną po drugiej niesłychaną historię, klnąc się przy tym na Reorxa, iż każda z nich jest prawdziwa.

Stanach ogromnie pragnął im towarzyszyć. Musiał jednak znaleźć sposób, by przekonać Hornfela, by włączył go w skład grupki wysłanników, którzy mają odzyskać miecz.

Czeladnik nie uważał tego bynajmniej za sprawę łatwą i prostą. Dziwnie niemila wydawała mu się myśl o opuszczeniu Thorbardinu i porzuceniu uporządkowanego, jak dotychczas, trybu życia.

Jako członek majątnego klanu Hammerfellów, nie musiał troszczyć się o swą przyszłość. Był świetnym fachowcem w powszechnie szanowanym rzemiośle. Jego ojciec zaczął ostatnio przebąkiwać o kontrakcie małżeńskim, wygłaszane zaś przy kolacjach monologi matki zamieniły się w zrozumiałe napomknienia o tej czy innej pannie - co Stanacha w równej mierze bawiło, jak intrygowało. Siedemdziesiąt pięć lat - to dość młody wiek dla krasnoluda, by dać się pojmać na stałe. Według miary swej rasy Stanach był młodzikiem, który wcale nie musi spieszyć się do ożenku i zakładania rodziny. Rodzina jednak sama w sobie stanowi bogactwo i dostatek. Tego dobra nie dziedziczy się z ojcowskich kufrów.

- Zdobędziesz je zaufaniem - powtarzała mu nieustannie matka. - Rzecz nie w zapełnianiu kolebek i gapieniu się, jak rosną kolejne dzieci. Kobiecie, którą poślubisz; dzieciom, które spłodzisz; i swoim przyjaciołom musisz dać powody, dla których będą darzyć cię ufnością i wiarą, że mogą na tobie polegać. Nawet jeśli ubierzesz się w łachmany, powinni wierzyć, że jesteś bogaty.

Stanach oparł czoło o podciągnięte kolana. Wedle tych kryteriów był uboższy niż najędzniejszy ze źlebowców. Był tym, który zawiódł pokładane w nim zaufanie. Powiniennem był lepiej strzec Królewskiego Miecza!

Niestety, Stanach nie sprostał zadaniu. Królewski Miecz zniknął. Isarn nie winił czeladnika, wcale jednak nie musiał - Stanach sam sobie nie umiał przebaczyć i cierpiał udręki za każdym razem, gdy spoglądał na palenisko.

Hornfel pośle wojownika i maga. Dlaczegoż miałby wysyłać czeladnika, który znany był właściwie tylko z tego, iż utracił miecz?

Stanach uśmiechnął się do swych myśli. Jego kuzyn, Kyan Czerwony Topór, był świetnym

wojownikiem, Fujara był potężnym magiem. Żaden z nich nie widział jednak miecza na własne oczy, znali go jedynie z opisu. Stanach zaś oglądał miecz co noc, gdy tylko zamknął oczy.

Młody krasnolud podniósł wzrok na usiane klejnotami gwiazd niebo, spojrzął na czerwoną plamkę, błyszczącą wysoko ponad najwyższymi

szczytami gór. Legenda głosiła, iż ta plamka jest blaskiem kuźni Reorxa.

- Wiem, że powinienem strzec lepiej miecza - wyznał bogu. - Ojcze, jeśli dasz mi obrotność języka i bystrość umysłu wystarczające do przekonania Hornfela, by pozwolił mi towarzyszyć Kyanowi i Fajarze, klnę się na Ostrze Burzy, że odzyskam go dla domu i będę strzegł go czujnie.

Skończywszy się modlić, Stanach wstał i układając w myślach słowa prośby, którą chciał złożyć Hornfelowi, wrócił do Thorbardinu. Sam siebie w myślach nazywał Niegodnym Zaufania. Nie potrafił żyć dłużej z tym imieniem. Przy pomocy Reorxa znajdzie sposób, by wyruszyć wspólnie z Fajarą i Kyanem i odzyskać Ostrze Burzy.

Rozdział trzeci

Zakurzony trakt zbryzgany był krwią. W pyle drogi leżało czterech martwych krasnoludów. Jedyne ruchome elementy krajobrazu stanowiły ich włosy i brody muskane przez zimny wiatr oraz skrzeczący przeraźliwie wśród błękitu nieba kruk.

Co do trzech z martwej czwórki, Stanach rad był, iż nie żyją. Czwartym był Kyan-Czerwony Topór.

Stanach zamknął oczy i pochylił głowę. Nawet najlepiej wyćwiczony, najzręczniejszy wojownik nie zawsze zdoła obronić się przed zdradzieckim atakiem tchórza. Jego krewniak Kyan-Czerwony Topór

zginął trafiony z tyłu bełtem z kuszy.

Trzeba usypać kopczyk grobowy, cairn, pomyślał Stanach. Spojrzął na kruka. Muszę usypać kopiec. Kiedy umierał krasnolud, krewni sypali mu cairn lub kuli w skale grób, który chronił ciało - w przeciwnym razie inni uważaliby, że zginął śmiercią zdrajcy. Kyan nie zasługiwał na taki los.

Stanach poczuł, że trzewia skręcił mu skurcz odrazy, gdy zdał sobie sprawę z faktu, iż taki właśnie los może spotkać jego krewniaka.

Świeży i orzeźwiający wietrzyk rozwiewał już zapach siarki. Dym, gęsty i kłębiący się gwałtownie zaledwie kilka chwil wcześniej, rozplątywał się, ponieważ zniknął magiczny płomień. Stanach odwrócił się i spojrzął na maga. Ujrzał, że zszedł z drogi i oparł się o pień potężnego dębu. Szaty maga miały tę samą barwę, co krew Kyana. Krew rozlana z powodu Ostrza Burzy. - Fajaro, nie możemy go tu zostawić.

- Nie możemy również tu zostać. - Mag potrząsnął głową. - Oni wrócą. Przyjacielu, nie zaczaili się tu bez powodu! Ten szlak jest jedyną drogą wiodącą ku Long Ridge lub ku morzu. Siepacze Realgara napadli na nas w sekundę potem, jak pojawiliśmy się tutaj przeniesieni zaklęciem. Czekali na nas. Stanachu, siedzimy po uszy w kłopotach.

Stanach, ciągle jeszcze szukający oznak życia w Kyanie, spojrzął bacznie na maga. Jak większość ludzi, Fujara wydawał się wyższy, niż było to potrzebne. Twarz maga była blada i ściągnięta, błękitne oczy spoglądały z niej na świat nieco mętnym spojrzeniem. Mag wyglądał na zmęczonego. Pocił się mimo chłodnego wiatru; pot zlepił jego jasne włosy, które przyłgnęły mu do twarzy i karku.

W tej samej chwili, kiedy wyszli z obszaru zaklęcia, Fujara dwukrotnie cisnął na sporą odległość ognistymi jęzorami w siepaczy Realgara. Teraz, wyczerpany zaklęciem przenosin i rzucaniem ognistych pocisków, mag w ciągu paru najbliższych godzin nie zdoła stawić czoła nikomu - a już na pewno nie czterem drabom z Theiwaru, którzy nadal czają się gdzieś niedaleko.

Stanach rozejrzał się dookoła. Po prawej stronie dostrzegł mroczną linię lasu. Z lewej strony miał łąkę, którą zwieńczał łańcuch kamienistych pagórków. Na skraju puszczy wznosiły się nagromadzone beładnie stopy kamieni, sięgające do połowy wysokości drzew. Ochryply wrzask kruka rozległ się jakby bliżej.

Fujara odepchnął się od pnia, wyszedł z cienia i stanął obok Stanacha. -Przyjacielu, musimy go tu zostawić. Przykro mi. Nie możemy zatrzymać się tu na dłużej.

Stanach ponownie zamknął oczy. W uszach zabrzmiał mu bojowy okrzyk Kyana - był jak grzmot letniej burzy i jak wycie szaleńca. Leżący w pyle drogi krasnolud miał krzepkie ramiona i godne wojownika serce, dzikie i nieposkromione, w razie potrzeby łagodne i przyjazne. Nie doczekał się godnego pogrzebu ani nawet pospiesznie wzniesionego kopczyka nagrobego. Nie zostanie jednak zapomniany.

Czeladnik powoli dźwignął się. Podniósł wzrok na niebo. Słońce zaczęło już powolną wędrówkę ku zachodowi; wkrótce zacznie zmierzchać. Niedobrze byłoby, gdyby zaskoczyły ich ciemności. Theiwarowie najlepiej czują się w mroku. - Fujaro, jak daleko jest do Long Ridge?

- Osiem, może dziesięć mil przez puszcę. - Mag wzruszył ramionami. -Pięć mil szlakiem.

Stanach odchrząknął. Podniósł z ziemi swój miecz, lepki od krwi Theiwara, i jak tylko mógł, oczyścił oręż przydrożną trawą. Następnie wetknął miecz w przewieszoną przez plecy pochwę i zarzucił na ramię sakwę.

- Lepiej już chodźmy. Jeśli, jak mówiłeś, jest to dość duże miasteczko, nie wpuszczą pewnie nikogo po zapadnięciu zmroku.

- Raczej nie. I... — Fujara przerwał nagle, wskazując dłonią szczyt najbliższego pagórka.

Ciemni jak wilki czterej Theiwarowie, którzy niedawno jeszcze zbiegli w panice, wracali po nich. Najniższy z nich wskazywał dłonią na skraj lasu. - Lepiej się rozdzielmy. - Fujara położył dłoń na ramieniu przyjaciela. Czwórka wrogów wolno schodziła ze wzgórza. Wilczy krąg. Czekali, aż mag wyczerpie moc ciskania ognia i wracali, by dokończyć morderczego dzieła. - Nie, zostaniemy razem. - Stanach potrząsnął głową.

- Jeśli zostaniemy razem, na pewno zginiemy. - Głos Fujary był posępny i niepewny. Zacisnął palce na ramieniu krasnoluda. - Jeden z nas musi dotrzeć do Long Ridge. Podwoimy szansę. Stanachu, nie jesteś leśnikiem, ale te lasy nie przypominają Qualinesti, więc postaraj się nie zabłądzić! Nie trzeba pułapek elfów ani magii, by zbłąkać się wśród drzew. Trzymaj się w cieniu. Nie trać z oczu drogi i zanim się obejrzysz, trafisz do uprawnej doliny. Miasteczko leży na północnym jej zboczu. Znajdź Ostrze Burzy i za wszelką cenę postaraj się je odzyskać. Potem szybko wracaj! Wrogowie zaczęli zmniejszać odległości pomiędzy sobą.

Równocześnie, choć niespiesznie, formowali półokrąg. Wiatr wzbijał tumany kurzu u ich stóp, wydawało się więc, że Theiwarowie płyną nad ziemią mniej więcej na wysokości dłoni. Stanach spojrzał na przyjaciela. - A co z tobą?

Fujara uśmiechnął się wolno jak człek, który doskonale wie, co robi. -Zostało mi jeszcze trochę krzepy na jedno zaklęcie. - Pozostaw to mnie, Stanachu. - Jeden z Theiwarów zaśmiał się wysokim, przeciągłym chichotem. - Przegonię ich zdrowo, potem zgubię bez kłopotu. Ty masz znaleźć miecz. Ja wrócę i spotkam się z tobą za dwa, trzy dni. Będziemy z powrotem w Thorbardinie, zanim się obejrzysz.

- Jasne - sarknął Stanach nie bez kpiny w głosie. - Wrócimy na skrzydłach jednego z tych twoich zaklęć, po których chwiejesz się na nogach i szukasz ustronnego miejsca, by puścić pawia. - Zawsze to lepsze niż łażenie. - Fujara wzruszył ramionami.

- Dobrze więc - zgodził się Stanach. - Poczekaj. Nie siedź tu jednak do końca świata. Jeśli nie

znajdę miecza, przyjdziem poszukać go we dwoje. Daj mi pięć dni. Jeśli nie wrócę, rób, co będziesz uważał za stosowne. - Raz jeszcze spojrzął na leżącego pośród kurzu Kyana. -Powodzenia, Fujaro.

- Nawzajem, Stanachu. Jeśli zaś los ci nie dopisze, rób to, co zrobić trzeba. Teraz już idź!

Stanach ruszył, by skryć się w cieniu drzew. Ledwo zagłębił się w lesie, usłyszał, że chichot Theiwarów przekształcił się w przekleństwa miotane w imieniu złych bogów, więc odwrócił się, by zobaczyć, co stało się tego przyczyną.

Z nieba spadała gęsta, czarna chmura. Towarzyszył jej trzepot niezliczonych skrzydeł i piski gacków, które ślepe w dziennym świetle, kierowane jedynie wolą Fujary, opadły na zbocze pagórka niczym tysiące małych i głodnych kruków ścierwojadów.

Stanach ruszył na północ i w milczeniu pobłogosławił chwilę, w której jego przyjaciel nauczył się tego zaklęcia.

Mocny, wiszący w powietrzu, zapach kilkudniowej spalenizny niemal zemdlił Stanacha. Kyan i inni pogranicznicy, którzy patrolowali zachodnie granice dziedzin krasnoludów opowiadali mu o wojnie. Wysłuchawszy tych opowieści, spodziewał się, że wie, jak wyglądają Krainy Zewnętrzne. Nie wyobrażał sobie jednak takiego spustoszenia, na jakie patrzył w tej chwili.

Kiedyś - wcale nie tak dawno temu - dolina ta musiała być żyznym polem. Teraz nawet wróbel zdechłby tu z głodu, nie doczekawszy

nadejścia zimy. Jak powiedział Fujara, miasteczko leżało na zboczu łańcucha wzgórz u północnego krańca doliny. Wszystko jednak poniżej grzbietów wzgórz było jednym, wielkim pogorzeliem.

Łagodne, purpurowe promienie zachodzącego słońca padały ukośnie na uprawne jeszcze niedawno pola, ukazując szerokie pasma sadzy tam, gdzie dolinę ogarnęły niszczycielskie płomienie. Gdzieniedzie pozostały jeszcze wąskie zagony nie tkniętych plonów. Nie zebrane zboże lśniło pośród czerni niczym smugi złota. Wzdłuż brzegów rzeki, która dzieliła dolinę, stały osmalone wierzby, wyciągające ku niebu czarne gałęzie niczym łapczywe palce szkieletów. Jak daleko Stanach sięgał wzrokiem, domostwa, zagrody i małe budynki legły w gruzach i teraz były jedynie żalonymi rumowiskami. Przeleciał tędy smok.

W głębi doliny rozległ się wybuch pijackiego, wulgarnego śmiechu, który echem odbił się od jej zboczy. Grabieżcy, pomyślał Stanach. To miejsce spalono stosunkowo niedawno. Maruderzy smoczej armii będą musieli poświęcić kilka tygodni na dokładne złupienie zagród i ciał pomordowanych.

Zaledwie dwa tygodnie temu Pax Tharkas w Górach Kharolis zostało zdobyte przez Władcę Smoków, Lorda Verminaarda. Siły Takhisis zaczęły natarcie na Abanasinę. Mędrcy Thorbardinu głosili, że ludzie, zaślepieni w poszukiwaniu nowych bogów, i elfy, które opuściły Qualinesti, sami ściągnęli wojnę na swe głowy. Żyli w chaosie, który sami sobie zgotowali i przez to teraz wielu z nich ginęło.

Nie moja to rzecz, pomyślał Stanach, wyciągając miecz z pochwy i odwracając się. Miał znaleźć Królewski Miecz, od miasta zaś dzieliły go dwie godziny marszu. Nie chciał, by w tej spustoszonej dolinie złapał go zmrok, więc musiał się pospieszyć.

Odchodził stąd zresztą bez żalu. Wiatr przybierał na sile i jego zawrodozenie wśród ruin przypominało wycie upiórów, które zostały nimi bardzo niedawno.

Wdychając mocny zapach żyznej, leśnej gleby, Fujara leżał cicho niczym duch za splątanymi drzewami wyrwanymi z korzeniami. Theiwarscy siepacze hałasowali jak przeciągające stado bydła. Pod ich stopami szeleściły świeże i zetlałe liście, podeszwy buciorów gniotły i łamały cienkie gałązki.

Uciekając w las, Fujara żałował tylko, że nie zostało mu sił na zakłęcie niewidzialności. Uśmiechnął się do siebie, gdy jeden z drabów, ranny w ramię, wykopyrtnął się o splątane korzenie dębu. Ślepy i głuchy muł

poradziłby sobie bez trudu, gdyby chciał ujść tym opryszkom!

Nasłuchiwał, oni zaś przechodzili obok, nawołując się i przeklinając sążnięcie gęstwiny poszycia. Fujara miał nadzieję, że liczą na schwytanie w lesie jakiejś zwierzyny na posiłek - swym zachowaniem ostrzegł każdego królika, sarnę i wiewiórkę w promieniu kilku mil, że mają do czynienia z głodnymi krasnoludami.

Po jakimś czasie skierowali się, tak jak Stanach, na północ i tak jak on trzymali się skraju lasu. Fujara potrząsnął głową. W tym tempie, w jakim poruszali się czterej siepacze, Stanach opuści Long Ridge, zanim pościg dotrze do doliny. Młody czeladnik był - jak i ci tutaj - krasnoludem, narobi więc po drodze prawdopodobnie równie wiele hałasu. Miał jednak nad nimi przynajmniej dwie godziny przewagi. Fujara usiadł wygodnie, rozejrzał się ostrożnie dookoła i z satysfakcją stwierdził, że jest w dziczy sam.

Dwie godziny przewagi, pomyślał, oni zaś nie próbowali nawet szukać maga, który zdołał zniknąć im z oczu, mimo iż nie uciekał się do zakłéc. Uśmiechnął się szeroko i wstał, otrzepując swe czerwone szaty. Spojrzał na niebo, które widziane spomiędzy liści wydawało się jaśniejsze niż oglądane z drogi.

Do zachodu słońca pozostała mniej więcej godzina. Dość czasu, by zająć się Kyanem.

Podszedł do zabitego, który leżał w pyle drogi. Pół tuzina kruków, wzbijając się do lotu, obdarzyło go skrzekliwymi przekleństwami. Jeden z nich, przycupnąwszy na ramieniu jednego z opryszków Realgara, zmierzył intruza bezczelnym spojrzeniem. Widzę cię, bratku, mówił wzrok ścierwojada, i jeszcze kiedyś się spotkamy.

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

Fujara wzruszył ramionami i cisnął w ptaszysko kamieniem. Kruk, skrzecząc przeraźliwie, zerwał się do lotu. Mag zajął się robotą.

Trzech zabójców Realgara odciągnął w gęstniejący mrok, zbierający się już pod drzewami. Jak Stanach zajął się jedynie Kyanem.

Zbuduje dla Kyana-Czerwonego Topora prawdziwy kurhan grobowy. Prawdziwy cairn. Spojrzał na słońce i ocenił, że poleci duszę krasnoluda Reorxowi dokładnie w chwili, kiedy słońce obleje kamienie czerwienią po raz ostatni. Pomyślał, że będzie to właściwa pora.

- Hej! - westchnął, zwracając się łagodnie do nieboszczyka i okładając jego ciało kamieniami. - Nie odejdziesz bez grobu, mój przyjacielu, waleczny Kyanie! Gdy do Thorbardinu dotrze wieść, że poległ Kyan-Czerwony Topór, sam król regent założy po tobie żałobę... Pracując rozmyślał zaciekle. Siepacze Realgara zasadzili się na nich,

gdy on, Kyan i Stanach byli zaledwie migotaniem powietrza w wirze zaklęcia przenoszenia. Komuż więc dopisało szczęście, myślał mag, im czy nam?

Umieścił ostatni z kamieni na miejscu i przysiadł obok Kyana. Słońce posyłało na ziemię ostatnie złociste strzały. Droga na północ pogrążona już była w mroku.

Mag wygładził skórzaną kurtkę pod kolczugą, która nie ochroniła krasnoluda przed bełtem z kuszy. Mogło być tak, pomyślał, pochylając się nad przyjacielem i podnosząc ciało, by złożyć je w grobowcu, że Realgar ustawił straż na drodze, bo posłał już ludzi do Long Ridge na poszukiwania Ostrza Burzy. Albo mieli tędy wracać, albo Realgar chciał się upewnić, że w poszukiwaniach nikt im nie będzie przeszkadzał.

Mag złożył Kyana w grobowcu i obłożył ciało starannie kamieniami. Tak jak się spodziewał, w tej właśnie chwili na głązy padły ostatnie promienie zachodzącego słońca.

- Niechże to będzie odbłask płomieni z boskiej kuźni - szarpnął Fujara. - Żegnaj, Kyanie-Czerwony Toporze.

Bezwiednie dotknął dłonią fletu wiszącego u jego pasa. Gdy pracował, w jego głowie zrodziła się łagodna i smutna melodia. Potrząsnął jednak głową. Żałobny pean Kyana będzie musiał jeszcze trochę poczekać. W chłodnym, nocnym powietrzu tony fletu niosłyby się zbyt daleko.

Mag usiadł na trawie plecami do grobu przyjaciela. Zapadła już noc. Fujara patrzył na pierwsze pojawiające się na niebie gwiazdy, zapamiętał też miejsca, w których wkrótce na nieboskłonie pojawią się dwa księżyce, srebrny i czerwony. Będzie czekał, tak jak obiecał to Stanachowi.

Westchnął głęboko. Stanach nie jest magiem, żaden też z niego wojownik. Złożył jednak przysięgę i gotów jest dotrzymać jej niezależnie od tego, czemu przyjdzie stawić mu czoło.

Przez chwilę rozważał myśl, czy nie powinien jednak pójść za Stanachem, odrzucił jednak ten pomysł. W ciemnościach mogliby się po prostu rozminąć. Jeśli Stanach znajdzie dziś w nocy Królewski Miecz, wróci najpóźniej jutro do południa.

Kiedy ustalasz miejsce spotkania, powiedział kiedyś Kyan, powinieneś się go trzymać, w przeciwnym razie stracisz kilka dni, szukając przyjaciół, podczas gdy oni w tym samym czasie zajadłe będą poszukiwać ciebie.

Kyan nad kuflem piwa często dzielił się z przyjaciółmi mądrością, zdobytą jako pogranicznik. Tę prawdę również wygłosił podczas jednej z wycieczek po miejskich tawernach. Fujara pochylił głowę. Nie usłyszy już z ust Kyana żadnej z leśnych mądrości ani żadnej historii o jego niezwykłych przygodach. Martwy Kyan na zawsze pozostanie Na Zewnątrz.

Rozdział czwarty

Mieszkańcy Long Ridge nie uważali problemów teologicznych za szczególnie pasjonujące i stan ten trwał, dopóki nad miasteczkiem nie pojawiły się czerwone smoki. W mieście zgodnie żyli obok siebie wyznawcy nowych bogów, starych bogów, najwięcej zaś było takich, którym sprawy religii były całkowicie obojętne. W Long Ridge Poszukiwacze nie byli przesadnie zaciekli w swych poszukiwaniach, wyznawcy zaś starych bogów, nazywający ich niekiedy prawdziwymi bogami, też nie narzucali się nikomu ze swoją wiarą. W niektórych miastach wierni jednych bogów rozbijali łby wielbicielom innych bóstw. W Long Ridge życie płynęło zbyt uporządkowanie, spokojnie i miło, by spierać się w sprawach wiary.

Karmieni do syta plonami bogatych gospodarstw rolnych, zajmujących niemal całą dolinę rzeki, mający aż nadto dziczyzny z łowów w lasach i na polach, byli mieszkańcy żywym dowodem prawdziwości starego powiedzenia, że walczą jedynie głodni, syci natomiast, czekając na kolejny posiłek, uśmiechają się tylko łagodnie. Kiedy zniszczono leżące na północy Solace, obywatele Long Ridge powinni byli bacznie obserwować niebo. Tego jednak nie uczynili.

Kiedy wreszcie pojawił się Verminaard w czerwonej zbroi, upojony niedawnym zwycięstwem nad Solace, zdobył Long Ridge w ciągu jednego dnia. Nie musiał nawet uciekać się do pomocy smoków, użył tylko jednego, własnego czerwonego Embera. Nie potrzebował też właściwie

oddziałów bojowych, których żołnierze jeszcze śmierdzeli zapachem spalonych vallenów i śmierci.

Gdy jego oddziały zajmowały miasto, Verminaard wspólnie ze smokiem palił farmy w dolinie, żelazną pięścią siejąc śmierć i zniszczenie. Gdy spustoszone gospodarstwa przekształciły się w płonące rumowiska, wojska otoczyły Long Ridge, wkroczyły do miasta i stłumiły wszelki opór niczym wysychająca, skórzana opaska, która założona przez kata na krtań ofiary, dławi bezsilnego skazańca.

Smoczy władca dał oddziałom dość swobody, by żołdacy mogli zaspokoić żądzę krwi. Potem, gdy połowa miasta legła w gruzach, spora zaś część jego mieszkańców była martwa lub zmuszona do niewolniczej pracy w kopalniach Pax Tharkas, Verminaard kazał powstrzymać rzezie, gwałty i rabunki. Komendantem sił okupacyjnych mianował Carvatha, polecając mu wycisnąć z mieszkańców tyle dóbr, ile tylko się da. Ciemnooki, młody kapitan Carvath wszystkim, co go widzieli, przypominał wilka - choć byli i tacy, którzy porównanie dzikiego, podstępnego zwierzęcia z tym człowiekiem uważali za krzywdzące dla tego pierwszego.

Teraz zaś na ulicach Long Ridge panoszyli się smokowcy, pijani żołdacy - zbieranina wyrzutków z plemion ludzkich - i gobliny. Byli to brutalni i nieokrzesani najeźdźcy, którzy brali, co chcieli, kiedy chcieli i nie wahali się przed zabiciem każdego, kto im się przeciwstawił. Wilki, które osaczyły pozbawione pasterza stado owiec, okazałyby swym ofiarom więcej litości.

Podczas gdy elfy za wiele spraw winały ludzi, krasnoludy zamknięte w górskiej warowni Thorbardinu, oddawszy się starej i pełnej goryczy wrogości, obwinały o niezliczone grzechy przeszłe i obecne obie rzezone wyżej rasy. Z radością zażądałyby też od jednych i drugich rekompensaty za grzechy przyszłe.

W Long Ridge ludzie starali się z dnia na dzień przeżyć pod brutalnymi rządami okupacyjnej załogi Lorda Verminaarda. Gdy niewolnicy w kopalniach Pax Tharkas zbuntowali się i uciekli w góry, Verminaard przestał zajmować się niewiele znaczącą miejsciną i całą władzę nad okolicą oddał w ręce Carvatha.

Podczas chłodnych nocy późnej jesieni mieszkańcy Long Ridge zaczęli się zastanawiać, czy nie powinni byli traktować swych bogów bardziej poważnie.

Tawernę zwano po prostu „U Tenny’ego” i należała - na tyle, na ile było to możliwe - do tak zwanych wolnych szynków. Oznaczało to, że jedynie

przypadkowo zaglądali tu oficerowie smokowców, rozkaz zaś Carvatha zabraniał wstępu do niej zwykłym żołdakom. Ogólnie znaną tajemnicą był też fakt, iż często odwiedzali to miejsce szpiedzy Carvatha, choć zajmowali się najczęściej sprawami, które powinny uchodzić bystrej uwadze mieszkańców miasta. Właśnie ze względu na swych tajnych agentów Carvath przyznał oberży status „wolnego” zakładu.

Tyorl obserwował Hauka znad krawędzi kufla. Hauk był właśnie takim typem, jakich Finn najchętniej rekrutował jako zwiadowców do Kompanii Koszmaru - młody, śmiały, wróg smokowców, szczególnie zaciekle nienawidzący Verminaarda. Każdemu człowiekowi czy elfowi w oddziale smokowcy zabili przyjaciela lub krewniaka. W przypadku Hauka zrównali z ziemią jego rodzinną wioskę i zabili mu ojca - ostatniego z żyjących członków jego rodu. Tyorl, choć jego własna rodzina była bezpieczna w Qualinoście, stracił przyjaciół i ojczyznę. Tych dwóch, Hank i Tyorl, było przykładem ludzi Finna.

Oddział Firma przemierzał ziemie pomiędzy wschodnimi granicami Qualinesti a Górą Kharolis, gdzie wszyscy jego członkowie sycili zemstę, niszcząc pojedyncze patrole smokowców. Finn postanowił wykorzystać status gospody Tenny’ego i posłał Hauka i Tyorla, by dowiedzieli się wszystkiego, czego dowiedzieć się można o działaniach patroli smokowców w najbliższej okolicy.

Dziś Tyorl usłyszał coś, co potwierdzało plotki o przemieszczeniu oddziałów u podnóża Gór Kharolis. Smoczy Władca zamierzał przesunąć nie tylko oddziały, ale i bazę zaopatrzenia. Nadal rozwścieczony utratą ośmiuset niewolników i szukający sposobu uleczenia swej zranionej dumy, Verminaard postanowił przenieść działania wojenne na południe i wschód. Chciał zająć Thorbardin i zamierzał dokonać tego przed nadejściem zimy.

Przywódca wolnych zwiadowców i ochotników będzie sarkał, kiedy dowie się o planach Verminaarda, największe utyskiwanie skieruje zaś, oczywiście, pod adresem Thorbardinu. Finn nieustannie burzył się na krasnoludy, które - choć, na szczęście, pozwalały myszkować zwiadowcom na pograniczu Thorbardinu - nie przystępowały do wojny. Utyskiwania nie powstrzymały jednak Finna od dokładania nieustannych wysiłków, by w miarę swych skromnych sił „urozmaicać” żywot wojownikom Smoczego Władcy.

Obowiązki przede wszystkim. Hauk położył miecz na stole obok swego sztyletu z rękojeścią z rogu. Światło padające z obszernego kominka ślizgało się wzdłuż złotej rękojeści miecza i połyskiwało na zdobiących ją pięciu szafirach. Blask płomieni oświetlał fasety klejnotów i cienką, purpurową smugę zbroczą, która wydawała się sercem klingi. Czterech siedzących przy sąsiednim stole mężczyzn, do tej pory pijących piwo i bawiących się sztyletami, nagle umilkło.

No, tak, pomyślał elf, kłopoty. Pozostało mu tylko żywić nadzieję, że uda im się wydostać i dotrzeć do Firma w jednym kawałku. Tyorl wygiął wargi, licząc na to, iż dość udatnie naśladuje to, co w opowieściach bardów zwie się przewrotnym uśmieszkiem.

- Piękny to miecz... - zaczął najroślejszy z sąsiadów. Potarł pięścią nie goloną od tygodnia szczękę i podniósł kufel, salutując głownią. Piwo przelało się przez krawędź kufla i pociekło wzdłuż ręki nieznajomego.

Poznając w nim jednego z miejscowych, Hauk łypnął okiem na oręż i pochylił głowę na bok, jakby dopiero w tej chwili właśnie dotarło do niego, że miecz w istocie jest całkiem niezły. Skinął więc głową i uśmiechnął się szeroko i przyjaźnie. - Owszem. Godny, według ciebie, zakładu, Kiv?

Kiv popatrzył na kompanów. Każdy z nich kiwnął głową i utopił nos w kuflu. Każdy miał spojrzenie człowieka, który za wszelką cenę usiłuje sprawić wrażenie, że rzecz, o której mowa,

wcale go nie interesuje - choć w istocie interesuje go ponad wszystko. Te szafiry były warte fortunę! Kiv spojrział pytająco na Tyorla.

- To jego miecz. - Elf wzruszył ramionami. - Myślę, że może się zakładać, o co chce, gdzie zechce i z kim zechce...

Kiv uśmiechnął się szeroko i wytarł mokrą od piwa łapę w nogawkę sztywnych niemal od brudu skórzanych portek.

- A więc tak! - zwrócił się do Hauka. - Dobra, szczeniaku, ja wybieram cel. Jeśli chybisz albo zrezygnujesz, miecz jest mój.

Hauk, którego dłonie spoczywały luźno na blacie stołu, uśmiechnął się z rozbijającą naiwnością. Jedynie elf dostrzegł chłodny błysk w jego oczach.

Tyorl westchnął, podniósł kufel do ust i oparł się plecami o ścianę. Znał Hauka od trzech lat. Podczas tych lat nauczył się, że może polegać na tym, iż Hauk będzie strzegł jego pleców w boju i w razie potrzeby stanie pomiędzy Tyorlem a wrogim ostrzem - ale nauczył się również, że kiedy oczy Hauka wyglądają jak dwie bryłki lodu, w żaden sposób nie wolno mu przeszkadzać.

Cały wieczór ciskali sztyletami do celu, zakładając się o piwo i kolację - i jak do tej pory nie musieli zapłacić za choćby kroplę napoju czy okruszynę chleba. Miało to swoje dobre strony. Ostatnie grosze wydali na kwaterę i nie została im nawet złamana moneta. Hauk lubił się chełpić, że potrafi ich wyżywić i напоić, posługując się jedynie sprytem i sztyletem. Zazwyczaj głośno się tym chwalił, Tyorl jednak wyczuł, że tym razem chodzi o coś innego.

Nikt jako stawki nie proponował zarcia czy piwa. Gdy rozpoczynali wieczór, kiesę Kiva wypełniały mile brzęczące, stalowe monety. Rosły mieszcuch był znacznie bardziej spity niż godzinę temu, zostało mu jednak jeszcze dość rozsądku, by wiedzieć, że jeśli chce jutro choćby coś przekąsić, powinien natychmiast zacząć odzyskiwać straconą gotówkę. - Ty stawiasz miecz... - wymamrotał Kiv. - A ja? - Sam zdecyduj.

Kiv rozsiadł się wygodniej. Zatrzeszczało pod nim krzesło. Splótł dłonie na brzuchu i łypnął okiem na niski, zadymiony, wykonany z grubych bierwion pułap tawerny. - Stawiam wszystko, co mają w mieszkach moi towarzysze. Wszyscy trzej drgnęli jak kolnierzyki sztyłem. Jeden z nich wykonał gest sprzeciwu, Kiv jednak tylko machnął dłonią w stronę miecza, wskazując jakby od niechcenia klejnoty, złoto i srebro oplotu. Protestujący uspokoił się natychmiast, a w jego małych oczkach błysnęła chciwość.

- A skąd mam wiedzieć, że w ogóle coś w nich zostało? - Hauk prychnął.

Kiv strzelił palcami i wszyscy trzej trzepnęli kiesami o stół. Hauk i Tyorl usłyszeli ciężki brzęk dobrze wypełnionych monetami mieszkań.

Elf uśmiechnął się, kryjąc oczy w cieniu kaptura. Miecz setki razy przerastał wartością monety, Hauk jednak nigdy nie chybiał. Na przeciwległej ścianie tawerny ktoś kiedyś szarą farbą namalował zarys sylwetki człowieka. W miejscu serca była plama czerwonego wina. Z ponad dwóch tuzinów śladów wszystkie - prócz pięciu - zostawił w niej sztylet Hauka.

Wokół nich krzyżowały się głosy kilkunastu rozmów, które teraz przycichły. Czterej mieszczańscy siedzący przy innym stole odebrali nowe kufle z rąk służebnej dziewczyny i teraz ustawiali krzesła, by mieć lepszy widok. Inni, Wyczuwszy, iż rzecz idzie o niemałą stawkę, również odwrócili się ku naszym bohaterom.

Siedzący pod drugą ścianą dwaj ciemno odziani krasnoludowie pochylili się. Tyorl zauważył, iż nie okazują przesadnego zainteresowania, co było rzeczą interesującą samą w sobie, ponieważ w ogóle nie zwracali uwagi na nic - tak bardzo zafrapowała ich własna rozmowa.

Służebna dziewczyna z pustą już, trzymaną poziomo tacą odeszła od stojącego obok Tyorla stołu.

Przemykając się z wdziękiem pomiędzy

stołami, zręcznie unikała dotyku rozeźmianych dobrodusznie klientów. Jej włosy o barwie zachodzącego słońca w świetle płonącego na kominku ogniska połyskiwały czystą miedzią. Dziewczyna zaplotła je w dwa grube warkocze. Miłe stworzenie, pomyślał Tyorl.

Kiv obejrzał się przez ramię, stęknął, rozsiadł się jeszcze głębiej i zamknął oczy. - Celem jest ta dziewczka - powiedział cicho.

- On chyba ma na myśli jej tacę, czy nie tak, Tyorl? - Hauk udał zgorszenie i podrapał się po brodzie.

Przez chwilę Tyorl podejrzewał, że Kiv wcale się nie przejęzyczył. Pociągnął potężny łyk z kufła i postawił naczynie na stole. Zastanawiając się nad pytaniem, przeniósł wzrok z dziewczyny, która zdążyła już znacznie się oddalić, na leżący przed Haukiem sztylet. Na ostrzu widać było mdły połysk rozlanego piwa.

- Oczywiście, że miał na myśli tacę - Tyorl wysunął z pochwy swój własny sztylet. - Dobrze mówię, Kiv?

- Oczywiście. - Kiv nawet nie otworzył oczu. Uśmiechnął się tylko leniwie i złowrogo jak kot. - Taca. W sam środek albo się nie liczy.

- Żadnej premii za trafienie dziewczki? - Mężczyzna, który chciał sprzeciwić się zakładowi, zaśmiał się nerwowo.

Krawędź sztyletu Tyorla połyskiwała w świetle ognia. Kiv otworzył oczy, spojrzał na ostrze i wzruszył ramionami. - Żadnej - powiedział cierpko.

W izbie zapadła cisza. Słysząc tylko odgłos kroków dziewczyny zmierzającej do szynkwasu. Nikt się nie poruszył, nikt nawet nie westchnął, dziewczyna zaś, zdawszy sobie nagle sprawę z faktu, iż niespodziewanie znalazła się w centrum uwagi klientów, odwróciła się wolno, nadal trzymając poziomo w dłoni drewnianą tacę.

Hauk, którego oczy przypominały teraz surowością szafiry z rękojeści jego miecza, zamknął palce na sztylecie. Tyorl słyszał niemal myśli swego przyjaciela: zły to zakład! Hauk jednak nie zamierzał się wycofać.

Tyorl zaklął w duchu. Trzymając w dłoni sztylet, porwał ze stołu drugą ręką kufel i cisnął nim w dziewczynę. - Uważaj!

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy, uchyliła się i szybko podniosła nad głowę tacę, by zasłonić się przed lecącym w nią kuflem. W powietrzu błysnął srebrzyście sztylet Hauka, zbyt szybki, by ktokolwiek mógł nadażyć za nim wzrokiem. Dziewczyna wrzasnęła przeraźliwie, niektórzy z klientów ryknęli

pijackimi wiwatami, jedynym jednak dźwiękiem, jaki wszyscy usłyszeli wyraźnie, było łupnięcie stali wbijającej się w drewno i zdumione westchnienie dziewczki. Westchnienie to zawisło jakby w zapadłej nagle ciszy, potem zaś utonęło w fali wrzasków i łomotu przewracanych krzeseł, gdy wszyscy porwali się na nogi i skoczyli ku dziewczynie. Biedaczka zaś zemdląła.

Taca leżała na podłodze obok dziewczyny. Dokładnie w środku niej tkwił drżący jeszcze sztylet Hauka.

Jeden z siedzących w głębi krasnoludów, jednooki jegomość o wąskiej gębie podniósł się i wyszedł z izby. Do tawerny napłynęła fala świeżego powietrza, w drzwiach zatańczyła niebieska mgiełka, która zniknęła, gdy krasnolud zamknął drzwi za sobą.

Zniknięcie krasnoluda nie uszło uwagi Tyorla. Jego przyjaciel, którego biała twarz ponad gęstwiną krótko przyciętej, czarnej brody zaczynała już odzyskiwać barwę, podniósł się natomiast, wsunął miecz do pochwy i zwrócił się do Kiva: - W sam środek, przyjacielu.

Kiv zamknął oczy. Nawet się nie odwrócił, by zobaczyć rezultat rzutu. Jego gęba pokryła się brzydkimi plamami. Tyorl zręcznie zwinął ze stołu trzy mieszki z pieniędzmi. - Hauk, idź i przeproś dziewczynę! Nasi przyjaciele właśnie wychodzą. - Nie mam dokąd pójść. - Kiv potrząsnął głową.

- Znajdź więc sobie jakieś miejsce. - Tyorl musnął palcem ostrze swego sztyletu. - Na dziś koniec z piciem i zakładami. Twoja sakiewka jest pusta.

Kiv przeniósł spojrzenie ze sztyletu Tyorla na dłoń Hauka trzymającą rękojeść miecza. Nie on jednak podjął decyzję, jego przyjaciele bowiem wstali od stołu.

- Daj spokój - sarknął kwaśno jeden. - Przez ciebie straciliśmy kiesy. Pozwól nam zachować chociaż łby na karkach, dobrze?

- Uważam, że nas nabrano. Wtrąciłeś się, elfie. - Kiv oblizał wargi i ostrożnie wciągnął powietrze w płuca. - Nie - stwierdził po prostu Tyorl.

Szafiry pomiędzy palcami Hauka zaśniły zimno jak wrogie ślepie. Kiv pochylił się, kompani jednak złapali go za ręce i przytrzymali. - Chodźmy już, Kiv. Daj spokój. Tyorl tylko się uśmiechnął.

Rosły mężczyzna dźwignął się, kopniakiem odrzucił krzesło i wyszedł. Hauk zdjął dłoń z rękojeści miecza i ruszył przez izbę, by odzyskać swój sztylet.

W izbie znów rozlegał się zwykły gwar, raz głośniejszy, a raz cichszy. Tyorl oparł się plecami o ścianę. Nie mógł doczekać się chwili, w której opuszczą Long Ridge.

Tępy odór rozlanego piwa mieszał się z kwaśnym smrodem nie pranych ścierek. Skulona za szynkasem Kelida zacisnęła zęby i przełknęła ślinę. Zamknęła oczy i ponownie ujrzała blask ognia na ostrzu mknącego do niej sztyletu.

Usłyszała jęk i rozpoznała głos jako swój własny. Niewiele brakowało, a ten drań byłby ją zabił! Gwar głosów we wspólnej izbie wracał już do normy. Tenny, barman i właściciel, wyszczekiwał już rozkazy posługaczowi. Z beczulki przy drzwiach do kufla lało się piwo.

Pracowała w tawernie od dwóch tygodni, pierwszą jednak rzeczą, jakiej się tu nauczyła, było trzymanie się z dala od lecących sztyletów. Tenny przepadał za tą rozrywką i nie miał nic przeciwko temu, iż celem była ściana jego własnego szynku. Teraz zaś okazało się, że nie sprzeciwia się również, gdy rzucają w jego służącą.

Dziewczyna powoli przychodziła do siebie. Ktoś posadził ją na krześle i chlusnął jej w twarz wodą. Potem usłyszała kroki. Odwróciła się. Młody człowiek, który tak lubi rzucać sztyletami.

Jego nóż spoczywał jednak w pochwie. Nieznajomy obie dłonie trzymał z dala od rękojeści. Mimo opalenizny widać było, że jego twarz jest szara z niepokoju. Kelida przekonała się też, że młodzieniec oddycha ciężko, jak po wielkim wysiłku.

- Przykro mi - zabrzmiał głęboki głos, który lekko się załamał, zdradzając wzruszenie nieznajomego. - Ryzykowaliście moje życie! - sarknęła Kelida oskarżycielsko. - Wiem. - Nieznajomy skinął głową.

Gdy wyciągnął ku niej wielką, szorstką od odcisków dłoń, dziewczyna zachnęła się. Przypominał jej niedźwiedzia, tak był krępy i barczysty. Podobieństwa dopełniała czarna broda. W odróżnieniu jednak od niedźwiedzia miał błękitne oczy.

Dziewczyna wbiła weń baczne spojrzenie, zdawszy sobie nagle sprawę z faktu, iż nieznajomy zastawia jej drogę do drzwi do biesiadnej izby. Mężczyzna zobaczył złość w jej twarzy i pospiesznie odstąpił w bok, by nie blokować przejścia do drzwi. - Przykro mi - zaczął ponownie. - Zostawcie mnie! - Kelida wstała i ruszyła ku drzwiom.

- Już po wszystkim - powiedział nieznajomy. Uśmiechnął się, jakby drwił z samego siebie. - Żałowałem już w chwili, gdy sztylet znalazł się w powietrzu. Kelida, niewiele myśląc, odwróciła się

ku niemu i zacisnęła pięści. -

Czy byłoby wam bardziej żal, gdybym padła trupem? - Wiedziałem, że nie chybię... - Nieznajomy nawet nie drgnął.

- Ryzykowałeś moje życie! - I nagle w dziewczynie zapłonęła cała skrywana dotąd wściekłość i furia. Skoczyła na nieznajomego kopiąc go i drapiąc jednocześnie. Wbiła paznokcie w jego twarz. Złapał ją, oczywiście, za nadgarstki tymi swoimi wielkimi łapami, przedtem jednak Kelida ujrzała na jego gębie, nad brodą, krwawe ślady. Nieznajomy jedną ręką odsunął jej dłonie od swej twarzy. Dziewczyna plunęła mu w oczy.

Otarł twarz grzbietem wolnej dłoni i wyciągnął miecz. Kelida spokojnie spojrzała w jego niebieskie oczy. Nieznajomy natychmiast się powstrzymał i puścił jej dłonie.

- Przepraszam. Rzeczywiście igrałem z twoim życiem. - Położył miecz na otwartych dłoniach i podał dziewczynie, dając go jej w darze. Szafiry na rękojeści zaśniły odbiciami mizernego światła spiżarni i rozbłysły jak wieczorne gwiazdy. Purpurowa smuga w zboczcu głowni zapłonęła jak serce oręża. Kelida cofnęła się, nie pojmując znaczenia gestu nieznajomego. - Bierz, jest twój. - Ja... nie... Nie chcę.

- Należy do mnie i mogę dać go, komu zechcę. - Uśmiechnął się zachęcająco. - Dlatego postawiłem go dziś w zakład. Należy teraz do ciebie, ty poniosłaś największe ryzyko. - Jesteście... pijani...

- Pijany... nie, no... może lekko podchmielony. - Nieznajomy nieznacznie przechylił głowę na bok. - Zresztą, pijany czy trzeźwy, daję ci ten miecz i już.

Kelida nie wykonała żadnego ruchu, wskazującego na to, że ma zamiar przyjąć oręż. Nieznajomy położył go więc u jej stóp, następnie odpiął od pasa zwykłą, skórzaną pochwę i złożył ją obok miecza. Potem, bez jednego więcej słowa, odwrócił się i wyszedł.

Kelida długo wpatrywała się w bogactwo klejnotów, złota i stali. Potem bardzo ostrożnie - jakby oręż był niebezpiecznym wężem, nie zaś zimną stalą - okrążyła broń i wróciła do śmierdzącej piwem i dymem izby.

Młody człowiek właśnie wychodził. Jego towarzysz, elf, czekał oparty swobodnie o ścianę. Podniósł wzrok znad kufła, przyjrzał się uważnie dziewczynie i uniósł naczynie w milczącym toaście. Kelida umknęła wzrokiem w bok.

Siedzący przy sąsiednim stole mieszczanie podnieśli się, by wyjść. Stół jednak nie pozostał wolny zbyt długo. Zajął go czarnobrody krasnolud.

Przybysz cisnął na ziemię sakwę podrózną, zdjął z pleców starą, skórzaną pochwę i położył ją obok siebie tuż pod ręką. Potem kiwnął dłonią, prosząc o piwo, i Kelida zajęła się zwykłą dla siebie pracą.

Jednooki krasnolud, czający się na zewnątrz gospody, nie miał żadnej pozycji społecznej, co gorsza zaś, nie należał do żadnego klanu. Theiwarowie byli przede wszystkim krasnoludami z Thorbardinu i taki wyrzutek z klanu znaczył dla nich mniej niż zmarły za życia. Bezklanowiec był stworem, którego się ignorowało, na którego nawet się nie patrzyło, jakby w ogóle nie istniał. Żaden z ludzi Realgara nie wyrzekł doń jednego zbędnego słowa. Gdyby sprawy biegły zwykłym torem, ktoś taki jak bezklanowiec nie miałby w ogóle prawa do istnienia. Nikt nie wiedział, czym bezklanowy opryszek zasłużył sobie na swój los, choć wielu usiłowało to odgadnąć.

Niektórzy utrzymywali, że śmiertelnie obraził kiedyś thana. Inni twierdzili, że wbrew woli thana podjął pewne działania na własną rękę. Jakikolwiek był powód, Realgar nie zamierzał go zdradzić.

W żyłach jednookiego płynęła krew magów i choć sam nie był w pełni wyćwiczonym magiem, okazywał się dość zręczny w używaniu pomniejszych zaklęć, często więc działał jako oczy i głos

Realgara. Than patrzył więc jego oczami i mówił przez jego usta. Jednooki nazywał się Agus. Pomiędzy Theiwarami znany był jako Szary Herold. Szeptano, że Szary Herold może poderżnąć człękowi gardło, uśmiechając się do ofiary.

Agus czekał teraz na Hauka w mrocznej uliczce pomiędzy szynkiem i stajnią. Zaśmiecona uliczka kończyła się przy wybiegu stajni, tuż obok kuźni. Czekał tam kompan Szarego Herolda, Rhuel.

Po drugiej stronie uliczki chwiejnym krokiem zmierzali do koszar dwaj żołdacy smoczej armii, z oddziałów rekrutowanych spośród ludzi. Pijacy, pomyślał Szary Herold, nie będą mi przeszkadzać.

Ze stajni rozległ się łomot - jakiś niecierpliwy koń rąbnął nogą w ścianę boksu. Krasnolud poczuł w plecach wstrząs uderzenia. Stajenny zaklął, koń zaś zarżał wysokim głosem.

Drzwi tawerny otworzyły się. Uliczka rozjaśniła się na chwilę i wypełniła gwarem głosów klienteli z karczmy. Wszystko szybko urwało się wraz z zamknięciem drzwi. Szary Herold odepchnął się od ściany stajni i ujął w dłoń sztylet. Usłyszał głuchy odgłos wolno zbliżających się doń kroków. W głębi uliczki zajął już swe stanowisko Rhuel.

Szary Herold zaczerpnął tchu i ostrożnie wyjrzał na uliczkę. Od tawerny nadchodził Hauk pogrążony w myślach i z pochyloną głową. Za chwilę miał minąć uliczkę. Szary Herold uśmiechnął się i wykonał szybki

gest prawą ręką. W cieniu uliczki rozeszło się tchnienie magii.

Hauk zatrzymał się przy skrzyżowaniu i nadstawił ucha, wydało mu się bowiem, że ktoś zawołał go z mroku. Popatrzył w tamtą stronę, nie zobaczył jednak nikogo. Uliczka była pusta. Słyszał jedynie przytłumione śmiechy i gwar z tawerny. Herold ponownie poruszył dłonią, tym razem wykonując bardziej zawiły gest.

Hauk wierzył, że nadal idzie swoją drogą - w rzeczywistości jednak skręcił w uliczkę, gdzie stał szary Herold - wchodząc wprost w zakłęcie snu. Jednooki krasnolud wątpił, czy Hauk kiedykolwiek przypomni sobie powolny upadek, który zakończył z twarzą w ulicznym błocku.

Kelida odwróciła ostatni taboret i cisnęła szmatę do zmywania podłogi do drewnianego cebra pełnego brudnej wody. W tawernie zapanowała cisza, zakłócana jedynie łomotem naczyń dochodzącym z kuchni oraz narzekaniami i przekleństwami Tenny'ego, który wynosił na ulicę puste baryłki po piwie. Dziewczyna grzbietem dłoni odsunęła z czoła kosmyki niesfornych włosów, które wysunęły się z warkoczy. Piekły ją stopy, bolały ramiona od dźwigania tacy z kuflami; była dziś bardziej zmęczona niż kiedykolwiek przedtem. Nawet podczas żniw, gdy trzeba było zebrać z pól zboże i owies, siano zaś i słomę ułożyć w stogi, nie bywała tak zmęczona jak dziś.

Nagły skurcz ścisnął jej gardło. Spod powiek Kelidy wymknęło się kilka łez. Tego roku nie będzie żniw, w następnym też nie należy się ich spodziewać. W przyływie humoru zabarwionego goryczą ktoś powiedział, że na pola spadła zaraza. Smocza zaraza.

Nie, pomyślała Kelida, smok był przecież tylko jeden, ale wystarczył, by wszystko spustoszyć. Długo jeszcze będą dręczyły ją koszarne wspomnienia nocy, podczas której czerwony smok napadł na dolinę.

Odwróciła się, słysząc dźwięk otwieranych drzwi. Jakiś zapóźniony pijanica, pomyślała i spojrzała, by zobaczyć, kto przyszedł. Drzwi zamykał za sobą elf, którego przyjaciel ryzykował jej życie w wariackim zakładzie. Kelida nachyliła się, by podnieść ceber, ale elf podszedł szybko i wyjął jej z dłoni kabłak. - Proszę, pozwól mi - powiedział. - Gdzie to postawić?

Kelida kiwnęła dłonią w stronę szynkwasy. - Dziękuję. - Przeszła na drugą stronę, by dokończyć ścierania podłogi.

Elf postawił ceber obok drzwi kuchennych i wrócił do izby. Oparłszy łokcie o szynkwasy, w milczeniu obserwował pracę Kelidy. - Bar jest już zamknięty - powiedziała nie podnosząc oczu. -

Ależ wiem. Nie szukam napitku. Rozglądałam się za Haukiem. - - Za kim?

- Za Haukiem. - Tyorl uśmiechnął się i wykonał gest naśladujący rzut sztyletem. - Spotkałaś go, panienko, niedawno. Widziałaś, gdzie poszedł? - Nie. - Kelida zaciekle wycierała lepką plamę po winie.

- Wyglądasz tak, jakbyś nie zmartwiła się zbytnio, gdybyście nigdy już nie mieli się spotkać.

Dopiero wtedy nań spojrzała. Oczy przybysza, skośne i błękitne, błyskały iskierkami rozbawienia. Przyjaciel krępego i barczystego miotacza noży był wysoki i szczupły. Hauk poruszał się ciężko jak niedźwiedź. Elf miał ruchy płynne jak jeleń. Kelida nie potrafiłaby ocenić jego wieku. Mógł być zarówno młody, jak i stary. Nie da się tego orzec, gdy ktoś spotyka elfa po raz pierwszy. - Tyorl - rzekł przybysz, jakby właśnie spytała o jego imię.

Kelida kiwnęła głową. - Nie widziałam waszego przyjaciela od... no, od chwili, w której opuścił karczmę. - Nie wrócił po miecz? - Podarował mi go.

- A, prawda. - Tyorl wzruszył ramionami. - Przeprosiny Hauka, szczególnie wtedy, gdy ma w czubie, bywają nieco przesadzone.

Kelida obdarzyła go szybkim spojrzeniem. Pomyślała, że miecz, który sama uznała za piękny i kosztowny, pochodzi raczej z kufra jakiegoś możnego elfa.

- Czy należał do was? On powiedział, że jest jego... i może nim dysponować wedle swojej woli. Ale jeśli...

- Ależ tak, należy do niego. Panienko, on jest szermierzem, ja łucznikiem. W razie potrzeby, wystarczy mi mój sztylet. - Tyorl uśmiechnął się. - To ja nauczyłem go rzucania noży i ciągle jeszcze jestem od niego lepszy. To mi wystarczy.

- Za ten miecz można by kupić połowę miasta. - Kelida uśmiechnęła się wbrew samej sobie.

- Całe to miasto... i jeszcze dwa takie dla dobrej miary. Hauk na pewno nie wrócił?

- Nie. Ja... ja mam ten miecz. - Zostawiła oręż w spiżarni, przedtem jednak owinęła go w stare worki po mące i schowała za dwoma amforami wina. Wino należało do najlepszych, jakie Tenny miał na składzie i tylko on miał do nich dostęp. Dziś nie miał powodu, by tam zaglądać. Przez cały wieczór rozmyślała o mieczu i bogactwie, zawartym w szafirach i złocie. Może udałoby się sprzedać oręż i wy dostać się z Long Ridge, choć nie bardzo wiedziała, dokąd się udać.

- - Mam go przynieść?

- Panienko, chcesz mi go oddać, ot tak, po prostu? - Elf zmarszczył brwi. - A co mam z nim zrobić? - Sprzedaj go. - I co potem? - Kelida potrząsnęła głową. - Nie wiem. Opuść to miejsce.

- Nie mam dokąd pójść. Moja rodzina... wszyscy nie żyją. Nikt przecież nie podróżuje samotnie, szczególnie wtedy, gdy ma ze sobą coś wartego kradzieży. - Spojrzała bacznie na elfa. - To zresztą miecz twojego przyjaciela. Dlaczego chcesz, bym go sprzedała?

- Nie chcę, byś go sprzedawała, panienko. Dziwię się po prostu, że ty sama nie zamierzasz go sprzedać. To zresztą dobrze. Wcześniej czy później, on wróci po ten miecz.

- Powiedziałaś, że mi go dał. - Kelida ponownie zajęła się wycieraniem szynkwasu.

- No cóż... - Tyorl skinął głową. - Masz prawo do zemsty na naszym przyjacielu Hauku. - Uśmiechnął się i odepchnął od lady. - Nie oddawaj go zbyt tanio. Niech Hauk się trochę pomęczy, zgoda?

Kelida w milczeniu obserwowała, jak Tyorl wychodzi z izby i idzie do pokoi mieszkalnych znajdujących się na piętrze. Potem wyjęła miecz ze schowka i zaniósła brudny tobołek do jej własnego, chłodnego i pełnego przeciągów pokoiku na poddaszu.

W pokoiku śmierdziało zapachami ze stajni, która znajdowała się na dole, i cierpkimi wyziewami z zadymionej karczmy, do których Kelida niemal przywykła. To pomieszczenie kosztowało ją dwie

trzecie zarobku. Po opłaceniu posiłków zostawało jej kilka ńędznych miedziaków.

Przysiadła na stercie słomy pokrytej kilkoma grubo tkanymi, wełnianymi kocami, które służyły jej za łoże. Rozwinęła worki, wysunęła miecz z prostej, niczym nie ozdobionej, skórzanej pochwy i obserwowała grę światel gwiazd na złocie, srebrze, szafirach i stali.

I pomyśleć, że całe to bogactwo Hauk postawił na jeden rzut! Był szalony czy tylko się upił? Jego odzież, skórzany rynsztunek i wysokie, miękkie buty kazały jej myśleć o nim jak o leśnym łowcy i tropicielu.

Jego głos zaś zdradził jej, że młody człowiek przywykł do wydawania okrzyków tryumfu i rzucania wyzwania. Niełatwo przyszło mu wyrzec słowa przeprosin. Nieoczekiwanie dla samej siebie odkryła, iż nie może doczekać się ranka, kiedy Hauk wróci po miecz. Potem przypomniała sobie, że przecież jest nań wściekła. Niech się

trochę pomęczy, powiedział jej elf. O, tak, przynajmniej to jej się należało.

Rozdział piąty

Przemarsz ośmiuset ludzi znaczyły pasma krwi na kamieniach. Uciekinierzy rozciągnęli się w długą linię potykających się, chwiejących i padających ze zmęczenia ludzi. Niektórzy sami wstawali i dołączali do reszty. Inni leżeli, gryząc czerwony pył, i drżeli z zimna, dopóki ktoś nie

podszedł i nie dźwignął ich. W takim razie dziękowali, o ile starczyło im tchu w piersiach. Jeśli nikt nie kwapił się z pomocą, wstawali w końcu sami. Chyba, że byli martwi.

Za mężczyznami podążały kobiety z dziećmi na ręku i oseskami przy piersi. Nieustannie głodne myszkowały wzrokiem po okolicy, szukając czegokolwiek, co nadawałoby się do zjedzenia. Równiny jednak były jałowe. Nie rosło tu nic jadalnego, zwierzyna zaś dawno uciekła przed zbliżającą się armią zbiegów. Głód. Nieustannie dręczył ich głód.

Pojawił się przed nimi łańcuch wzgórz, które pokonali, kalecząc stopy, potem ujrzeni przed sobą następny łańcuch pagórków. Było to Krwawe Pogórze, czerwone jak jego nazwa, bezlitosne grzbiety, gdzie królowały zimne głązy i duszący dech pył. Woda miała tu kwaśny, paskudny smak. Nikt nie zatrzymał się, by napełnić bukłaki. Nikt nie został z tyłu, by ugasić pragnienie równie doskwierające uciekinierom jak głód.

Niewielu z nich zastanawiało się, czy Thorbardin stanie się dla nich miejscem schronienia. Niewielu w ogóle miało siłę myśleć, nikt zaś nie zastanawiał się, co zrobią, jeśli krasnoludy odmówią im pomocy.

Zmusimy ich, by nas wysłuchali, myślał Tanis. Jesteśmy przecież ludźmi, którzy nie mają dokąd się udać.

- Wstrzymajcie się! Dość tego! - Okrzyk Gneissa o zachowanie jako takiego porządku obrad przerwał tyradę Rance'a, jak błyskawica przecina mroki letniej nocy. Ściany Wielkiej Hali ozdobiono kobiercami, zręcznie utkanymi lśniącymi, barwnymi nićmi, przedstawiającymi dramatyczne sceny z historii krasnoludów. Koberce jednak nie stłumiły ryku Gneissa. Gneiss usiłował zapomnieć o bólu głowy, który rozłupywał mu czaszkę niemal na dwoje.

Koberce nigdy nie tłumili ryków i wrzasków kłótni, rozstrzyganych podczas Rady Thanów. Gneiss nie widział powodu, dlaczego teraz miałyby się to stać.

Płomienie kutych w srebrze kaganków migotały, jakby zbierało się na burzę. Po rzędach kolumn podtrzymujących sklepienie przebiegały cienie, które kryły się wśród mroków żebrowań pułapu. Sześciu krasnoludów zasiadających w Radzie Thanów pograżyło się w milczeniu.

Na tę chwilę czekał cierpliwie Hornfel, Hylar z krwi dawnych królów. Realgar, mający duszę równie mroczną jak spojrzenie, kryjący się za licznymi morderstwami mag derro, obserwował Gneissa, jak wąż patrzy na swą ofiarę. Jego sprzymierzeniec i poplecznik, Rance, krasnolud o

gwałtownym temperamentem, skłonny do zaciemniających zdolność

rozumowania wybuchów dzikiej furii, siedział sztywno, czekając nie na możliwość wtrącenia kilku kolejnych uwag, ale na uśmierzenie swego gniewu tak, by mógł kontynuować poprzednią tyradę. Tufa schował palce w radej brodzie w taki sposób, by nikogo nie urazić i nikogo nie poprzeć. Nie mógł się doczekać końca obrad. Przedstawiciel źlebowców, Bluph, zamknął po prostu oczy i chrapał błogo, nie dając się obudzić ni wybuchom furii Rance'a, ni rykiem wzywającego o ciszę Gneissa.

Rance, than Daergaru, zacisnął pięści i szczęki. Nie dał się tak łatwo uciszyć.

- Na kuźnię Reorxa, dość tego! Osiemset? - Jego głos nagle ucichł, co nie wróżyło nic dobrego. - Powiadam: nie! Czy mamy przyjmować radośnie każdego włóczykija i żebraka, którego przytniecie do naszych bram? Nie! - W jego głosie zabrzmiała nie skrywana drwina. - Następnym razem poprosisz nas, byśmy wysłali zaproszenia krasnoludom ze wzgórz!

Wszystkie spojrzenia powędrowały ku Gneissowi, dotąd zachowującemu milczenie. Ten nawet się nie uśmiechnął, choć mógłby to uczynić. Dumny był ze swego opanowania. Spojrzał na Tufę, thana Klarów, i przywódcę jedyne go klanu krasnoludów ze wzgórz, które żyły w Thorbardinie. Bezczelna, arogancka uwaga Rance'a wywołała zamierzony skutek. Orzechowe oczy Tufy, w zwykłych okolicznościach spokojne i łagodne, nagle załśniły gniewem.

Oto jeden, pomyślał Gneiss, gotów już do opowiedzenia się za Hornfelem.

Pojął to również Hornfel i uśmiechnął się do siebie. Dobra nasza, pomyślał Gneiss, ale ukryj uśmiech w brodzie, mój druhu. Tufa jest twój.

Gneiss westchnął i zabębnił palcami po marmurowym podłokietniku swego tronu. Bluph z Agaru też poprze Hornfela. Zawsze to robił, o ile nie zasypiał. Żlebowiec był dość żalonym stworem i niemal całkowicie bezużytecznym w każdym sporze. Gneiss nie sądził jednak, by Hornfel chciałby odrzucić nawet najmniejsze poparcie w sprawie udzielenia azylu czekającym Na Zewnątrz uciekinierom. Choćby to było poparcie źlebowca.

W tej chwili zresztą Bluph pochrapywał głośno, oparłszy głowę o kamienny tron. Spał jak dziecię podczas trwania zwołanej niespodziewanie narady, przespał nawet najbardziej dramatyczne i gromkie ryki Rance'a.

Gneiss natomiast nie był pewien, jakie jest jego własne stanowisko w sprawie przyznania azylu ośmiuset uciekinierom. Podobnie jak Rance'owi, niemiła mu była myśl o ośmiuset ludziach pałętających się po salach

Thorbardinu. Nie był jednak w najmniejszym stopniu zaskoczony, gdy potraktował ich przyjaźnie Hornfel. Od trzech w końcu lat trzymał przy sobie tego gadatliwego, żółtowołosego maga. Gdzież podział się ten dziwak, Fujara?

Realgar oparł się o podłokietnik tronu, robiąc znużoną minę dorosłego, zmuszonego do nieustannego wysłuchiwanie sporów dziecięcych. O tron Theiwaru oparte było kilka zwojów pergaminu, miecz, który Realgar zawsze zabierał ze sobą na posiedzenia Rady (niektórzy szeptali, że nie był to oręż jedynie ceremonialny), i jego lekka opończa. Gneiss wzdrygnął się ujrzawszy, iż Realgar poczuł na sobie jego wzrok i spojrzał na niego z uśmiechem.

Był to zimny uśmiech węża, który rozwiera paszczę, ogrzawszy się na słońcu.

Złapany w sidła wężowego spojrzenia, Gneiss nie odwrócił jednak oczu. Wzdrygnął się tylko na myśl, iż Realgar potrafiłby podsłuchać jego wewnętrzne rozważania. W płaskich, czarnych oczach maga derro czyhała mroczna magia i mroczniejsze od niej pasje i uczucia. Zdradzały jedynie żywą satysfakcję kogoś, kto starannie planuje pułapkę, o której wie, że nie może go zawieść.

Co knuje Realgar? Serce Gneissa przeszła zimna igiełka strachu i zmusił się, by spojrzeć w bok. Nie było sekretem, że Realgar rywalizował z Hornfelem. W dzisiejszych czasach nie było nikogo,

komu prawnie należałby się tron Wielkiego Króla. I pewnie nikogo takiego już nie będzie. Pojawiły się jednak pogłoski, że jeden z płatnerzy zdołał wykuć Królewski Miecz, że miał go oddać Hylarowi i że w sporze o ten miecz połała się już krew.

Gneiss nie dawał tym pogłoskom większej wiary niż pomysłowi, że któregoś dnia ktoś mógłby odnaleźć Młot Kharasa, ale... Jeśli pogłoski te okazałyby się jednak prawdziwe, Hornfel mógłby rościć pretensje do tytułu królewskiego regenta. Tego zaś Realgar nigdy by nie ścierpiał. Żądza władzy zakorzeniła się na samym dnie jego posępnej duszy.

Hornfelu, Hornfelu... pomyślał Gneiss. Nie wiem, czy masz Królewski Miecz. Wiem jednak, że powinieneś bacznie śledzić wyraz oczu jednego z nas. Któregoś dnia może wyczytasz w nich, ile pozostało ci jeszcze życia.

Pochylił się. - Powiem tylko tyle: Obie strony przytoczyły ważne argumenty, które należy jeszcze raz rozważyć. Owszem, ta wojna nas nie dotyczy. Nie my ją wywołaliśmy, nie my będziemy w niej walczyć. Elfy i ludzie sami muszą uporać się z tym, co ściągnęli na swoje głowy. - Rance otworzył usta, by coś powiedzieć. Powstrzymało go lodowate spojrzenie

Gneissa, który niewzruszenie ciągnął dalej: - Rację jednak ma też Hylar. Możemy ignorować wojnę, nasza obojętność jednak jej nie unicestwi. I czy chcemy, czy nie, zbliża się ona do naszych wrót.

- Zwiadowcy donoszą nam, że zbiegowie dopiero niedawno opuścili Pax Tharkas. Jest ich ośmiuset, osłabionych i wynędzniałych ludzi. Na razie jeszcze nie dobijają się do naszych wrót. Odłóżmy więc problem na jakiś czas. Niech wszyscy przemyślą go ponownie. Niechże będzie to również czas, w którym zaczniemy zastanawiać się, jak będziemy bronić Thorbardinu, kiedy przekroczywszy Równiny Śmierci u Wrót staną smocze armie, nie obdarci i wynędzniali uciekinierzy.

Hornfel, który milczał dotąd, spojrzał na Gneissa. Gneiss mógłby powiedzieć więcej, wołał jednak zostawić to Hornfelowi.

- Daewar ma rację. - Jego głos był spokojny i miarowy. Mamy czas. Czas ten jednak jest odmierzany odgłosem kroków zbliżających się do Thorbardinu. Pomyślcie o tym, przyjaciele, i zróbcie z głów dobry użytek. Czy nam się to podoba, czy nie, wkrótce będziemy potrzebowali sprzymierzeńców. Pa Tharkas nie padła pod naporem wroga. Nadal jest tam potężna załoga smoczej armii. Verminaard nadal żyje. Niewolnicy, których trzymał w naszych dawnych kopalniach, zostali uwolnieni, nie przez armię zdobywców jednak. Jeśli meldunki naszych zwiadowców są prawdziwe, tych ośmiuset ludzi uwolniła grupka dziewięciu śmiałków. Uciekinierzy nie dbają o to, czy nam się to podoba, czy nie, i zmierzają prosto do Thorbardinu. - Oczy Hornfela zwięzły się. W splotach jego brązowej brody zaślniły odblaski płomieni kaganków. - Nie łudźcie się zaś... Verminaard wie o tym doskonale!

- Właśnie! - warknął Rance. - Nie wątpię, że on o tym wie. Po cóż więc chcesz ich tu wpuścić?

- Rance, jesteśmy krasnoludami z Thorbardinu i zawsze sami dokonywaliśmy wyborów. - Odpowiedź Hylara była nieustępliwa jak głaz i zimna jak lód. - Verminaard nie będzie nam dyktował, gdzie, komu i kiedy ofiarujemy swą gościnność. - Podniósł się nieoczekiwanie i kiwnięciem dłoni wskazał na chrapiącego Blupha. - Późno już, my zaś jesteśmy zmęczeni. Spotkajmy się jutro.

Gneiss patrzył, jak Hornfel opuszcza Salę Rady. Do tradycyjnych przywilejów thana Hylaru należało otwieranie i zamykanie posiedzeń.

Rzadko korzystał z tego prawa, pomyślał Gneiss drwiąco, kiedy jednak to czynił, było to wyjście z brawkiem. Daewar potarł nasadę dłoni widząc, że Rance i Realgar wymieniają porozumiewawcze

spojrzenia. W mrocznych korytarzach, rozciągających się pod terenami cieplarni,

Realgar poruszał się bez trudu. Nie używał pochodni, nie potrzebował jej. Był Theiwarem, ci zaś nie tylko przywykli do mroku, ale go wręcz potrzebowali. W absolutnych ciemnościach korytarzy przewodnikiem Realgara była jego doskonale rozwinięta zdolność widzenia w nocy. Szeroko rozwarte źrenice maga sięgały teraz krańców brązowych tęczęwek. W głębi jego oczu odbijało się nikle, czerwone lśnienie kamienia, od którego mag wziął swe imię. Każdy, kto zajrzyłby teraz w te oczy, ujrzałby w nich bezdenne morze płomieni.

Choć poświęcił na to cały dzień, Hornfel jeszcze nie pozyskał sobie głosów wszystkich członków Rady Thanów. Był jednak tego bliski. Zręcznym posunięciem było - jak poniewczasie kwaśno stwierdził Realgar - odwołanie się do świętej tradycji krasnoludzkiej gościnności. To posunięcie mogło okazać się skuteczne. Niewielu - o ile w ogóle znalazłby się taki - członków rady skłonnych było udzielić gościny ośmiuset ludziom. Żaden jednak nie zgodziłby się z tym, by kwestionowano ich prawo do takiego właśnie uczynku.

Im głębiej zanurzał się w serce góry pod Thorbardinem, tym mroczniejsze stawały się jego myśli, odzwierciedlające otaczające go ciemności.

Doskonałym mówcą jest ten Hylar, który sięga po władzę regenta. Gdyby dać mu dość czasu, zdołałby pewnie przekonać Gneissa, by ten głosował wspólnie z innymi bałwanami, którzy otworzyliby Bramy Thorbardinu obdartym hordom ludzi, uciekającym przed wojną, którą sami rozpętali.

Realgar zacisnął pięści. W zawierusze sporu i sprzeciwów Rance'a, Theiwar poczuł, zimny niczym cień na śniegu, kontakt z umysłem Szarego Herolda. Ujrzał mianowicie Agusa, opartego o zbryzganą błotem ścianę stajni w zalanej deszczem uliczce Long Ridge. Znaleźli tropiciela. Nie odnaleźli miecza.

Wściekłość Rance'a była marudzeniem niemowlęcia w porównaniu z tym, co wówczas poczuł Realgar. Żaden z pozostałych członków Rady nie zorientował się jednak, co dzieje się w duszy maga. Nawet Gneiss, który tak uporczywie się weń wpatrywał. Szary Herold usłyszał jednak przekleństwa Theiwara.

Już wcześniej wytropili banitę posiadającego Królewski Miecz. Kiedy zastawiali zmyślną pułapkę, młody zwiadowca powinien był mieć oręż przy sobie. Teraz zaś nie wiedzieli, gdzie go szukać. Realgar prychnął pogardliwie. Zabrać miecz musiał ten drugi, elf! Kto jeszcze... Kya-Czerwony Topór był martwy. Głupawy mag Hornfela i stuknięty czeladnik

Isarna byli w pobliżu miasteczka, nie wiedzieli jednak jeszcze nic o Hauku i Ostrzu Burzy. Mieli zresztą dość kłopotów, usiłując wymknąć się Brekowi i jego siepaczom. Trzeba jednak upewnić się, czy człowiek nie ucieknie, i posłać kogoś śladem elfa.

- Przeprowadźcie do mnie tropiciela - polecił Agusowi, uśmiechając się jednocześnie do Gneissa. - Za godzinę będę wiedział, kto ma miecz.

W tej samej chwili Szary Herold położył dłonie na głowie Hauka i wypowiedział zaklęcie przenoszenia. I oto Rhuel i Agus - wspólnie z młodym zwiadowcą - czekali już w głębinach Thorbardinu.

Tunel, którym podążał Realgar, rozszerzył się nagle, ukazując rozległą kryptę. Wchodząc do okrągłej pieczary, Realgar wyszczerzył zęby w bezgłośnym uśmiechu. Miejsce było mroczne, szorstkie ściany ociekały wilgocią. Realgar przeszedł przez wygładzoną z grubsza podłogę jaskini i stanął nad nieprzytomnym więźniem.

Hauk poruszył się. Theiwar uśmiechnął się i skinieniem dłoni odesłał strażników.

Rozdział szósty

W uliczce, przy której niegdyś stały najbogatsze sklepy i kramy w Long Ridge, stary kender skulił

się, chroniąc się przed podmuchem zimnego, nocnego wiatru, i przysunął bliżej twarz do zamkniętego zamka. Uliczkę wypełniał zapach spalenizny, kender kichnął więc kilka razy. Ten sklep należał do nielicznych, które zostawili w spokoju rabusie. Zostawił go w spokoju nawet smok oraz łupiące wszystko żołdactwo nie wyważyło drzwi - kender miał zaś sporo zajęcia z nieustępliwym zamkiem.

Lavim Springtoe absolutnie nie pogodziłby się z myślą, że robi się już za stary, by uporać się nawet z tak prostym zamkiem. Liczył sobie sześćdziesiąt wiosen i wedle jego opinii nie czuł wcale ciężaru wieku. Cóż, Lavim, jak każdy z kenderów, wiedział doskonale, że wujcio Trapspringer miał dobrze po siedemdziesiątce, zanim wreszcie przyznał, że nie jest już młodzikiem.

Szczerze mówiąc, powiadano, że wujcio Trapspringer dożył sędziwego wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat, gdy przyłapał go wreszcie duch potwora z Bagien Rigara. Jeśli chodzi o ten wątek opowieści, Lavim nie był pewien, czy jakikolwiek duch przyłapał wujaszka Trapspringera. Ta wątpliwa informacja pochodziła od cioteczki Evalii, wszyscy zaś

członkowie rodziny wiedzieli, że ciotunia Evalia nie potrafi sensownie przekazać jakiegokolwiek wiadomości. Lavim słyszał również - od kuzyna swej ciotki, osoby więc bardziej wiarygodnej, bo spokrewnionej z wujaszkiem Trapspringerem przez kuzynkę drugiego stopnia - że to wujaszek przydusił łapę potworowi na Bagnach Rigara. Była to z pewnością ciekawsza historia.

Nieco przygarbiony i białowłosy kender ponownie obejrzał się za siebie, badając uliczkę, przez chwilę nasłuchiwał uważnie, czy nikt nie nadchodzi, potem zaś ponownie zajął się tylnym wejściem do sklepu.

Oczy dopisywały mu jak dawniej, teraz widział nieco gorzej z powodu sadzy i dymu, które stały się stałymi elementami powietrza w Long Ridge. Jeśli nawet drżały mu dłonie, Lavim wiedział, że przyczyną nie jest jego wiek, a dręczący go głód. Ponieważ miejsce, do którego tak desperacko pragnął się dostać, było sklepem piekarniczym, Lavim żywił nadzieję, że wewnątrz znajdzie coś do jedzenia - oczywiście, to „coś” miało być nikomu nieprzydatne. Podjadłszy sobie, zamierzał nawet naprawić zamek, by powetować szkodę właścicielowi.

Odchylił do tyłu głowę, przekładając przez ramię długi, biały warkocz, i ponownie zajął się robotą. Tak się skupił, że na twarzy jeszcze wyraźniej zaznaczyły się mu wszystkie rzeźbione wiekiem bruzdy. Pochylił się nieco, nie po to, by przysunąć do zamka bystre ucho i lepiej słyszeć trzask zapadek, ale by... łatwiej zachować równowagę.

Powiadają, że oko kendera znajduje się zawsze na wysokości dziurki od klucza dla tego samego powodu, dla jakiego chomik ma pod policzkami dodatkowy zbiorniczek na ziarno. Przekręcenie poziomej zapadki stało się przyczyną satysfakcjonującego dźwięku dźwigni. Obrót, potem drugi... i zamek stanął otworem. Wchodząc chyłkiem do sklepu, Lavim oczywiście nie dopuścił do siebie myśli, że zamek miał kogokolwiek zatrzymać na zewnątrz. Wolał myśleć o nim jako o dość szczególnym zaproszeniu do wejścia.

Na stole leżała niewielka piętka razowego chleba. Lavim wsunął ją do kieszeni, myśląc o tym, jak rad byłby piekarz, gdyby odkrył, że ktoś życzliwy uratował go od plagi myszy, które nie omieszkałyby odwiedzić to miejsce, gdyby tylko dowiedziały się, jak beztróska ludzie obchodzą się tu z żywnością. Zabierając trzy leżące na półce niewielkie ciastka z miodem, Lavim uratował piekarnię od najścia szcurów. Obronił też nieszczęsnego sklepikarza przed mrówkami, pakując do sakwy słodkie bułeczki, i wreszcie uznał nocną robotę za zakończoną, gdy ocalił piekarnię od karaluchów, wrzucając w kieszeń cztery drożdżówki.

Uradowany tym, że rano piekarz poczuje się w sklepie jako bezgranicznie szczęśliwy człowiek, Lavim wymknął się na ulicę, zamknął za sobą „naprawiony” zamek i ruszył do tawerny.

Zastanawiało go, czy w karczmie mają jeszcze krasnoludzki spirytus. Zajmujący obecnie miasto

okupanci - jego dziadek nazwałby ich oskubantami - zredukowali prawdopodobieństwo tej możliwości niemal do zera. Do Long Ridge rzadko docierały transporty z towarami, te zaś, które tu trafiały, szybko były rekwirowane i pożerane przez wojaków Verminaarda. Lavim był jednak osobnikiem, który nigdy nie tracił nadziei. Jego ojciec znał niewyczerpane zapasy mądrych opowiastek i większość z nich przekazał synowi. Była wśród nich taka, która głosiła, że nie da się napęłnić sakwy, nie otwierając jej wcześniej.

Pokrzepiony ojcowskim optymizmem, Lavim ruszył w stronę karczmy, pogryzając ciasteczko z miodem.

Cała ta nocna robota i spełnianie dobrych uczynków przyprawiły go o silne pragnienie, do chwili zaś, kiedy strażę okrzykną nadejście świtu, i tak pozostało jeszcze sporo czasu.

Gorąco i panująca w tawernie wrzawa zbiły Stanacha z tropu. Śmierdziało tu mokrą odzieżą i skórą, nad wszystkim zaś unosił się zastarzały smród kwaśnego wina i kiepskiego piwa. Nie były to jednak zapachy gorsze niż panujące w tych karczmach, które wespół z Kyanem odwiedzali w Thorbardinie. Uczucie zagrożenia, które opanowało Stanacha, miało źródło w tym, iż krasnolud był tu obcy. U Tenny'ego Stanach zobaczył naraz więcej ludzi, niż przedtem widział ich w całym swoim życiu. Tylko nieliczni sprawiali wrażenie, że znają się nawzajem. Stali obok siebie przy szynkwasiu, ramię w ramię, a jednak wyglądali na samotników.

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

Wrzawa ich rozmów i ciasnota sprawiały, że Stanach zaczął się zastanawiać, czy nie zabraknie im powietrza do oddychania.

Fujara powiedziała, że ludzie potrzebują więcej powietrza niż krasnoludy. Na pewno zrobiłby tę uwagę, pomyślał Stanach, przechyliwszy głowę z kpiącym uśmiechem, gdyby tu był. Krasnolud nie wiedział, gdzie teraz przebywa mag, nie wiedział nawet, czy ów jeszcze żyje.

Skrzywił się, wycierając łokciem plamę piwa z brudnego stołu. Fujara na pewno jakoś sobie poradził. Jest w końcu magiem, i to dość przebiegłym. Znalazł się - jak Stanach świetnie zdawał sobie z tego sprawę — w sytuacji łosia otoczonego przez zgraję wilków. Łoś jednak potrafi się wymknąć, zmniejszając niekiedy liczbę napastników. Krasnolud uczeplił

się tej myśli, błagając bogów, by Fujara zgubił siepaczów Realgara w lesie, jak raz już to uczynił.

Stanach dotarł do Long Ridge wczoraj o zmierzchu, gdy w plecy dał mu już chłodny wiatr. Zaczął rozglądać się za jakąś kwaterą, potem za miejscem, gdzie mógłby zaspokoić głód i pragnienie. Jedno i drugie znalazł u Tenny'ego.

Znalazł zresztą nie tylko kwaterę i posiłek. Okazało się, że Ostrze Burzy rzeczywiście jest w Long Ridge. Było przynajmniej ostatniej nocy.

Stanach pociągnął lekko lśniącą, czarną brodę. Kiedy dotarł wczoraj do tawerny, wszyscy gadali o niezwykłym zakładzie banity: miecz przeciwko sakwom trzech kompanów.

Wspaniały miecz! Rękojeść ze złota zdobionego srebrem... pięć ogromnych szafirów...

Wielka stawka, pomyślał Stanach. O, tak, wielka w istocie. Rozglądał się za mieczem i jego właścicielem, przeprowadził nawet dyskretne śledztwo, przez całą jednak noc nie natrafił nawet na ślad jednego i drugiego. Dziś również nie znalazł Ostrza Burzy. Zniknęli bez śladu miecz i leśny zwiadowca, który zostawił oręż w zakładzie.

Ktoś powiedział mu, że banita był w towarzystwie elfa. Stanach pociągnął łyk piwa i spojrzał na szynkwas. Jedyne elf, którego tu widział, wysoki i szczupły osobnik rozmawiał właśnie z rudowłosą dziewczynką roznoszącą piwo.

Stanach przyjrzał mu się uważnie. Elf miał na sobie skórzany przydziewek leśnika, włącznie z wysokimi skórzniakami na nogach. Uzbrojony był w sztylet zwisający u pasa oraz w przytroczony do pleców długi łuk i kołczan pełen strzał. Oręż nosił jak ktoś, kto potrafi się nim posługiwać. Stanach pomyślał, że osobnik ten wygląda na kogoś, kto częściej spędza noce pod gołym niebem wśród lasów niż w szynkach i zajazdach. I miał spojrzenie myśliwego lub leśnego zwiadowcy.

Barman zawołał służebną dziewczynę. Jego ryk zagłuszył na chwilę wrzawę rozmów, skrzyepy krzeseł i syk drewna na kominku. Nagle głos oberżysty zamarł w krtani. W gospodzie zapadła martwa cisza. Drzwi wejściowe rozwarły się szeroko i oberżę wypełnił ostry zapach gadziego piżma. - Givrak - szepnął ktoś, dławiąc się niemal tym imieniem.

W pierwszej chwili Stanach miał ochotę zamknąć oczy, by odciąć się od sytuacji, która poraziła strachem klientów. Gdy był dzieckiem, nachodziły go niekiedy nocne koszmary, w których panowała niemal dokładnie taka sama atmosfera strachu, jaką wniósł ze sobą Givrak. Nie zamknął jednak oczu i uważnie obserwował to, co się działo. Instykt podpowiadał mu, że na tego Givraka trzeba bardzo uważać i zawczasu przygotować sobie drogę natychmiastowej ucieczki.

Podobnie jak stwory z koszmarów Stanacha, Givrak był wzrostu człowieka, miał też szerokie bary i klatkę piersiową, nad którą znajdowała się płaska, gadzia głowa zdobna grzebieniem.

Zakończone szponami skórzaste, wielkie skrzydła stworu, teraz złożone były na plecach. Stwory z koszmarów Stanacha nie miały jednak na sobie łuskowej kolczugi, opinającej tors Givraka. Siedzący przy jednym z odleglejszych stolików, Stanach nie umiałby rzec, gdzie kończyła się kolczuga, gdzie zaś zaczynała własna łuskowata skóra stwora. Muskularne nogi smokowca nie wyglądały na przyzwyczajone do chodzenia, choć do baru doczłapał na nich Givrak dość sprawnie. Najgorsze jednak było spojrzenie jego płaskich, czarnych oczu.

W tych ślepiach nigdy nie zagościło choćby coś zbliżonego do litości czy miłosierdzia.

Smokowiec podniósł łeb. Na łuskach zbroi i jego własnych załśniły odbłaski płomyków ściennych kaganków i kominka.

Poruszał się wolno niczym gad rozwijający swe kończyny. Stanach przebywał w Long Ridge dość krótko, dwóch nocy i jednego dnia było jednak dość, by dowiedzieć się, że smokowcy mają gwałtowny charakter, zachowują się nieprzewidywalnie i rzadko kiedy odchodzą, nie zostawiwszy za sobą nieszczęsnej ofiary.

W izbie zapadła głęboka cisza. Szmatka w znieruchomiałej dłoni Tenny'ego zwisała jak mokra i brudna oznaka bezwarunkowej kapitulacji. Wszyscy mężczyźni zachowali absolutny bezruch. W powietrzu wisiał wyczuwalny niemal smród strachu. Miecz Stanacha leżał obok niego na stole. Krasnolud powoli zaczął przesuwac dłoń ku rękojeści.

Barmanka, której twarz pokryła się na policzkach piegami gorączki i kolorem przypominała teraz serwatkę, westchnęła cichutko. Dźwięk ten usłyszał Givrak i odwrócił się ku dziewczynie.

Brutalny smokowiec zwęszył strach dziewczyny. Z pozbawionej warg paszczy wysunął rozwidlony jęzor. Stanach zacisnął palce na rękojeści miecza.

Elf tymczasem, poruszając się płynnie i lekko, odsunął się od szynkwasu. Jego łuk z luźno spuszczoną cięciwą był oczywiście bezużyteczny, dłoń banity jednak zawisała tuż nad rękojeścią sztyletu. Stanach poczuł na sobie badawczy wzrok elfa, jakby ów pragnął ocenić dzielność krasnoluda. To, co zobaczył, najwyraźniej go zadowoliło.

Krasnolud spojrzał na dziewczynę. Jej szafirowe oczy rozszerzył strach.

Wtedy to właśnie do tawerny wszedł Lavim Springtoe. Kender miał na sobie jaskrawożółte, skórzane legginsy, miękkie mokasyny i czarną opończę, opadającą mu niemal do kolan. Był stary. Zaplecione w długi i gruby warkocz włosy wygi były białe. Sieć zmarszczek na jego twarzy sprawiła, że wyglądał jak postarzałe przedwcześnie dziecko o perkatym nosku. Kender natychmiast zobaczył smokowca, nie chwycił jednak za przytroczony do pleców hoopak. Zamiast tego ruszył wprost ku niemu, włożył ręce do kieszeni i spojrzał zuchwale na gębę Givraka.

- A, tu jesteś... - westchnął. - Czy wiesz, żeby cię znaleźć, przewróciłem do góry nogami całe miasto?

Choć o kenderach powiada się, iż uczucie strachu jest im obce, Stanach spostrzegł, że oddech starego wygi przyspieszył się lekko, gdy Givrak odwrócił się ku pytającemu. Choć może się tak tylko Stanachowi wydało.

Smokowiec skrzywił gębę w grymasie, co nadało jego obliczu wyraz jeszcze okropniejszy. - Szukałeś mnie, złodziejaszku?

Kender nawet nie mrugnął powieką, choć obraza była jawna i oczywista. Zamiast tego uśmiechnął się szeroko. Jego głos był miły dla ucha i zaskakująco głęboki jak na kogoś tak niewielkiego wzrostu.

- Nie inaczej... ciebie. Ktoś cię szuka i ten ktoś wysłał mnie, bym cię znalazł. - Kto taki?

- Nie mam pojęcia, kim jest. - Kender wzruszył ramionami. - Nosi czerwoną zbroję, na łeb zaś włożył wielki hełm. Wiesz, taki, co przypomina smoczą głowę. Ma Rogi i to tu, przy gębie, jak kły...

Tak więc myślę, że wygląda jak smok - hełm, znaczy się. Nie widziałem smoka, no, chyba że tego czerwonego, który lata tu codziennie. No, ale ten lata dość wysoko, nie mogłem mu się więc przyjrzeć i... - Givrak warknął. Kender westchnął, jakby dziwił się niecierpliwości i złym manierom smokowca. - Poza tym... mówił coś o przesunięciu oddziałów, Władcy Smoków czy czymś takim.

Givrak syknął. Jak wszyscy obecni z opisu rozpoznał kapitana Carvatha, dowódcę garnizonu w Long Ridge. I jeśli nawet dawałby zignorować wezwanie Carvatha, uniemożliwiła to wzmianka o Smoczym Władcy. Nikt nie wiedział, na kim czy na czym zechce wyładować swą furję Verminaard, wciąż kipiący gniewem z powodu ucieczki ośmiuset niewolników. Smokowiec syknął jeszcze raz, odwrócił się i odrzucił kopnięciem zagradzający mu drogę stół, zrzucając na podłogę kufle i talerze. Drzwi za sobą zatrzasnął z siłą zdolną do obalenia ściany.

W tawernie przez chwilę jeszcze panowała cisza. W końcu rozległ się zwykły gwar, w którym jednak pobrzmiewały nutki strachu i gniewu.

Służebna dziewczyna okrążyła szynkwasa, by posprzątać rozrzucone przez Givraka naczynia. Stanach podniósł dwa kufle i jeden kubek.

- Niewiele brakowało, dziewczyno - powiedział, podając naczynia rudowłosej.

- O, tak! - powiedziała dziewczyna, której twarz nie odzyskała jeszcze zwykłych kolorów. - Myślę, że wyczerpałam już zapas szczęścia na rok z góry. - Jeśli tak, to zrobiłaś z niego dobry użytek. Uśmiech, którym dziewczyna skwitowała tę uwagę, był dość kwaśny.

Stanach wrócił do swego stołu. Zajął już przy nim miejsce kender. Ktoś, kto wysługuje się oficerom smoczej armii, nie jest mile widzianym towarzyszem przy moim stole, pomyślał Stanach. Ruszył nawet, by znaleźć inne miejsce, ale kender przywołał go dłonią. Oczy starego wygi, zielone niczym liście na wiosnę, błyskały ognikami tłumionej uciechy.

- Chodźże, siadaj! Jesteś właśnie tą osobą, której szukam. Stanach łypnął na kendera podejrzliwie, sprawdził, gdzie

znajduje się wszystko, co miał przy sobie, i usiadł. Zaciekawiał go ów kender. - Mnie szukałeś, kenderze? Myślałem, że chodzi ci o Givraka.

- Nie... niezupełnie tak. - Kender wzruszył ramionami. - Givrak, powiadasz? Tak go nazywają? Kiedy tu wszedłem i go zobaczyłem, pomyślałem sobie, że dla wszystkich zainteresowanych najlepiej byłoby, gdyby natychmiast wezwano go gdzie indziej. - Uśmiechnął się szeroko. - Powiadają, że się starzeję, jeśli chodzi jednak o pomysły, wcale nie ustępuję młodzikom.

- O, bez wątplenia. - Stanach wybuchnął śmiechem. - Czy jednak jesteś przewidujący? - O czym mówisz? - Kender przechylił głowę na bok.

- Jak myślisz, co się stanie, jak Givrak dotrze do kapitana i przekona się, że wcale go nie wzywano?

- Aaa... - Zmarszczki wokół zielonych oczu kendera pogłębiły się. Uśmiech starego wygi był jednak nieco wymuszony. - Liczę na to, iż dotarcie do kapitana i wyjaśnienie całej sprawy zajmie Givrakowi przynajmniej parę godzin.

- Aha... liczysz. Tak na wszelki wypadek, może byś się jednak pospieszył. Dlaczego mnie szukałeś?

-

- No... nie chodziło mi specjalnie o ciebie. Szukałem jakiegoś krasnoluda. Mój tatko powiadał, że jeśli potrzebny ci krasnoludzki napitek, spytaj przedtem krasnoluda. Powie ci, czy wart jest wypitki. Jest tu gdzieś jakiś krasnoludzki napitek i czy godzi się go pić?

Stanach podejrzliwie łypnął okiem na kendera. Wiadomo było powszechnie, że solidny kubek krasnoludzkiego napitku potrafi posłać w objęcia podłogi rosnącego człowieka. Ten kender, chudy jak

tyka i pewnie niezbyt krzepki, nie wyglądał na kogoś, kto potrafiłby bez szkody dla siebie wypić choćby jeden łyk przejrzystego, mocnego trunku.

Stanach wzruszył ramionami. Pytanie było bezprzedmiotowe. W tej tawernie nie podawano nic prócz piwa i jasnego wina elfów.

- Nie znajdziesz tu ani kropli czegoś mocniejszego. Będziesz musiał zadowolić się piwem lub winem. Jak cię zwa, kenderze?

- Lavim Springtoe. - Kender wyciągnął dłoń. Krasnolud przypomniał sobie, że na palcu ma ojcowski pierścień, nie wspominając o miedzianych ćwiekach zdobiących rękaw jego skórzanej kurtki, nie uścisnął więc dłoni kendera, tylko się uśmiechnął.

- Stanach Hammerfell z Thorbardinu. Lavimie Springtoe, postawię ci napitek, jakiego zapragniesz, pijąc go, obaj zaś będziemy marzyli o trunku krasnoludów.

To powinno załatwić sprawę. Lavim zaofiarował się, że pójdzie po napój, Stanach jednak przecząco potrząsnął głową. Jeśli miałby sądzić po wyglądzie, ów Lavim żył dość długo, by nauczyć się, jak ukraść zęby ze smoczej paszczy. Niechby choć raz przeszedł się po sali, a właściciele przepadłych nagle sakiewek, sztyletów, scyzoryków, bransolet - i Reorx jedyny wie, czego jeszcze - zapałaliby nagłą chęcią powieszenia go za warkocz na najbliższej belce na powale.

Poszedł więc po napitki sam. Gdy podchodził do baru, elf kiwnął mu głową, jakby uznając więzy, które zadzierzgnęły się pomiędzy nimi w tej krótkiej chwili, gdy Givrak zwrócił się ku dziewczynie. Stanach odwzajemnił pozdrowienie. Nie było to właściwe miejsce i czas, wiedział jednak, że jeśli później zapyta elfa o Ostrze Burzy, zostanie przynajmniej wysłuchany, a być może otrzyma odpowiedź. Stanach rad był przypadkowi, który przywiódł Givraka do tawerny.

Lavim Springtoe wypił czwarty kufel piwa i mimochodem zręcznie uwolnił przechodzącego obok mieszczucha od ciężaru mieszka, zwisającego jeszcze przed sekundą u opiętego pasa. Uczynił to niemal bezwiednie, myśląc intensywnie o czymś innym i był szczerze zdziwiony, kiedy Stanach podsunął mu pod nos swą wielką, sękatą łapę.

- Dawaj to - powiedział krasnolud spokojnie. - Co mam dawać? - Lavim uniósł jedną brew. - A... to? - Owszem, to.

Lavim podniósł miękki, skórzany worek i spojrzał nań, jakby nie całkiem rozumiał, co też takiego trzyma w dłoni.

- Dość to nieostrożne, gubić taką rzecz. - Zważył worek w dłoni. Był ciężki. Monety mile pobrzękiwały, gdy kender przerzucał worek z ręki do ręki.

Stanach chwycił woreczek w powietrzu. Odwrócił się, klepnął mieszczucha w ramię i podał mu worek.

Ten szybko wyrwał sakwę z rąk krasnoluda. Chciał wybuchnąć wrzaskiem protestu, w oczach Stanacha ujrzał jednak coś, co odwiodło go od tego zamiaru. Podziękował więc tylko niemal wrogim tonem. Stanach kiwnął głową i zajął się piwem.

Lavim zauważył, że krasnolud nie myśli wcale o piwie, ale obserwuje tkwiącego przy szynkwasię elfa.

Najmniej wrażliwy z kenderów wyczuje tajemnicę na miłę. Lavim Springtoe patrzył na krasnoluda równie uważnie, jak ten łowił uchem strzępki rozmów przy sąsiednich stołach.

Choć Stanach nie sprzeciwiał się wypiciu następnych kolejek piwa i niekiedy dawał znak dziewczę przy szynkwasię, niekiedy zaś osobiście chodził po kolejne kufle, słuchał trajkotania Lavima niezbyt uważnie. Niezbyt uważnie też udzielał odpowiedzi. Lavim więc umilkł na chwilę i przyjrzał się grze światła w dymnym ametyście na pierścieniu Stanacha i błyskom srebrnego kolczyka, który krasnolud wpiął w lewe ucho.

W wyglądzie Stanacha były same sprzeczności. Pierścień pasował do kogoś, kto traktował bogactwo lekko i obojętnie; kolczyk przywoływał na myśl wizerunki rabusiów i opryszków. Pierwsze spojrzenie na brodatą twarz krasnoluda kazałoby uwierzyć patrzącemu, że właściciel owego oblicza jest osobnikiem niebezpiecznym i skłonny do gwałtów. Były jednak chwile, gdy Stanach zapominał o tym, że ma wyglądać groźnie, wtedy zaś łagodniało nawet spojrzenie jego czarnych, zabarwionych plamkami błękitu oczu.

Ten Stanach, pomyślał Lavim, jest teraz spokojniejszy niż przedtem. Zachowuje się dokładnie tak, jakby coś ukrywał. Rzeczy zaś ukryte zawsze stanowiły wyzwanie dla umiejętności kendera.

Pochylił się więc, oparł łokcie o stół i zabrał się - w sposób, który sam uważał za subtelny i przebiegły - do rozplątywania tajemnicy otaczającej krasnoluda. Zaczął od jego oręża. Wystająca ze starej, skórzanej pochwy

rękojeść miecza była prosta i niczym nie ozdobiona. Miejsce, gdzie jelec łączył się z głownią, nie było gładkie, choć kender spostrzegł, że jest to jedyna wada oręża.

- Widzę - odezwał się, jakby właśnie dopiero w tej chwili to zauważył - że nie używasz topora? - Stanach kiwnął głową. - Spytałem tylko dlatego, iż chyba nigdy wcześniej nie spotkałem krasnoluda bez topora. - Owszem, moi współplemieńcy na ogół noszą topory.

- Ty jednak nosisz miecz. To jakiś antyk, prawda? Nie, nie, z pewnością jest to niezłe ostrze. Jestem tego pewien, tak tylko się zastanawiam... - To stare ostrze. - Może po ojcu?

Stanach spojrzał na kendera bacznie i bystro. - Nie, to mój miecz. - Potem, jakby zdawszy sobie sprawę z szorstkości odpowiedzi, uśmiechnął się i dodał: - Sam go wykułem.

- Jesteś płatnerzem? Oczywiście, powinienem był się domyślić po wyglądzie twoich dłoni. Masz szorstkie ręce i pełno na nich odcisków. To od pracy w kuźni? - Nie inaczej.

- Jak wiele mieczy wykułeś? Ile czasu zajmuje wykucie jednego? Założę się, że robisz również sztylety i mnóstwo innych rzeczy. Mówią, że krasnoludy kują najlepsze klingi i że...

Stanach roześmiał się szczerze ubawiony. Pozwól kenderowi zadać jedno pytanie... i pewnie nie starczy ci życia, aby odpowiedzieć.

- Hola, wstrzymaj się nieco, Lavimie Springtoe! Owszem, w swoim czasie wykułem sporo mieczy. Ten był pierwszy. Ma zagną głownię i choć nie jest najlepiej wyważony, już do niego przywykłem. Oczywiście, kułem też sztylety i żeleźca toporów.

Lavim ponownie spojrzał na dłonie krasnoluda, w których trzymał teraz kufel z piwem. Niektóre z blizn zbiegły z wiekiem, inne były jednak świeższej daty. Jedna zaś, wąska i długa, była jeszcze czerwona. Ta jedna nie powstała od żaru ogniska.

Wyglądają, jakby porzuciły kuźnię nie dalej niż wczoraj, pomyślał Lavim. Ale Thorbardin leży setki mil stąd. Ten krasnolud zaś siedzi tu sobie jakby nigdy nic. Wygląda na Hylara, członka plemienia władającego Thorbardinem. Ci zaś, o czym Lavim wiedział, opuszczają groty Thorbardinu równie chętnie, jak ryba opuszcza wodę.

Na Long Ridge spoczął ciężki bucior najeźdźcy, Lorda Verminaarda. Codziennie nad miastem przelatuje Ember, własny smok Jego Lordowskiej Mości. Ludzie, których nie zabito przy zdobywaniu miasta, z trudem

utrzymują się tu przy życiu. Po cóż ktoś - oczywiście, poza nim samym - miałby odwiedzać Long Ridge? Ciekawość Lavima gorzała niczym iskierka na podłożu hubki.

Co mogło wyciągnąć krasnoluda z bezpiecznych pieleszy Thorbardinu i skłonić go do odwiedzin w tak zakazanym miejscu?

Niestety, nie był to czas na zadawanie pytań. Z uliczki dobiegł odgłos ciężkich kroków i ryk wściekłości, po którym w izbie zapadła nagła cisza.

- To Givrak! - Krasnolud jednym szarpnięciem postawił kendera na nogi. - Zmiataj stąd! Lavim, on tu wrócił i nie mam nawet cienia wątpliwości, że chce ciebie i tylko ciebie.

Lavim wzruszył ramionami. - Niewykluczone. - Siadł ponownie, jego zielone oczy zaś były teraz uosobieniem przebiegłości. - Znałem kiedyś smokowca, który nigdy nie pamiętał, czego lub kogo szuka. Strasznie go to irytowało, jak łatwo możesz to sobie wyobrazić. Niekiedy robił się całkiem czerwony ze złości, ściśle więc rzecz biorąc, nie był smokowcem...

- Kenderze, jeśli natychmiast nie zwiejesz, nigdy już nie zdołasz napełnić brzucha piwem, bo będzie się z ciebie wylewało jak z przetaka! Tam za szynkwasem jest tylne wyjście. Znikaj, i to już! - Ale...

- Jazda stąd! - Stanach popchnął kendera tak, że ów w jednej chwili pokonał połowę odległości do szynkwasu.

Lavim potknął się, odzyskał równowagę i obejrzał się przez ramię. Któż potrafiłby zrozumieć krasnoluda? Głęboko zamyślony w jednej chwili, przyjazny i pogodny w następnej, zupełnie bez powodu sypiący gromami i błyskawicami w sekundę później! Kender ruszył ku drzwiom za barem. Nie dlatego, żeby bał się Givraka - to uczucie było mu zupełnie obce - ale dlatego, że z nie znanego mu powodu, Stanachowi na tym mocno zależało.

Krasnoludy, rozmyślał Lavim, bywają przewrażliwione. No, ale jeśli ktoś żyje samotnie setki lat w głębi góry...

Uśmiechnął się do dziewczyny podającej trunki. Wysoki elf, w którego oczach tliły się iskierki uciechy, złapał Lavima za ramię i pospiesznie popchnął go ku drzwiom spiżarni.

- Zmiataj, kenderze! - szepnął. - I nie zatrzymuj się, dopóki nie wybiegniesz poza miasto!

Lavim wcale nie zamierzał biec dokądkolwiek. Wymknął się na tyły, bo wydało mu się, iż jest to powszechne życzenie obecnych, nie zapomniał jednak o Stanachu. Machinalnie wetknął sobie w kieszeń szpunt, niewielką butelkę wina i kilka innych wielce interesujących przedmiotów. Docierał właśnie do drzwi wychodzących na uliczkę, gdy te od izby otworzyły się nagle i stanął w nich Givrak, ryczący coś niewyraźnie o przeklętym, załganym kenderze, który ze względu na własne i ogólne dobro pożył sobie stanowczo za długo.

Rozdział siódmy

Smokowiec Givrak miał akurat tyle inteligencji, by ściśle wypełniać rozkazy i niekiedy obmyślić jakiś nieskomplikowany plan. Po otrzymaniu kilku nowych poleceń zatrudnił znaczną jej część na opracowanie planu, by zemścić się na kenderze, który poprzedniego wieczoru naraził go na kilka zgryźliwych uwag Carvatha za przerwanie jego snu. Wedle opinii Givraka skóra kendera nieźle wyglądałaby na drzwiach stajni.

Smokowiec miał pod swymi rozkazami dwa plutony żołnierzy. Zerwał ich o świcie, polecając zabarykadować trzy drogi wiodące poza miasto, następnie zaś polecił im towarzyszyć sobie przy przeszukiwaniu Long Ridge. Pewien był, iż jeszcze przed zmierzchem kender wpadnie mu w łapy.

Myszkując po uliczkach miasteczka, już z góry obrzydliwie radował się czekającymi go przyjemnościami. Zamierzał nie żałować sobie uciechy. Znał z tuzin metod uśmiercenia kendera i nawet gdyby uciekł się do najszybszej, wrzaski nie ucichłyby przed upływem dwóch dni.

Poranny wiatr, który dał od doliny, nie orzeźwiał wcale przesyconego sadzą powietrza Long Ridge. Wychodząc poza granice miasta, Kelida sądziła nawet, że szarawe powietrze nigdy już się nie oczyści. Potknęła się, podciągnęła obijający się o nogę miecz i poprawiła zwisającą u pasa pochwę. Westchnęła z irytacją i zaczęła się zastanawiać, jak to jest, że mężczyźni, mimo że noszą coś tak nieporęcznego, potrafią normalnie chodzić.

Wcześniej próbowała nieść miecz w rękach i okazało się, że to okropnie niewygodne. Za każdym krokiem oręż albo wysuwał się z pochwy, albo boleśnie wpijał się w bok. Głupie żelastwo! Z radością się go pozbędzie. Zatrzymała się przy pierwszym zakręcie szerokiej drogi i ponownie poprawiła pochwę. Stwierdziła przy okazji, że sukienka pomarszczyła jej się w talii, bluzka zaś zaczepiła o guz zwieńczający rękonoż i paskudnie się rozdarła.

Idiotyczny miecz! Nie potrzebowała go i wcale nie zamierzała go zatrzymać. Wszystko, co jej się dzięki niemu dostało, to podrapane nogi i podarta odzież. I dobrze, Tyorl wkrótce zabierze to paskudztwo z powrotem. Jego stuknięty przyjaciel, Hauk, nie dał znaku życia od tej nocy, kiedy ofiarował jej to żelastwo. Gdziekolwiek był, najwyraźniej nie interesował go los tego przeklętego miecza.

Mój też, pomyślała nie bez żalu. Choć godzi się rzec, że przedtem również nieszczególnie go obchodziła. Gdy dawał jej miecz, był najwyraźniej pijany. Najpewniej polazł gdzieś po ciemku i wpakował się na gromadę smokowców. Wtedy pewnie gorzko pożałował, że nie ma przy sobie miecza!

Wzdrygnęła się, po części z zimna, po części pod wpływem myśli, że Hauk rzeczywiście mógłby potrzebować miecza. Rozejrzała się dookoła. Droga niknęła za zakrętem, skąd zaczynała długi i łagodny spadek ku dolinie. Z miejsca, gdzie stała, Kelida nie mogła dostrzec doliny. Nie

mogła również zobaczyć barykady ustawionej przez żołnierzy Carvatha, wiedziała jednak, że tam jest. Ustawiono ją o świcie na każdej z trzech dróg, prowadzących do miasteczka. Z jakiejś przyczyny ogłoszono, że dziś nikt nie może opuścić Long Ridge. Ktoś miał pecha i zwrócił na siebie uwagę okupantów.

Kelida nie chciała zobaczyć farmy, na której żyła niegdyś. Nie chciała także zobaczyć łupiących dolinę żołdaków. Chcę natomiast, pomyślała, ujrzeć wreszcie Tyorla.

Zostawił wiadomość u Tenny'ego, że jej poszukuje. Opuszcza Long Ridge, przedtem jednak chciałby się z nią spotkać i porozmawiać poza miastem. Po otrzymaniu tej wiadomości Kelida nieznacznie posmutniała. Jeśli elf opuszcza miasto, oznacza to, że nie spodziewa się znaleźć Hauka tutaj. Kelida zaś chętnie potargowałaby się (dla zemsty) z młodym człowiekiem o miecz, z równą jednak niecierpliwością wypatrywała okazji do ponownego usłyszenia podobnego do pomruków niedźwiedzia głosu Hauka.

Odpięła pochwę pozwalając, by oręż upadł w popielisty kurz przydrożny. Od barykady wiatr niósł odgłos przekleństw i zgrzytliwego śmiechu. Dziewczyna przysiadła na przydrożnym głazie, podciągnęła kolana do brody, opłotła je ramionami i zapatrzyła się w osmalone, czarne pola po drugiej stronie szlaku.

Tu, na granicy miasta, smok ział ogniem dość kapryśnie. Na wschód od drogi wszystko spustoszył do cna. Zachodnie pobocze, zasłonięte złotą smugą drogi, nadal jednak okazywało oznaki życia. Gęstwina srebrnych brzozy na grzbiecie wzgórza była niemal nietknięta. Pobocze drogi porastały złociste jesienią kępy turzycy. Na paskudnych, białych pokrzywach zawiązały się już grona drobniutkich nasion i rośliny wyglądały jak posypane śniegiem. Tu i ówdzie pokazywały się nawet żółte łodygi lnicy. - Doskonale - szepnęła Kelida. - Ja już tu jestem. A gdzie Tyorl? Jego łowieckie legginsy miały kolor pnia brzozy. Kelida niemal wytrzeszczyła oczy, gdy Tyorl wyłonił się z cienia.

- Tutaj, Kelido. - Uśmiechnął się i wskazał kciukiem miecz. - A on co tutaj porabia?

- A gdzie ma być? - Kelida wypuściła dech z płuc. - Jeśli opuszczasz miasteczko, zechcesz pewnie wziąć go ze sobą. - Dał go tobie.

Niepostrzeżenie oboje zaczęli mówić do siebie tak, jakby znali się od dawna.

I cóż począć z tym elfem! - Nie chcę go. Nigdy nie był mi potrzebny. Cóż bym z nim poczęła? Nie

mogę go sprzedać, nie umiem się nim posłużyć. Nie potrafię nawet nosić go u pasa! Czy nie zechciałbyś go po prostu wziąć tam, dokąd się udajesz, i zostawić mnie mojemu losowi?

Tyorl rzucił szybkie spojrzenie na barykadę i skinieniem dłoni nakazał Kelidzie ciszę.

- Kelido, uspokój się. Owszem, opuszczam miasteczko i właśnie o tym chciałem z tobą pomówić.
- Wskazał pobliski brzozowy zagajnik. -Przejdźmy tam. Nie chciałbym wygłaszać przemowy przed połową smoczej armii.

Zawahała się, ale po krótkim namyśle kiwnęła główką. Z oczu Tyorla zniknął uśmiech; cichy teraz głos elfa drżał z emocji. Kelida podniosła miecz i pozwoliła poprowadzić się w cień brzoź.

- Posłuchaj - szepnął - bardzo uważnie. Nie mam pojęcia, gdzie jest Hauk. Nie wiem, co mu się przydarzyło. Nie wiem nawet, czy jeszcze jest w mieście. - Przerwał na chwilę. - Ty, oczywiście, domyśliłaś się, że jesteśmy zwiadowcami. - Kelida skinęła główką. - Dobrze... Naszym wodzem jest człek zwany Finnem. Czeka na nasz powrót z całym oddziałem. Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej. - Zostawisz Hauka jego własnemu losowi?

W oczach elfa błysnął gniew. Kelida zbyt późno zdała sobie sprawę z tego, iż jej pytanie równa się obrazie.

- Nie, Kelido. Nie zaniecham poszukiwań. Teren pomiędzy miastem a podnóżem łańcucha wzgórz jest dość rozległy. Szukałem Hauka w każdym zakątku, ale muszę już wracać do Finna. - Wskazał dłonią miecz. -Zatrzymaj go, proszę. Może stać się tak, że Hauk wróci do miasta, szukając miecza i mnie. Powiesz mu, dokąd się udałem? - Ale...

- Kelido, muszę opuścić Long Ridge. - Dłoń Tyorla mocno zacisnęła się na przegubie dziewczyny. - Mnie i Haukowi udało się przekonać smokowców, że jesteśmy myśliwymi. Jeśli zostaną tu nieco dłużej, ktoś pewnie zauważy, że nie za wiele czasu poświęcam na łowy. To zaś nasunie mu myśl, że jestem zwiadowcą.

- Dokąd się udajesz? - Po plecach Kelidy przebiegł dreszcz. Zadała pytanie, zanim zdążyła pomyśleć, że lepiej byłoby dla niej, gdyby nie znała odpowiedzi. Tyorl wahał się przez chwilę.

- Ku południowym rubieżom Qualinesti. Finn ma tam dla nas jakąś robotę. Przykro mi, że musisz nieść miecz. Chętnie odniósłbym go z

- powrotem, nie mogę jednak pozwolić sobie na dalszą zwłokę. - Co z barykadą?

- A co ma być? Finn obdarłby mnie ze skóry, jeśli nie potrafiłbym się przemknąć obok kilku na poły pijanych maruderów smoczej armii. - Wyjął miecz z ręki dziewczyny i przesunął dłonią po wyświechtanej skórzanej pochwie. Na rękojeści miecza błysnęły zimno szafiry, wyglądające w świetle poranka jak bryłki lodu. - Hauk wygrał go, rzucając sztyletami. - Wcale mnie to nie dziwi. - Uśmiechnęła się Kelida. - Ma bystre oko.

- O, tak, nie da się zaprzeczyć. - Tyorl zachichotał. - Zatrzymasz miecz dla niego?

Powiał chłodniejszy niż przedtem wiatr. Kelida pomyślała o leżących na południe od Qualinesti górach, wilgotnych i wrogich zimą człowiekowi. Pomyślała też o Hauku i po raz kolejny zastanowiła się, gdzie się podziewa i dlaczego zostawił cenny miecz i tak dobrego, oddanego przyjaciela jak Tyorl.

Potem przyszła jej do głowy myśl, że może Hauk po prostu zniknął w nocnym mroku i porzucił swój oddział mścicieli. Ukradkowo spojrzała na Tyorla. Nie, elf najwyraźniej o tym nawet nie pomyślał. Kelida wzdrygnęła się i wzięła od niego miecz. Był okropnie nieporęczny.

- Zatrzymam go. - Zawahała się na ułamek sekundy, potem uniosła się na palcach i pocałowała elfa w policzek. - Powodzenia. - Owszem, przyda się ono nam obojgu. - Uśmiechnął się. - Dziękuję. Ujął ją pod ramię i podprowadził do drogi. Kelida zajęła się mocowaniem miecza u pasa i nie spostrzegła, że droga jest zamknięta, dopóki nie poczuła, że uścisk elfa na jej ramieniu zrobił się

nagle mocniejszy. Podniosła wzrok.

Pośrodku drogi stało trzech żołdaków, dwóch smokowców i człowiek. Jeden z nich uśmiechnął się szeroko, ukazując garnitur pożółkłych zębisk.

- Miłe pożegnanie - warknął. Jego oczy przemknęły obojętnie po Tyorlu i zatrzymały się na Kelidzie. W ślepiach żołdaka błysnęło pożądanie. Kelida poczuła mdłości na sam jego widok.

Lavim Springtoe rwał przed siebie jak zając, który wiedząc świetnie, że pies nie sprosta mu szybkością, raduje się każdą chwilą zabawy. Pochyliwszy głowę, chichocząc pod nosem, powiódł czterech smokowców wzdłuż jednej uliczki, zawrócił i skręcił w inną drogę, potem przebiegł przez jakiś szynk, skąd wymknął się tylnymi drzwiami. Smokowcy gnali za nim, rycząc straszne przekleństwa i dzwoniąc żelastwem jak ożywione kupy złomu. Najwięcej hałasu czyniły ich objijające się o zbroje krzywe szable.

Lavim dał nura w osmaloną, boczną uliczkę. Zręcznie przeskoczył przez płot i rozbawiony obsypał obelgami czwórkę prześladowców, którzy obciążeni żelastwem czynili rozpaczliwe wysiłki, by powtórzyć wyczyn kendera. Zanim pierwszy ze smokowców przelażł wreszcie przez przeszkodę, Lavim wcisnął się pomiędzy ceglany mur i pojemnik na śmieci. Miał zadyszkę, choć godzi się rzec, że niewielką.

Pierwszego prześladowcę przepuścił. Całą uwagę skupił na drugim. Był nim Givrak i Lavim nie wątpił, że smokowiec pojawi się tu lada moment.

Gdy smokowiec przebiegał obok Lavina, wymachując połyskującą słabo w mglistym świetle poranka szablą, hoopak Lavima wystrzelił z kryjówki niczym żądło i utkwivszy pomiędzy nogami draba, posłał go łukiem na plecy pierwszego z prześladowców. Trzeci pędził zbyt szybko, by się zatrzymać, i wpakował się na leżących bezładnie poprzedników. Czwarty zdołał uniknąć pułapki jedynie po to, by rozpląszyć się na przeciwległej ścianie.

Lavim wrzasnął z tryumfem, potem zaś błyskawicznie przemknął obok kubła na śmieci i trzech leżących jeden na drugim smokowców. Śmignął pomiędzy nogami czwartego i wyskoczył na ulicę. Przebiegł obok rozłożystej sukni jakiejś kobiety, dał nura pod końskim brzuchem i znalazł się po drugiej stronie drogi. Rozlegający się za nim ze wzmożoną energią grad przekleństw powiedział mu, że prześladowcy już się jakoś pozbierali i podjęli pościg.

Lavim znał uliczki i przejścia Long Ridge tak dobrze, jak mógłby je poznać jedynie miejscowy urwis lub kender. Skoczył ku na poły spalonemu podczas zajmowania miasta magazynowi, podbierając po drodze kilka mniejszych, luźno ułożonych brukowców. Takiej uciechy nie zaznał od czasu, gdy zaledwie o dwa kroki udało mu się wyprzedzić lawinę śniegu i kamieni na zboczach gór Khur. (Odległość pomiędzy plecami Lavima i czołem lawiny ocenił na dwa jardy on sam. Towarzyszący mu wówczas gnom Ish utrzymywał, że odległość wynosiła raczej ćwierć mili i że lawina w ogóle nie była lawiną, tylko nieznacznym obsunięciem się śniegu, wszystko to zaś działo się nie na stromym zboczu góry, a na łagodnym stoku niewysokiego pagórka).

Magazyn był wielki, dłuższy niż jakikolwiek inny budynek w mieście, w głąb zaś rozciągał się na połowę kwartału. Niegdyś zgromadzono tu najróżniejsze dobra: mąkę, zboże, pszenicę i nawet bele śnieżnobiałej wełny. Po pożarze pozostały tu jedynie popioły.

Lavim wpadł do pozbawionego dachu budynku. Rozbryzgując blocko z brudnych kałuż, powstałych po ostatnim deszczu, skoczył ku położonym

w głębi schodom prowadzącym na piętro. Za nim na ulicy rozlegał się ciężki łomot nóg smokowców, którzy klnąc sążnście i miotając okropne groźby, roztrącali i bez tego rozbiegających się jak kury przed burzą gapiów.

Wnętrze budynku wypełniał smród spalenizny. Stary kender przystanął na chwilę przy schodach.

Oparł się o nadgryzioną przez ogień ścianę, zaczerpnął tchu i zmrużywszy oczy, spojrzął w górę. Piętro - lub przynajmniej jego część - jeszcze się trzymało. Przypominało trochę stryszek stodoły, było bowiem otwarte. Ta poczerniała, popękana gdzieniegdzie i osmalona grzęda świetnie nadawała się do tego, by celnie miotać z niej w smokowców wcześniej zebraną kamienną amunicją.

Nabierając w płuca obszerny haust przesyconego nadal wonią spalonej wełny i zboża powietrza, Lavim doświadczonego okiem ocenił schody. Stwierdziwszy, że lekkostopy kender da sobie na nich radę, ruszył w górę. Poruszał się żwawo w myśl zasady, że szybkie i delikatne stąpienia nie nadwerężą trzeszczących i bez tego desek tak jak wolne i ostrożne. Gdy pokonał już w ten sposób połowę schodów i zatrzymał się na moment w pół kroku, niższy ze stopni zatrzeszczał ostrzegawczo i pękł z rozdzierającym jękiem.

Lavim zareagował błyskawicznie. Rzucił się w stronę ściany i sięgnął ręką, by się czegoś uchwycić. Niestety, sztuczka się nie udała. Posypały się kolejne stopnie, jak w rozpadającym się domku z kart. Lavim kwiknął przeraźliwie, skoczył przed siebie i złapał krawędź podłogi stryszku.

Wczepiwszy się dłońmi w trzeszczące drewno, dyndając nogami nad przepaścią wysoką na podwójną szerokość ramion, Lavim pomyślał, że nie miałyby nic przeciwko temu, by kenderowie posiadali skrzydła.

Gdy usłyszał dobiegający z parteru wybuch śmiechu, przypominający ujadanie psa, niemal wypuścił deski z rąk. Givrak, utkwivszy w Lavimie gadzie ślepie, wysuwał z paszczy rozdwojony język i rechotał radośnie, gapiąc się z parteru na wiszącego bezradnie kendera.

Podczas całego życia Lavim nigdy nie potrafił oprzeć się pokusie, gdy widział przed sobą dogodny cel. Okręcił się i plunął. Za młodych lat sływał szeroko i daleko z celności, choć ostatnio oko zaczęło go jakby zawodzić. Teraz jednak wzrok mu dopisał. Trafił Givraka prosto między oczy. W pustym magazynie rozległ się przeraźliwy wrzask rozjuszonego do granic wytrzymałości smokowca.

Lavim usunął się z drogi ciśniętego weń kindżału i ciężko pracując łokciami, zdołał jakoś podciągnąć się wyżej. Jedną ręką chwycił się nadpalonej i trzeszczącej belki. Pociągnął belkę, poczuł, że ustępuje, i

ponownie położył dłoń na podłodze.

- Daj spokój, szcurze. Nie masz dokąd uciekać, a ja chciałbym sobie z tobą pogawędzić. - Givrak roześmiał się zimnym, posępnym śmiechem.

Lavim ponownie zaczął się szamotać, zdołał nawet podnieść do góry jedno kolano, potem jednak ześlizgnął się. Osłabione deski podłogi stryszku zatrzeszczały ostrzegawczo.

Usłyszał brzęk metalu o drewno. Smokowiec zdejmował zbroję. Lavim, którego nieposkromionej ciekawości świata nie zdołała stłumić nawet perspektywa upadku w tchnące grozą czeluście Otchłani, obejrzał się za siebie. Zbroja Givraka leżała już na podłodze, smokowiec zostawił sobie tylko wetkniętą pomiędzy krzywe zęby szablę. Szybкими ruchami rozkładał właśnie niekształtną skórę, rozpiętą pomiędzy szponiastymi kośćmi skrzydeł. Pozostali trzej cofnęli się, wykrzywając pyski w paskudnych uśmieszkach. Wyczuwali koniec pościgu.

Te skrzydła, przypomniał sobie Lavim, służą tylko do szybowania. Smokowcy tak naprawdę nie mogą latać, wie o tym każdy...

Givrak rzeczywiście nie potrafił latać. Miał jednak potężnie umięśnione nogi i zdołał skoczyć wyżej, niż Lavim mógłby przypuszczać. Przy pierwszym skoku szponiasta łapa smokowca zaledwie o cal chybiła kendera.

Drugi skok, któremu towarzyszył potężny zamach skrzydeł, pozwolił Givrakowi chwycić jedną łapą za deskę, drugą zaś wyjąć szablę spomiędzy szczęk.

Szybki jak myśl kender podciągnął kolana do piersi, przekreślił się w powietrzu i rzucił się niby kamień na trzeszczącą podłogę. Givrak, śmiejąc się okropnie, łatwo się podniósł. Zając nie był już pewien, czy potrafi ująć ogarowi.

Lavim wyszarpnął sztylet z pochwy i chlasnął nim na oślep. Trafił -ostrze niewielką jednak uczyniło krzywdę grubej, pokrytej łuską łapie smokowca. Lavim zmienił uchwyt, dał nura pod ramieniem ryczącego wściekle Givraka i ciał prawe skrzydło stwora, rozdierając skórzastą błonę. W sekundę potem na ręce kendera zamknęła się potężna, szponiasta łapa i wykręciła Lavimowi bezlitośnie ramię. Sztylet wypadł z bezsilnych palców starego wygi.

Z zaciekłością charakterystyczną dla jego plemienia kender wpakował kolano w brzuch smokowca. Gdy smokowiec zgiął się w pół, wyjąc przeraźliwie, Lavim zebrał wszystkie siły, jakie mu jeszcze zostały, uniósł drugie kolano i trafił Givraka w szczękę. Trzasnęły zęby i głowa smokowca odskoczyła do tyłu. Lavim uwolnił przegub, błyskawicznie podniósł sztylet i pobiegł do... Nie miał dokąd uciec.

To, co niedawno jeszcze było tu ścianami, było teraz osmalonymi belkami, przez które widać było wiszące nisko chmury. Z jednej strony nad ulicą, jak czarny paluch wskazujący w stronę wzgórz, wystawało ze ściany ramię żurawia, którym wciągano towary na piętro. Poniżej widać było twarde uliczne brukowce. Lavim zatrzymał się i odwrócił. Smokowiec, utykając i trzepocząc wściekle rozdartym skrzydłem, człapał uparcie w jego stronę, a w jego gadzich oczach czaiła się żądza mordy.

Kender nie myśli zbyt często, kiedy to jednak czyni, pomyślnik ma zdumiewająco szybki. Lavim Springtoe odczekał chwilę, by dać czas Givrakowi na rozwinięcie szybkości i skoczył prosto w przestwór nieba.

Stanach bez powodzenia od rana poszukiwał elfa. Kender zaś był inną sprawą. O nim Stanach słyszał, gdzie tylko się poruszył.

Miedziorytnik, kowal i odlewacz świec skarżyli się wszem i wobec. Miedziorytnik chciał odzyskać swój pobijak. Kowal przysięgał, że wyda Lavima Carvathowi, jeśli kender do południa nie zwróci mu jego stempla i dłuta. Odlewacz świec kłął swe parszywe szczęście, które ocaliło go od rabunków, po to tylko, by oddać jego warsztat na pastwę plagi kenderów.

Stanach nawet nie próbował wyjaśniać biedakowi, że jeden kender nie stanie za całą plagę. Zresztą, jeśli sprawa dotyczyła kenderów, wszystko zależało od punktu widzenia.

Poszukujący Tyorla krasnolud przeciął szlak Lavima u rzeźnika, garbarza i w warsztacie garncarskim. Jakiś chłopak widział, jak kender wbiega do szynku. W szynku rzeczywiście Lavim był, ale bardzo krótko, tuż za nim gnali czterej smokowcy. Givrak! To mógł być tylko on. Stanach pomyślał o Tyorlu. Szanse na to, iż elf będzie wiedział, gdzie jest Królewski Miecz, marniały z każdą godziną. Był to jednak jedyny trop, na jaki wpadł krasnolud. Jeśli trop okaże się fałszywy, będzie Stanach musiał poszukać gdzie indziej lub wrócić do Fujary.

Kender, jak to kender, pewnie potrafi sam zadbać o siebie. No tak, pomyślał Stanach, a jeśli go złapią? Wolał nie myśleć o tym, co czeka kendera, jeśli wpadnie w łapy smokowców.

- Przeklęty kender! - mruknął. Pomyślał, że właściwie mógłby poszukiwać elfa i kendera równocześnie.

Następną nowiną, jaką Stanach usłyszał o Lavimie, była wiadomość, że kender, powiewając białym warkoczem i wywijając co sił nogami, pobiegł do spalonego magazynu. Smokowcy mieli siedzieć mu niemal na karku. Stanach nie bez wewnętrznych oporów sprawdził, czy jego miecz luźno wysuwa się z pochwy i ruszył do magazynu.

Zbliżając się do poczerniałego szkieletu magazynu, usłyszał gdzieś w górze śmiech kendera, przypominający wrzask drozda.

Spojrzał w górę, w samą porę, by zobaczyć wylatującego z pozbawionego ścian piętra smokowca, który rozpaczliwie wymachiwał rękami i nogami. Stwór rozłożył szeroko skrzydła, przekonawszy się zaś, że są bezużyteczne, ponieważ przecięto je sztyletem, wrzasnął okropnie. Gdyby upadek smokowca był nieco szybszy, Stanach mógłby chyba usłyszeć świst wiatru w rozcięciach skórzastej błony. Przy obecnym stanie rzeczy usłyszał tylko potężne łupnięcie, gdy smokowiec rąbnął o ziemię, aż łuski zgrzytnęły o kamienie. W górze zaś zanosił się szalonym śmiechem uradowany Lavim.

Stanach dobył miecza i przeszedł przez ulicę. Kopnięciem przewrócił smokowca na grzbiet. Givrak.

Stanach wzdrygnął się mimo woli. Gdy patrzył na zewłok Givraka, ten przemienił się w kamień. Serce w piersiach krasnoluda waliło jak szalone, gdy cofał się od leżącej u jego stóp kupki kamieni. Owszem, słyszał opowieści o tym, co dzieje się z trupami smokowców, nie wierzył w nie jednak aż do tej pory.

- Stanachu! - Lavim wychylił się. - Jak dobrze spotkać cię znowu! Czy on zdechł? Zapomniał o dziurach w skrzydłach. Mój ojciec mawiał, że drobiazgi, o których zapominamy, mszczą się na nas wcześniej czy później. Hej, Stanach! Uważaj!

Trzech kompanów Givraka, usłyszawszy wrzask towarzysza, wypadło z drzwi znajdujących się po drugiej stronie ulicy. Nawet nie zatrzymali się, by spojrzeć na smokowca, którego ciało rozsypywało się właśnie w pył, tylko runęli na krasnoluda.

Jak przystało na biegłego płatnerza, wiedza Stanacha o mieczach sięgała znacznie dalej poza ich wykuwanie. Nie był wojownikiem i nie miał wyćwiczonych odruchów. Posiadał jednak głęboką znajomość broni i głównia w jego ręku była śmiertelnie niebezpieczna. Jednym ruchem ostrza odciął ramię pierwszego z napastników, który wyjąc zważył się na kolana pośrodku ulicy. Stanach nie omieszkał zauważyć, że raniony smokowiec ani myślał zamienić się w kamień.

Krasnolud nie tracił czasu na zastanawianie się nad przyczyną takiego stanu rzeczy. Wywijając srebrzystym ostrzem, przyparł dwóch pozostałych smokowców do ściany budynku. Prowadził ostrze oburącz, jakby miał w dłoniach topór. Każdy ruch przeciwników blokowała dźwięcząca śpiewnie stal. Stanach był niższy o kilka piędzi od przeciwników, łatwo więc

przemykał pod ich klingami i bez skrupułów wykorzystywał tę przewagę. Jeden ze smokowców potknął się i zanim odzyskał równowagę, Stanach wznosił ostrze do uderzenia.

Krasnolud odsłonił się, podnosząc głównię, towarzysz chwiejącego się draba pchnął więc z lewej i trafiłby Stanacha gładko między żebra, gdyby nie kamień wielkości pięści, który ciśnięty z góry, trafił smokowca w tył głowy i powalił go martwego na bruk.

- Stanachu! Nie pozwól, by twój miecz utkwiał w którymkolwiek z nich! Ostrze ugrzęźnie i... Uważaj, za tobą! Padnij!

Co też Stanach uczynił i wrogie ostrze świsnęło może cał nad jego głową. Z góry śmignął kolejny kamień, ten jednak chybił. Stanach porwał się na nogi w samą porę, by sparować kolejne uderzenie i odpowiedzieć nieco chaotyczną zastawą. Smokowiec syknął przeraźliwie. Obnażywszy kły i tocząc pianę z paszczy, oblizywanej rozdwojonym jęzorem, ciężarem całego ciała drab wzmocnił napór swej szabli na klingę Stanacha.

Ostrze krasnoluda cofnęło się. Jego falista krawędź zatrzymała się o cal od szyi Stanacha. Śliska od potu ręka czeladnika płatnerskiego powoli traciła siłę i rękojęść zaczęła wymykać się z dzierżącej ją dłoni. Napastnik wykorzystywał przewagę wzrostu i przygniatał ostrze Stanacha, dodając do krzepy ramienia własny ciężar. Krasnolud wzdrygnął się i pojął sytuację; postanowił jednak, że się nie podda nawet, gdyby rozpruto mu mięśnie. Z determinacją zebrał siły do ostatniego pchnięcia.

Z góry ponownie rozległ się dziki chichot Lavima. Kolejny pocisk trafił dokładnie tam, gdzie powinien, to znaczy w lewe oko smokowca.

Następny rzut jednak nie był tak precyzyjny. Ostra krawędź kamienia wyrznięta w prawy łokieć krasnoluda, który pozbawiony czucia w ręce, wypuścił miecz z dłoni.

Serce Stanacha waliło jak oszalałe, gdy opadł na kolana i zaczął na oślep poszukiwać miecza, pewien, że zanim go znajdzie, poczuje między łopatkami zimną stal. Jednym tchem kłął bystrość oka kendera i błagał Reorxa o pomoc. W tej samej chwili Lavim wrzasnął coś w rodzaju przeprosin i obsypał smokowca całą serią pocisków.

Ostatni z drabów ryknął przeraźliwie i zachwiał się pod nawałą cegieł i brukowców. Lavim wydał zwycięski okrzyk.

- Daj mu... Stanach! Nie! Poczekaj! Tam zza zakrętu pędzi ich cała zgraja! W nogi, Stanach, w nogi!

Na bruku uliczki niczym huk nadciągającej burzy zagrzmiały podkute buty żołdaków. Zza zakrętu wypadło czterech smokowców. Skrzydła! pomyślał kender, naprawdę potrzebne mi skrzydła! Podczołgał się po

wystającej belce, obejmując ją oburącz. Opuścił się na długość wyprostowanych rąk, zerknął na stojącego pod nim Stanacha i kwiknął rozpaczliwie: - Łap!

Stanach mógł jedynie złagodzić upadek kendera. Obaj zwalili się na twarde bruk. Stanach natychmiast postawił Lavima na bruku, mając nadzieję, że większość kości szalonego kendera została nietknięta. Wczepiwszy się w ramię wygi, krasnolud pomknął przed siebie szybciej niż kiedykolwiek przedtem.

Tyorl stanął przed Kelidą i zasłonił ją sobą. Ślepią żołdaka zwężyły się nieco. Smokowiec ujął w dłoń szablę.

- Oho! - odezwał się drab, gładząc nerwowo ozdobną rękojeść. - Słodycz pożegnania. Ale ty przecież nigdzie nie odchodzisz, co, elfie?

- Harig, myślę, że jednak gdzieś się wybierał. - Żołdak zaśmiał się, co zabrzmiało jak ujadanie psa. - Widzieliśmy pożegnalny całus dziewczki.

Tyorla zaświerzbity dłonie. Kelida spojrzała na niego rozszerzonymi ze strachu oczami. Na szyi dziewczyny pulsowała małeńka żyłka.

- Założę się, Harig, że ta dziewczka zapomni o elfie, jak tylko on stanie się trupem. Dasz mu radę?

- Elfowi? - prychnął pogardliwie Harig. - Moja szabla smakowała już kiedyś krew elfów. Rzadka i stara, ale ujdzie.

Tyorl chwycił Kelidę za ramię i odsunął ją na bok, wydobywając równocześnie z pochwy miecz Hauka. Harig również wyciągnął krzywą szablę. Drugi smokowiec i człowiek odsunęli się na bok. Żaden z nich nie zamierzał się wtrącać, ich oczy jednak przepelniała żądza krwi.

- Co ty na to, elfie? - Harig uśmiechnął się, pokazując pożółkłe i połamane zębiska. - Warto dla tej dziewczki przelać odrobinę krwi?

Dmący dotąd łagodnie wśród szczytów wzgórz wietrzyk przybrał nieco na sile. Przyniósł z doliny odór spalenizny i śmierci. Szafiry na rękojeści miecza Hauka zaślniły migotliwym blaskiem, jakby śpiewając bezgłośnie pieśń bojową.

Tyorl przyjął pozornie rozluźnioną i otwartą postawę, jakby wcale nie zamierzał się bronić, przeciwnie, jakby to on wyzywał do walki trzech przeciwników.

- Cała wasza krew, ilekolwiek by jej było - odezwał się, mówiąc tak chłodnym i obojętnym tonem, na jaki mogą zdobyć się jedynie elfy - nie jest warta jednej kropli krwi tej dziewczyny.

W mętnych oczach Hariga ujrział zapowiedź ataku. Miecz Hauka wzbił się w górę i opadł. Dwaj

żołdacy zawyli, Kelida zaś jęknęła przerażona. Harig zginął, zanim zdążył mrugnąć powieką.

Elf poruszał się szybko i zanim pozostali zdążyli zareagować, chwycił dziewczynę i pociągnął ku sobie. Ponownie opuścił ostrze jak przy rzucaniu wyzwania, tym razem skierował je ku dwóm pozostałym żołdakom. - Jeśli chcecie, to samo mogą zrobić z wami.

Żołnierze dobyli szable i zaszli go z dwóch boków. Smokowiec syknął i dźwięk ten przywiódł Tyorlowi na myśl atakującego węża. Gdy wrogowie ruszyli do natarcia, Tyorl pomyślał o bogach, których od dość dawna zaniebrywał.

Gdy pokryte brukiem uliczki Long Ridge zostały w tyle, Stanach i Lavim zdążyli już rozwinąć niezłą prędkość. Ścigający ich zaciekle smokowcy zostali nieco w tyle, nie rezygnowali jednak z pogoni. Kender pochylił głowę, a jego nogi pracowały niczym dwa tłoki. Podczas biegu o jego biodra dziko łomotały trzy woreczki skórzane i dwa z grubej tkaniny. Lavim dyszał teraz niczym stary miech i nie tracił tchu na głupie chichoty, choć Stanach byłby przysięgł, że w zielonych oczach kendera nadal tłą się iskierki uciechy. Lavim biegł dla samej uciechy wysłuchiwanie miotanych przez smokowców wściekłych przekleństw.

Gdy dwaj ścigający ich żołdacy poślizgnęli się w błotnistej kałuży, padając podcięli nogi pozostałym i wypełnili uliczkę wrzawą klątw, od których wysychało uliczne błocko, Lavim niemal przystanął, obserwując żalosne wysiłki wstających stworów. Stanach jednak chwycił kendera za ramię i ciągnąc go za sobą, dał nura w boczny zaułek. Lavim zręcznie przeskoczył stertę popękanych beczulek, śmierdzących kwaśnym odorem wina. Stanach sprawił się gorzej i przedzierał się przez błocko, gdy w zaułek, rycząc wściekle, wpadli smokowcy. Stanach pomknął jednak przed siebie.

Krasnolud czuł, jak jego serce tłucze się o żebra. Nogi zaczynały mu ciążyć, jakby były z ołowiu, kolka zaś w boku uświadomiła mu, że lada moment może paść na bruk i to będzie koniec ucieczki.

Gdy zbliżyli się do ostatniego zakrętu u wylotu drogi z miasta, tuż przed jej stromym podejściem na stok wzgórza, usłyszeli piskliwy krzyk przerażonej kobiety. Ani krasnolud, ani kender nie mógł zwolnić, nawet gdyby chcieli to uczynić. Dopadli zakrętu, zanim echo wrzasku kobiety zamarło pośród głązów. Lavim złapał Stanacha za ramię, zatrzymał go i wskazał na rozgrywającą się przed nimi dramatyczną scenę.

Stanach zaklął sężniście. Elf, którego szukał przez cały ranek, na jego oczach toczył rozpaczliwą walkę o życie z dwoma żołdakami smoczniej armii. Prawe ramię elfa i jego twarz ociekały już krwią. Pośrodku drogi, znana im z karczmy Tenny'ego, służebna dziewczka szukała kamieni

nadających się do walki. Właśnie znalazła jeden i rzuciła nim w smokowca. Choć miała dobre oko, jej pocisk zdał się na nic - odbił się nieszkodliwie od zbroi przeciwnika. Skąd ona się tu wzięła... i to w towarzystwie elfa?

Przyparty do skały elf walczył obosiecznym mieczem z niemalą wprawą. Stanach wiedział jednak, że sama zręczność nie uratuje kogoś, kto ma przeciwko sobie przewagę liczebną i walczy na krawędzi skał. Pozycja samotnego elfa nie należała do godnych zazdrości. Jeśli nawet nie potknie się i nie polecą w dół, zginie od ciosu szabli.

Lavim, opierając się na założeniu, iż każdy, kto walczy ze smokowcem, nie może być kimś innym niż przyjacielem, wydał radosny okrzyk bojowy i głową naprzód rzucił się na jednego z przeciwników elfa. Smokowiec i kender zwalili się na drogę.

Stanach poruszał się rozważniej i bardziej celowo. W przeciwieństwie do Lavima nie zapomniał o prześladowcach. W każdej chwili zza zakrętu mogli wypaść czterej smokowcy. Kender, dziewczyna, broczący krwią elf i zasapany krasnolud nie zdołają się oprzeć sześciu drabom Carvatha. Gdyby natomiast ścigająca ich czwórka natknęła się tu na dwóch martwych i zmieniających się właśnie w kamień kompanów, mogłaby się na chwilę zatrzymać... co dałoby uciekinierom

szansę, nikłą, co prawda, na skrycie się w lesie.

W tym momencie Stanach niczego nie pragnął bardziej niż znalezienia się o setki mil stąd. Rzucił się na smokowca i dźgnął go mieczem, zabijając stwora i wyciągając ostrze w tej samej chwili, gdy elf opadł na kolana i wypuścił z dłoni miecz.

Krasnolud sięgnął po leżący na bruku oręż. Elf jednak był szybszy i wcześniej zamknął palce na rękojeści miecza. Stanach spojrzął na głownię i na chwilę wstrzymał dech w piersiach. Pośród krwi ujrzał na ostrzu jarzącą się nić purpury. Wielki Reorksie, pomyślał otepiały. Oto jest! Ostrze Burzy!

W tejże chwili Tyorl wstał i Ostrze Burzy znalazło się poza zasięgiem dłoni krasnoluda.

Na drodze tymczasem Lavim wyrwał dziewczynie z dłoni kamień i z całej siły rąbnął nim w łeb leżącego przeciwnika. Trzasnęły kości, żołdak wrzasnął rozpaczliwie, Lavim zaś przyłożył mu raz jeszcze.

Elf oddychał chrapliwie. Stanach spojrzął nań badawczo. Leśnik broczył krwią z rany na ramieniu, spojrzenie zaś miał mętne i niemal nieprzytomne. Przyjacielu, jeśli padniesz mi tu trupem, pomyślał krasnolud obojętnie, dostanę to, czego szukam, i serdecznie ci za to podziękuję. Och, jak ja ci za to podziękuję!

Elf nie zamierzał jednak paść trupem. Uniósł głowę, otarł krew z policzka i nie bez wysiłku skupił wzrok na Stanachu. - Już mi lepiej - powiedział. - Ale czy dasz radę biec? - prychnął krasnolud. - Biec? Cóż, jeśli będę musiał... - Elf nieznacznie zamrugnął powiekami.

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

- Będziesz musiał - mruknął posepnie krasnolud. Wskazał palcem drogę. Tak jak się obawiał, zza zakrętu właśnie wyłaniali się czterej smokowcy.

Nie inaczej, będziesz musiał, pomyślał. Ty, mój przyjacielu, i Ostrze Burzy będziecie musieli uciekać ze mną. Pobiegli.

Rozdział ósmy

Wokół niego nie jarzyło się żadne światło. Dosłownie żadne od chwili, kiedy ocknął się w tym miejscu. Hauk nie wiedział, jak dawno temu to się stało. Nie był związany, nie krępowały go łańcuchy, nie mógł jednak się poruszyć. Leżał na wilgotnym kamieniu i chłód zaczął już zapuszczać swe zimne palce w jego kości. Hauk poczuł pierwsze dreszcze gorączki.

Wydawało mu się, iż nigdy nie było mu ciepło. Pamiętał jedynie przenikający go do szpiku kości strach, straszliwe męki konania i nieustannie powtarzane pytanie: Gdzie jest miecz o rękojeści zdobnej szafirami?

Od czasu, kiedy tu się znalazł, umarł już dwukrotnie. Pierwsza śmierć była szybka i bolesna, konał z zimną stalą w brzuchu od upływu krwi. Drugi raz leżał wśród odwiecznych mroków i czuł powolne nadciąganie śmierci. Wyczuwał zbliżanie się bezlitosnego łowcy, słyszał, jak przybliża się nieubłagane jak letnia burza nadciągająca nad spokojną dolinę. Choć nic nie krępowało swobody jego ruchów, mógł jedynie leżąc w ciemnościach, czekać na nadejście śmierci. Modlił się bezgłośnie do każdego boga, który zechciałby go wysłuchać. Śmierć jednak nadciągała, odgłos jej kroków zagłuszyłby już grzmot gromu, a jej przesywający jak zawodzenie płaczek głos wzywał go po imieniu.

Jego dwie śmierci dzieliło jedno pytanie: Gdzie jest miecz o rękojeści zdobnej szafirami?

Hauk nie odpowiadał. Nie pozwolił sobie nawet na to, by choćby pomyśleć o mieczu czy dziewczynie z tawerny. Ten, kto potrafił zabić go dwukrotnie, zdolny jest do zgaszenia światła w zielonych oczach dziewczyny z obojętnością człowieka gaszącego świecę.

Ten, kto potrafił zabić go dwukrotnie, może przebić jej serce, posługując się wyłącznie wolą. Przeszyje je równie łatwo jak ciśnięty w zadymionej karczmie sztylet. Nie miał pojęcia, dlaczego ów ktoś tak straszliwie pożąda jego miecza.

Trwał więc w pustce, zawieszony pomiędzy zgrozą i oczekiwaniem. Nie wiedział nawet, czy śpi, czy czuwa. Mrok rodził koszmary, które nawiedzały go zarówno we śnie, jak i na jawie.

Teraz jednak, zawieszony w tej pustce, Hauk zaczął zdawać sobie sprawę, że nie jest tu sam. Lekkie drżenie powietrza wokół niego uświadomiło mu, że ktoś lub coś porusza się nieznacznie i niedaleko.

W otaczającym go mroku ktoś odetchnął. Wokół niego rozeszło się echo ciężkiego dyszenia, co nasunęło Haukowi myśl, iż otaczają go ściany. Usłyszał też jakieś mamrotanie i szepty. Strach przemknął po skórze

Hauka i niby ciężka bryła osiadł na jego brzuchu.

Głos, który usłyszał, nie był bezlitosnym głosem dopytującym się o miecz. Tamten głos był twardy i ciął jak stal. Ten był inny: drżący i załamany. Czyżby słyszał swe własne szepty i bełkot?

W mroku eksplodowało światło, rozsyłając tańczące cienie na ścianach i przesywając oczy Hauka strzałami bólu. Ból był tak nieznośny, że banita zawył. Nie mógł nawet odwrócić głowy ani zamknąć oczu. Światło jednak szybko zgasło.

W pamięci Hauka pozostał jedynie obramowany ognistymi liniami wizerunek krasnoluda, który

skulił się na posadzce przy jego stopach i trzymał nad głową latarnię, której światło tak poraziło oczy zwiadowcy.

- Ktoś ty... - jęknął. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, jedynie szybki oddech i szuranie butów na kamiennej posadzce.

- Kim jesteś? - Łkanie. Jęk udręczonej istoty. I cisza. Hauk ponownie pozostał sam.

Rozdział dziewiąty

Ostry, przenikliwy wiatr ścigał ich aż do samej granicy lasu i ucichł dopiero, gdy wkroczyli pod dach gałęzi. Stanach wzdrygnął się, gdy po plecach przebiegł mu dreszcz zabobonnego lęku. Nigdy nie myślał, że kiedykolwiek znajdzie się w Qualinesti i niewiele pomagała mu

świadomość, że przez Puszcę Elfów wędrują zaledwie od sześciu godzin. Czy to na skraju, czy w samym mateczniku, Stanach był pewien, że ów las wszędzie jest taki sam - strzeżony, czujnie obserwowany, ochraniający.

Od dzieciństwa słyszał opowieści o wędrowcach, którzy zbłąkali się w Qualinesti. Opowieści tych nigdy jednak nie słyszał z ust samych wędrowców. Nikt, kto nie został tu zaproszony, nie uszedł stąd z życiem. Gdyby nie Ostrze Burzy i obietnica, że odzyska miecz, Stanach wolałby pozostać na skraju puszczy i spróbować szczęścia w walce ze smokowcami. Złożył jednak przysięgę i dał słowo Hornfelowi, swemu thanowi.

Współ z Lavimem i Kelidą weszli w las za Tyorlem. Elf utykał i szedł dość wolno, nikt nie podjął z nim jednak dyskusji, gdy zapewniał, że żaden smokowiec nie ruszy za nimi w głąb owianej tysiącem opowieści krainy Qualinesti.

Choć Stanach się nie sprzeciwiał, byłby bardziej zadowolony, gdyby ruszyli na zachód ku puszczy, gdzie miał czekać na niego Fujara. Zostawił maga dwa dni temu pośród wzgórz, na południe od Long Ridge. Czy Fajarze udało się ujść prześladowcom? Czterech przeciwko jednemu... kiepskie to szanse.

Tak czy owak, rozmyślał, przeciskając się przez gęste poszycie, nie mieliśmy wyboru. Jeden z nas musiał udać się do Long Ridge. Któryś z nas musi odzyskać miecz.

Tymczasem zaś mocno podupadł na duchu. Gęste poszycie tworzyła splątana dziko masa krzewów i opadłych z drzew gałęzi. Byliny i zarośla tworzyły tu tak zwartą masę, jakby ktoś umyślnie polecił im ukryć ścieżki. Nie bacząc na nic, podążył za Ostrzem Burzy do Krainy Elfów, teraz zaś czuł się tu jak intruz.

Ktoś jednak musi odzyskać miecz, jeśli śmierć Kyana-Czerwonego Topora nie miała okazać się daremna. Pójdzie tropem Ostrza Burzy, znajdzie sposób, by je odzyskać, i musi ufać, że Fujara będzie na niego czekał w umówionym miejscu.

Od chwili, kiedy weszli do puszczy, miecz niosła Kelida. Tyorl ofiarował jej swoją pomoc, oferta jego została jednak odrzucona. Stanach nie wiedział, dlaczego dziewczyna tak się upiera. Głównia uderzała ją w nogi niemal przy każdym kroku. Krasnolud pomyślał, że nie chciałby opatrywać takich ran.

Stanach był też ciekaw, dlaczego miecz posiada Kelida. Sprawa zresztą nie miała znaczenia, jedynym istotnym problemem było to, jak odzyskać oręż i dostarczyć go do Thorbardinu.

Nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać. Choć prawdą było, iż bez skrupułów ukradłby Ostrze Burzy, prawdą również było, że nie podjąłby ryzyka okradania elfa w Qualinesti. Nie wiedział, jakie stosunki łączą Kelidę z Tyorlem, wyczuwał jednak, że gdyby okradł Kelidę, równoczesne byłoby to z obrabowaniem Tyorla.

Owszem, elf był ranny, ale rana nie powstrzymałaby go od podjęcia pościgu za sprawcą kradzieży cennej broni; ścigałby go zaś przez puszcę, którą znał od dziecka, a której krasnolud nie

znał wcale. Ucieczka Stanacha nie mogłaby się zakończyć inaczej niż strzałą w plecy, Ostrze Burzy zaś przepadłoby na zawsze.

Nie, rozmyślał posępnie krasnolud. Niech dziewczyna poniesie miecz jeszcze trochę, ja zaś zastanowię się, co czynić dalej.

Tak więc, choć w pozbawionej słońca puszczy drżał z chłodu, podążał za Tyorlem. Zaszedł już za daleko, by teraz patrzeć, jak Ostrze Burzy znika w mrocznych lasach dziedzin elfów.

- Nie ma tu zbyt wielu duchów, prawda? - Drepczący obok Tyorla Lavim podniósł na elfa płonące ciekawością oczy.

- Spodziewałeś się tu duchów, kenderze? - Tyorl uśmiechnął się kącikiem ust.

- Widm i upiorów też, choć podejrzewam, że są jednym i tym samym. Słyszałeś chyba wszystkie te historie o tym miejscu? Są dość niezwykłe, nie sądzisz? Chodzi mi o to, iż wszyscy utrzymują, że gdy raz tu wleziesz, nie ma już drogi powrotnej, potem zaś zaczynają te gadki o istotach pozbawionych serc, dusz... i nawet głów! Skąd oni to wszystko wzięli...

- Lavim, zamknij paszczę - ostrzegł go Stanach. Lavim odwrócił się i, ujrzawszy minę krasnoluda, rzeczywiście zamknął gębę.

Kelida, która od chwili ucieczki z Long Ridge zawzięcie milczała, dotrzymywała kroku wędrowcom, mimo iż miecz nie ułatwiał jej wędrówki. Nie odezwała się teraz słowem, widać było jednak na jej twarzy, że również zaczynają ją dręczyć obawy. Stanach ujął łokieć dziewczyny i zatrzymał ją.

- Tyorl, odpowiedz mi - zażądał. - To miejsce istotnie jest nawiedzone, czy po prostu chcesz nas przestraszyć?

- Jest nawiedzone dokładnie tak samo, jak każde inne miejsce na Krynnie. - Tyorl zatrzymał się i odwrócił, błyskając spod kaptura zmęczonymi oczyma.

Lavim wzruszył ramionami po adresem Kelidy i ruszył ścieżką przed siebie. Zastanawiał się, co też tak trapi Kelidę, i miał nadzieję, że będzie pamiętał, by zapytać ją o to później. Tak czy owak, byli w Puszczy Elfów i

przy odrobinie szczęścia - choć odpowiedź Tyorla była odrobinę niejasna - miejsce okaże się nawiedzone. Lavim wpatrywał się bacznie w gęste, głębokie cienie i rozmyślał, jaką też postać przybierze owo nawiedzenie. Z jego punktu widzenia sytuacja zdecydowanie się poprawiła.

Po kolejnej godzinie marszu, kiedy purpurowy miesiąc już zaszedł, srebrny zaś stał się jedynie połyskiem pośród nisko płynących chmur, Tyorl zatrzymał wędrowców na polance pośród niewielkiej dąbrowy. Kiedy Lavim ofiarował się, że weźmie pierwszą wartę, nikt nie wyraził sprzeciwu.

Tyorl kulejąc dotarł do strumienia, gdzie obmył skaleczenia na twarzy i długą, ale płytką ranę na ramieniu. Stanach zebrał chrust i rozniecił ognisko na noc. Lavim pomyszkował trochę po okolicy i upolował dwa tłuste cietrzewie. Kelida zasnęła, zanim ptactwo zostało oskubane.

Chłodny, niosący wilgoć wiatr igrał z płomieniami ogniska i poruszał skrzypiące gałęzie. Stanach włożył polano do ognia i spojrzął na zachmurzone niebo. - Przed świtem spadnie deszcz - stwierdził.

Tyorl nie zaprzeczył. Tuż poza zasięgiem światła padającego od ognia, trzepocząc cicho skrzydłami niczym nocny cień, przeleciała sowa. Za strumieniem kilkakrotnie zaszczekał lis. Nie opodal niewielkiego zagajnika srebrzystych brzoź, pełniąc nocną wartę, spacerował Lavim. Ani Stanach, ani Tyorl nie spodziewali się, iż kender wytrzyma tak długo i choć się nie umawiali, obaj czuwali na wszelki wypadek. Tyorl oparł się o pień dębu i wyciągnął nogi w stronę ogniska. Syty i rozgrzany ciepłem ogniska, rozsiadł się niemal całkowicie uspokojony. Uśmiechając się do siebie leniwie, jak człowiek doskonale poinformowany, przesunął kciukiem po szczęce. - No, krasnoludzie,

mów, nie krępuj się. - Co mam powiedzieć? - Zapatrzony w ogień Stanach podniósł głowę.

- To, co dusiłeś w sobie przez cały wieczór. To, co masz na języku za każdym razem, gdy spoglądasz na miecz Kelidy. To piękna broń i zastanawiasz się pewnie, jak zwykła dziewczyna weszła w posiadanie takiego miecza. - Tyorl kiwnął głową w tę stronę, gdzie z jedną ręką pod głowę i drugą na rękojeści miecza spała Kelida. - Musiałeś spostrzec, że niezbyt dobrze sobie z nim radzi. - Skąd ona go ma? - To właśnie owo pytanie? - Jedno z wielu - odparł Stanach cierpkim tonem. - Cóż, sądzę, że to uczciwe postawienie sprawy. To podarunek. - - Od kogo? - A czy to ważne?

Stanach przez chwilę patrzył, jak płomienie liżą dębowe i hikorowe polana. Wyzwanie brzmiące w słowach Tyorla było dość łagodne. Wymagało jednak odpowiedzi. Krasnolud wetknął palce w czarną brodę i zaczął ją delikatnie skubać. Przypomniawszy sobie słowa Fujary. „Za wszelką cenę postaraj się odzyskać miecz”. Westchnął ciężko.

- Ważniejsze niż przypuszczasz. - Kiwnięciem dłoni wskazał spoczywający pod ręką Kelidy miecz. - Nazywa się Ostrze Burzy.

Przez niewielką polankę przefrunęły brązowe, zetlałe liście, szeleszcząc o skały na brzegu strumienia i cicho szepcząc coś wśród zarośli. Na moment spoza chmur pojawiło się światło czerwonego miesiąca, zabarwiając wszystkie cienie purpurą. Tyorl pochylił się. - Dobre imię. Skąd je znasz?

- Nie ja wykułem to ostrze, jeśli tak sądzisz. Nieco powyżej jelca na głowni jest znak płatnerza, który ją wykuł: miecz skrzyżowany z młotem. Ostrze to jest dziełem Isarna Hammerfella z Thorbardinu, on też nadał mu nazwę. Na rękojeści zaś, tam gdzie jej nie wygładzono, jest jeszcze szorstkie miejsce. Sprawdź, jeśli mi nie wierzysz.

- Widziałem jedno i drugie. Stanachu, przyjacielu, nadal mi nie odpowiedziałeś. Jak ważne i dlaczego jest, kto dał miecz Kelidzie?

- Z powodu Ostrza Burzy płynęła już krew godnych mężów. Płynęła też krew nędzników. Wiem o czterech, którzy dali gardła, próbując dostać ten miecz w swoje ręce. Jeden z nich, krasnolud, Kyan-Czerwony Topór, zginął zaledwie dwa dni temu. Był moim krewniakiem.

Tyorl oparł się plecami o pień drzewa. Nagle przypomniał sobie dwóch krasnoludów u Tenny'ego i zainteresowanie, z jakim przyglądali się rzucaniu sztyletów.

Od tamtej nocy nikt w Long Ridge nie widział ani Hauka, ani tych krasnoludów. Przedtem nie istniał powód, dla jakiego miałby łączyć zaginięcie Hauka z krasnoludami. Teraz sytuacja się zmieniła. - Mów dalej - powiedział.

Stanach usłyszał napięcie w głosie elfa, udał jednak, że nie zwraca na nie uwagi. Elf pragnął usłyszeć całą historię i krasnolud wiedział, że opowiedział już zbyt dużo, by teraz czynić spieszne poprawki.

- Nie mam wprawnoego języka, elfie, a historia w istocie godna jest opowieści. Ten miecz wykuto w Thorbardinie dwa lata temu... wtedy też go skradziono. Mój than, Hornfel, i drugi, zwany Realgarem, od tamtej chwili zaciekle go poszukują. Nie tak dawno temu do Thorbardinu dotarły

- wieści, że widziano Ostrze Burzy. Miał je leśny zwiadowca i tropiciel, ostatnio zaś widziano go w Long Ridge.

- Krasnoludzie! - prychnął Tyorl. - To tylko miecz! Ludzie, owszem, zabijają się mieczami, ale nie z ich powodu!

- Dla tego jednego krasnolud gotów będzie zabić. To Miecz Królewski. Bez niego nikt nie może władać krasnoludami. - Stanach wzruszył ramionami. - Ten, kto posiada ów miecz, będzie rządził w Thorbardinie. - Dobry powód, by go pożądać... dla siebie.

On jest mieszkańcem Krain Zewnętrznych, przypomniał sobie Stanach. Krasnolud przywołał na

pomoc całą swą cierpliwość i spróbował wyjaśnić, w czym rzecz.

- Mnie na nic by się nie przydał. Jestem tylko płatnerzem. Nie mam armii popierającej me żądania tak jak Realgar. Bez popierających mnie wojowników moja rewolucja skończyłaby się żałością.

- Założę się, że temu Hornfelowi wojowników nie brakuje. - Tyorl wzruszył ramionami. - Nie mylisz się. - A ty sam... słyszysz mu?

- On jest moim thanem - odparł prosto Stanach. - Pomagałem wykuć ten miecz dla niego. Byłem tam wtedy, gdy... gdy Reorx dotknął głowni. - Milczał przez chwilę, wpatrując się w płomień i dotykając odcisków na dłoniach. - Tyorlu, bóg nie uczynił tego od trzystu lat. Żaden zaś miecz nie stanie się Królewski bez boskiego dotyku. Ja... ja miałem go strzec. Odwróciłem się tylko na chwilę i... - I go straciłeś. Stanach zaciął się i milczał, dopóki elf nie poprosił go, by mówił dalej.

Dziwna to była historia. Tyorl niezbyt dobrze pojmował zawilosci wewnętrznej polityki krasnoludów, zrozumiał jednak szybko, że dla Stanacha i dwóch thanów, którzy pragnęli zdobyć Królewski Miecz, Ostrze Burzy było czymś więcej niż tylko pięknym okazem sztuki płatnerskiej. Było talizmanem, który połączy rozdartą na frakcje Radę Thanów.

Elf słuchał uważnie, zastanawiając się równocześnie, czy krasnoludy wiedzą, że Verminaard w tej właśnie chwili układa plany przeprowadzenia swej armii na wschodnie podnóże Gór Kharolis. Smoczy Władca od dawna pożywał Thorbardinu.

Jego bogowie to bóstwa elfów. Był wśród nich Paladine i władca puszczy, królewski poeta - Astra. Teraz jednak zapatrzone w gęstniejące pod drzewami cienie, przemykające przez brunatne dywany dębowych

liści, Tyorl rozpoznał wśród nich wzór, który mogła utkać jedynie dłoń Takhisis, Królowej Mroku. Poczawszy nagły dreszcz, przysunął się do ognia.

- Jeśli przyjrzałeś się mieczowi - mówił tymczasem Stanach - widziałeś smugę czerwieni na ostrzu. To znak boskiej kuźni, odblask płomieni paleniska Reorxa. Widziałem, jak ta głownia wyłaniała się z żaru i gdy stał ostygła, ujrzałem boski znak. To Królewski Miecz i krasnolud, który będzie go posiadał, zasiądzie w Thorbardinie na tronie jako królewski regent. Żaden than nie władał wszystkimi dziedzinami krasnoludów od trzystu lat. Niełatwo żyć bez króla... Zawsze będzie brakowało czegoś... do czego się tęskni, a odnaleźć tego nie można. Wiemy już, że nigdy nie będziemy mieli Wielkiego Króla. Młot Kharasa przeszedł już do legendy; nigdy nie zostanie odnaleziony, ale Ostrze Burzy da nam króla regenta, królewskiego namiestnika, ten zaś będzie dzierżył tron dla władcy, który nigdy się nie pojawi. Jeśli owym regentem zostanie Realgar, krasnoludy w Thorbardinie popadną w okowy niewolnictwa. On jest derro, magiem i wyznawcą Takhisis. Takhisis będzie władać w Thorbardinie... i to bez walki. By zdobyć Ostrze Burzy, Realgar nie cofnie się przed niczym... zabijał już zaś ze znacznie drobniejszych powodów. - Z płomieni wysunęło się jedno bierwiono, długie i ozdobione koronkami popiołu. Stanach wepchnął je nogą na miejsce. - Myślę zresztą, że nie jest ważne, skąd Kelida ma ten miecz.

- Mylisz się, krasnoludzie - Tyorl pochylił się. W błękitnych oczach elfa błysnęła stal, nie ustępująca twardością głowni jego lśniącego w blasku płomieni sztyletu.

- Ach, tak? A dlaczegoż to? - Stanach wyprostował się, wpatrzony w sztylet.

- Ponieważ dostała go od mojego przyjaciela. Tego banity, o którym wspominałeś. On zaś zaginął dwa dni temu. Wiesz coś o tym? Czy dwaj krasnoludowie, którzy byli w gospodzie tej samej nocy, kiedy przepadł Hauk - jeden z nich jest jednooki - nie są przypadkiem twymi znajomymi?

- Nie. Nie są. - Stanach poczuł przenikający go do szpiku kości chłód. W Long Ridge pojawili się wysłannicy Realgara. Opuściłem Thorbardin w towarzystwie Kyana-Czerwonego Topora i pewnego

człowieka, maga zwanego Fajarą. Kyan nie żyje. Fajara czeka na mnie wśród wzgórz. Do Long Ridge przybyłem sam. - Zastanawiam się, czy nie łżesz?

- A myśl sobie, co chcesz! - Nie wytrzymał Stanach. Przypomnił sobie Kyana i bezlitosne wrzaski kruków. - Tamci dwaj nie byli moimi

- znajomkami. Najpewniej należeli do szajki Realgara. Założę się, że przynajmniej jeden z nich jest magiem. Niewątpliwie też zaczęli się na twego druha i nie znaleźli przy nim miecza, ponieważ wcześniej dał go dziewczynie. Tyorlu, jeśli ci dwaj w istocie są magami, mogli go zabrać do Thorbardinu, zanim nawet zdążyłeś się zorientować, że gdzieś przepadł. Jeśli jeszcze żyje, więzi go Realgar. Ja sam wolałbym dać się zabić, niż dostać się w jego łapy. I wiedz, że derro użyje wszelkich sposobów, by dowiedzieć się, gdzie znajduje się teraz Królewski Miecz.

Najpewniej, pomyślał Stanach, zatrzymując tę myśl dla siebie, tropiciel jest już martwy. Jeśli miałyby zdać się na miłosierdzie Realgara, nie przeżyłby nawet dwóch dni. Hauk jednak nie zdradził się ani słowem. W oczach elfa ujrzał mrok i zrozumiał, że Tyorl doszedł do tego samego wniosku. - Owszem, ty wiesz - szepnął do siebie Stanach.

- Wiem jedynie, że któryś z nas musi podjąć wartę. - Tyorl potrząsnął głową. - Kender gdzieś przepadł.

Nie wątpisz w to, że powiedziałem prawdę, pomyślał Stanach. Nie podejmiesz ryzyka, skoro ktoś gotów jest zabić dla Ostrza Burzy i podąży teraz za nami i dziewczyną.

- Ja popilnuję ognia. - Kiwnął głową w stronę bielejących w mroku brzoź. - Ty się zdrzemnij.
- Kender to twój przyjaciel. - Tyorl potrząsnął głową. - Uderzyła mnie właśnie myśl, że niezwykle dogodnym dla ciebie zbiegiem okoliczności kender przepadł gdzieś właśnie teraz, zostawiając ci wartę... i stwarzając możliwości odzyskania miecza.

- Ba! - prychnął Stanach. - I gdzie miałbym z nim pójść? Owszem, do Thorbardinu... jeśli potrafiłbym odnaleźć kierunek. Może i mógłbym zabić cię podczas snu? I cóż by mi z tego przyszło? Zanim wydostałbym się z tej puszczy, umarłbym ze starości. - Stanach uśmiechnął się niewesoło. - Lavim utrzymuje, że ten, kto wkracza do Puszczy Elfów, nie wydobędzie się z niej bez elfa, który wskaże mu drogę. Idź spać. Pogadamy rano.

Tyorl, który ufał krasnoludowi w Long Ridge, nie ufał mu teraz. Pokładał jednak zaufanie w puszczy. Nie miał pojęcia, jak postąpiłby krasnolud, gdyby nie strach przed Qualinesti. Choć zapewnienia Stanacha brzmiały szczerze, Tyorl zastanawiał się, czy w istocie są szczerze.

Wilgoć i idący od drzew przejmujący chłód spowodowały, że Kelida zwinęła się w kłębek. Z opowieści, jaką Stanach podzielił się z Tyorlem, usłyszała dostatecznie wiele, by zrozumieć, że miecz, który tak poobcierał jej uda, teraz zaś leżał tuż pod jej dłonią, nie jest zwykłym orężem.

Obudziła ją ich rozmowa, choć mówili dość cicho. Była zresztą rada, że się obudziła. Jej sen był jednym ciągiem koszmarów o płomieniach i śmierci.

Nie chciała podsłuchiwać, kiedy jednak usłyszała wzmiankę o mieczu i jego nazwie, nie umiała się powstrzymać od nadstawienia uszu. Hauk! Czy żyje jeszcze? Czy jest więźniem tego Realgara?

Zamknęła oczy i przypomniała sobie, jak wyglądały jego dłonie, mocne i pokryte odciskami, kiedy składał u jej stóp miecz - Ostrze Burzy. Przypomniała sobie, jak się uśmiechał i jak załamywał się jego głos, kiedy ją przeproszał. Co się z nim stało?

„Jeśli jeszcze żyje, więzi go Realgar. Ja sam wolałbym dać się zabić, niż dostać się w jego łapy”.

Nie opodal niej spał Tyorl. Stanach pełnił wartę po drugiej stronie ogniska. Blask płomieni połyskiwał na kolczyku w uchu krasnoluda i lśnił czerwienią w splotach jego brody. Gdy sięgnął po kolejne polano, by podsycić ogień, Kelida podniosła się i usiadła. Krasnolud kiwnął tylko głową.

Kelida odrzuciła w tył kosmyk włosów i podała mu kolejną gałąź.

Wziął i podziękował. Zdumiało ją, że jego głos, w rozmowie z Tyorlem głęboki i groźny, potrafi zabrzmieć tak łagodnie i miękko. Pod wpływem tej myśli obdarzyła Stanacha nieśmiałym uśmiechem. Krasnolud nie odwzajemnił uśmiechu, jego posępne oczy spojrzały jednak na nią nieco przyjaźniej.

Ośmielona usiadła obok niego. Nie przysiadła na tej samej kłodzie, zajęła miejsce na ziemi i oparła się o pień. Nie oderwała też wzroku od roztańczonych płomieni ogniska.

Ze smoczej paszczy trysnęła smuga ognia gorętszego niż płomień tysięcy pochodni. Krzyknęła rozpaczliwie, gdy ogień spadł na wysuszone jak huba gonty dachu farmy. Domek, w którym znajdowali się jej braciszek i matka, eksplodował jak fajerwerk. Przez jeden, ciągnący się straszliwie moment, Kelida widziała twarze matki i brata. Chłopiec krzyczał przeraźliwie, a zastygłe na jego twarzy łzy miały barwę krwi i lśniły ognisćcie. Matka, pochylona nad synem, jakby chciała własnym ciałem zasłonić go od żaru, miała na twarzy wyraz dziwnie pomieszanej rozpacz i rezygnacji.

Potem nie było już nic prócz dwóch małych pochodni w podpalonym domu.

Obozowe ognisko nie potrafiło ogrzać Kelidy. Wzdrygnęła się, przypominając sobie śmierć nikomu nie wadzących członków swej rodziny.

- Stanachu, gdzie podział się Lavim?

Gdzieś go poniosło, jak to kendera. - Krasnolud wzruszył ramionami. - Wróci pewnie dopiero przed świtem. - Szuka duchów, pomyślał. Nie powiedział jednak tego na głos.

- Czy podziękowaliśmy wam za to, że uratowaliście nam życie? - spytała dziewczyna.

Nie odpowiedział od razu. Przez chwilę siedział bez słowa, jakby sam zadawał sobie to pytanie. - Nie - rzekł w końcu.

- Przykro mi. Dawno już powinniśmy to uczynić. Dziękujemy. Gdyby nie ty i Lavim, Tyorl byłby już martwy, mnie zaś... mnie zaś... - Głos ją zawiódł i umilkła na chwilę. W syku płomieni znów usłyszała nikiłe szepty z własnych koszmarów.

- Nie myśl o tym. - Stanach potrząsnął głową. - W końcu nic się nie stało. Powiedz mi natomiast, jak doszło do tego, że znalazłaś się przy barykadzie z Tyorlem. - Żegnałam się z nim. Opuszczał Long Ridge. - Aha.

- Nie, nie jest tak, jak myślisz. - Kelida spojrzała mu w oczy i zapłonęła rumieńcem. - Ja... ja znam go dzień, może dwa. Gdy Hauk podarował mi ten miecz i nie można go było nigdzie znaleźć, postanowiłam, że oddam oręż Tyorlowi. On jednak nie chciał go przyjąć. Powiedział, że Hauk może kiedyś wróci po broń.

Stanach uśmiechnął się. Teraz już rozumiał. Dziewczyna nie interesowała się Tyorlem. Obchodził ją natomiast, i to bardzo, los zaginionego, buntowniczego tropiciela. Krasnolud usłyszał to w jej głosie i zobaczył w sposobie, w jaki patrzyła na Ostrze Burzy. Miecz mógł mieć rękojeść z ołowiu, szafiry mogłyby być kamykami z dna strumyka. Miecz należał jednak do Hauka i tylko to miało w oczach Kelidy jakieś znaczenie.

Tyorl jednak widział sprawy zupełnie inaczej. Dziewczyna znaczyła dlań wiele. Nie inaczej, oczy elfa bywały niekiedy surowsze niż klejnoty w rękojeści Ostrza Burzy, nigdy jednak, gdy spoglądał na Kelidę albo o niej mówił. Była to sprawa, nad którą Stanach musiał jeszcze pomyśleć.

- Kelido - odezwał się do dziewczyny - czy twoja rodzina nie będzie się trapiła, gdzie się podziałaś?

- Mój ojciec, matka i Mival, mój mały braciszek... - Kelida zaczerpnęła tchu. - Wszyscy nie żyją. Mieliśmy farmę w dolinie. Nadleciał smok i... i... Stanach odwrócił wzrok i wpatrzył się w mroczną i milczącą puszcę.

Krasnolud pomyślał, że powiewy wiatru wśród drzew brzmią jak wycie łupieżców. Poczul się nagle jak ktoś, kto z czystej ciekawości gapi się na broczącą krwią ranę obcego człowieka.

- Cyt, Kelido - szepnęła łagodnie. - Nic już nie mów. Widziałem, jak wygląda dolina.

- Nie mam nikogo, kto by się o mnie martwił... - Dziewczyna westchnęła ze smutkiem.

Wedle ludzkiej miary była urodziwa. Stanach spoglądał na nią z ukosa. Ile mogła mieć lat? Może dwadzieścia. Niełatwo było to określić. Wysocy i jasnowłosi synowie wieśniaków z Long Ridge ciągnęli pewnie ku jej zielonym oczom niczym ćmy do światła świecy. Tutaj, w głębinach mrocznej puszczy, jej oczy nie były jednak oczami kobiety, przypominały krasnoludowi oczy zbłąkanego dziecka - były wielkie, przestraszone i ze zdumieniem wpatrywały się w nagle oszalały świat.

Dwadzieścia lat! Stanach, który w tym wieku był zaledwie dzieckiem i który nigdy nie umiał zrozumieć, jak kogoś, kto żył tak krótko, można uważać za osobę dorosłą, widział w Kelidzie tylko małą dziewczynkę.

Dziewczynkę, która jest na świecie sama jak palec. Ludzie bowiem mają jedynie rodzinę, wszyscy zaś, którzy do niej nie należą, uważani są za obcych. Nie istnieją wśród nich klany i nie można czerpać z głębokiej studni zrozumienia i współczucia krewniaków, gdy umrze ktoś bliski, ojciec, brat czy dziecko. Stanach usiłował sobie wyobrazić, jak to jest, i nie potrafił. Bardzo rzadko zdarzało się, że za wielką zbrodnię przeciwko klanowi jakiegoś krasnoluda ogłaszano banitą i wyrzutkiem. Bezklanowców wszyscy unikali, niektórzy najwyżej im współczuli. Sytuacja Kelidy była jednak inna. Musiała czuć się jak krasnolud, którego najbliższa rodzina i wszyscy krewniacy, wujowie, ciotki, kuzyni... wszyscy noszący to samo nazwisko, byliby martwi.

Stanach wzdrygnął się. Tego nie mógł sobie nawet wyobrazić. Cisnął w płomienie kolejne polano i patrzył przez chwilę na mały fajerwerk iskier. Blask ogniska zalśnił na złotej rękojeści Ostrza Burzy, przemienił srebrny opłot w rudawą siateczkę i zatańczył na powierzchni szafirów.

Krasnolud pogładził się po brodzie. A więc banita nie jest dziewczynie obojętny... - Ten Hauk... Długo go znałaś?

- Nie. Tyle tylko, że dał mi ten miecz. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - To dość głupia historia. - Uśmiech znikł natychmiast z jej warg. Szmaragdowe oczy dziewczyny pociemniały i posmutniały. - On już nie żyje, prawda? Słyszałam, jak rozmawiałeś z Tyorlem.

-

Stanach miał już jej powiedzieć, że Hauk rzeczywiście nie żyje. Jak mogłoby być inaczej? I wtedy krasnolud pojął, że jeśli ona sądzi, iż Hauk naprawdę żyje i jest więźniem Realgara, zaciekle i zuchwale odmawiającym zdradzenia, gdzie jest miecz, by ją chronić, ona - być może - odda mu miecz. Zrobi to jednak jedynie wtedy, gdy zdoła ją przekonać, że ten czyn uratuje Hauka od śmierci. Nietrudno natomiast będzie ją przekonać, że jeśli miecz dostanie się w ręce Realgara, Hauk na pewno zginie. Theiwar nie może wypuścić go żywego, istniała bowiem możliwość, że Hauk zdołałby ostrzec kogoś, kto potrafiłby pokrzyżować plany podstępного maga.

W ten sposób dziewczyna odda mu miecz. Nikłe były szanse, że uratują Hauka, Stanach wiedział jednak, iż Kelida podejmie to ryzyko. Przydźwigała Ostrze Burzy do puszczy i spała z dłonią na jego rękojeści. Dla niej miecz należał do Hauka, ona zaś nie pozwoli nikomu nawet go dotknąć... chyba że oddając miecz, uratuje Haukowi życie.

Spojrzał na dziewczynę. Kelida objęła ramionami kolana, złożyła na nich główkę i zasnęła. Biedna, mała kobietka, zakochana w tropicielu -choć pewnie sama jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy.

Stanach lekko dotknął jej ramienia. Dziewczyna uśmiechnęła się doń pytająco, on zaś kiwnął głową. - Połóż się wygodniej. Już wkrótce nadejdzie ranek.

Wróciła do wyziębionego legowiska i miecza. Resztę czasu Stanach poświęcił na dopracowanie szczegółów coraz wyraźniej rysującego się planu i zwalczanie coraz mocniej gryzących go wyrzutów sumienia. „Za wszelką cenę postaraj się odzyskać miecz”, powiedział mu Fujara.

Zastanawiał się, gdzie podziewa się mag, rozmyślał, czy jest bezpieczny i czy nadal czeka przy stercie głazów, która wyglądała jak cairn. Czterech na jednego. Tak, ale ten jeden jest magiem. To pewna różnica. Za wszelką cenę postaraj się odzyskać miecz. Dobrze, Fujaro. Nie robię nic innego.

Rozdział dziesiąty

Lavim wrócił do kompanii, kiedy niebo pojaśniało o świcie. Przemoczony i drżący kender żałował, że w Long Ridge nigdzie nie znalazł choćby butelczyny krasnoludzkiego trunku. O biodro kendera objęła się pusta manierka. Niektórzy nazywali ów krzepki napitek Białym Gromem. Lavim zawsze uważał, iż ten trunek grzeje tylko nieco słabiej niż dobry kominek.

Niekiedy jest nawet lepszy, pomyślał, wkładając dłonie do kieszeni nie dopasowanej opończy i kuląc się w podmuchach przenikliwej, zimnej mżawki. Nie znalazł w puszczy żadnych duchów, widm czy upiorów - bezgłowych ani tych z głowami. Jak na puszcę, o której wszyscy mówili z lękiem, Qualinesti okazało się okropnie nudnym miejscem. Coś znacznie ciekawszego czekało go na miejscu w obozie.

Siedzący po drugiej stronie ogniska Tyorl mierzył krasnoluda gniewnym spojrzeniem. Kelida, zacisnąwszy szczęki, nie patrzyła na żadnego z nich. Jej zielone oczy miały dziwnie twarde wyraz.

Czymś się przejęła, pomyślał Lavim. Pamiętając o zeszywniałych z chłodu kolanach, kender ostrożnie uklęknął przy ognisku. Potem wysunął przed siebie dłonie tak daleko, jak tylko się odważył, i spojrzał z ukosa na Stanacha. - W czym sęk?

- W uporze - warknął krasnolud. - W prostackim, przeklętym uporze elfów. - Stanach cisnął w płomień drewnianą szczapę i spojrzał na Tyorla z drwiną i wyzwaniem w oczach. - Powiedz mi więc, elfie, czy zaryzykujesz i przyjmiesz, że twój przyjaciel nie jest więźniem Realgara? Zamierzasz zostawić go bez pomocy... i to z powodu miecza? Cóż, przypuszczam, że gdy sprzedasz ten oręż, dostaniesz tyle, że powetujesz sobie wszelkie dotychczasowe niedostatki.

- Powiem ci coś, krasnoludzie - Tyorl utkwiał w krasnoludzie spojrzenie lodowatych oczu. - Nie oddam ci miecza Hauka tylko dlatego, iż

- opowiedziałeś Kelidzie tę ładną bajeczkę. Pójdę tam, gdzie miecz.

- A dokąd się wybieramy? - Lavim nadstawił ucha. Nikt mu nie odpowiedział.

- Dobrze więc - rzekł Stanach do Tyorla. - Chodź ze mną. Myślę, mości elfie, że cię przekonam. Jeśli nie, będzie tam Fujara, który potwierdzi moją opowieść. - Stanach zaśmiał się cierpko. - Myślę, że zgodzisz się ze mną, iż nawet jeśli by kłamał, bez moich podpowiedzi nie potrafiłby wymyślić tej samej historii. Więc chodź ze mną. Przepytaj go, jak chcesz; ja nie odezwę się słowem. Jeśli jednak masz pójść ze mną, decyduj się szybko. Fujara nie będzie czekał zbyt długo, potem pomyśli, że zginałem. Wtedy ja ruszę do Thorbardinu. - Krasnolud uśmiechnął się ponuro. - I myślę, że ty też.

- Kim jest Fujara? - Twarz Lavima wyglądała jak uplecione ze zmarszczek uosobienie zdumienia. - Dlaczego miałby myśleć, że już nie żyjesz? Naprawdę udajemy się do Thorbardinu? Stanachu, nigdy tam nie byłem! Nie wyobrażam sobie zresztą, byśmy gdzie indziej mogli znaleźć lepszy trunek krasnoludzki. - Lavim spojrzał na elfa. - Kelida idzie z nami? - Nie - stwierdził Tyorl.

Milcząca aż do tej chwili Kelida uniosła głowę i powiedziała stanowczo: - Owszem, idę. - Tyorl wykonał gest, jakby zamierzał się spierać. Kelida jednak nie dopuściła go do głosu. - Idę razem z mieczem. Nie mogę wrócić do Long Ridge. Nie potrafiłabym znaleźć powrotnej drogi i... - Przerwała na chwilę. Jej oczy rozbłyły niemal groźnie.

- Miecz jest mój! Sam to powiedziałaś. Jeśli Hauk jeszcze żyje... wszystko, przez co musiał

przejsć, wycierpiał dla mnie... chciał mnie chronić. Łatwo było ci rzec, iż miecz jest mój, kiedy sądziłeś, że Hauk szybko po niego wróci, kiedy myślałeś, że powiem mu, dokąd się udajesz. Wtedy miecz był mój. Nadal taki pozostaje i wydaje się, że jestem jedyną osobą na świecie, która ma prawo decydować, gdzie z nim podążyć.

- Hauk? - Lavim usiłował zorientować się, o kim mowa. Powinienem być zostać na noc w obozie, pomyślał. Najwyraźniej stracił coś ważnego. - Jaki miecz? - Gdy zobaczył leżącą na kolanach Kelidy klingę, jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. - A, mówisz o tym mieczu?

Stanach położył na ramieniu kendera pokrytą odciskami dłoń. - Spokojnie, staruszk, zachowaj pytania na potem. - Krasnolud spojrział pytająco na Kelidę. - Idziesz ze mną? - Owszem... -

- Dziewczyno! - wpadł jej w słowo Tyorl. - Czy wiesz, w co się pakujesz?

- W coś gorszego niż to, co już mnie spotkało? Tyorl nie odpowiedział. To zresztą nie miało znaczenia.

Podczas nocnej rozmowy coś powstrzymało go od opowieści o Finnie i partyzantach. Teraz rad był ze swej powściągliwości. Ludzie Finna czekali tuż poza granicami Qualinesti. Tyorl był pewien, że Finn odnajdzie ich trop i natknie się na nich wcześniej, niż Stanach spotka maga, Fujarę. Tyorl wyłoży całą sprawę dowódcy: pokaże mu miecz, powtórzy opowieść krasnoluda, powiadomi też Finna, że Verminaard przenosi swą bazę na przedgórze Kharolis. Finn podejmie decyzję, jak postąpić.

- Niech więc tak będzie, Kelido - powiedział. - Będiesz jednak potrzebowała cieplejszej odzieży. - Podniósł dłoń, uprzedzając protesty Stanacha. - Znam miejsce, gdzie możemy znaleźć dla niej kilka rzeczy. To niedaleko i po drodze. - Gdzie mianowicie? - Stanach wsunął w ogień kolejne polano.

- Gdzie? - zawtórował coraz bardziej zagubiony i zdezorientowany Lavim. - W Qualinoście.

Słońce przebiło się przez zaporę nisko wiszących, ołowianych chmur i smugi jego ciepłych promieni padły na miasto. Na narożnikach grodu, dokładnie na północy, południu, wschodzie i zachodzie wzniesiono cztery strzeliste wieże z najbielszego marmuru. Ze śnieżną bielą kamienia, z którego zbudowano wieże, harmonizowały wplecione w nią delikatne żyły czystego srebra. Z północnej wieży wychodził kruchy na pozór i delikatny łuk, który przebiegając wysoko ponad grodem, łączył ją z wieżą południową. Taki sam łuk łączył iglicę wschodnią i zachodnią. W ten sposób wyznaczono granice miasta.

W samym sercu stolicy elfów wznosiła się, siejąca blask żywszy od słonecznego, Wieża Słońca. Oblicowana lśniącym złotem wieża od stuleci była domem Mówcy Słońca. Jak cały Qualinost stała teraz pusta, ponieważ Mówca powiódł swój lud na wygnanie.

Miasto elfów, Qualinost, zbudowały niegdyś krasnoludy wedle projektu elfów. W owych czasach obie rasy przyjaźniły się serdecznie i nie dzieliła ich wzajemna niechęć. Tyorl wkroczył w granice rodzinnego miasta z sercem rozdieranym na przemian radością i smutkiem.

Przepełniała go radość, bo może to ostatnia okazja do wizyty; smutek zaś budził w nim widok opustoszałego i porzuconego, choć pięknego miasta, które niegdyś tętniło radością i życiem.

Po ulicach porzuconego miasta hulał zimny, jesienny wiatr, łkając w fasadach budynków niedawno jeszcze pełnych życia. Wiatr bawił się złocistymi liśćmi niezliczonych osik, którymi obsadzono miejskie aleje. Kiedyś dźwięczał tu śmiech, dziś szelest wiatru w gałęziach drzew brzmiał ostro i przenikliwie.

W podmuchach wiatru Tyorl słyszał spokojny śmiech ojca i śpiew siostry. Gdzież oni są teraz?

Udali się na wygnanie z resztą swego ludu. Tyorl rozmyślał przez chwilę, czy kiedykolwiek jeszcze ich zobaczy. Potrząsnął głową, chcąc zapomnieć o nich i dręczących go pytaniach.

Pałace, sklepy i wszystkie budowle Qualinostu wzniesiono z górskiego kryształu o barwie świtu. Pałace również stały puste, w ich oknach czaił się mrok, a w bramach cienie postaci znajomych jedynie Tyorłowi. Ulice i aleje Qualinostu wyłożono tłuczonym kwarcem. Wzdłuż lśniących ścieżek, niczym odciski brudnych kciuków, ciągnęły się czarne kręgi sadzy i kupki szarego popiołu.

Kelida wzdrygnęła się i oparła o gruby, szary pień osiki. Miasto nie zostało złupione i spustoszone, było jedynie opuszczone, czuła tu jednak tę samą desperację i rozpacz, jakich doznawała, gdy spoglądała na poczerńiałe zgliszcza własnego domu.

Stanach, który swój własny dom zaliczał do życiowych skarbów, rozumiał smutek Tyorła. Przeniósł wzrok z pozbawionego ojczyzny elfa na dziewczynę, która straciła rodzinę, i wzdrygnął się mimo woli.

Ciszę przerwał Lavim. W niskim, beztrioskim głosie kendera nie było nic, co wskazywałoby, że podziela żal elfa czy współczucie krasnoluda. Przystanął obok Tyorła i wskazał palcem najbliższą kupkę popiołu.

- Tyorl, co to jest? Wygląda mi to na pozostałość po obozowym ognisku, ale jest tu tego za wiele.

- Przyjacielu, to nie ogniska obozowe. - Tyorl przyjrzał się temu, na co wskazywał kender. - Nie było mnie tutaj, powiedziano mi jednak, że mieszkańcy spalili to, czego nie mogli ze sobą zabrać. To stosy pogrzebowe... są rodzajem wyboru sposobu życia.

- Tyorl, to hańba! - Lavim wetknął pod pachy posiniałe z zimna dłonie. - Jeśli miałbym coś o tym rzec, to palenie jest najgorszym z wyborów. Cokolwiek to było, ukryłbym to albo zabrał w jednym z worków lub sprzedałbym jakiemuś gnomowi, który handluje starzyzną. Palenie to taka strata... Teraz będziecie musieli zaczynać wszystko od początku.

- Nigdy już nie będzie tak samo. Miasto się zmieniło. Powiedział to tak, jakby mówił „przepadło” lub „umarło”. Stanach potrząsnął głową. -

- Wszystko, co żyje, ulega zmianom - powiedział łagodnie. - Zmieniają się nawet elfy.

- Nie, krasnoludzie. - Spojrzenie błękitnych oczu Tyorła, przed chwilą jeszcze smutne, stało się niczym dwie bryłki lodu. - Nie znaliśmy zmian od wielu stuleci. Jediną zmianą, jaką uznają elfy, jest śmierć.

Stanach prychnął z irytacją, żałując próby pocieszenia zrozpaczonego towarzysza.

- Tyorlu, jesteś więc już martwy i bezużytecznie tracisz powietrze, które przydałoby się komu innemu. Wasze miasto, wasz sposób życia uległ zmianie. Może więc powinniśmy cię więc uważać nie za elfa, lecz za ducha, co? Tyorl zaczerpnął tchu, by odpowiedzieć.

- Może. - Odwrócił głowę i spojrzał na martwe miasto. Lavim patrzył na elfa, który powiódł Kelidę za sobą. Kose oczy kendera zwęziły się, gdy machinalnie okręcał wokół palca koniec białego warkocza.

- Stanachu - spytał - jeśli elfy spaliły wszystko przed porzuceniem miasta, co Tyorl spodziewa się tu znaleźć dla Kelidy?

- Nie mam pojęcia. - Stanach wzruszył ramionami. - Od chwili, kiedy zbliżyliśmy się na odległość mili do tego miejsca, przekłety elf bardziej wygląda na widmo niż na żywą istotę. Może stworzy coś dla niej siłą ducha. - Krasnolud ruszył drogą. - Chodźmy, Lavim. Im szybciej się stąd wyniesiemy, tym lepiej dla nas.

Lavim bez słowa przyłączył się do krasnoluda. Nie rozumiał połowy spraw, jakie działy się wokół niego. Miecz Kelidy, jakiś zaginiony tropiciel i do tego paru krasnoludzkich thanów. I kim jest ten Fujara?

Mały, drewniany jelonek, dzięki sztuce artysty na wieki zastygły w pełnym wdzięku skoku, leżał na samym szczycie stosu beładnie rzuconych srebrnych naszyjników i zausznic. Zabawka dziecięca

wśród klejnotów matki. Stanach sięgnął po jelonka tak delikatnie, jakby zwierzę naprawdę żyło. Obrócił go w dłoni i uśmiechnął się. Na brzuchu, kilkoma zręcznymi pociągnięciami dłuta, które można by uznać za próbę oddania splątanej sierści zwierzęcia, widać było wyrzeźbione kowadło skrzyżowane ze stylizowaną runą F. Trzymał w dłoni wyrób krasnoluda.

Odłożył delikatnie zabawkę i rozejrzał się po komnacie. Panował tu ogromny bałagan.

Pięknie tkane kilimy, dywany i miękkie, wyszywane jedwabiem poduszki leżały na posadzce, porozrzucane w pośpiechu. Pomiędzy nimi widać było przewróconą toaletę, na której pięknie wymalowano scenę z polowania. Toaletę również przewrócono podczas rozpaczliwych przygotowań do ucieczki.

Do pokoju wpadł Lavim, trzymając naręcze przypadkowo dobranej odzieży. - A, tu jesteś. Tyorl powiedział, żeby Kelida to przymierzyła. - A gdzie ona przepadła?

- Bierze kąpiel. Nalegała, więc Tyorl dał spokój sprzeciwom. Powiedział, że będzie miał trochę czasu, by rozejrzeć się za rzeczami dla niej. - Lavim zwałił naręcze odzieży na podłogę, potem przykucnął obok i zaczął radośnie szperać wśród opończy, strojów myśliwskich, butów i kurtek. - Wiesz, myślę że wszystkiego spalić chyba nie zdążyli.

- Słuchaj, Stanachu, całkiem niedawno to miejsce było chyba dość miłe. Szkoda, że elfy postanowiły je porzucić. Gdybym ja tu mieszkał, to smokowcy musieliby wyciągać mnie stąd kleszczami.

Atmosfera miasta przepełniona była strachem. Przyłgął on do pięknych budynków, czaił się pośród grusz i jabłoni w ogrodach. Rozpacz i smutek przechadzały się ulicami i posępnym śmiechem kwitowały każdą śmierć osiki.

Stanach potrząsnął głową. Strach nie należał do uczuć, które potrafiłby zrozumieć kender i bezowocne byłyby próby wytłumaczenia tego Lavimowi.

Krasnolud, skrzyżowawszy nogi, usiadł na środku komnaty na marmurowej posadzce. Poskramiając chęć natychmiastowego opuszczenia pełnego smutku, porzuconego miasta, zajął się przeglądaniem odzieży, zanim Lavim zgarnie połowę do swojej sakwy. Kieszenie i mieszki kendera zdążyły już zresztą napęcznieć. W pasie też był zbyt tęgi jak na kogoś, o kim Stanach wiedział, że chudy jest jak tyka. Przeszukiwanie porzuconych domostw Qualinostu było może bolesne dla Tyorla, krępujące dla Kelidy i Stanacha, kender jednak traktował to jako największą uciechę w życiu.

Przed ciekawością Lavima Stanach uratował grubą opończę. Miała kolor jodłowych szyszek i podbito ją szarym futrem króliczym, wyglądała też na uszytą dla kogoś o wzroście i wadze Kelidy. Potem, zwracając uwagę na dobre podeszwy, wyszukał parę butów z jeleniej skóry. Buty były jednak dziwnie ciężkie jak na swój wygląd, krasnolud zajrzał więc do środka jednego z nich i przekonał się, że uszyto je z dwóch warstw skóry, pomiędzy którymi znajdowała się warstwa gęsiego puchu. - Wyglądają tak, jakby były dobre na Kelidę.

- Dobra robota, Stanach. - Lavim krytycznie obejrzał buty. - Kelidzie będzie cieplej niż nam.

-

- Do tej pory marzła bardziej niż my. Pora, by jej szczęście się odwróciło. Zanieś jej buty i znajdź Tyorla, może mógłbyś go trochę pogonić. I... Lavim... - Słucham. - Kender odwrócił się, trzymając oburącz opończę i buty.

- Pukaj, zanim wejdiesz, wyrzuć wszystko z kieszeni i mieszków, zanim odnajdziesz Tyorla, i nie zbieraj nic po drodze.

Pomarszczona twarz Lavima była w tej chwili uosobieniem niewinności.

- Nie zawracaj mi głowy żadnymi gadkami o tym, jak to natknąłeś się na leżące bezpiecznie drobiazgi. - Stanach nie dał się oszukać. - Odłóż to wszystko. - Ależ Stanachu...

- Lavim, nie zamierzam powtarzać dwa razy. Ten przeklęty elfi wypędek i bez tego jest drażliwy i podenerwowany. Gdyby ktoś miał sądzić po jego minie, pomyślałby, że oddaje najpiękniejsze suknie swej matki.

- Może tak jest w istocie. - Otoczone siateczką zmarszczek oczy Lavima błysnęły nieoczekiwanie mądrym spojrzeniem. - Wiesz, nie mówię o sukniach, bo Kelida pewnie wybierze spodnie... ale może Tyorl znał osobę, do której to wszystko należało.

Nie da się tego wykluczyć, pomyślał Stanach. Nie przyszło mu to do głowy wcześniej, nie żałował jednak cierpkiej uwagi. Była to obrona przed smutkiem, który zasnuwał pokój jak warstwa kurzu. - No, ruszaj.

Gdy został sam, odsunął stos odzieży pod ścianę, usiadł na posadzce, oparł łokcie na kolanach i pogrążony w ponurym milczeniu czekał na towarzyszy.

Zrobił to, co powinien. Nie miał specjalnych trudności, aby przekonać Kelidę i Tyorla, iż istnieje możliwość, że Hauk nadal żyje. Kluczowy wniosek Kelida wyciągnęła sama: jeśli Hauk żyje, chroni ją swym milczeniem.

Podczas marszu przez las Kelida opowiedziała krasnoludowi historię zakładu Hauka i jego podarunku. Nawet gdy mówiła o tym, jak bała się go wtedy, w spiżarni, coś w jej głosie powiedziało Stanachowi, że wzruszyły ją przeprosiny tropiciela.

Stanach był teraz pewien, że jeśli Tyorl zakwestionuje decyzję dotarcia z Ostrzem Burzy do Fujary, spotka się z ostrym sprzeciwem dziewczyny. Kelida była bowiem przekonana, że na poły pijany banita, który podarował jej miecz, w tej chwili, niczym legendarny paladyn, chroni ją przed magiem derro, który nie zawaha się przed morderstwem, byle tylko zdobyć Ostrze Burzy.

Może Hauk chronił ją, dopóki żył. Teraz jednak z pewnością jest martwy.

Krasnolud zamknął oczy. Gdy odnajdą Fujarę, Ostrze Burzy zostanie magicznie przeniesione do Thorbardinu, zanim Kelida i Tyorl zdążą zorientować się, że przepadło. Do Stanacha należało jedynie podsycanie nadziei dziewczyny i podtrzymywanie jej marzeń. Jak to się dzieje, że głupie marzenia prostej dziewczyny z karczmy mogą zniweczyć możliwość sprawowania władzy przez Hornfela w Thorbardinie? Nie zniweczą, powiedział Stanach. Na pewno nie.

Jego ramienia dotknęła delikatna dłoń. Stanach podniósł wzrok i zobaczył Kelidę. - Stanachu? Nic ci nie jest?

Udało jej się umyć. W pożyczonej odzieży, składającej się z myśliwskiego stroju z szarej wełny, miękkich butów z jeleniej skóry i zielonej opończy zarzuconej na ramiona, wyglądała niczym leśny duszek. Do pasa przytroczyła Ostrze Burzy. Stanach nie bez trudu dźwignął się. - Nie, czuję się dobrze. - Wydawało mi się, że słyszę...

- Nic mi nie jest! - uciał. Ruchem podbródka wskazał miecz. - Nadal upierasz się przy tym, by dźwigać go sama?

- Do tej pory jakoś sobie radziłam. - W zielonych oczach dziewczyny rozblęły gniewne ogniki.

- O, tak, niewątpliwie... i przewracałaś się niemal co krok. Nie jesteśmy w Long Ridge. Jeśli nosisz miecz u pasa, ludzie będą uważali, że wiesz, jak go używać. Lepiej się tego naucz, bp zginiesz, zanim zdołasz rozplątać nogi i wyjąć oręż. Pozwól, że ja go wezmę. A jeśli ci to nie odpowiada, daj go elfowi. - Miecz zostanie przy mnie. - Kelida potrząsnęła głową.

Stanach westchnął. - Ten miecz przyniesie ci śmierć, jeśli nie nauczysz się chociaż, jak go nosić. - Kiwnął palcem w stronę pochwy. - Zapnij ją niżej, tak by ciężar broni rozkładał się na całe biodro.

Kelida przesunęła pas wedle wskazówek krasnoluda. Ciężar miecza dziwnie uciskał jej kibić, czuła się jednak swobodniej. Dziewczyna spojrzała z uśmiechem na Stanacha. - A teraz, dobrze? - Znajdź sobie jakiś sztylet. Nie obronisz się tym mieczem. Poczul nagły i niczym nie sprowokowany

przyływ gniewu na Kelidę i

samego siebie, zaciążyła mu jego własna dwulicowość. Odwrócił się i podszedł do okna. Wyrzał na dziedziniec; lepsze to było niż spoglądanie na cień urazy w oczach dziewczyny.

Wilgotny wiatr roznosił po bruku liście osik podobne do złotych monet. Ich szelest był jedynym dźwiękiem słyszalnym pośród pogrążonego w smutku, opuszczonego miasta. Po ulicach milczącego Qualinostu wędrowały jedynie duchy. Duchy i wspomnienia minionej świetności. I szept wyrzutów sumienia.

Gdy smok wielkości trzydziestu stóp, o głowie dorównującej wielkością końskiej i potężnie umięśnionych łapach, dwukrotnie dłuższych niż wzrost rosłego męża, wynurzył się spomiędzy chmur i dał nura we wschodnie rubieże Qualinesti, obserwator mógłby go wziąć za wcielenie nocy. Zamachem potężnych skrzydeł rozdzierał ławicę chmur. Solinari dawno już zaszedł, nadal jednak lśnił jeszcze czerwony miesiąc i w jego blasku widać było metaliczny połysk łusek bestii, ostre niczym sztylety szpony i rzędy kłów w paszczy. Podłużne, wąskie oczy smoka, zwykle blade niczym lód, rzucały czerwone refleksy. W tajnej i świętej mowie smoczrej rasy imię bestii brzmiało: Sevrith. Nurkujący w mroku potwór pozwalał się jednak nazywać Darknight.

Smok chwycił wiatr pod skrzydła i skierował się ku porośniętym świerkami kamiennym grzbietom, które tworzyły naturalną granicę pomiędzy Qualinostem i dziedzinami górskich krasnoludów. Bestia nie cierpiała blasku słońca, po zapadnięciu ciemności widziała jednak wszystko doskonale. Nie przeszkadzał jej chłodny blask księżyców, wołała jednak, gdy, tak jak teraz, kryły się za chmurami.

Leżącą pod nim ziemię smok obserwował tak, jak człowiek mógłby patrzeć z góry na dobrze nakreśloną mapę. Obniżając lot, przemknął nad położonymi wysoko lasami wokół Kryształowej Toni i nad niewysokimi wzgórzami, zamykającymi Równiny Dergoth, które krasnoludy zwały Równinami Śmierci.

Smok leciał jako emisariusz Lorda Verminaarda do Realgara z Thorbardinu. Wkrótce, jeśli krasnolud przystanie na propozycję Verminaarda, bestia zacznie nazywać maga Władcą Smoków. Realgar, oczywiście, przyjmie ofertę. Krasnolud znany był z tego, że jest przebiegły, podstępny, ambitny, śmiały i odrobinę szalony. Miał duszę Władcy Smoków, duszę, która nieznacznie tylko ustępowała arogancją duszy smoka. Czekał na przybycie posłańca z Pax Tharkas. Sevrith będzie wkrótce służył nowemu Władcy Smoków. Do czasu. W każdym z darów Verminaarda krył się jadowity kiel.

Nawet gotując się do uznania Realgara za Władcę Smoków, bezwzględny Verminaard miał już gotowy plan przesunięcia bazy operacyjnej w góry. Przy pomocy wiernych sobie wojsk obali Realgara i ogłosi podbity Thorbardin swą wschodnią twierdzą. Sevrith wiedział to doskonale, a nawet znacznie więcej.

Lecący pod zimne podmuchy wiatru smok musiał wezwać na pomoc całą zręczność i umiejętności, by sprostać sile niewidocznych fal. Unosząc się nad bagnami i moczarami, Darknight śmiał się, nurkował wśród chmur i uderzał potężnymi skrzydłami, których rozpiętość przenosiła wielkością ożaglowanie sporego statku. Smok wzbijał się coraz wyżej, aż wyłonił się ponad lodowatą granicą chmur, pławiących się w świetle gwiazd nad starym Thorbardinem.

Nie inaczej, myślał smok, wszystkie dary Verminaarda mają kły, moje zaś kły są doprawdy bardzo ostre!

- Niech robi swoje - polecił Verminaard smokowi. - Ty zaś udzielaj mu wszelkiej pomocy. Gdy załamą się rządy Rady Thanów, masz się go pozbyć.

Smok użył zaklęcia, by wysłać w dół strach i ciemność, dla samej uciechy sprostanania niełatwemu

zadaniu. Zasypiając dziś w mrocznym, sekretnym legowisku w jaskiniach pod Thorbardinem, Sevrith będzie sycił się myślą o małych, zamieszkujących bagna stworach, które konają z zmarłym sercem, ogarnięte przemożną grozą, której nie potrafią pojąć.

Rozdział jedenasty

W całej dolinie hulał zimny wiatr, który jęczał w kępach świerków i pokrywającą zbocza gór wilgoć zmieniał w okowy lodu. Gdzieś w głębi tej góry znajdował się Thorbardin.

Kobiety z dziećmi na ręku, mężczyźni, w których wzroku wygasła już nadzieja, stali u stóp góry i badali okiem jej zbocza, szukając Wrót Południowych. Niektórzy łudzili się, że widzą ich lśnienie w mrokach nocy. Inni, zbyt zmęczeni, by patrzeć, szybko zamykali oczy.

Wśród nocy rozległ się głośny śmiech dziecka. Niełatwo było utrzymać dzieciarnię w spokoju. Mogło dokonać tego jedynie zmęczenie, ostatniego zaś dnia podróżowano powoli. Wyglądało to tak, jakby ośmusetosobowa rzesza zbiegów niechętnie zbliżała się do wrót fortecy krasnoludów z obawy, że ich nadzieje okażą się płonne, że uciekli z niewoli Verminaard jedynie po to, by odesłano ich spod Thorbardinu i odebrano im ostatnią szansę ratunku.

W całej dolinie zakwitły niewielkie ogniska jak małe gwiazdki. W powietrze wzbił się zapach dymu, do którego szybko dołączyła woń przygotowywanych potraw. Rzekę okrył muślin oparów.

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

Miała to być noc oczekiwania i modłów. Nikt z uciekinierów nie zaśnie, gdy ich wysłannicy - półelf Tanis i należąca do jednego z plemion Niżowców kobieta o imieniu Goldmoon - będą wykladać swe prośby przed Radą Thanów Thorbardinu.

Hornfel kochał swoich współplemieńców za wiele rzeczy. Podziwiał ich biegłość w rzemiośle, cieszyła go ich głęboka i niezachwiana wierność krewniakom i klanowi, dumny był z ich bojowej odwagi. Cenił ich za upór i zdrowy rozsądek. Kochał ich umiłowanie niezależności.

Tej właśnie niezależności należało przypisać, że nie poczytał za obrazę, a przeciwnie, za rodzaj uznania i hołdu, gdy posiwiwały wojownik Daewarów, członek załogi Wrót Południowych, jedynie skinieniem głowy skwitował pojawienie się dwóch thanów na warcie i natychmiast wrócił do swych obowiązków.

Wojowników nie przeraża obecność ważnych osobistości, pomyślał Hornfel. Ufają thanom, bo wiedzą, że jesteśmy ich krewniakami. Nikt zaś nie czapkuję krewniakom.

Spojrzał na swego towarzysza obserwującego strażę baczniejszym niż on sam okiem. O tej porze wartę trzymali Daewarowie Gneissa, Hornfel znał zaś przyjaciela na tyle, by wiedzieć, że ów życzy sobie jak najściślejszego trzymania się zasad sztuki wojennej. Gdy nadejdzie czas i Thorbardin powstanie do boju, Daewarowie będą grotem armii krasnoludów. Gneiss był bardzo dumny ze swych wojowników.

Hornfel przysłuchiwał się pobrzękiwaniu kolczug, łomotowi butów o kamienie, krótkim i zwięzłym komendom dowódcy i rozprawdzającego, potem zaś znów spojrzał na Gneissa, który oparł się o sięgający mu po piersi mur i patrzył na leżącą niżej dolinę.

Wzdłuż blanków hulał zimny wiatr, zrodzony w górach, które dumnie podpierały niebo. Wiatr przyniósł ze sobą woń zamarzających już jezior i pierwsze tchnienie nadciągającej zimy. Tysiąc stóp niżej leżały rozległe

połacie górskich łąk. Pokryte rdzawym brązem jesiennych liści, połyskujące teraz złotawo w promieniach wschodzącego słońca, hale te były najżyźniejszymi glebami w Górach Kharolis. Dolina leżała odłogiem od pokoleń. Miasta Thorbardinu żywiły się same, korzystając z plonów cieplarni, ukrytych głęboko w sercu góry.

- Spójrz, Gneiss - rzekł Hornfel, wskazując dłonią dolinę. - Ośmiuset ludzi mogłoby uprawiać tę ziemię. Nie tylko żywiliby się sami, część żywności odstępowaliby nam. - Ty znów o tym samym? - Gneiss prychnął gniewnie.

- Cały czas, przyjacielu, cały czas. Nie możemy już odkładać tej sprawy. Nie kto inny, lecz ty sam przyniosłeś mi wieść, że zbiegów widziały patrole graniczne. Jak sądzisz, czy nasi pogranicznicy długo powstrzymają ośmiuset głodnych i zrozpaczonych ludzi? Na razie spokojnie czekają na decyzję Rady, ale ten stan nie będzie trwał długo.

- Aaa... szantaż, czy tak? - Gneiss odwrócił się. Than zacisnął pięści, a w jego oczach rozblęskły ogniki gniewu. - Wpuście ich albo trzeba będzie stawić im czoło na polu bitwy? - Pochylił głowę i spojrzał w dolinę. - Wkrótce hale pokryją się śniegiem, śnieg zaś zboczy się ludzką krwią, Hornfelu. Rada nie da się zastraszyć.

- Podjąłeś już więc decyzję w tej sprawie? - Hornfel dobierał słowa bardzo starannie. - Czy podzielasz zdanie Realgara i Rance'a?

- Mam własne zdanie - warknął Gneiss. Wiatr igrał ze splotami brązowej, poznaczonej pasmami srebra brody. Odwróciwszy się plecami do muru, doliny i pomysłu, że tak blisko Thorbardinu

mogliby osiedlić się ludzie, than obserwował pełniących służbę wartowników. Zacięty wyraz twarzy Gneissa nie pozwalał Hornfelowi na odczytanie jego myśli - tych myśli, o których twierdził, że nie zostały mu podsunięte przez Realgara.

- Powiedz mi więc, Gneiss, jakie jest twoje zdanie. Zgaduję już zbyt długo i żaden z moich domysłów nie trafia w sedno.

- Myślę o tym, że moi ludzie będą umierali na ziemi leżącej z dala od gór, gdzie przyszli na świat. - Gneiss, nie odrywając wzroku od wartowników, potrząsnął głową. - Myślę o tym, że mają ginąć w wojnie, która wcale ich nie obchodzi.

Stary argument! Hornfel od dawna miał go już dość i nie potrafił przeciwstawić mu rozumowania lepszego niż to, które przedstawiał już na niezliczonych spotkaniach Rady. Nie odezwał się jednak, dopóki nie opanował gniewu.

- Gneiss, teraz musi to nas obchodzić. U naszych wrót zebrało się ośmiuset ludzi. Przed chwilą chciałeś zalać te łąki ich krwią. Gneiss, oni

- nie są naszymi wrogami. Naszym wrogiem jest Verminaard, który wyparł elfy z Qualinesti i spaceruje teraz po umocnieniach Pax Tharkas. Verminaard zniewolił tych ośmiuset ludzi i to samo pragnie zrobić z nami. Kiedy opanuje Góry Kharolis, zdobędzie kontrolę nad północą i południem. Jeśli mniemasz, że zamierza tego dokonać, nie podbiwszy pierwej Thorbardinu, tedy nie jesteś takim strategiem, za jakiego cię uważałem.

Gneiss trzymał zaciśnięte pięści przy sobie i było to miarą szacunku, jaki żywił dla Hornfela. - Twarde są twoje słowa, thanie - odezwał się zimno.

- Owszem, są twarde. Gneiss, czasy są ciężkie. Jeśli nie podejmiemy szybko decyzji, zrobi to za nas Verminaard. Nie sądzę, byśmy chcieli pogodzić się z jego wyborem.

- Nie przystoi ci humor spod szubienicy. - Gneiss uśmiechnął się niewesoło. - Wolałbyś samą szubienicę? - Na szubienicy giną zdrajcy. - Daewar obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- Ty zaś, oczywiście, uważasz, że Realgar, gdy zdobędzie władzę w Thorbardinie, potraktuje nas lepiej, prawda? - Realgar podobny do Verminaarda? Ciężkie to oskarżenie. - Tylko podejrzenie, przyjacielu. - Hornfel wzruszył ramionami. Gneiss powiódł wzrokiem po górach i leżących niżej halach, potem zaś z miną człeka, który dopiero teraz pojął to, czego nie mógł zrozumieć wcześniej, przeniósł wzrok na niebo. Gdy ponownie popatrzył na Hornfela, w jego oczach pojawił się gniew i... podziw. - Podobno pojawił się Królewski Miecz. - Nie inaczej. - Hornfel przytaknął ruchem głowy.

- I ty to mówisz? Hornfel, takiego oręza nie kuje się ot, tak, po prostu! Na Reorxa! Nie da się wejść sobie spacerkiem do pierwszej lepszej kuźni i zamówić sobie Królewski Miecz!

- Wiem. - Hornfel uśmiechnął się ze znużeniem. - Isarn zamierzał wykuć tylko swe najlepsze ostrze, dzieło życia. Tamej nocy jednak sam Reorx prowadził jego dłoń i stary mistrz wykuł Miecz Królewski. Słyszałeś te plotki, musiałeś je słyszeć. Oręż został skradziony. - Dlaczegoż więc...

- Wiem, gdzie się znajduje. Wie też Realgar. - Hornfel pokrótce opowiedział Gneissowi historię kradzieży i odnalezienia miecza. - Realgar pragnie tego miecza równie mocno jak ja. Chron nas, Reorksie, żywią nadzieję, że derro nie jest bliższy zdobycia tej broni niż ja sam. Jest czy

- nie jest Realgar podobny do Verminaarda, nie wolno go jednak lekceważyć.

- Trzeba go powstrzymać. - Dłoń Gneissa dotknęła zwisającego u boku thana sztyletu. - Nie, chyba że chcesz, by w Thorbardinie wybuchły bratobójcze walki. Gneiss w lot pojął ostrzeżenie Hornfela. Radę Thanów Thorbardinu rozdzierały sprzeczne poglądy dotyczące wojny i stosunku do uchodźców. Niekiedy obie te sprawy łączyły się w jedną. Obie budziły gwałtowne reakcje, z których najczęstszą był gniew. Jeśli teraz Realgar umarłby - nieważne: śmiercią własną czy nie - jego poddani

rozpętałyby wojnę. Wtedy Królewski Miecz utraciłby jakiekolwiek znaczenie. Płonący w strudzinie miecza ogień stałby się symbolem krwawych walk wewnętrznych. Sale Thorbardinu rozbrzmiewałyby okrzykami krasnoludów ginących z rąk innych krasnoludów, jak podczas Wojen o Bramy, trzysta lat temu.

- Wypiję dziś jego zdrowie - warknął Gneiss - i odprawię modły, by zatchnął się własnym jadem i zdechł we śnie.

Hornfel wybuchnął śmiechem. - Oto Gneiss Ostrożny! - Spoważniał. - Nadeszły czasy, w których ostrożność przestała być cnotą; trzeba dać schronienie tym ośmiuset ludziom. Będą nam potrzebni sprzymierzeńcy w walce przeciwko Realgarowi lub Verminaardowi.

- Ludzie? Czy nie są podobni do tego twojego stukniętego maga, Jordy'ego?

- Fujara nie jest podobny do innych. Bystry to człek i potrafi wyczuć pismo nosem. Dziwi mnie, żeś tego nie spostrzegł, ty, który chełpisz się swą przenikliwością. Zresztą, nawet gdyby ci ludzie nie byli lepsi od źlebowców, nie ma to znaczenia. Potrzebujemy sojuszników.

Gneiss umilkł na długą chwilę. Gdy wreszcie otworzył usta, Hornfel pojął, że nawet jeśli than Daewaru nie podjął decyzji, to jest tego bardzo bliski.

- Hornfelu, zwołaj spotkanie Rady na dzisiejszy wieczór. Wtedy powiem ci, do jakich doszedłem wniosków. - Skierował się ku furcie w murze, kiedy zaś Hornfel ruszył, by się doń przyłączyć, Gneiss potrząsnął głową. - Nie, przyjacielu, zostań tu jeszcze trochę. Lubisz to powietrze, prawda? Spójrz na halę w dole i pomyśl, jak będzie wyglądała zajęta przez ludzi. Potem posłuchaj ich głosów u Południowych Wrót. Nie zdołają tam przezimować... trzeba będzie udzielić im schronienia w Thorbardinie. - Osiemset - zakończył Gneiss z wrogim prychnięciem. - Wkrótce w Thorbardinie zabraknie powietrza dla krasnoludów!

-

Hornfel patrzył, jak Daewar odchodzi, potem znów spojrzał na dolinę. Unoszony wiatrem ponad halami szybował orzeł, błyskając w słońcu złocistym grzbietem. Hylar postanowił, że nie będzie po raz drugi próbował odgadnąć decyzji Gneissa. Nie da się tego zrobić. Przypomniawszy sobie o „stukniętym magu” Jordym i zaczął zastanawiać się, gdzie też podziewają się Fujara, Kyan-Czerwony Topór i ten czeladnik Isarna, Stanach - oczywiście, jeśli udało im się pozostać przy życiu.

Minęły już cztery dni od chwili, kiedy Fujara przeniósł siebie i dwóch towarzyszy do Long Ridge. Czy odnalezienie Królewskiego Miecza musi trwać cztery dni? Owszem, może nawet dłużej, jeśli tropiciel, który wedle pogłosek miał ów miecz przy sobie, opuścił miasteczko, zanim się tam zjawili.

W tej chwili wszyscy trzej mogą być już trupami albo mogli już odnaleźć miecz. Jediną rzeczą pewną było to, że Realgar również nie zdobył jeszcze miecza. Dowód stanowił sam Hornfel, pozostawał jeszcze wśród żywych.

Choć oko Hornfela nigdy jeszcze nie spoczęło na Ostrzu Burzy, pragnął tego miecza, jakby należał do niego od wielu lat, zanim go ukradziono. Chciał dotknąć klingi, poczuć więź z władcami, którzy umarli przed stuleciami. Ostrze Burzy miało być jego dziedzictwem jako miecz wykuty przez Hylara dla thana Hylarów, by ten władał Thorbardinem, jak w zamierzchłej przeszłości władali nim jego pradiadowie.

Wiatr od gór zapiał, jakby był echem jednej z bojowych pieśni Fujary lub jednej z jego śpiewek. Hornfel odwrócił się plecami do doliny.

- Jordy, młodziku - powiedział - jeśli żyjesz gdzieś tam jeszcze, modlę się, byś odzyskał miecz.

Jeśli to ci się nie uda, pomyślał, kiwnięciem głowy kwitując salut wartownika i wchodząc w furkę, to będziemy musieli mieć się na baczności. Jeśli Królewski Miecz posiadzie Realgar, nie

trzeba będzie długo czekać na to, by w Thorbardinie wybuchła wojna domowa lub zapanowała tyrania.

Brek mocniej wparł się plecami w wysoki stos kamieni, który osłaniał teraz jego plecy przed purpurowym blaskiem znieawidzonego słońca. Pomiędzy wysokim, kamienistym pagórkem, który był dziełem natury, i mniejszym, wzniesionym przez jakiegoś krasnoluda, leżała jama najmroczniejszego cienia. W niej właśnie Agus-Szary Herold komunikował się z ich thanem. Brek zamknął oczy, drażnione nieznośnie wzmagającym się blaskiem słońca, i zapragnął, by Realgar jak najszybciej kazał wracać im do domu.

Współ z członkami grupy oglądał już Na Zewnątrz pięć świtów i nieustannie przeklinał dzień, tęsknił bowiem za głębokimi norami pod Thorbardinem. Mica i Chert, śpiący teraz, jak się dało, w cieniu, radzili sobie niegorzej z okropnościami słonecznej światłości. Wulfen jednak, znany pod przydomkiem „Bezlitosnego”, szwankował już na rozumie. Brek dziwił się, że powierzony pieczy Wulfena mag mizerota Hornfela zdołał przeżyć.

Theiwar obnażył zęby w drapieżnym uśmiechu. Zasadzka udała się nad podziw dobrze. Wzięli Fajarę, gdy zaszedł księżyc. Wracał z puszczy, trzymając w garści królika upolowanego na kolację. Nawet mag jest bezradny wobec kuszy wymierzonej w jego plecy i obnażonych mieczów przed oczyma.

Brek miał nadzieję, że Realgarowi nie zależy przesadnie na tym, by Fajarę dostarczyć w dobrym zdrowiu. Wulfen, jak się wydawało, postanowił w pełni odegrać się na magu za ranę odniesioną w potyczce przed czterema dniami. Brek wsłuchał się w szmer porannego wietrzyku wśród ściętej przymrozkiem trawy. Brzmiało to podobnie do chrypienia Szarego Herolda. Krasnolud wzdrygnął się nagle.

Nie magia spowodowała ów dreszcz. Choć sam nie był magiem, Brek od tak dawna służył thanowi derro, że przywykł już do magicznych sprawek. Nie, włosy na karku Breka zjeżyła myśl o wyrzutku, którego zwano Szarym Heroldem.

Z głębokiego cienia rzucanego przez wielki cairn, wyłonił się cień jeszcze mroczniejszy, w którym Brek rozpoznał Agusa. Przybysz odrzucił do tyłu kaptur opończy. W czarnym oku Agusa złowrogo błysnęło ponure światelko; drugi, pusty oczodół opryszka był plamą czerni. Jego twarz, zwykle ożywiona mrocznymi knowaniami, teraz znieruchomiała niczym maska. Patrząc na Szarego Herolda, tak jak ktoś inny patrzyłby na wygłodniałego wilka, Brek mocniej przywarł do stosu kamieni.

- Teraz przemówi do was than - wyszeptał Agus. Podniósł głowę. W jego oku błysnęło coś, co można by wziąć za zwiastuna odległej burzy. Kiedy odezwał się ponownie, nie przemówił własnym, chrapliwym głosem. Brek usłyszał dźwięczny, bogaty w odcienie głos Realgara tak wyraźnie, jakby than stał obok niego. - Ujęliście maga.

Krasnolud zwilżył wargi językiem, zaczerpnął tchu i otworzył usta jedynie po to, by odkryć, że musi nabrać powietrza w płuca po raz drugi. Pełniący funkcję głosu Realgara, Szary Herold czekał, nie okazując oznak zniecierpliwienia.

- Tak jest, thanie, ujęliśmy go żywcem. - A miecz?

Brek przełknął ślinę, której nagle zabrakło mu w gębie. - Thanie, on go nie miał. Dopadliśmy go przed świtem. Wulfen zaczął go torturować, ale mag nie zdradził się ani słowem. - Brek spojrział na niewielki, wzniesiony niedawno kopiec grobowy. W pobliżu widać było wygasłe ognisko i kupkę kości z niedawnego posiłku. - On tu jednak na kogoś czekał i wydaje mi się, że trwa to od czasu, kiedy napadliśmy ich, zabijając Kyana.

Szary Herold westchnął, jakby usłyszał coś, o czym jego towarzysz nie ma pojęcia. Kiedy się

jednak odezwał, znów jego ustami przemówił oddalony o wiele mil Realgar, w oku zaś Agusa Brek ujrzał płomień gniewu thana. - A czeladnik? Ten trzeci?

- Przepadł bez śladu. - Brek mówił teraz bardzo szybko. - Mag na kogoś tu czekał. Myślę, że czekał właśnie na tego czeladnika, Stanacha Hammerfella. Thanie, on powinien mieć ten miecz. A jeśli nie, to będzie przynajmniej wiedział, gdzie go szukać.

- Czy tak? Cóż, może rzeczywiście będzie coś wiedział. Zaczekajcież więc. Jeśli będzie miał miecz, zabijcie go i odbierzcie mu oręż. On jest zupełnie sam! - W głosie thana pojawiły się nutki drwiny. - Być może to przynajmniej nie jest ponad wasze możliwości. Jeśli nie będzie miał miecza, niech Herold doprowadzi go do mnie. Może okazać się bardziej skłonny do udzielenia odpowiedzi, których tak uparcie odmawia ten przeklęty banita. - A jeśli nie powie ani słowa?

Brek ponownie się wzdrygnął, ponieważ teraz than przemówił do Agusa i wyglądało to tak, jakby Szary Herold mówił sam do siebie, jak to opowiada się o szaleńcach.

- Tak, Heroldzie, nie inaczej. Sam zadasz mu śmierć, jak zawsze. Dalejże. Zabaw się z tym nędznym magiem Hornfela. Dopilnuj, by nie sprawiał nam już kłopotów.

Agus zaśmiał się, a jego dłonie drgnęły i wykonały taki ruch, jakby jednooki zaciskał końce garroty.

Przed oczyma Fujary tańczyły ognie, czerwone i lśniące, jak, wedle opowieści, boskie oznakowanie Królewskiego Miecza i szkarłatne niczym krew, od której wziął nazwę topór Kyana. Połamane palce rwały go tak, że zamknął z bólu oczy, mimo to widział jednak blask wchodzącego słońca.

W cieniu pomiędzy grobem Kyana i wielkim cairnem znajdowali się Theiwarowie i rozmawiali ze sobą. Fujara słyszał ten dyskurs, bo echo ich

głosów odbijało się od gładów i wiedział, że wkrótce przyjdą, by go zabić.

Potem, pomyślał mag, rozsiądą się wygodnie pomiędzy cairnami i zaczekają na Stanacha i miecz. Będzie tu jutro, z mieczem lub bez.

W umyśle Fujary mignęły słowa zaklęcia uzdrawiania jak obietnice zbyt trudne do spełnienia. Nie dysponował żadnym sposobem wprowadzenia zaklęcia w czyn; Wulfen połamał mu ręce, zanim w ogóle zabrał się do roboty. Bez skomplikowanej gestykulacji zaklęcie zaś nie działało. Wulfen nie był durniem. Szybko unicestwił jakiekolwiek szanse Fujary na obronę przez magię. Jedyna możliwość posłużenia się magią to zwisający teraz u pasa Fujary flet.

Theiwarowie nie dostrzegli żadnego zagrożenia we flecie, o którym wszyscy wiedzieli, że służy do zabawiania dzieciarni. Mieli rację i mylili się jednocześnie, jak to często bywa. Magiczny flet był potężnym artefaktem i za jego pomocą można było rzucić wiele zaklęć. Niektóre wymagały biegłości w palcach, inne nie. Te zresztą były najtrudniejsze, bo powodzenie zależało od tempa oddechu. Tak czy owak, nie mógł nimi posłużyć się mag, który miał połamane palce i oddychał z największym trudem.

Nędzny mag Hornfela. Tak nazwali go Theiwarowie. Nie było to przezwisko, którego Jordy wstydziłby się - choć za większością krasnoludów w Thorbardinie, nawet w myślach, nazywał siebie Fujarą. Był oddany thanowi duszą i ciałem i nazywanie go człowiekiem Hornfela nie uważał za powód do hańby.

Płuca Fujary pełne były krwi. Słyszał ją, jak bulgocze i rzezi z każdym jego oddechem. Kiedy kaszlał, małe jej krople pokrywały mu wargi i rozbryzgiwały się na trawie. Myśli Fujary, bezładne i rwące się co chwila, dryfowały w potokach wszechogarniającego bólu. Nie mogąc znieść cierpień, Fujara przeniósł się w myślach gdzie indziej.

Mag Hornfela. Właśnie tak. Fujara pojawił się w Thorbardinie, nagle i jak bezpański pies, około

trzy lata temu. Tamtej nocy szalała burza: dzika i gwałtowna bitwa na niebie pełnym ryku grzmotów i oślepiających błyskawic. Fujara nadal niezbyt dobrze pamiętał okoliczności towarzyszące jego przybyciu, choć słyszał tę opowieść dość często.

Jeden z wartowników przy Wrotach Południowych niemal przewrócił się o maga. Przemoczony do cna, ledwie dyszący człowiek, leżał w załomie przedpiersia muru, w którym jeszcze przed chwilą schronił się przed żywiołami strażnik.

- Jak wyrzucony przez burzę na brzeg łachman - opowiadał później wartownik, gasząc skwapliwie pragnienie na wartowni wśród kompanów. -

Mówię wam, myślałem, że jegomość jest martwy. - Łyknął potężnie i zamyślił się głęboko. - Może zresztą i tak było... i może zdołał jakoś ożyć dzięki magii. Z tymi magami nigdy nic nie wiadomo.

Fujara jednak przeżył, choć nigdy wcześniej nie był tak bliski śmierci. Do tej pory.

Przełknął ślinę i spróbował nie oddychać. Cał po calu podciągał złamaną rękę.

Nie bardzo wtedy wiedziano w Thorbardinie, co z nim zrobić. Dowódca straży wygłosił opinię, że mag jest może szpiegiem przysłanym, by zbadać umocnienia krasnoludzkiej twierdzy. Mówiąc tak, znalazł niejako rozwiązanie nagłego pojawienia się Fujary na progu Thorbardinu.

Są w Thorbardinie głębokie i mroczne lochy i Fujara ocknął się w jednym z nich. Skuty łańcuchami mag, zaczął zastanawiać się, czy zaklęcie go nie zawiodło i czy nie przeniósł się przypadkiem do Otchłani.

Chciał jedynie trafić do Haven i nie był to przesadnie długi skok z Puszczy Wayreth. Oczywiście wedle miar magii.

O tym, że jest nadal wśród śmiertelników, dowiedział się, kiedy odkrył, że strzegący go strażnicy są krasnoludami. Ten, który przyniósł mu kubek ciepłej wody i porcję czerstwego chleba, był małomówny i na pytania odpowiadał jedynie pomrukami lub kiwnięciami głową. Na niektóre zresztą nie odpowiadał wcale. Raz zdobył się nawet na przyniesienie koca, który chronił Fujarę przed wilgocią i chłodem, dozorca nigdy nie gadał zbyt wiele i zawsze dbał o to, by dłonie maga były mocno skrępowane.

Zawsze, pomyślał teraz Fujara, zaciśnięciem powiek walczący z bólem, czując, iż drętwieje mu dłoń, którą podciągał ku fletowi, zawsze pamiętają o rękach maga.

Po dwóch dniach Fujarę postawiono przed Radą Thanów. Nadal skuty (obawiano się widocznie, że będzie się bronił magicznie lub rzuci na członków Rady zaklęcie, każące im uwierzyć w jego niewinność) Fujara opowiedział swą historię, wyznając sześciu thanom w komnacie Rady, że zawiodło go zaklęcie przenoszenia.

Długo o tym dyskutowali, jak to zresztą czynili niemal w każdym wypadku. Niektórzy z miejsca okrzyknęli go szpiegiem. Inni żywili w tej materii pewne wątpliwości, nie byli jednak skłonni do rozgrzeszenia go z przestępstwa naruszenia granic. Nad Krynem latały smoki i wcale się już z tym nie kryły. W Krainach Zewnętrznych gromadziły się liczne armie. Nie potrafiąc rozstrzygnąć problemu, Rada skłonna była odesłać go na resztę życia do lochu. Rozwiązanie to zadowalało wszystkich oprócz samego Fujary.

Jedynym z thanów, który gotów był uwolnić maga, okazał się Hornfel. Krasnolud opowiedział się za młodym człowiekiem, wzruszony jego oczywistą naiwnością i prawdziwie dobrą wolą, połączonymi z opowieścią o źle rzuconym zaklęciu. Hornfel w końcu zaręczył za maga własnym honorem i to rozstrzygnęło sprawę.

Fujara, którego dłoń całkowicie już zdrętwiała, poczuł, że dotknął fletu dopiero wówczas, gdy ten wsunął mu się pod bok. Mag słyszał swój chrapliwy oddech i wydało mu się, że słyszy pełne

namysłu westchnienie Hornfela.

- Zwykle dobrze oceniam ludzi i rzadko się mylę. Wiedz jednak, Jordy, powierzyłem ci mój honor. Strzeż go dobrze.

Jordy pomyślał, że nie zawiódł thana. Poczul wtedy instynktowną sympatię do krasnoluda, żywił też dlań głęboką wdzięczność za uwolnienie go z lochu. Był także zauroczony Thorbardinem, który przedtem niewielu ludziom dane było oglądać. Odpowiedź Jordy'ego podyktowana była więc sercem, nigdy też jej nie żałował.

- Wymieńmy się więc, panie... - odparł z powagą, zwracając się do krasnoluda, który wyrwał go z wiecznego chłodu i wilgoci lochów Thorbardinu. - Jestem twoim dłużnikiem i jeśli zechcesz, będę ci służył.

Podczas dwóch lat niektórzy zwali młodego człowieka Jordym, niektórzy zaś wołali nań mag Hornfela. Potem dzieci, które bawiły się na ulicach Thorbardinu i w jego ogrodach, zachwycone muzyką młodego, jasnowłosego olbrzyma, zaczęły nazywać go Fujarą.

Spocony pomimo chłodu poranka, Fujara zebrał wszystkie siły i przedramieniem podsunął ostrożnie flet ku ustom. Instrument znajdował się w zasięgu jego ust. Mag zaparł się nogami, zgiął się powoli przeszywany bólem i chwycił w zęby ustnik fletu.

Jeden z Theiwarów zaśmiał się obrzydliwie i zabrzmiało to jak wycie wiatru na pustkowiu. Fujara zaczął się prostować. Złamane żebro coraz boleśniej wbijało mu się w płuca. Mag nie mógł zaczerpnąć tchu potrzebnego do wykonania skomplikowanego zaklęcia. Brakowało mu też czasu.

Jedno zaklęcie, pomyślał, takie, które szybko zabierze mnie z tego miejsca!

Zaklęcie przenoszenia. Nie musiał uciekać daleko, nie miał zresztą na to sił - chciał po prostu ukryć się w lesie. Nie wszyscy pewnie ruszą na poszukiwania, pomyślał, napełniając ostrożnie powietrzem zbolące płuca. Pewnie jednak narobią hałasu i być może Stanach usłyszy ich z daleka. Zamknął oczy i pomyślał o polanie, o której wiedział, że jest skryta w

lesie, nie opodal granicy z Puszczą Elfów. Theiwarowie będą szukać długo, zanim zdecydują się wkroczyć na tereny nawiedzane przez duchy Qualinesti.

Potrzebne mu były jedynie trzy nuty, ciche i brzmiące jak świst wiatru wśród trawy. Trzy magiczne słowa. Musi powiedzieć jedynie te trzy słowa... Znalazł nieco tchu w piersiach.

W beczasowej przestrzeni Fujara nie czuł bólu i nie potrzebny mu był oddech. Gdy podróżował na skrzydłach melodii, stracił poczucie istnienia, które odpłynęło odeń, jak fala odpływa od brzegu.

Rozdział dwunasty

Poranne słońce było blade, mizerne i nie dawało wiele ciepła. Jego promienie przemykały wśród konarów wysokich drzew i niczym srebrzyste strzały odbijały się od ostatnich brązowoczerwonych liści poszycia. Zimny wiatr wypełnił puszcę rześkim zapachem wilgotnej ziemi i butwiejącego listowia. Ścieżka, którą podążali, nie była szersza od szlaku jeleni; Kelida często traciła ją z oczu i dziewczynie wydawało się, że Tyorla wiedzie instynkt, a nie wzrok.

Elf szedł pierwszy, za nim kroczył Stanach i Kelida. Pochód od czasu do czasu zamykał Lavim. Stary kender buszował w puszczy po obu stronach szlaku niczym pies, który znalazł się w nie znanym sobie terenie. Nie przepuścił żadnej polance, żadnemu gajowi, gęstwinie, potokowi czy choćby kupie kamieni. Dawno już porzucił nadzieję, że zdoła zainteresować towarzyszy fascynującymi miejscami, nadal jednak wygłaszał komentarze głosem, który Kelidzie wciąż wydawał się za niski jak na kogoś tak drobnego. Głos ten zdradzał jednak wyraźnie, że kender rad jest ogromnie z otaczających go lasów i słonecznej pogody.

- Dobrze, że nie próbujemy przedrzeć się przez tę paskudną puszcę, nie zwracając na siebie uwagi - mruknął Stanach.

Kelida uśmiechnęła się do siebie. Podobną uwagę przed chwilą zrobił Tyorl. Bawiła ją uciecha kendera. Jego oznajmujące kolejne odkrycia okrzyki towarzyszyły wędrowce jak rytmiczna pieśń marszowa. Gdyby sprawę pozostawić wyłącznie Tyorlowi, wędrowaliby bez słowa. Stanach zaś był mistrzem w przepełnionym żółcią i goryczą milczeniu.

Utkwiwszy więc wzrok w szerokich plecach Stanacha, przedzielonych na połowę ukrytym w pochwie mieczem, Kelida rozmyślała o jego podyktowanej złym humorem uwadze, że powinna nauczyć się posługiwać sztyletem, który wisiał teraz u jej boku.

Kiedy cisnął jej w twarz te słowa w opuszczonej, pełnej smutku komnacie jednego z domostw Qualinostu, pierwszą reakcją Kelidy był gniew, który szybko zmienił się w żal. Zaraz potem pomyślała, że faktycznie powinna poszukać sztyletu. Nie oddała jednak miecza Stanachowi, nie powierzyła go również opiece Tyorla. Od chwili, kiedy poprawiła rapcie pochwy Ostrza Burzy, łatwiej jej niosło się oręż, choć

nadal jej ciążył, pożyczone zaś spodnie myśliwskie ocierały nogi.

Poświęciła westchnienie skromniejszemu celowi opanowania sztuki posługiwania się sztyletem, który znalazł dla niej Lavim, zanim opuścili Qualinost. Stanach, który podsunął jej pomysł, by znalazła sobie broń, nie zdradzał ochoty, aby nauczyć się nią posługiwać. Zgodnie z tym, co oznajmił przed świtem przy ognisku, wkrótce powinni dotrzeć do miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć swego przyjaciela, Fajarę. Potem zaś wystarczy jedna chwila oraz zaklęcie przenoszenia i znajdą się w Thorbardinie.

Tyorl nie skomentował tego, choć nowiny dały mu powód do rozmyślań. Przypomniawszy sobie jego spojrzenie, Kelida zaczęła się zastanawiać, czy elf nie powątpiewa w opowieść Stanacha. Co budzi jego podejrzliwość - historia oręża czy możliwość spotkania maga?

Potrząsnęła głową i przeskoczyła przez zwalone na szlak drzewko. Wyprzedzający ją Stanach odwrócił się i szybko spojrzał na bogato zdobioną rękojeść Ostrza Burzy.

Nie, pomyślała dziewczyna, ta opowieść jest prawdziwa. Gdy Krasnolud patrzył na jej miecz, jego oczy zapalały się, ale nie był to chłodny błysk chciwości. Stanach spoglądał na miecz tak, jak - wedle wyobrażeń Kelidy - ktoś mógłby patrzeć na świętą relikwię.

Cokolwiek myślał o tym wszystkim Tyorl, Kelida czuła, że krasnolud nie wymyślił tej opowieści po to tylko, by ukraść cenny miecz. Nazywał go Królewskim Mieczem, Ostrzem Burzy lub mieczem mistrza. Mówił o królach regentach i legendach, które staną się rzeczywistością. Za jego słowami, za tą opowieścią Kelida dostrzegła Hauka, łagodniejszego i bardziej nieśmiałego, niż początkowo sądziła, który swym milczeniem chronił ją od gniewu i furii okrutnego maga derro, zdolnego do popełnienia morderstwa dla zdobycia jej miecza.

Od pierwszej, spędzonej w Qualinoście nocy Kelida polubiła krasnoluda. Przypomniała sobie ich rozmowę nad dogasającym ogniskiem. Kiedy próbowała mu opowiedzieć o zniszczeniu swego domu, śmierci rodziców i braciszka, szepnął tylko łagodnie: „Cyt, dziewczyno”.

Pogrążyła się w myślach do tego stopnia, że nie dostrzegła splątanych grubych korzeni na ścieżce. Potknęła się i upadła. Idący z przodu Tyorl odwrócił się i przystanął, tym jednak, który podbiegł do niej, był Stanach. Krasnolud chwycił ją za ręce i z łatwością postawił na nogi. - Skaleczyłaś się?

- Nie. - Kelida potrząsnęła główką. - Przykro mi. - Wypowiedziała te słowa, zanim zdała sobie sprawę z faktu, że właściwie nie ma powodu do

- przeprosin.

- Bardziej ci będzie przykro, jeśli skręcisz sobie kostkę. - Krasnolud złagodził ostrzeżenie uśmiechem, zaledwie widocznym w gęstwinie czarnej brody. - Kelido, my mamy pilnować ścieżki. Puszczę obserwuje Tyorl.

Gdy ruszył naprzód, dziewczyna przez chwilę jeszcze patrzyła za nim. Tuż obok niej, cicho niczym wyłaniający się zza rogu kocur, pojawił się Lavim. - Nic ci nie jest? - Lavim! - Kelida zachnęła się zdumiona. - Gdzieś ty się podziewa!?

- Ot, gdzieś tu, przy szlaku. - Kender uśmiechnął się szeroko i potrząsnął głową. - Krasnoludy! Zupełnie ich nie rozumiem. Dziwaczni jegomości. Ja, osobiście, gdybym miał cały krasnoludzki trunek, jaki zdołałbym wypić, byłbym najszczęśliwszym osobnikiem na świecie. Miecze i królowie, którzy nie są królami - nie chcę nic o tym wiedzieć. Do Thorbardinu idę wyłącznie ze względu na krasnoludzki trunek. Możesz to sobie wyobrazić? Mieć tyle trunku, ile dusza zapagnie... zważ przy tym, że pędzą go tam ludkowie, co znają się na swej robocie. Myślę, że przez całą zimę nie zaznam nawet muśnięcia chłodu!

Kelida uśmiechnęła się skrycie. Nikt właściwie nie zapraszał kendera do wzięcia udziału w wyprawie, ale też i nikt nie zamierzał go przepędzać.

- Stanach jednak ma rację, powinnaś patrzeć pod nogi. Nie sądzę, byś umiała chodzić po lesie, co?

- Nie, nie umiem. Jakoś sobie jednak poradzę. - Utkwiwszy wzrok w ścieżce, pospieszyła, by dogonić Stanacha i Tyorla. Lavim bez trudu dotrzymywał jej kroku.

- Ja patrzę w niebo jedynie wtedy, gdy śpię - stwierdził kender. - Albo gdy nadlatuje smok. Ot, i cała sztuka. - Niezła rada - mruknęła dziewczyna.

Kender wzruszył ramionami, śmignął w bok, by sprawdzić, czy coś ciekawego nie kryje się za pnem mijanego właśnie przez nich dębu i wrócił do Kelidy. - Ten Stanach to posępny jegomość. Zauważyłaś? - Aha.

- Dawniej był płatnerzem, wiesz? Powinnaś kiedyś obejrzeć jego dłonie. Całe w odciskach i bliznach po ogniu. To od paleniska w kuźni. - Wdzięczny za uwagę kender uśmiechnął się jeszcze szerzej, przypomniawszy sobie Givraka i smokowców w magazynie. - Stanach potrafi być miły, kiedy nie jest zasepiony, ma jednak dziwną skłonność

- do denerwowania ludzi. Jeśli nie będzie uważał, wpakuje się kiedyś w poważne tarapaty. - Zrobił mądrą minę (tak przynajmniej mu się wydawało). - Ten mag, Fujara... myślę, że dobrze się stanie, kiedy wreszcie Stanach go odnajdzie. Ktoś powinien dbać o tego krasnoluda. To właśnie chyba robi ów Fujara. No, wiesz, ma go na oku.

- Co on zrobił, że tak rozjuszył tych smokowców? - Kelida przypomniała sobie czterech smokowców, którzy przyspieszyli ich ucieczkę z Long Ridge.

- Och, z nimi nigdy nic nie wiadomo. Nie są tacy jak my. Zżera ich własna złośliwość. Stanach rozjuszył tę bandę przy starym, do cna spalonym magazynie. - Kender przerwał, zastanowił się nad czymś i wzruszył ramionami. - Może miało to coś wspólnego z tymi czterema, którzy gonili mnie... albo z tym, który wypadł z okna... Doprawdy, nie mam pojęcia. Jak już mówiłem, z nimi nigdy nic nie wiadomo... - Trajkotanie kendera było niczym powiew ciepłego wietrzyku. - Powiadam ci - ciągnął, spoglądając na Kelidę jednym okiem - jedyną istotą złośliwszą od smokowca jest minotaur, biorąc nawet pod uwagę niedźwiedzie. Widziałaś kiedyś minotaura? Mają, ogólnie rzecz biorąc, dość dziwny wygląd. Są wielkie i mają wszędzie futro! Nie za długie, ale gęste. Jak byki. - Lavim zmarszczył brwi, potem się uśmiechnął. - I w ogóle nie posiadają poczucia humoru. Jeśli kiedykolwiek natkniesz się na któregoś z nich, pamiętaj, by przenigdy nie sugerować, że jego matka jest krową... - Dlaczego miałabym to robić? - spytała zdumiona Kelida.

- Och, to byłaby zrozumiała pomyłka. - Kender zmrużył zielone oczy. - Przypominają trochę krowy lub byki. Mają naprawdę toporne gęby, rogi i nastawienie do życia, które przypomina ci wyprowadzonego z równowagi byka. W zeszłym roku zaniósł mnie nad Krwawe Morze...

przechodziłem właśnie przez Mithas... - Kelida usłyszała śmiech kendera, głęboki i beztronski. - To właśnie wtedy dowiedziałem się, że choć jestem stary, nadal potrafię jeszcze szybko biegać! Wiesz, one naprawdę nie lubią rozmów o krowach. Nie sądzę, by żył gdzieś na świecie minotaur, który zna się na żartach.

Kelida uśmiechnęła się i idąc obok kendera, zajęła się słuchaniem zawiłej opowieści o trzech minotaurach, gnomie zwanym Ish i wiązce siana, którą ten zaproponował im na kolację, z przyczyn nie do końca przez Lavima wyjaśnionych.

Gdy historię (i bez tego skomplikowaną) zaciemniły hiperbole i wyolbrzymienia, Kelida zaczęła obserwować puszcę, udając jedynie, że interesuje ją opowieść kendera. Nagle przypomniała sobie, że Stanach

sugerował, iżby nauczyła się posługiwać sztyletem. Dotknęła przytroczonej do pasa pochwy i ze zdziwieniem odkryła, iż jest pusta. - Lavim! - Co jest? - Lavim obejrzał się wokół. - Zniknął gdzieś mój sztylet!

- Och, weź jeden z moich. - Kender wyjął zza pasa kindżał o kościanej rękojeści i podał go dziewczynie. - Znalazłem go przy ścieżce, ale mam już ich sześć czy siedem. Weź. Był to sztylet, który zginął Kelidzie.

- Gdzie go znalazłeś? - Kelida chwyciła broń i pośpiesznie wsunęła do pochwy.

- Nie pamiętam... - Lavim podrapał się po brodzie z miną wyrażającą absolutną niewiedzę. Ale wiedziałem, że się przyda. Zręcznie przeskoczył przez kępę mchu. - Słyszałem, jak Stanach mówił, że powinnaś się nauczyć posługiwać sztyletem. Krasnolud wprowadzie za bardzo się wszystkim przejmuje, w tym wypadku ma jednak rację. Mogę cię uczyć. - Masz ochotę?

- Jasne, dziewczyno, będę bardzo rad. - Lavim spojrzał na ścieżkę. Tyorl i Stanach już tam na nich czekali. Kender mrugnął okiem i Kelida pomyślała, że wygląda jak kiepski, stary konspirator. - W młodości byłem niemal mistrzem Kendertown. Właściwie to miałem drugie miejsce. Nie da się temu zaprzeczyć... Drugie miejsce to nie mały sukces, szczególnie jeśli rywali jest przynajmniej dwóch. Hooop! Lepiej się pośpieszmy!

Kelida uśmiechnęła się do siebie. Położyła dłoń na rękojeści sztyletu i ruszyła za Lavimem, notując w duchu, iż powinna sprawdzić, które jeszcze z jej osobistych rzeczy mogły zostać „znalezione” przez kendera.

Oparłszy plecy o duży głaz, Kelida rozkoszowała się ciepłem jego nagrzanego przez słońce powierzchni. Tu, na położonych nieco wyżej terenach, piekące przez cały ranek i południe słońce zdążyło osuszyć trawy i ogrzać powierzchnie głazów. Wspięli się teraz powyżej linii drzew. Usiane głazami wzgórze wznosiło się ponad puszcą niczym mała wysepka. Wyspa ta jednak, jak dowiedziała się Kelida od Stanacha, którego zdążyła wypytać podczas wspinaczki na szczyt, nie należała do pogórza Kharolis.

- To po prostu zwykłe wzniesienie terenu - mruknął krasnolud, utkwivszy wzrok w wysokich, widocznych na południu szczytach. - Prawdziwe wzgórza znajdziesz bardziej na wschód.

Kelida zaczęła masować mięśnie zbolątych nóg. Prawdziwe wzgórza. Jakby to była łączka! Skąła była tak rozkosznie ciepła jak cegły, którymi

matka w zimie rozgrzewała jej stopy. Na ziemię padł cień chmury i Kelida zamknęła oczy. Wspomnienie matki otworzyło zimną, bolesną pustkę w sercu. Dziewczynie wydało się nagle, że ta pustka wessała całe ciepło dnia. Oczyma wyobraźni znów ujrzała śmierć szerokoskrzydłego smoka, który opada z nieba.

Na lewo i nieco poniżej miejsca, w którym usiadła, z wesołym bulgotem tryskał z głębi ziemi chłodny strumień. Mroczne wspominki Kelidy przerwał plusk wody i niecierpliwe warknięcie, jakie

mógł z siebie wydać jedynie gniewny krasnolud.

Lavim, który napelniał manierki, skakał po skałach z beztronską zręcznością kozicy. Kender przysiadł obok dziewczyny.

- To nie ja! - krzyknął przez ramię w stronę strumienia. Godzi się jednak dodać, że jego oczy gorzały figlarnymi ognikami. Podał Kelidzie manierkę i odkorkował własną, by pociągnąć solidnego łyka. - Stanach wpadł do strumienia. Sądząc z tego, co tam wrzeszczy, można by myśleć, iż wini mnie! - Bez powodu?

- No, jasne! Poślizgnął się na kępie mchu. Popatrz tylko na niego! Nareszcie ma powód do sarkania i utyskiwań.

Kelida obejrzała się przez ramię. Mokry po kolana Stanach człapał po trawie niczym uosobienie powstrzymywanej wściekłości i urazy. Ujrzawszy, iż obok Kelidy przysiadł już Lavim, krasnolud demonstracyjnie skręcił w stronę Tyorla. Kelida obserwowała, jak Stanach sadowi się na ziemi nie opodal elfa. Żaden z nich nie podejmował rozmowy. Gdy odwróciła się do kendera, ujrzała, że trzyma jej sztylet.

- Zobacz, co znów znalazłem. - Lavim uśmiechnął się i wyciągnął ku niej rękę ze spoczywającym na dłoni ostrzem. - Oddawaj!

- Myślałem, że chcesz, bym cię uczył. - Kender cofnął rękę i przerzucił sztylet do drugiej dłoni. - Owszem, ale... - No, więc?

- Niech ci będzie. - Kelida uśmiechnęła się. - Ale myślę, że zonglerskie sztuczki nie są mi potrzebne.

- No... nie jestem pewien. Nie byłoby wcale trudno nauczyć cię kilku prostych sztuczek. Jestem naprawdę niezłym zonglerem. To niezbyt ładnie chwalić się samemu, ale... - Widząc zmarszczoną twarz Kelidy, kender wzruszył ramionami. - No dobrze. Ale co o tym sądzisz? Przegub kendera drgnął ponownie, sztylet pojawił się w prawej dłoni,

tkwiąc w niej rękojeścią do przodu, w ułamek zaś sekundy później wyfrunął z niej, posłany w powietrze niemal niewidocznym ruchem.

- Gdzie on jest? - Kelida rozejrzała się wokół, nigdzie jednak nie ujrzała broni.

- Tam. - Lavim niedbałym gestem machnął ręką w stronę kępy pobliskich krzaków. - W naszej kolacji. - Kender wstał i zręcznie lawirując wśród głązów, dotarł do krzaków i wsunął w nie dłoń. Wyciągnął rękę, trzymając za skoki dużego, pokrytego szarym futrem królika. Zwierzę drgnęło, po czym znieruchomiało. Wąska klinga sztyletu gładko przeszła mu serce. Lavim wrócił do Kelidy, cisnął zdobycz na ziemię i przysiadł ponownie obok dziewczyny.

- Na tego Tyorl nie będzie już musiał tracić czasu. Kelido - głos kendera nagle spoważniał - sztylet służy do zadawania pchnięć. - Najwyraźniej kender rad był ze swej roli instruktora. - To jedyny sposób posługiwania się nożem. No... można jeszcze dodać krojenie mięsa i otwieranie zacinających się zamków. - Obrzucił dziewczynę taksującym spojrzeniem i dodał: - Masz dobre oko i powinnaś niezłe radzić sobie z rzucaniem sztyletu. Zauważyłem to już na drodze za Long Ridge. Gdyby żołdacy nie mieli na sobie zbroi, mogłabyś dać im niezłe do wiwatu tymi kamieniami, którymi rzucałaś. Oczywiście, powinnaś celować we łby. Byłaś pewnie zbyt zajęta, by o tym pomyśleć. Łap nóż! - Kelida w dwa palce wzięła ostrze, ociekające jeszcze krwią królika. - Nie, nie... nie tak. O, proszę. - Lavim ułożył broń w dłoni dziewczyny i zamknął jej palce na rękojeści. - Trzymaj ją tak, jakbyś... czekajże... jakbyś wymieniała z kimś uścisk dłoni... niezbyt mocno. O, tak, miło mi poznać...

Rękojeść była zimna. Sącząca się z niej krew zdążyła już splamić opończę Kelidy. Dziewczyna wzdrygnęła się i poczuła mdłości na widok lepkiej, ciemnej plamy.

- A teraz - mówił Lavim - sam rzut. Ciskaj znad głowy, jakbyś rzucała kamieniem... Sztylet jest co prawda nieco lżejszy, więc musisz unieść ramię wyżej. No, dalej, spróbuj trafić w tamten stary pień.

Może pięć kroków na północ od nich z ziemi wystawały resztki pnia powalonej piorunem osiki. Kelida oceniła odległość, przymierzyła się i rzuciła. Ostrze śmignęło w powietrzu i upadło pomiędzy korzenie.

- Nieźle. Trafiłaś tam, gdzie chciałaś, musisz jednak dobrze ocenić wagę broni. - Lavim podniósł sztylet. - Jeszcze raz.

Rzuciła ponownie i tym razem ostrze otarło się o korę. Trzecia próba była już udana, sztylet wbił się w pień. - No, proszę! Teraz dobrze! - Lavim wyciągnął broń z pnia i usiadł obok - uczniacy. - Słuchaj dalej... rzucanie jest niezłe, ale tylko wtedy, gdy jest dość miejsca i gdy bardziej zależy ci na ugodzeniu przeciwnika niż na posiadaniu broni. W innych sytuacjach musisz zastosować pchnięcia.

Kelida wzdrygnęła się. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko, by się uspokoić.

- Słuchasz czy nie? - Lavim pociągnął ją za rękaw. Dziewczyna kiwnęła głową.

- No dobrze. Zadawanie pchnięć to dość zabawna sprawa. No... może niezbyt zabawna, ale dziwna. Nie zadawaj pchnięć z góry, gdy walczysz w zwarcu. Trafisz tylko w kość i rozjuszysz jegomościa. Na pewno nie zadasz mu poważnej rany. Uderzaj z dołu. W ten sposób będziesz miała spore szanse, że trafisz w coś ważnego... wątrobę lub nerkę. Rozumiesz? - My... my... myślę, że tak.

- Trochę pozieleniałaś... - Lavim przyjrzał się Kelidzie krytycznym okiem. - Słuchaj, dobrze się czujesz?

- W porządku. - Kelida przełknęła ślinę i opanowała wzbierającą w niej falę mdłości.

- Jesteś pewna? Może naukę zadawania pchnięć odłożymy na później? Poćwicz jeszcze rzuty.

Zacząła ćwiczyć. Pierwszy rzut chybił o grubość palca, drugi trafił dokładnie w cel.

- Jeszcze raz - zachęcał ją Lavim. - Zaczynasz nabierać wprawy. - Kelida rzuciła sztyletem, ale chybiła o krok.

Wokół pnia rosły kępy brązowej już turzycy i zeschniętej trawy. Kelida szukała przez chwilę sztyletu, nie mogła go jednak odnaleźć. Zaraz za pnem grunt opadał ku lasom. Tuż przed linią drzew ujrzała błysk stali. Ruszyła, by odzyskać broń.

Po ocienionej stronie wzgórza teren był podmokły i bagnisty. Buty Kelidy ślizgały się po błocku i zapadały w rozmiękłym gruncie. Szybko podniosła sztylet. Gdy odwracała się, uwagę jej przykuł ruch w gęstwinie pobliskich krzaków. Kelida zmarszczyła brwi i zrobiła parę ostrożnych kroków w stronę zarośli.

Przecisnęła się przez ciernie krzewu i przystanęła. Krzaki otwierały się w tym miejscu, tworząc niewielki spłachetek zielonej trawy. Pośrodku murawy leżał młody człowiek, przygniatając tułowiem wykręcone prawe ramię. Lewą rękę nieszczęśnik, opuchniętą i również złamaną, wyciągnął do dziewczyny, jakby ostatnim wysiłkiem chciał błagać o litość. Kelida nie potrafiła dostrzec, czy jego pierś unosi się w oddechu. Dziewczyna podniosła dłoń ku ustom i mocno zagryzła palec, by nie

krzyknąć. Długie, jasne włosy nieznanego zbroczone były krwią, która tworzyła niewielką kałużę tuż przy jego policzku, pokrytym splamionym czerwienią błockiem. Przez drugi policzek nieznanego, od wybałuszonego oka aż do szczęki, ciągnęła się długa, głęboka rana, której brzegi nabrzmiały już opuchlizną gorączki. Czerwone szaty młodzieńca również zbroczone były krwią; niektóre z plam zdążyły już zaschnąć, inne były świeże i wilgotne. Kelida raptownie zaczerpnęła tchu.

- Lavim! - krzyknęła rozpaczliwie. - Tyorl! Stanach! Młodzieniec jęknął i otworzył oczy. Kiedyś były błękitne jak letnie niebo. Teraz zmętniały z bólu.

- O pani! - wyszeptał nieznajomy. Nieszczęśnik westchnął spazmatycznie, zacisnął powieki, przesunął językiem po skrwawionych wargach i ponowił próbę. - O pani, czy zechcesz mi pomóc?

Stanach, którego przemarznięte ręce mocno drżały, opadł na kolana. Złożywszy jedną dłoń na piersi Fujary, szukał rytmu oddechu i oznak życia, jak kilka dni temu, gdy pośrodku zakurzonej drogi klęczał obok Kyana-Czerwonego Topora. Fujara żył jeszcze, choć isierka życia tliła się w nim bardzo słabym płomieniem. Od chwili, kiedy mag poprosił Kelidę o pomoc, nie odezwał się ani słowem - po prostu leżał i milczał.

Żył jeszcze, choć złamano mu obie ręce, kilka żeber i zbyt wiele krwi zebrało się w płucach.

Wrócił Tyorl, który oddalił się, by poszukać śladów, jakie mogli pozostawić napastnicy Fujary. W lewej dłoni dzierzył gotowy do strzału długi łuk, w prawej trzymał stary flet z wiśniowego drewna. Nic nie mówiąc, podał instrument Stanachowi.

Stanach przesunął kciukiem po gładzi wypolerowanego drewnianka. Po krótkim wahaniu położył instrument obok prawej, złamanej ręki Fujary. - Gdzie to znalazłeś? - Niedaleko stąd. Stanachu, muszę z tobą pomówić. Krasnolud kiwnął głową i wstał.

Elf, z którego błękitnych oczu nic nie dało się wyczytać, spojrzął na leżącego maga, potem poszukał wzrokiem Kelidy. Ujrzał ją stojącą z Lavimem na skraju polany i kiwnął dłonią prosząc, by podeszła bliżej.

- Kelido, zostań z nim przez chwilę. Dziewczyna nie odezwała się ani słowem. Błada przysiadła obok Fujary, patrząc nań ze współczuciem. Stanach westchnął ciężko i poszedł za elfem w głąb cienistego lasu. Szli, dopóki nie upewnili się, że towarzysze nie mogą ich usłyszeć.

Tyorl wetknął strzałę do kołczanu, nie zdjął jednak cięciwy z łuku. - Wygląda na to, że padł ofiarą napaści jakiejś bandy. Stanach kiwnął głową.

- Nie znalazłem żadnych śladów świadczących, że był tu ktoś jeszcze. Nie dostrzegłem nawet żadnych śladów wiodących do tej polanki. Masz jakieś wyobrażenie o tym, jak on tu się znalazł?

- Nie wiem. Jest magiem, dość... - Stanach przemógł nagły skurcz gardła i przełknął ślinę - dość znanym w Thorbardinie z zaklęć przenoszenia. - Uśmiechnął się nieoczekiwanie do wspomnień. - Potrafi przenieść cię, dokąd zechcesz, choć zawsze doznajesz przy tym uczucia, jakby ktoś wyrwał ci obiad z żołądka. Z tego też jest znany. Nie sądzę jednak, by napadnięto go daleko stąd. Nie miał chyba dość sił, by przenieść się na dużą odległość. Czy droga do Long Ridge jest daleko stąd? - Pięć mil, może trochę więcej - odparł Tyorl.

- Myślę, że tam go napadnięto albo gdzieś w okolicy. Tam właśnie na mnie czekał. - Przykro mi.

- Mnie też - rzekł szorstko Stanach. Odwrócił się i ruszył z powrotem do Fujary. Nie zrobił nawet dwóch kroków, kiedy Tyorl chwycił go za ramię. - Co z mieczem?

- A co ma być? - Stanach dotknął brody i zamknął oczy. - Nie mam pojęcia - rzekł z goryczą w głosie. Nie dotarłem do Fujary na czas, prawda? Nie może mi teraz przyjść z pomocą ani ja... ja nie mogę pomóc jemu. Pozwól mi choć posiedzieć przy nim, gdy umiera.

Powiedziawszy to, krasnolud wyszedł z leśnego cienia na słoneczną polankę. Tyorl bez słowa podążył za nim.

- Jeszcze oddycha, Stanachu. Żyje. - Kelida odsunęła się nieco, robiąc miejsce krasnoludowi. - Stanach nie odpowiedział, podniósł dłoń do ust i kiwnął głową, patrząc na połamane ręce Fujary. Kelida również spojrziała na nie i spytała: - Dlaczego?

- Żeby nie mógł użyć magii. - Krasnolud dotknął palcem fletu. - Nic o nim nie wiedzieli. Dzięki temu instrumentowi wydostał się z ich łap, zbyt późno jednak, by ocalić życie.

- Możemy tu rozbić obóz - stwierdził Tyorl. - To dość błotnista dziura na spędzenie nocy, myślę jednak, że lepiej będzie nie zapalać ognia na szczycie wzgórza. Powinniśmy tam ustawić wartę. -

Kiwnął dłonią na kendera, który zamierzał zadać kilka pytań. - Zajmij się zebraniem chrustu i polan na ognisko, dobrze?

Lavim podniósł się nieco sztywno i cisnąwszy jedno spojrzenie Stanachowi, zniknął w gąszczu. Kelida usiadła obok Stanacha. Ona, która

była świadkiem śmierci swych najbliższych, dostrzegła głęboką rozpacz w oczach krasnoluda i wiedziała, że nie należy zostawiać go samego. Nad polaną spłynęła noc, chłodna i mroczna.

Gdy nad szczytem wzgórza pojawiła się tarcza czerwonego miesiąca, Stanach pojął, że już od dłuższej chwili nie słyszy chrapliwego, ciężkiego oddechu Fujary. Pochylił się nad przyjacielem i delikatnie dotknął dłonią jego piersi. Nie poczuł bicia serca. Sprawdził jeszcze tętno na szyi i również go nie znalazł. - Przykro mi - szepnęła Kelida.

Stanach kiwnął tylko głową. Patrzył na nią przez chwilę, potem przeniósł wzrok na Królewski Miecz. Przez chwilę krasnoludowi wydawało się, że dostrzega przenikające skórzaną pochwę lśnienie purpurowej strudziny. Kelida położyła dłoń na dłoni Stanacha. Krasnolud nadal milczał. Przemineła magia. Martwy był Jordy i martwy był Kyan.

Stanach świadomie odgradził się od wszelkich uczuć, obawiał się bowiem, że wpadnie w rozpacz i wybuchnie płaczem.

Rozdział trzynasty

Gdzie jest miecz?

Ciemność przekształciła się w głos, zimny i twardy niczym obsydian. Głos stał się ciemnością. Hauk nie wiedział, czy widzi krasnoluda oczyma, czy tylko wyczuwa go duchem jak nocny koszmar. - Gdzie jest miecz?

- Nie... Nie mam pojęcia. - Tropiciele miał się na baczności. Ten karzeł potrafi zajrzeć w jego myśli, a może nawet przenika je na wylot.

Przesłuchanie przekształciło się w pewnego rodzaju szermierkę. Paruj, zastaw się, cofnij o krok i znowu sparuj. Jak wojownik, którego przyparto do skraju przepaści, Hauk wiedział, iż nie ma już zbyt wiele miejsca na odwrót. Mówił zresztą prawdę. Istotnie nie wiedział, gdzie jest miecz. - Gdzie jest miecz?

- Nie wiem - odpowiadał. Nie wiem, mówił sam sobie. Nie znam nawet jej imienia. Wspomnienie czerwonowłosej dziewczyny z oberży skrył za murem niezłomnej woli. To jest moje, powtarzał nieustannie. To moje wspomnienia. Moje.

Zakopał je tak głęboko jak nędzaryz, który ukrywa skarb nieocenionej wartości.

Śmiech Realgara zabrzmiał wewnątrz duszy Hauka niczym przeraźliwy zgrzyt. Jak górnik kilofem, tak mag zaczął przekopywać umysł tropiciela i każde wspomnienie wyciągał na zimne, bezlitosne światło. Hauk poczuł woń dusznej karczmy.

Realgar zaśmiał się ponownie. Białe światło znikło, zostawiając po sobie pulsujący blask. Pomiędzy dwoma uderzeniami serca rozbłysło ponownie, przekształcając się w kolumnę ognia. Hauk usłyszał wycie burzy.

Poczuł w ustach i w gardle smak piwa i jak wtedy wezbrała w nim żółć. Dym przeciął srebrny błysk. Spojrzał w błękitne oczy Tyorla, rozbawione i wyrozumiałe dla szaleństw młodego przyjaciela.

Jego sztylet trafił w sam środek drewnianej tacy. Hauk usłyszał i całym sobą poczuł coraz głośniejszy dźwięk wibracji ostrza. Posadzka celi zadrżała, jakby poruszona trzęsieniem ziemi.

Nagle zapadły ciemności, drżący zaś z emocji Hauk pozwolił, by otulił go ich szal. Leśnik wmówił sobie, że mrok jest rzeczą dobrą. Pozwalał ukryć skarby.

Śmiech Realgara przekształcił się w hałaśliwy zgiełk dochodzący z karczmy. Hauk ujrzał w

pamięci Tyorla i przylgnął do obrazu przyjaciela. Nappełnił pamięć wspomnieniami lat, kiedy znał elfa jako chłopiec i później jako mężczyzna.

Po kamieniu spływała krew, kapiąc równomiernie. Przemykała się wąskim strumieniem pomiędzy pokrywającymi posadzkę plamami cienia. U stóp banity leżał martwy elf. Zesztywniałe palce Tyorla nadal zaciskały się na śmiertelnej ranie w jego brzuchu.

W dłoni Hauka tkwił miecz. Krew sączyła się jeszcze z klingi, a szafiry rękojeści połyskiwały w wieczornej poświacie. - Gdzie jest miecz?

Hauk odrzucił głowę w tył i zawył straszliwie, przepelnięny żalem, wściekłością i wrogością.

Nawet przez ułamek sekundy nie pozwolił, by w jego umyśle pojawił się obraz dziewczyny o miedzianych włosach i oczach jak dwa szmaragdy. Nie była dlań zresztą już realną dziewczyną. Była jedynie światłem, wspomnieniem blasku wśród otaczających go mroków. Wspomnienie to okazało się wszystkim, co mu pozostało, i uchwycił się go, jak rozbitek chwyta się deski z rozbitego przez sztorm statku.

Rozdział czternasty

Stanach zaczął wznosić grobowiec Fujary jeszcze przed zachodem księżyców. Tyorl patrzący na wszystko ze wzgórza, gdzie pełnił wartę, pomyślał, iż krasnolud zabiera się do budowy z sumiennością kamieniarza budującego mur. Grzbiet pagórka usiany był kamieniami i Stanach zebrał je, by ułożyć z nich fundament grobowca maga.

Krasnolud nikogo nie prosił o pomoc, nie protestował też jednak, gdy Tyorl poprosił Kelidę o zmianę na warcie i zamiast odpocząć, pochylił się i zaczął wydobywać z ziemi kamienie. Żaden z nich nie odezwał się do drugiego, obaj pogrążyli się we własnych myślach. Zanim świt rozjaśnił mrok nieba chłodnym, łagodnym błękitem, grobowiec był gotów na przyjęcie ciała Fujary.

Wtedy też Tyorl rozwiązał dręczące go problemy. Chętnie przyjął od Kelidy podaną mu manierkę z wodą, napił się i podał naczynie Stanachowi.

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

- Poczekaj, dziewczyno! - zatrzymał Kelidę, która chciała wrócić na posterunek.

Stanach, który przysiadł, opierając plecy o stos kamieni przygotowanych na grób, rozejrzał się dookoła. Twarz krasnoluda nie zdradzała żadnych uczuć, gdy szerokimi, pokrytymi odciskami dłońmi badał machinalnie powierzchnię sporej skały, którą wybrał na podnóże grobowca.

- Stanachu, czas, byśmy podjęli decyzję, co robić dalej. - Tyorl starannie dobierał słowa.

- - Ja idę do Thorbardinu.

- Tak właśnie myślałem. - Tyorl skinął głową. Elf poszukał wzrokiem Lavima i znalazł go siedzącego ze skrzyżowanymi nogami obok ciała maga. Tyorl zastanawiał się przez chwilę, co też zaciekawilo kendera do tego stopnia, że dobrowolnie podjął się czuwania przy zwłokach.

- Tyorl - odezwał się krasnolud - zabieram Ostrze Burzy do Thorbardinu. - Uśmiechnął się, choć w jego czarnych oczach nie było ani isierki humoru. - Jeśli nie zechcesz mi towarzyszyć, z chęcią przekażę Haukowi twe pozdrowienia. Jeśli jeszcze żyje. - Krasnoludzie, nie przeciągaj struny - prychnął elf.

- On naprawdę może jeszcze żyje. Podejmujesz ryzyko? - Krasnolud kiwnął głową w stronę pustego grobowca, w którym mieli złożyć Fajarę. - Budujesz dość kiepsko, ale nie martw się, nabędziesz wprawy.

- Ty za to masz jej dość - odciął się Tyorl. - Twoi przyjaciele nie cieszą się przesadnie długim życiem. Ile grobowców zbudowałeś od wyjścia z Thorbardinu?

Kelida, która stała pomiędzy nimi i nie odzywała się, teraz nie wytrzymała i chwyciła elfa za ramię. - Nie, Tyorl, nie wolno ci tak mówić.

- Z powodu tego miecza giną ludzie. - Stanach uniósł dłoń. - Jeśli nie odniosę go tam, gdzie jego miejsce, zginie ich jeszcze więcej. Zaprzeczysz, mości elfie?

Tyorl milczał przez chwilę. Stanach mówił prawdę i elf nie zamierzał przeczyć. Spojrzał na Kelidę. Światło nowego dnia złociło jej czerwone warkocze i wprawiało jej cień w ruch. Wydało mu się, iż oto na jego oczach znika gdzieś przestraszona, odziana w szary, skórzany, znaleziony przezeń w Qualinoście kostium łowiecki, dziewczyna, którą znał do tej pory. Z dłonią wspartą na rękojeści miecza, odziana w ubłocone skóry, wyglądała tak, jakby mogła świetnie się czuć wśród desperatów Finna.

Złudne wrażenie! Dziewczyna nie umiała posługiwać się sztyletem, dopiero zaś wczoraj dowiedziała się, jak przypiąć miecz do pasa, by nie potykać się nieustannie o głównię. Nie była tropicielką ni wojowniczką. Była córką wieśniaka, którą los zmusił do pracy w karczmie.

- Stanachu, oto co postanowiłem: nie wiem, czy Hauk żyje, wierzę jednak, że twa opowieść o mieczu jest prawdziwa. - Elf potrząsnął głową i wstał. - Ostrze Burzy nie należy zatem do Hauka. Miecz powinien wrócić do Thorbardinu. - Usłyszał, jak Kelida wzdycha z ulgą, i ujrzał ulgę w ciemnych oczach krasnoluda. - Przedtem jednak musimy udać się gdzie indziej. - Gniewnym gestem powstrzymał protesty krasnoluda. - Tu niedaleko znajdują się moi towarzysze. Stanachu, nie ty jeden

- spodziewałeś się odnaleźć tu przyjaciół. Finn zechce dowiedzieć się, jaki los spotkał Hauka, powinien też otrzymać wieści, po które posłano mnie do Long Ridge.

Szybko i bez zbędnych szczegółów Tyorl przekazał Stanachowi to, czego wespół z Haukiem dowiedzieli się o planach przesunięcia w góry bazy zaopatrzenia oddziałów Verminaarda.

- Verminaard zamierza zaatakować Thorbardin? - Na twarzy krasnoluda pojawił się grymas bólu.

- Nie inaczej - rzucił sucho Tyorl. - Czyżbyście mniemali, że na zawsze już znajdziecie

schronienie w waszych, tak wam drogich, górach? Sądziłicie może, iż wojna je ominie jak woda wyspę? Pierwsze wozy już pewnie okrążają granice Qualinesti. Nadciąga zima i Verminaard chce przenieść się w góry, zanim okryją się śniegiem. Dobrze byłoby dotrzeć tam, zanim przybędą hordy smokowców, nie sądzisz? I zanim dopadną nas ci, którzy zabili maga, kimkolwiek są.

Słońce, które zdążyło się już wznieść ponad korony drzew na wschodzie, oświetliło szczyt pagórka i oblało złotem grobowiec Fujary. Krasnolud podniósł się powoli i nie odezwał się słowem do elfa i dziewczyny, ruszył w dół. Kelida patrzyła, jak na spotkanie Stanacha wychodzi Lavim, który ujrawszy go wcześniej, pospiesznie poderwał się. Oczy dziewczyny pełne były smutku i współczucia. Gdy spojrzała na Tyorla, smutek z nich zniknął. Tyorl ujrzał w nich litość i doznał niemiłego wrażenia, że dziewczyna lituje się nad nim. - Tyorlu, to było okrutne. - Co mianowicie?

- To, co powiedziałaś o jego przyjaciółach. - Odwróciwszy się szybko, ruszyła w dół zbocza.

Stojący samotnie w pełnym blasku słońca Tyorl wzdrygnął się mimo woli.

U stóp wzgórza rozległ się w powietrzu przenikliwy, pełen dysonansów tryl fletu. Stojący niżej Lavim zakwilił żałośnie, gdy Stanach wyrwał mu instrument z dłoni.

Tyorl ruszył w dół, zapomniawszy o troskach i wątpliwościach. Smokowcy i poszukujący dotkniętego boską dłonią miecza mordercy byli niczym w porównaniu z kenderem, mającym dostęp do magicznego fletu.

Brek dotknął grubymi paluchami swej gęby. Prawym okiem krasnoluda ponownie szarpnął nerwowy skurcz. - Gdzie jest Mica? - Widziałem jego ślady obok drogi. Wróci za chwilę. - Chert przestąpił - niepewnie z nogi na nogę i przekazał jedyną informację, o której wiedział, że jest prawdziwa. - Mag nie żyje.

Było południe i blask słońca, gęsty i obezwładniający niczym smród niedawnej padliny, niczym złote strzały, odbijał się od szmelcowanego błękitem hełmu i kolczugi Cherta, plamiąc światłem szczyty wzgórz. Oglądany z góry południowy szlak do Long Ridge był tylko wąską, brązową wstęgą; na horyzoncie rozciągała się mroczna puszcza, której cienie sięgały aż do wielkiego rumowiska skał na wzgórzu, wyglądających niczym gigantyczny cairn. Prawdziwego, małego grobowca nie można było stąd zobaczyć. Na wschodzie wznosiły się ku niebu strome zbocza Gór Kharolis. Pod nimi leżały Głębokie Pieczary i dom.

Brek splunął zastanawiając się, czy zanim dotrą do pieczar, zginie od blasku słońca czy za sprawą sztyletu Szarego Herolda. Spojrzał koso na wyrzutka Agusa. Gdy uszedł im wczoraj mag Hornfela, w czarnym oku Szarego Herolda wyczytał wyrok śmierci. - Skąd wiesz, że mag zdechł?

- W lesie jest nowy grobowiec - stwierdził Chert. Dla mnie nawet tego nie będzie, pomyślał Brek. Jeśli nie

odzyskam miecza, moje kości zgniją i zbutwieją na słońcu! Ponownie łypnął okiem na Herolda. Realgar nie tolerował niepowodzeń i nie miało dlań żadnego znaczenia, że zanim poniósł klęskę, Brek służył mu wiernie i nienagannie przez dwadzieścia lat. - Wiesz, ile obchodzą mnie grobowce? - prychnął gniewnie.

- W... wiem, ktoś jednak musiał go zbudować. A któż inny traciłby czas, jeśli nie przyjaciel? Widziałem tam ślady trzech, może czterech osób. - Chert uśmiechnął się i podrapał po brodzie dłonią poznaczoną odniesionymi w bitwie bliznami. Wojenne srebro - takim mianem Theiwarowie określali blizny po ranach, otrzymanych podczas zbrojnych potyczek. Chert miał ich sporo. - Jeden z nich był krasnoludem.

Stojący nie opodal Wulfen zaśmiał się gardłowo. Ten dźwięk przypominał Brekowi wilczy charkot.

- Kto, jeśli nie przyjaciel? Czeladnik Hammerfella. Mógłbyś określić, dokąd się udali? - Na

wschód ku wzgórzom.

Na wschód ku wzgórzom. Czeladnik Hammerfella zmierzający do Thorbardinu znajdował się o rzut kamieniem i nie miał przy sobie maga, który mógłby go chronić. Brek odprężył się i uśmiechnął. - Pójdziemy tropem? - Chert dotknął kuszy zwisającej z jego pleców. - Nie - stwierdził Brek. - Przetniemy im drogę. Wulfen! Za mną. -

Coś mu się pokiełbało we łbie, pomyślał Brek patrząc, jak chudy krasnolud zbiega ze wzgórza. Wulfen, którego oczy były mętne i zimne jak zamrożona kałuża, podniósł głowę i wybuchnął długim i jęklwym, przerażającym brzmiącym śmiechem. Zwęszył ofiary.

Mica pojawił się zza grzbietu wzgórza, jakby wycie Wulfena było sygnałem. Brek powitał go kiwnięciem głowy i ponaglił, by dołączył do schodzących ku lasowi towarzyszy. Jednooki Herold, Agus, bez słowa podążył za pozostałą trójką.

Tyorl rad był, że wrócili do lasu. Pośród wzgórz, nawet gdy wędrował kotlinami, czuł się wystawiony na spojrzenia i atak wrogów. Lżej mu się oddychało w cieniu kryjówek leśnych. Tarasy, które widzieli poprzedniego dnia, pokryte cienką warstwą gleby i liści, przekształciły się teraz w nagie występy skalne z szarego granitu, sterczące z gruntu niekiedy do połowy wysokości gonnych sosen. Szlak stał się krętą ścieżką pomiędzy szarymi głazami i sękatymi, grubymi korzeniami drzew.

Puszcza, choć wyglądała jak część rubieży Qualinesti, w istocie była już granicą tej części kraju, którą Finn określał jako swój teren łowiecki. Przywódca grupy desperatów liczącej około trzydziestu elfów i ludzi, grasował wspólnie ze swymi partyzantami w wąskim pasie leśnym pomiędzy Qualinostem a Górą Kharolis. Najchętniej polowali na patrole smokowców.

Pozostająca pod rozkazami Finna Kompania Koszmaru, przekształciła się w grupę zajadłych i śmiertelnie niebezpiecznych drapiezców w chwili, kiedy pierwsi smokowcy zbeszcześcili lasy swą obecnością. Niektórzy mieszkańcy małych miasteczek i zagubionych w puszczy wiosek nazywali ich strażnikami granic. Ludzie udzielali leśnym pomocy, na jaką było ich stać. Niekiedy był to tylko kęs chleba i łyk wody ze studni. Niekiedy pomoc przybierała formę udzielenia informacji lub zachowania milczenia, kiedy przez wioskę maszerował pluton smokowców, poszukujący śmiałków, którzy unicestwili grupę zbłąkanych owieczek Verminaarda.

Tyorl wśród kamienistych lasów czuł się równie dobrze, jak w rodzinnej Puszczy Elfów. W ciągu dwóch dni najdalej, a może nawet i wcześniej, powinien odnaleźć Finna i jego ludzi albo, pomyślał, Finn znajdzie mnie.

Elf szedł przodem, trzymając w dłoni gotowy do strzału łuk z pociskiem na majdanie i cięciwie. Obejrząwszy się za siebie, złowił okiem błysk srebrnego kolczyka i stwierdził, że krasnolud przesunął się na ostatnią pozycję. Choć stary miecz Stanacha spoczywał w pochwie na grzbiecie krasnoluda, Tyorl wiedział, że czeladnik potrafił go stamtąd wyjąć

zdumiewająco łatwo. Stanach nie słowem nie wyraził swej opinii o decyzji Tyorla, by odszukać leśnych desperatów. Elf uważał jednak, że sam fakt, iż krasnolud pozostał z nimi, jest dowodem jego zgody na wszystko. Stanach pójdzie tam, dokąd zawędruje Królewski Miecz i choć Kelida zarzuciła Tyorlowi okrucieństwo, uważała, że plan elfa jest dobry.

Tyorl skrzywił się. Flet Fujary wisiał na rzemieniu u pasa Stanacha. Tyorl próbował przekonać krasnoluda, by instrument pogrzebał razem z właścicielem, Stanach jednak nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Pochowałem Fajarę - upierał się krasnolud. - Nie zakopię jednak w ziemi jego muzyki. Jordy był człowiekiem Hornfela. Oddam flet thanowi.

Do tej pory tryle Lavima nie sprowadziły na nich żadnego nieszczęścia. Potencjalne niebezpieczeństwo było jednak duże. Stanach utrzymywał, że mag nie tylko związał flet z kilkoma

zakłęciami, ale sam instrument posiada pewne magiczne własności.

- Fujara powiadał, że flet ma swój własny rozum - rzekł krasnolud. - Niekiedy sam wybierał sobie melodię i wtedy nie miało znaczenia, co chciał zagrać Fujara. Tak przynajmniej mówił.

Krasnolud nie powiedział nic więcej, tylko przywiązał flet do pasa i pieszczotliwie powiódł palcami po gładkim drewnie.

Tyorl obejrzał się za kenderem i znalazł go podskakującego obok Kelidy i opowiadającego kolejną ze swych nieprawdopodobnych opowieści. Lavim spoglądał jednak równie często na dziewczynę, jak na Stanacha i wiśniowy flet. Tyorl byłby niewypowiedzianie szczęśliwy, gdyby mógł pozbyć się zarówno kendera, jak i fletu. Patrząc jednak na uśmiechającą się Kelidę, zrozumiał, że dziewczynę zasmuciłoby jedno i drugie. Nie zastanowiło go wtedy, dlaczego pragnienia Kelidy mają dlań taką wagę.

Cienie zaczęły się już wydłużać, a promienie słoneczne straciły sporo ze swego ciepła, kiedy elf skinieniem dłoni wezwał Stanacha do siebie. Kelida, której zmęczona twarz świadczyła o tym, że boli ją każda kosteczka, przysiadła na omszałym głazie i uśmiechnęła się słabo, kiedy przechodzący obok krasnolud klepnął ją lekko po ramieniu, jakby pragnął dodać dziewczynie otuchy.

Lavim, którego nie zapraszano i który w najmniejszym stopniu nie zrażał się takimi drobiazgami, podbiegł do nich. - Tyorlu, dlaczego się zatrzymujemy?

- My zatrzymujemy się, by zapolować. - Tyorl przeciągnął palcem po cięciwie. - Ty zajmiesz się rozbijaniem obozu.

- - Ależ ja nie...

- Lavim, przestań się kłócić. Za tymi skałami jest kotlina. - Tyorl drzewcem łuku wskazał kępę drzew i skały na prawo. - Znajdziesz tam potok z czystą wodą i pewnie tyle chrustu, ile będzie ci potrzebne na ognisko. - Rzucił kenderowi swój bukłak i kiwnął dłonią na Stanacha, by ten uczynił to samo. - Napełnij je i nazbieraj dREW na ognisko.

- Wiecie, ostatnio nic, tylko rozbijam obozowiska! - Lavim skrzywił się, przekształcając pomarszczoną twarz w uosobienie niezadowolenia i zaskoczenia. - Jak to się dzieje, że Stanach ciągle poluje, mnie zaś pozostaje obdzieranie zwierzyny ze skóry i znoszenie chrustu? - Zdjął z pleców hoopak i powiódł spojrzeniem po elfie i krasnoludzie. - Jestem naprawdę bardzo dobrym myśliwym.

- Mości kenderze, nie ośmieliłbym się w to wątpić. - Tyorl przeciągał słowa. - Wątpię natomiast, czy wrócisz do nas z kolacją, jeśli twoją uwagę przykuje jakiś ptak, skała czy chmura. Lavim najężył się, gotów do sprzeczki, Stanach jednak podniósł dłoń.

- Lavim, on wcale tak nie myśli. Chciał tylko powiedzieć... - Stanacha zawiodła wyobraźnia, elf bowiem powiedział dokładnie to, co myślał. Krasnolud spróbował więc inaczej: - Wiesz przecież, że ktoś musi zostać z Kelidą. - Owszem, ale... - Tym kimś jesteś ty. Nie chciałbyś przecież zranić jej uczuć, prawda? - Nie, ale nie widzę powodu, dla którego moja nieobecność...

- Jeśli zostałbym ja lub Tyorl, dziewczyna zaczęłaby podejrzewać, że otaczamy ją przesadną opieką. - Tyorl poruszył się, zdradzając irytację, Stanach jednak gestem dłoni nakazał mu milczenie. Mogłaby nawet pomyśleć, że nie uważamy jej za zdolną do zadbania o samą siebie. - A uważamy?

- Gdyby tak było, nie zostawialibyśmy tu ciebie. Sama nie da sobie rady. Ty jednak potrafisz porozumieć się z nią lepiej niż my. Jesteś w tym dobry, Lavimie.

- Kelida potrafi posługiwać się sztyletem. - Kender nie zamierzał dać za wygraną. - Sam ją uczyłem i...

- I świetnie jej idzie, prawda? Wkrótce to my będziemy uczyli się od niej, jak sądzę?

- Nie, jasne, że nie. - Lavim nabrał tchu w płuca i westchnął boleśnie. Nie nauczył jej jeszcze

mojej koronnej sztuczki... podwójnego rzutu przez ramię za siebie... oprócz innych jeszcze, oczywiście. Ale, Stanachu... - No, więc jak? Zostawisz ją tu samą, by zajęła się rozbijaniem obozu i będziesz po prostu miał nadzieję, że gdy wrócimy, zastaniemy ją przy życiu? - Westchnął z rozmyślną perfidią. - Myślę, że się pomyliłem...

- W czym się pomyliłeś? - Lavim zrobił minę jak ktoś, kto podejrzewa, że się go wpuszcza w maliny, nie jest jednak do końca pewien, którą ścieżką.

- Wydawało mi się, że zamierzasz wziąć Kelidę pod swoją opiekę. Wiesz... uczenie jej miotania sztyletem... te opowieści, które, jak sądziłem, miały odpędzać od niej zmęczenie i strach... - Stanach, w którego szeroko otwartych oczach było tyleż niewinności, ile w oczach każdego kendera, wzruszył ramionami. - Cóż, pomyliłem się.

Tyorl, patrząc na kendera, który powłócząc nogami i kopiąc drobne kamienie, wracał do Kelidy, z trudem ukrył uśmiech. - Nigdy chyba nie słyszałem, by ktokolwiek usiłował przekonać kendera za pomocą logiki; z pewnością zaś nie słyszałem, by się to komuś udało - powiedział do Stanacha.

- On naprawdę polubił Kelidę. - Stanach wzruszył ramionami. - Pomyślałem, że mogę to wykorzystać. Nie sądzę jednak, by ta sztuczka udała się więcej niż raz. - Wskazał palcem łuk Tyorla. - Podejrzewam, że mnie przypadnie rola płoszenia głuszca. - Jeśli wolisz gonić z tym swoim mieczem za wiewiórką, to nie. Stanach bez słowa ruszył w las za elfem.

Świejące jasno gwiazdy zapowiadały piękny dzień. Oba księżyce, srebrny i czerwony, żeglowały wysoko po nocnym niebie, oblewając puszcę światłem. Po ziemi, niczym duchy, wędrowały cienie.

Któregoś dnia, obiecał sobie Lavim, nauczę się poruszać cicho jak duch. Kucając nad strumieniem, nabrał w garść lodowatej wody. Oczywiście, nie zostawszy nim pierwej. Mimo wszystko miałyby to swoje dobre strony. Tuż pod powierzchnią wody błysnęło coś w blasku księżyców.

Lavim zanurzył rękę i wydobyl z dna strumyka błyszczący kamień wielkości jego własnej pięści. Rudawy z zielonymi pręgami otoczek wydawał się lśnić w blasku księżyca własnym światłem. Na powierzchni kamienia tańczyły białe i żółte plamki.

Jak złoto i diamenty! Choć pewnie wcale nimi nie są. To prawdopodobnie coś takiego, na co określenie i nazwę mają tylko krasnoludy i gnomy.

Kender włożył kamień do jednej ze swoich sakiewek. Ukucnął i zapatrzył się w migotanie księżycowej poświaty na powierzchni wody. Gdzieś z tyłu dobiegło go zawodzenie szarego lisa. Wysoko rozległ się

okrzyk jakiegoś nocnego, ptasiego łowcy i Lavim usłyszał królika, który rozpaczliwie tłukł się w gęstwinie, pędząc do swej nory. Wszędzie wokół kendera szeleściły liście poruszane przez nocnych myśliwych i ich ofiary.

Dlaczego, pomyślał kender, ludzie mówią, że gdzieś jest cicho jak w puszczy o północy? Panuje tu większy zgiełk niż na jarmarcznym placu!

Kender roześmiał się bezgłośnie. Nabrał ostatnio nawyku mówienia do samego siebie. Pewnie dlatego, powiedział sobie, że się starzeje. Ludzie powiadają, iż starcy rozmawiają ze sobą wyłącznie dla świadomości, że jedynie oni sami mogą udzielić sobie dobrej odpowiedzi.

Lavim znalazł dogodniejsze miejsce i rozsiadł się wygodniej, by pogapić się na puszcę i pomedytować w świetle księżyców.

O, to jest właściwa nazwa dla tego, co robię, pomyślał. Medytacja. Nie rozmawiam sam z sobą, bo wcale nie jestem stary. Sześćdziesiątka to nie jest podeszły wiek. Może moje oczy nie są już takie jak dawniej, ale ciągle jeszcze potrafię uratować tego młodzika, Stanacha, przed smokowcami. Uśmiechnął się do siebie. Tak jest. A skoro już się zgadało o Stanachu...

Lavim zdawał sobie sprawę - i skwitował tę świadomość obojętnym wzruszeniem ramion - że tak naprawdę wszystko, co robi (i wszystko, o czym ze sobą debatuje), sprowadza się do znalezienia odpowiedzi na jedno proste pytanie: jak dobrać się do fletu Fujary? Stanach trzymał instrument przy sobie i przez cały dzień nie spuścił z niego oka.

Ja zaś, wmawiał sobie Lavim, chcę tylko pożyczyć go na minutkę lub dwie. Mógłbym, na przykład, przekonywać sam siebie, sprawdzić, dlaczego flet jest aż tak ważny dla krasnoluda, biorąc nawet pod uwagę to, że należał do Fujary, bliskiego przyjaciela krasnoluda. Biedny Stanach. Bez Fujary musi czuć się naprawdę samotnie. Naprawdę nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie spotkają maga. Krasnolud znalazł się daleko od domu i pewnie rad ujrzałby jakąś przyjazną gębę. Choć można mniemać, że odzyskanie miecza daje mu dość powodów do radości. Co to ja... A, tak. Flet. Stanach byłby niewątpliwie bardzo rad, gdyby odkrył - po tym, jak ja zdołałbym pierwiej dobrać się do instrumentu - że wcale go nie zgubił i że to tylko ja go... pożyczyłem.

Lavim uśmiechnął się do księżyców. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że potrafi dobrać się do fletu. Potrzebny był jedynie właściwy czas i miejsce.

Wycięty z czerwonobrązowego drewna wiśni, lekki i długi flet, nie dawał spokoju kenderowi od pierwszej chwili, w której go ujrzał. Zdołał wydusić zeń tylko jedną czy dwie nutki, zanim Stanach mu go zabrał. Zastanawiał się, jakie też zaklęcia żyją w drewnie fletu maga. Może takie, które uczą cię, jak grać piękne pieśni?

Objął kolana ramionami. O tak, na pewno takie, które uczą muzyki. Kender nie miał pojęcia o muzyce i śpiewaniu, wiedział jednak na pewno, że sprawy uległyby zasadniczej zmianie, gdyby tylko udało mu się wziąć w dłonie flet Fujary - Wstał nieco zeszywniały. Nad ziemią wisiał chłód, on zaś nie upolował jeszcze nic na śniadanie. Była to zresztą jedyna rzecz -oprócz rozbijania obozów, poszukiwania drewna na opał, napełniania wodą bukłaków i zwijania obozowisk - jaką pozwalano mu się zajmować.

Kender bezszelestnie zniknął wśród cieni, rozmyślając o zaczarowanych fletach, królikach i gorącym rosale, uwarzonym na resztkach tłustego cietrzewia.

Dym unoszący się nad kamieniami niósł ze sobą woń świeżo upieczonego cietrzewia. Stanach spojrzął z góry na obóz i zaczął się zastanawiać, gdzie też śpi kender. Lavim najwyraźniej gdzieś zniknął. Kelida spała nie opodal ogniska. Tyorl, oparłszy plecy o pień głogu, drzemał z głową na podciągniętych wysoko kolanach.

Nie potrafi to długo, pomyślał krasnolud, schodząc niżej. Wartę wkrótce miał objąć elf, Stanach zaś wcale nie zamierzał zwlekać z jego budzeniem. Wszystko, czego pragnął w tej chwili, to odrobiny ciepła przy ognisku i niezbyt kamienistego miejsca do snu.

Ogień oświetlał drzewa niespokojnym blaskiem, który sprawiał, że wyglądały jak poruszone bezgłośnym wiatrem. Stanach spostrzegł błysk stali i ujrzał Królewski Miecz leżący pod odrzuconą w bok ręką Kelidy. Obwiązujące pochwę rzemienie poluzowały się i klinga do połowy wysunęła się na zewnątrz. Krasnolud przyklęknął, by wsunąć głownię do pochwy.

Dotknął dłonią szorstkiego miejsca na oplocie rękojeści. W dzień, kiedy miecz skradziono, gdy ściany kuźni zatrzęsły się i runęły w dół na niego, właśnie wyglądał to miejsce. Głowa nagle z hukiem i błyskiem rozpadła mu się na części, Stanach poczuł na szyi strumień krwi, owinęły go ciemności i runął bez zmysłów na posadzkę.

Purpurowa poświata, którą pulsowało zboczę, nie była odbiciem światła ogniska. Stanach wyjął Ostrze Burzy z pochwy tak łagodnie, że Kelida nawet nie westchnęła. Krasnolud wstał i powoli odszedł na bok. Trzymał głownię w obu wyciągniętych przed sobą dłoniach.

Dla tego miecza zginął Kyan-Czerwony Topór. Zginął też przezeń Fujara.

Ludzie Realgara będą poszukiwać maga. Znajdą kopiec grobowy. Nie powinienem był go budować, pomyślał. Potem potrząsnął głową. Nie,

Theiwarowie i tak znaleźliby ciało Fujary. Drogę wskazałyby im ścierwojady. Wzdrygnął się mimo woli. Zrób to, co trzeba. To ostatnie polecenie, jakie dał mu Fujara. Właśnie to robię, pomyślał krasnolud.

Nie inaczej zamierzał to rozegrać od początku. Miał znaleźć Fajarę, wziąć miecz i wrócić z nim do Hornfela. Zabierając miecz, zostawiał jednak towarzyszy narażonych na straszną śmierć, gdyby dopadli ich teraz Theiwarowie.

Spojrzał z góry na śpiącą Kelidę. Jakże łatwo było czytać w jej serduszkach. Krasnolud zastanawiał się, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę z tego, że zakochała się w na poły pijanym desperacie, który dał jej miecz.

Dowie się, szepnęło mu serce, kiedy usłyszy, że tropiciel nie żyje. Zrozumie to, gdy jej powiedzą, że jest martwy.

Spojrzał na Ostrze Burzy. Byłby szczęśliwy, zabierając miecz podczas pierwszej nocy spędzonej w Qualinoście. Z ochotą zostawiłby w lasach Tyorla, dziewczynę oraz Lavima i samotnie ruszyłby do Thorbardinu. Ponieważ było to niemożliwe, zrobił to, co było najlepsze w tej sytuacji: dał Kelidzie powód do zanieśnięcia Ostrza Burzy do Thorbardinu. I obdarował ją miłością do nieżyjącego już człowieka.

Przykro mi, powiedział wtedy, gdy siedział przy zwłokach Fujary. Ona zaś została przy nim, siedziała obok niego, ujęła go ciepłymi dłońmi i bez słów powiedziała mu, że przynajmniej w tej chwili nie jest samotny. Ofiarowała mu ukojenie tak prosto i naturalnie, jak uczyniłaby to najbliższa z krewnych. Nawet siostra nie potrafiłaby zrozumieć go lepiej i bez zbędnych słów.

Wiedząc, że powinien już iść, ruszyć w puszcze z Królewskim Mieczem i nadzieją, że zostawiając tę trójkę Theiwarem, zdoła zyskać na czasie, krasnolud klęknął i ponownie wsunął miecz do pochwy.

Tak... pomyślał Stanach, rozumiesz mnie, prawda? Straciłaś krewnych i przyjaciół. Rozumiesz, tyt chwaer, siostrzyczko.

Zawiązał oba rzemienie zaciskające pochwę i bez słowa wstał, by obudzić Tyorla.

Rozdział piętnasty

Finn obserwował blask świtu na ostrzu sztyletu, którym podrzynał gardło smokowca. Szybko cofnął dłoń, by wyrwać ostrze z łuskowatej szyi, zanim stał się więzioną podczas przemiany mięśni w kamień. Zemdlilo go przy tym jak zawsze. Nie cierpiał tych obrzydliwych stworów, gdy żyły; równie silnie jednak nienawidził ich po śmierci. Tacy jak ten, zabili mu żonę i syna. Nigdy nie zdoła dostatecznie nasycić się zemstą.

Małą polankę wypełniał smród krwi i ognia. Poranny wietrzyk uniósł wysoko chmurę dymu z płonących jeszcze wozów taboru. Dym wzbil się ponad wierzchołki wysokich sosen i opadł przy pobliskiej rzece. Tam wił się gęstymi kłębami, zawracał nad wodą i spływał ponownie na polanę, na której tuż przed świtem Finn i jego ludzie zaskoczyli patrol smokowców i trzy ładowne wozy. Przed świtem, pomyślał Finn, w samą porę, by nasaczyć ich sen ostatnim z koszmarów.

Z trzydziestoosobowej grupy desperatów nie zginął nikt, choć nie obyło się bez kilku ran. Finn uśmiechnął się z zimną satysfakcją i rozejrzał się, szukając Lehra. Szybko dostrzegł kudłatą, ciemną grzywę, powiewającą lekko w podmuchach porannego wietrzyku. Lehr zauważył spojrzenie wodza i pospieszył przez polanę, okrążając najeżone strzałami osmalone wozy i zręcznie przeskakując ponad krzepnącymi w kamień lub rozsypującymi się już w pył ciałami smokowców. - Widziałeś gdzieś

innych?

- Tylko tych, wodzu. - Lehr potrząsnął głową. - Byłem na szczycie. Rozciąga się stamtąd widok na kilka mil wokoło. Jedyne poruszające się stworzenia, jakie widziałem, to kruki, one zaś myślą jedynie o tym, kiedy pójdziemy sobie stąd, by mogły zająć się śniadankiem. - W oczach Lehra pojawił się błysk posępnego humoru. - Biedne ptaszki. Nie znajdują tu nic prócz resztek wczorajszej kolacji smokowców. No, chyba że zadowolą się kamieniami i pyłem.

- Lehr, rozbijcie obóz przy rzece. - Finn chrząknął. - Gdy twój brat skończy swe zajęcie, stawcie się przede mną.

- Tak, wodzu? - W odpowiedzi Lehra zabrzmiała prośba o wyjaśnienia. Nie doczekawszy się żadnych, Lehr wzruszył ramionami i poszedł poszukać brata. Finn nieczęsto wyjaśniał motywy swych posunięć i Lehr nie spodziewał się, że czegokolwiek się dowie, nie miałby jednak nic przeciwko temu.

Znalazł Kembala opatrującego ciężko rannych i przekazał mu polecenie Finna. - Coś się kluje, Kem. Jak myślisz, co to będzie?

- Nie wiem, założyłbym się jednak, że ma to jakiś związek ze śladami, na które natknąłeś się wczoraj. - Kem, uzdrowiciel i partyzant, spojrzał spokojnie na brata, po czym delikatnie wyjął strzałę z nogi rannego towarzysza. Cierpiący zamrugał oczyma. Na jego bladej twarzy pojawiły się oznaki rezygnacji, gdy ujrzał buchającą z rany krew. Tak jak jego towarzysze, wiedział, że strzały smokowców często bywają zatrute. Wypływająca krew oczyszczała ranę i choć spoglądał na to niechętnym okiem, godził się bez sprzeciwu. Kem czyścił ranę, nie patrząc nawet na brata, gdy odchodził.

Obaj wiedzieli, że na patrol smokowców i wozy z zaopatrzeniem ludzie Finna natknęli się niespodziewanie. Wiedzieli także, że choć wódz posłał Tyorla i Hauka do Long Ridge, by donosili mu o ruchach oddziałów Verminaarda na pogórzcu, obaj jeszcze nie wrócili z tej misji. Lehr domyślał się, że ślady, na które natknął się wcześniej, zostawił

Tyorl. Kembal spodziewał się, że Finn nie zamierza przeczyć. Opatrzył ranę i podszedł do następnego pacjenta. Przypuszczał, że Finn zamierza dać swoim ludziom nieco wytchnienia, następnie zaś ruszyć jego tropem, by upewnić się, czy ślady, które widział Lehr, należą do elfa.

Cóż jednak Tyorl miałby robić w towarzystwie tak niezwykłym, na jakie niedwuznacznie wskazywały ślady? Krasnolud, kender i lekkostopy elf lub człowiek? I gdzie, rozmyślał Kem, podział się Hauk?

Promienie popołudniowego słońca, zwodniczo upalnego, jak niekiedy zdarza się to jesienią, odbijały się od skał niczym rozbryzgi przezroczystej wody. Lekki, chłodny wietrzyk szeleścił zetłalymi liśćmi. Stanach grzbietem dłoni otarł pot z czoła i przyklęknął na cienistej ścieżce. Ktoś przechodził tędy nie tak dawno temu. Krasnolud spojrzał na stojącego nad nim elfa. - Twoi banici?

- Żaden banita w kompanii Finna nie nosi podkutych stałą butów. - Wskazał na leżący przy ścieżce odrapany do bieli kamień. Jedyne stał mogła tak zetrzeć skałę. - I spójrz na ten ślad tutaj.

Mech, wilgotny i chłodny w cieniu wysokiego modrzewia, zachował wierny odcisk buta. Stanach, który nie umiał rozpoznawać śladów, potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

- To był krasnolud - wyjaśnił cierpliwie Tyorl. - Popatrz tylko, ślad jest prawie taki sam jak twój.

Stanach zamknął oczy, przywołując wizerunek grobu Fujary, zwieńczającego szczyt wzgórza pół dnia drogi od miejsca, w którym się znajdowali. Musieli się nań natknąć Theiwarowie i stamtąd ruszyli ich tropem. Nietrudno było zgadnąć, dokąd zdąża czwórka wędrowców. - To opryszkowie Realgara.

- Możliwe. - Tyorl bez słów ruszył wzdłuż ścieżki, badając ślady. Wrócił po chwili i oznajmił: - Zmierzają ku rzece. Byli tu przed świtem.

Ścieżka, o ile można ją było w ogóle tak nazwać, wiodła ku jednemu brodowi przez rzekę, znajdującemu się w odległości jednego dnia marszu. Kolejny bród leżał dziesięć mil na południe. Stanach wstał i machinalnie pociągnął się za brodę. - A niech to! - mruknął. - Mają zamiar przeciąć nam drogę! - Gdzie jest kender? - Przy Kelidzie. Dlaczego pytasz?

- Chciałbym przedostać się przez rzekę jeszcze dzisiaj. Co więcej, zamierzam dowiedzieć się, czy zabójcy maga nie czyhają przy brodzie. Ty,

- krasnoludzie, nieźle sobie radzisz z mieczem. - Elf zsunął z ramienia długi łuk. Szybko założył cięciwę i wyjął z kołczanu strzałę. - W najlepszym wypadku będzie czterech przeciwko naszej trójce, trzeba też pamiętać o ochronie Kelidy. Rzecz nie przedstawia się prosto. Z powodu miecza dziewczyna stanie się ich celem. Czy mógłbyś przekonać Lavima, by został przy niej, podczas gdy my pójdziemy na zwiady?

- Nie będę nawet próbował, ale nie trap się. Rozmawia z Kelidą i będzie zajęty jeszcze przez kilka chwil. Sprawdźmy ten bród, póki mamy czas.

Tyorl odwrócił się nie bez oporów i spojrzał na szlak. Zakręt zasłaniał miejsce, w którym zatrzymali się Lavim i Kelida. Dziewczyna, która nie przywykła do całodziennych wędrówek i wspinaczki, nie skarżyła się, miała jednak dość rozsądku, by wykorzystywać na odpoczynek każde nadające się do tego miejsce. Lavim, który nigdy nie tracił ochoty na pogawędkę, dotrzymywał jej towarzystwa.

W złotych włosach elfa zalsniło słońce, gdy zamyślony zaczął przeczesać czuprynę palcami. Stanach cierpliwie czekał na decyzję towarzysza.

Powiew chłodnego wiatru przyniósł śmiech Kelidy. Towarzyszył mu niski rechot kendera.

Elf i krasnolud ruszyli ścieżką w ciszy, zakłócaną jedynie szelestem liści pod ich stopami. Dziesięć kroków za miejscem, w którym znaleźli ślady, szlak zakręcał pod górę na wschód, zwężając się tak, że nie mogli już iść obok siebie.

Teraz musieli ostro wspinać się pod górę. Widzieli tu gliniastą glebę, która przylegała do odwróconych kamieni. Na szczytach niektórych z nich rosły kępki mchu, inne miały omszałe boki, w wielu zaś miejscach gruby, zielony pokrowiec był oderwany, odsłaniając nagi kamień.

- Spieszno im było - mruknął Tyorl. - Wcale nie przejmowali się zacieraniem śladów. Weszli na ścieżkę tam, gdzie spostrzegliśmy trop. - Obejrzał się za siebie. - Nie powinniśmy zostawiać jej samej.

Wiatr się wzmógł i cienie na ścieżce zatańczyły energiczniej. Stanach zaczął nasłuchiwać głosu Kelidy. Usłyszał jednak jedynie szelest liści o kamienie.

- Myślę, że masz rację. Wracaj. Jeśli jest tam Lavim, przyślij go tu do mnie. - Tyorl zmarszczył brwi, ale Stanach skwitował to gniewnym prychnięciem. - Nie jestem leśnikiem, ale też nie jestem ślepy. - Kiwnął głową w stronę śladów. Potrafię podążać za nimi i w razie potrzeby zachować ciszę. - Nie musiał dodawać, że łuk elfa lepiej nada się do obrony dziewczyny niż jeden miecz.

- Stanachu, lepiej zejść tu ze ścieżki. - Tyorl kiwnął głową. - Nie trać jej z oczu, ale idź gęstwiną. Jeśli czyhają gdzieś przed nami, wkrótce natkniesz się na wartownika. Gdy go zobaczysz, szybko i po cichu wracaj do nas. Jeśli będzie można ich zaskoczyć, to zajmujemy się nimi. - A jeśli nie?

- Poszukamy innego brodu. - Tyorl wzruszył ramionami. - Tak czy owak, wolę mieć pewność, że ci morderczy magowie nie czają się gdzieś na szlaku przed nami. - A teraz już idź! Wkrótce tu wrócę! Stanach przez chwilę patrzył za odchodzącym elfem. Potem tak cicho, jak tylko potrafił, zaczął

przeciskać się przez szeleszczące krzewy, których cienkie gałęzki wczepiały się w jego brodę i drapały mu dłonie i twarz. Podążał wzdłuż ścieżki, po kilkunastu jednak krokach zatrzymał się przed wysokim występem skalnym. Górą czy bokiem, zastanawiał się, mierząc wzrokiem przeszkodę. Głaz był stary, twardy i pełen występów, nadających się do wspinaczki. Stanach, który ostatnio widział jedynie drzewa, uśmiechnął się szeroko. Górą, zdecydował.

Ostrożnie zbadał palcami powierzchnię kamienia, szukając oparcia dla stóp i miejsc, aby uchwycić się dłońmi. Znalazł ich w nadmiarze i szybko zaczął się wspinać, docierając po chwili na szczyt. Rósł tu młody świerczek, który wespół z kilkoma krzakami z trudem trzymał się kamienistej powierzchni. Poza tym powierzchnia skały była szara i goła. Stanach przykucnął za świerkiem, spoglądając zza gałęzi na południe. Ujrzał pusty szlak i nie dostrzegł przy nim żadnych wartowników.

Kilkanaście kroków za skalnym grzbietem ścieżka ponownie zakreślała w prawo i opadała w dół, niknąc krasnoludowi z oczu tuż pod skałą, na którą się wdrapał. Zwiadowca zmienił pozycję, by mieć lepszy punkt obserwacyjny.

Patrząc z góry, zobaczył, że ściana drzew urywa się nagle, ścieżka zaś zsuwa się w pokrytą kamieniami dolinę rzeki. Sama rzeka, widziana z góry, była wąską, srebrną wstęgą, bród zaś wyglądał jak porośnięta po obu stronach czerwonymi trzciniami dolinka przy ścieżce. Żaden ślad nie świadczył o tym, że ci, którzy przyszli tu przed nimi, zaczęli się w pokrytej otoczkami dolince.

Wysoko ponad doliną krążył jastrząb, który poszukując zdobyczy, szybował w stronę ziemi, zataczając leniwe kręgi. Pomarszczona przez wiatr powierzchnia wody rozprysnęła się w miejscu, gdzie błyskając w słońcu srebrną łuską, wyskoczył nad wodę niewielki okoń. Zanim ryba zatoczyła łuk, jastrząb zanurkował ostro, chwycił ją w szpony i rozdarł

powietrze ostrym wrzaskiem tryumfu.

Kolacja dla ciebie, braciszku, pomyślał Stanach... i może zostawisz coś dla nas.

Dolina była pusta, rzeka pełna ryb, przeprawa zaś wyglądała na łatwą. Uśmiechając się do siebie, Stanach wstał i odwrócił się w kierunku, z którego przyszedł.

I stanął twarzą w twarz z jednookim Theiwarem, znanym w Thorbardinie jako Szary Herold.

Zimna dłoń strachu zacisnęła się na żołądku krasnoluda. Wpadł w pułapkę. Stanach doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że już po nim, odruchowo jednak sięgnął nad prawy bark i wyszarpnął miecz z pochwy na plecach. Nad wysoki, śpiewny dźwięk zataczającej łuk stali wzbili się ostry, przeraźliwy śmiech Agusa. Stanach uzyskał potwierdzenie swych obaw, gdy jego potężny, zadany oburącz cios zatrzymał się na cal od szyi Szarego Herolda. Powietrze wokół magusia rozbrzmiało czerwienią, sypnęło dużymi, gorącymi iskrami i krasnolud poczuł w ramionach ból, jakby rąbnął mieczem w skałę.

Agus, obrzydliwie chichocząc, podniósł prawą dłoń i zaczął palcami jakby pieścić powietrze. Szepnął słowo, potem drugie i przesycone słońcem powietrze wokół Stanacha stało się zimne niczym tchnienie zimowej nocy. Błękitne jeszcze przed chwilą niebo poczerwieniało, napełniając świat strachem i rozpaczą. Stanach runął na kolana tak ciężko, jakby mocarna i twarda dłoń potężnie rąbnęła go w kark. Jak przez mgłę usłyszał jeszcze brzęk swego miecza o kamień i ujrzał, jak Agus chwyta broń i podnosi ją z głazu.

Usiłował nabrać tchu w płuca. Zabrakło mu powietrza. Poczul się tak, jakby zakłęcie Agusa wyssało z jego płuc cały zapas powietrza.

Tak właśnie, pomyślał Stanach, wzięli Fajarę. Padł ofiarą zasadzki theiwarek magusów.

Pomyślawszy o Fajarze, przypomniał sobie o zwisającym mu u pasa flecie przyjaciela. Choć Fajara związał z fletem kilka zaklęć, choć instrument sam posiadał właściwości magiczne, był bezużyteczny dla Stanacha, który nie znał nawet podstaw nauk sekretnych. Krasnolud zrozumiał

jednak natychmiast, że w dłoni Szarego Herolda flet może zamienić się w instrument o potężnej mocy. Theiwar z pewnością zgłębi jego tajemnice, jeśli tylko będzie miał dość czasu. Udając, że szarpie się rozpaczliwie w próbie odzyskania wolności, krasnolud schował flet głęboko w szczelinę skalną. Agus ponownie uniósł w górę dłonie i teraz Stanach rozpoznał

wykonywane przez magusia gesty. Powiedział tylko trzy słowa, dziwnie łagodne, które jednak wcale nie uspokoiły Stanacha. Były to słowa zaklęcia przenoszenia.

Agus chwycił głowę krasnoluda i odwrócił ją ku sobie. Schwytyany w znajomy mu wir zaklęcia, krasnolud poczuł się tak, jakby stracił w nogach i ramionach wszelkie czucie, świadomość zaś istnienia znikła z jego serca i umysłu.

Lavim przysiadł na głazie obok szlaku. Stąd widział ścieżkę z dwóch stron. Na kolanach kendera leżał hoopak, pomiędzy stopami zaś Lavim położył wypchaną sakwę, zawierającą kamienie różnych rozmiarów, od gładkich i niewielkich do chropowatych wielkości pięści. Kender oglądał kamienie jeden po drugim, tak jak łucznik sprawdza przed walką strzały. Wyjął z sakwy rudawozielony kamień, spryskany plamkami żółtego pirytu i białego kalcytu i podał go Kelidzie.

- Tym kamieniem - rzekł, obserwując grę słońca na żółtych i białych kryształkach - zabiłem kiedyś goblina z odległości stu kroków.

- Ejże, Lavim... doprawdy było to sto kroków? - Kelida nie kryła wątpliwości.

Stary wyga kiwnął głową obojętnie tak, jakby nie dopuszczał nawet do siebie myśli, że oto właśnie przed chwilą zakwestionowano jego prawdomówność. - Może sto dziesięć. Wiesz, nie miałem czasu, aby zmierzyć. - Ale nie omieszkałeś zabrać kamienia, którym zabiłeś goblina.

- Nie inaczej. To bardzo dobry, przynoszący szczęście kamień. Należał do mojego ojca, on zaś odziedziczył go po dziadku.

- To jakby rodzinny skarb, prawda? - Kelida ukryła cisnący się jej na wargi uśmiech.

- No... nigdy nie myślałem o nim w ten sposób, ale, owszem, można tak powiedzieć. - Lavim wrzucił kamień do sakwy.

Obraz przedstawicieli dwóch pokoleń kenderów, starannie szukających owego kamienia za każdym razem, gdy opuścił procę hoopaka, była zbyt absurdalna, by brać ją poważnie. Mimo iż Kelida skryła uśmiech za dłonią, Lavim dostrzegł go w jej zielonych oczach. - Dziewczyno, co w tym zabawnego?

- Och, ja się nie śmieję... Uśmiecham się tylko, bo miło mi pomyśleć, że masz coś, co ci przypomina ojca i dziadka.

Podciągnęła kolana i oparła na nich podbródek. Przez chwilę przypatrywała się przeglądającemu broń kenderowi. Na długim, białym warkoczu starego wygi rozblęśły promienie słońca. W ogorzałej, brązowej

twarzy Lavima jego zielone oczy wyglądały jak dwa młode listki.

- Pomyślałam tylko, że ja sama nie mam nic, co przypominałoby mi moją rodzinę. Nie mam żadnego kamienia szczęścia.

- Och, w Khur jest ich mnóstwo. - Lavim podniósł wzrok znad swych skarbów. - Byłaś tam kiedyś? Tam właśnie się urodziłem. Piękny to kraj, same góry i skały, choć znajdziesz tam też kilka ładnych dolin. Powinnaś go odwiedzić. Sam się wybieram. Zawsze chciałem, ale, ot, nie mam pojęcia, jak to się dzieje, że za każdym razem coś mnie ciągnie w drugą stronę. Zupełnie jak to Ostrze Burzy, choć niech mnie grom spali, jeśli wiem, co to takiego. Nie zawsze pracowałaś w oberży, prawda? Kiedyś mieszkałaś na wsi ze swoją rodziną, zanim ten smok... no... zanim podjęłaś pracę w karczmie. No, więc jeśli lubisz pracę na roli, spodoba ci się w dolinach Khur. Chętnie cię tam zabiorę. Chcę tam wrócić na jakiś czas. Po tym, jak skończymy z Ostrzem Burzy. - Przerwał na

chwile. - Słuchaj, czy nie wydaje ci się, że Hauk chętnie zajrzałby do Khur, co?

- Dlaczego tak sądzisz? - Kelida zapatrzyła się w plamę słońca ma kamieniu.

- No, gdybyś ty tam pojechała, to on pewnie też. Domyśla się chyba, że idziesz do Thorbardinu, by go uratować, i sądzę, że będzie ci wdzięczny. Ciekaw jestem, czy trzymają go w celi więziennej, czy wtrącili do lochów. Cele są, jak myślę, tylko dla krótkoterminowych. Żarcie zwykle podają paskudne, ale dość regularnie. - Lochy? Nie bardzo je lubię. Posiłki nie są gorsze, ale nieczęsto się je tam widuje. Ludzie, którzy wtrącają cię do lochów, skłonni są do zapominania o więźniach. Wiesz, Thorbardin to naprawdę rozległe miejsce. To nie jest jedno miasto, ale sześć. Są jakoś połączone. I naprawdę wybudowano je wewnątrz góry. Możesz to sobie wyobrazić? Są tam też ogrody. Wiedziałaś o tym? Ciekaw jestem, jak rozwiązali sprawę doprowadzenia światła słonecznego. Musieli jakoś się z tym uporać, skoro umieścili ogrody wewnątrz góry. Jak rozwiązali sprawę deszczu? No, może łapią go w jakieś zbiorniki i później zraszają ogrody, ale to pioruńska robota, nie sądzisz? Nawet jeśli jakoś sobie z tym radzą -mam na myśli problem wody - pozostaje jeszcze kwestia światła słonecznego. Tego nie da się przytaszczyć w cebrzyku.

Lavim trajkotał jak najęty, Kelida zaś słuchała, poświęcając mu tylko część uwagi. Wyobrażała sobie więzienne cele i lochy i zastanawiała się, czy Hauk w istocie zdaje sobie sprawę z tego, że ktoś podąża mu na pomoc.

Musi wiedzieć, pomyślała. Z pewnością wie, że szuka go Tyorl. Przesunęła dłonią po skrytej w pochwie głowni Ostrza Burzy. Hauk zdaje

też sobie sprawę z tego, że uwięziono go właśnie z powodu tego miecza.

- Oczywiście, jeśli zamierzasz nosić światło słońca w cebrzyku, musisz znaleźć naprawdę szczelną pokrywę, prawda?

Jeśli Hauk żyje, pomyślała, na pewno wie. Czy jednak żyje? Od nocy, podczas której wyszedł z oberży Tenny'ego, minęło już sześć dni. Przypomniała sobie maga, Fujarę, jego cairn na wzgórzach i wyraz oczu Stanacha, gdy mówił o śmierci krewniaka. Zamknęła oczy i oparła główkę na kolanach.

Usiłowała przypomnieć sobie brzmienie głosu Hauka i próbowała doszukać się w nim nutek, które wskazywały na łagodność, ukrytą pod niedźwiedzimi manierami. Ustaliła, że jeśli potrafi przypomnieć sobie brzmienie głosu banity, oznaczać to będzie, iż Hauk jeszcze żyje. Jeśli zdoła przywołać w pamięci błysk jego oczu, z jakim kładł miecz u jej stóp, zwiadowca pozostanie przy życiu.

Z tych kilku chwil, kiedy z nim rozmawiała, wytworzyła sobie wizerunek męża łagodnego i rycerskiego i nie pamiętała już, że tak naprawdę, wtedy u Tenny'ego, Hauk ją przerażał.

- ... i muszą mieć czarne wiadra, może wylane ołowiem lub czymś podobnym, bo inaczej światło słońca zawsze będzie im wyciekało. Hm, zastanawiam się, czy o tym pomyśleli.

Kelida zacisnęła palce na mieczu. Stanach nazywał go Królewskim Mieczem. Dla niej zawsze pozostanie on mieczem człowieka, który zaryzykował jej życie dla zakładu, potem zaś naraził swe własne, by oddalić grożące jej niebezpieczeństwo.

W krzakach coś zaszeleściło i na ścieżkę upadł kamień. Lavim zsunął się ze skały, wrzucając do sakwy swe pociski. Kelida obejrzała się i zobaczyła stojącego obok niej Tyorla. Chciała wstać, elf jednak powstrzymał ją skinieniem dłoni.

- Poczekaj. Lavim, przejdź się wzdłuż ścieżki i dołącz do Stanacha, dobrze? - Dobrze. Tyorl, co się dzieje? - Kender przełożył hoopak przez plecy.

- Nic. Idź i odszukaj Stanacha. I nie zgub się. Szczerząc radośnie zęby, kender śmignął we wskazanym mu kierunku, jego zaś sakwy i woreczki podskakiwały wesoło w takt kroków.

- Słyszałem go już w połowie drogi - oznajmił Tyorl, sadowiąc się na opuszczonym przez

kendera głazie. - O czym tak gadał?

- O Thorbardinie i świetle słonecznym zamykanym w wylanych ołowiem cebrzykach. - Uśmiechnęła się Kelida. - Światło w... - Tyorl podrapał się po szczęce. - Do czego? -

- Och, do oświetlania ogrodów. Powiada, że w Thorbardinie jest mnóstwo ogrodów. Mówi prawdę?

- Nie mam pojęcia. - Elf wzruszył ramionami. - Miasto wybudowano we wnętrzu góry, nie wiem więc, jak można tego dokonać. Opowieści kenderów zazwyczaj składają się z życzeń i marzeń, reszta zaś to wytwór ich wyobraźni.

Przez długą chwilę Kelida milcząco obserwowała, jak Tyorl bada palcem cięciwę łuku. - Gdzie jest Stanach? - Przed nami. - Tyorl ponownie wzruszył ramionami. - Sprawdza szlak. - Może powinniśmy do niego dołączyć?

Tyorl obejrzał się za siebie, patrząc na mroczne cienie. Choć nie usłyszał nic prócz szelestu wiatru w gałęziach drzew, potrząsnął przecząco głową. - Za chwilę. To dość długie podejście. Możemy jeszcze odpocząć. Kelida kiwnęła główką i umilkła, obserwując grę cieni na ścieżce. Tyorl patrzył na promyki słońca, muskające włosy dziewczyny.

Problem z tymi cebrzykami, mówił sobie Lavim, polega na tym, że mogą działać albo nie. Nie dowiesz się jednak niczego, jeśli nie spróbujesz, no nie?

Zamyśleniu kendera zawtórowało westchnienie wiatru wśród wierzchołków drzew. Lavim dreptał wzdłuż ścieżki.

Jasne jak słońce, pomyślał. Jeśli w Thorbardinie mają ogrody, musieli wykombinować, jak je nasłonecznić.

Już wcześniej postanowił, że nie będzie sobie zawracał głowy zwalczaniem nawyku głośnych rozmów z samym sobą. Dostarczały mu one zresztą niemal takiej samej uciechy, jak rozmowy z kimś innym. Gdy mówił sam do siebie, nikt się, na przykład, nie wtrącał. Żywił nawet brzydkie podejrzenia, że Stanachowi i Tyorlowi niewiele rzeczy sprawia większą uciechę niż przerywanie mu przemowy w połowie długiego zdania. Kelida... owszem, czasem słuchała. Biorąc wszystko pod uwagę, zaczynał nawet lubić pogawędki z samym sobą. Zadawał właściwe pytania i otrzymywał trafne odpowiedzi.

Zszedł ze ścieżki w miejscu, gdzie połamane gałęzie krzewów i podeptane poszycie były niemymi świadkami niedawnego przejścia Stanacha.

Typowe dla krasnoluda! Wyrąbuje ścieżkę szeroką na milę, tak by wszyscy wiedzieli, że tędy właśnie przechodził. Krasnoludy w ogóle nie mają pojęcia o życiu w puszczy, nie sądzisz?

Ujrzał przed sobą wysoki skalny występ. Lavim uśmiechnął się szeroko. Dam głowę, że polazł właśnie tędy. Dlaczego nie trzymał się ścieżki? No dobrze, zapytam, jak go znajdę.

Korzystając z nierównej powierzchni kamienia, zaczął szybko piąć się w górę. O tak, Stanach był tu niewątpliwie. Przylegające do skały porosty były poodrywane i poszarpane. Lavim potrząsnął głową. Równie dobrze można by wymalować tu czerwoną farbą napis: TĘDY SZEDŁEM.

Słońce błysnęło nagle na czymś gładkim i brązowym, wetkniętym w kamienną rozpadlinę. Lavim schylił się i zmarszczył brwi, wyciągając flet Fujary.

Zaczerpnął głęboko tchu i świsnął cicho. Flet Fujary! Cóż za znalezisko!

Zdecydowany natychmiast sprawdzić, czy flet potrafi nauczyć go jakiejś melodii, podniósł ustnik do warg. Dmuchał raz i drugi. Zanim jednak zadał po raz trzeci, wstrzymał się porażony nagłą myślą.

Bo i dlaczego Stanach miałby porzucić flet tutaj? Krasnolud zawsze bardzo uważał, by nic nigdzie nie zostawiać - co bywało niekiedy dość irytujące - a tu oto leży sobie flet Fujary - ot, tak

ciśnięty na głaz.

Kender przesunął palcem po instrumencie, następnie podniósł flet do słońca i przez chwilę obserwował grę czerwonych i brązowych odblasków światła na powierzchni drewna. Czy krasnolud rzeczywiście porzucił instrument?

Kender prychnął gniewnie. Z pewnością nie! Flet należał do Fujary i posiadał, wedle słów samego Stanacha, właściwości magiczne. Nie porzuca się - ot, tak sobie - magicznego fletu, który od dwóch dni dynda ci u pasa, przez te dwa dni zaś co pięć minut sprawdzasz, czy go przypadkiem nie zgubiłeś.

Lavim bystro przyjrzał się skale. Dopiero teraz zauważył, że był tu ktoś jeszcze. Obok małego świerku na szczycie kender znalazł dwa rodzaje śladów.

Nie są to odciski stóp Tyorla, pomyślał kender. Przykucnął i zmierzył dłonią odciski stóp. Jedne były nieco węższe od drugich, ale tej samej długości. Drugi krasnolud.

Jak sądzisz, skąd tu, w środku puszczy, wzięłyby się drugi krasnolud, co? A... przypomniał sobie. Są przecież ci... jak im tam. Theiwarowie.

- O, właśnie... - powiedział - Theiwarowie. To zaś znaczy... - Raptownie zamknął usta i rozejrzał się dookoła. W poszyciu zaszeleścił wiatr. W dole śmiała się i szeptała coś do siebie rzeka. Ze szczytu dębu hałaśliwie

sfrunęła sójka. Wokół niego nie było nikogo, słyszał jednak czyjś głos podobny do świstu wiatru lub odległej melodii fletu. - Hej... jest tu kto?

- Lavim, Stanach jest w niebezpieczeństwie. Lavim rozejrzał się na wszystkie strony, marszcząc brwi przyjrzał się dolinie i skrzywił się, patrząc na zarośla wzdłuż ścieżki. - Gdzie jesteś? - spytał głośno. - I, jeśli już o tym mowa, kim jesteś? Skąd wiesz, że Stanach ma kłopoty? - Lavim, musisz mu pomóc.

- No jasne, ale... Hej, poczekaj chwilę! A skąd mam wiedzieć, czy nie jesteś jednym z tych, no... - Theiwarów. - Właśnie! Skąd mam wiedzieć, czy... - A dlaczego miałbym ci mówić, że on ma kłopoty? - A dlaczego nie chcesz się pokazać? No? Gdzie jesteś, hę? - Tuż za tobą.

Lavim okręcił się jak fryga. Nikogo. Odwrócił się znowu. Nikogo. Nie można słyszeć głosu, jeśli nie ma w pobliżu kogoś, kto mówi. Czyżby znów mówił sam do siebie?

To jednak nie przypominało brzmienia jego głosu. Zacisnął powieki, usiłując przypomnieć sobie, jak brzmiał jego głos, gdy mówił sam do siebie. To były myśli, przypomniał sobie. Nic mu z tego nie wyszło, na myśl jednak, że istnieje szansa, iż nie prowadzi tej niezwyklej rozmowy sam ze sobą, kender otworzył oczy i rozejrzał się bacznie dookoła. - Posłuchaj...

Głos, który otaczał go teraz ze wszystkich stron, niespodziewanie stał się surowy. - Lavim, ty mnie wezwałeś. Teraz mnie słuchaj! Sprowadź Tyorla! Lavim westchnął. Jeśli rozmawia sam ze sobą, to na domiar wszystkiego zaraził się od Tyorla i Stanacha paskudnym zwyczajem przerywania w pół słowa. - Ja cię wezwałem? Nie wzywałem nikogo. Nie... - Później o tym pogadamy. Teraz idź!

Lavim zsunął się ze skały i pomknął wzdłuż ścieżki. To nie strach dodał mu skrzydeł. I nie posłuszeństwo.

Do biegu, podczas którego robił tyleż hałasu, co przedzierający się przez jeżyny krasnolud, zmusiła go nagła i absolutna pewność, że przemawiający doń głos nie należy do niego.

No, poprawił się w myślach, to znaczy tak... ja, owszem, mówiłem, ale odpowiadał kto inny! Lavim roześmiał się i nie zwalniając biegu, wywinął fletem nad głową.

Domyślał się już, kto mu odpowiadał.

Rozdział szesnasty

Gneiss usłyszał, jak zażegnane przed chwilą w Sali Rady kaganki syczą gniewnie, potem jednak uspokajają się i po kilku westchnieniach zaczynają płonąć równym, miarowym blaskiem. Potarł dłonią skronie i nagle zdał sobie sprawę, iż ten gest wszedł mu niemal w nawyk, tak jak ból głowy wydawał się teraz stałym elementem jego życia. Powód owego bólu głowy - ośmiuset uchodźców, będących od dwóch dni przedmiotem obrad Rady - czekał u Południowych Wrót w dolinie Na Zewnątrz. Ich przedstawicielami, których widział w przelocie, gdy spieszył do Sali Rady, byli półelf i wysoka, urodziwa kobieta z Nizin. Gneiss potarł skronie raz jeszcze, ale łagodniej. Tych dwoje czekało teraz w przedsionku na decyzję Rady. Decyzję, która każe ośmiuset uchodźcom odejść albo - Gneiss westchnął ze znużeniem - pozwoli im osiąść w Thorbardinie.

Daewar rozejrzył się. Żaden z siedzących po obu stronach szerokiego, owalnego stołu thanów nie wyglądał na szczęśliwszego niż on sam.

Tufa wpatrywał się w gładką, granitową powierzchnię stołu, śledząc tylko jemu widoczny wzór. Zachowywał milczenie od chwili, kiedy zwołano Radę. Żlebowiec Bluph bębnił piętami o nogę swego krzesła. Ponieważ dotarło do niego, choć dość mgliście, że dzisiejsza narada ma nie być jakieś znaczenie, ze wszystkich sił starał się zachować przytomność umysłu.

Jakby o kimś, kto ziewa co minutę, pomyślał kwaśno Gneiss, dało się rzec, że jest przytomny!

Dwaj thanowie derro, Rance Daergar i Realgar Theiwar, trzymali się cienia jak ryby wody. Rance czynił to dlatego, że ostatnio nie odstępował od Theiwara. Ci dwaj trzymali się razem jak kleszcz i pchła na psim tyłku.

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

Hornfel, którego wygląd oczu wyraźnie świadczył o bezsennych nocach, wstał wreszcie ze swego miejsca w szczycie stołu.

- Zgodziliśmy się, że nie będziemy już dyskutować o tym, czy wpuścić uciekinierów do Thorbardinu. - Rance wciągnął powietrze w płuca, by przerwać mówcy, Hornfel jednak niewzruszenie ciągnął dalej: -Przedstawiciele uchodźców czekają na naszą odpowiedź. Nie pozwolę im czekać dłużej. Rada ma jeszcze inne rzeczy do omówienia.

W komnacie zapadła cisza, brzemienista nieuchwytną melancholią oczekiwania. Bluph wymachiwał nogami w powietrzu i całą uwagę skupił na unikaniu uderzeń piętami o nogi krzesła. - Głosujmy. - Hornfel odwrócił się ku Klarowi. - Tufa, jaka jest twoja decyzja?

- Nie zmieniłem zdania. - Than Klarów potrząsnął głową. - Przyłączę się do decyzji całej Rady. - Rzucił szybkie i (jak na niego) niemal wyzywające spojrzenie Realgarowi. - Niezależnie od tego, jaka ona będzie.

Gneiss westchnął. Wyglądało na to, że jeśli któryś z członków Rady nie zmieni zdania, jego słowo w istocie będzie rozstrzygające. Tak jak powiedział Hornfelowi na blankach Wrót Południowych, podjął już decyzję. Nie mówił o niej z nikim, był jednak pewien, że jest najlepsza w możliwych.

Zanim Hornfel zwrócił się do źlebowca, wciągnął powietrze w płuca i zamknął oczy. Potem kiwnął głową. - Bluph, wpuścić ich czy odpędzić?

Bluph zamarł z gębą na poły otwartą w kolejnym ziewnięciu i przestał się drapać. Potem uśmiechnął się szeroko.

- Wpuścić. - Zaraz jednak zmrużył oczy i zrobił minę, jakby zamierzał się rozmyślić. - Rance? - Hornfel był szybszy. - Nie! Nie! Po trzykroć nie!

- Tego się spodziewałem - rzekł Hornfel z kpiną w głosie. - Realgar? Theiwar wzruszył ramionami. W tej chwili jego oczy przypominały Gneissowi ślepiea głodnego kocura. - Hornfelu, oszczędzę ci trudu czytania w moich myślach. Odpędźcie ich. Nie ma tu dla nich miejsca, nie lubimy ich i nie są nam potrzebni.

Gneiss podniósł wzrok i spokojnie spojrzął Realgarowi w oczy. To samo, pomyślał, można by rzec o was, Theiwarowie. Na głos jednak powiedział:

- Możemy osiedlić ich we wschodnich cieplarniach. Leżą odłogiem już od trzech lat. Nie znamy tych ludzi, więc nie da się rzec, czy ich lubimy, czy nie. Co się zaś tyczy potrzeby... - Obrzucił siedzących szybkim spojrzeniem.

- Zawsze przydadzą nam się rolnicy. Ci ludzie są właśnie rolnikami. Powiem więc tak... wpuścimy ich, oni zaś niech zapracują na swe utrzymanie. I, oczywiście, odpracują dzierżawę pól. - A twoja decyzja? - Teraz Gneiss spojrzął na Hornfela. - Wpuścić ich! - W głosie thana Hylarów brzmiał spokojny tryumf. Usłyszawszy to, Realgar wstał z miejsca i stąpając niczym wymykający się na łowy drapieżnik, opuścił komnatę. Tuż za nim podążył Rance, miotając przekleństwa. Dwaj thanowie derro w żaden już sposób nie mogli zapobiec wpuszczeniu do Thorbardinu ośmiuset ludzi.

Rada podjęła decyzję, jej decyzje zaś wiązały ręce nawet Realgarowi. Przynajmniej do tej pory.

Gneiss patrzył za odchodzącymi, za którymi szybko ruszyli Tufa i Bluph. Westchnął tylko usłyszawszy, że Bluph dopytuje się o wynik głosowania.

- Przyjacielu, dałem głos za tobą - zwrócił się do Hornfela. Hornfel kiwnął głową. Patrząc na

Hylara, Gneiss zdał sobie nagle sprawę, że than nie wygląda jak ktoś, kto jest pewny zwycięstwa. - I co teraz? Myślałeś może, że tych ośmiuset obszarpańców spędzi zimę wałkoniąc się i odpoczywając?

- Powiedz mi, Gneiss, w jaki sposób mamy zawrzeć przymierze i zaskarbić sobie przyjaźń udręczonych i wynędzniałych ludzi, których właśnie zmuszamy do na poły niewolniczej pracy na polach? - Hornfel zignorował sarkazm przyjaciela.

- Hornfelu, nie zaczynajmy jeszcze raz. - Gneiss westchnął ze znużeniem. - Ciesz się z tego, co osiągnąłeś, i powiedz uciekinierom, że mogą tu spędzić zimę. Jeśli dojdzie do wojny z napastnikami z Zewnątrz, ci ludzie pewnie odzyskają siły i będą radzi, mogąc bronić miejsca, w którym żyją. Jeśli zaś dojdzie do... zamieszek w Thorbardinie, masz moich Daewarów i Klarów. Nikt więcej nie jest nam potrzebny. - Mówiąc to, Gneiss przypomniał sobie błysk w oku Realgara. Poczul niemiły dreszcz na plecach. - Powiesz im teraz?

- Potrzebna mi minutka wytchnienia... - Hornfel przez chwilę bębnił palcami po stole.

- Wytchnienia, powiadasz. Dobrze, odpoczywaj. Uważaj jednak, gdzie to robisz. Ostatnio bardzo nie podoba mi się to, co widzę we wzroku Theiwara.

- Mnie też - powiedział Hornfel. Gneiss zaś zrozumiał, że uciekinierzy nie są jedynym powodem bezsenności Hylara.

Hornfel starannie dobierał miejsca, w których pozwalał sobie na odpoczynek. Poszedł więc do znajdującego się obok Sali Rady ogrodu. Równym, miarowym krokiem zaczął przemierzać żwirowe ścieżki.

Cieszył się z dzisiejszego zwycięstwa. Nie, wcale nie spodziewał się, że ośmiuset obszarpańców będzie całą zimę beczynnie się wylegiwać. Nie zamierzał też jednak ofiarować im czegoś, co w jego oczach zakrawało niemal na niewolnictwo. W ten sposób nie zdobywa się sprzymierzeńców, wiedział zaś, że wkrótce będzie ich potrzebował. Potwierdzenie dostrzegł dziś w oczach Realgara. Przystanął na chwilę w pobliżu największych klombów. Rozkwitały tu

barwne, górskie, letnie kwiaty. W starannie pielęgnowanym klimacie podziemnych ogrodów kwitły zresztą cały rok.

Obok siebie rozkwitały tu dzwoneczki o wąskich liściach i szarozielone nieśmiertelniki. Szeroko rozpościerały się grzebienie królewskiej paproci, bardziej złotej niż zielonej. Pośród tych wachlarzy, jakby niewiele sobie robiąc z przywilejów królewskośći, przeciskał się zuchwale janowiec o żółtym kwieciu. Na granicy klombu czaił się rododendron, tworząc tam prawdziwe zarośla.

Hylar dotknął jednego z kwiatów rododendronu. Miękkie, różowe płatki pięknie rozkwitły w słońcu, doprowadzanym tu poprzez liczne, wychodzące na powierzchnię, kryształowe sztolnie. Delikatny kwiat drgnął pod dotknięciem dłoni krasnoluda.

Hornfel cofnął palce i podnosząc głowę, spojrzął na znajdującą się niemal nad nim sztolnię. Do ogrodu sączyło się teraz łagodne, fiołkowe światło zmierzchu, za dnia jednak ogród zalewany był powodzią złotego, rozproszonego blasku.

Ten sam system oświetlał sześć grodów Thorbardinu tak, jakby kapały się w blasku słońca na powierzchni i dostarczał światła niezbędnego dla pól, gdzie zbierano plony dla głodnych Thorbardińczyków.

Może i kochamy się w górskich komyszach i ich sekretnych głębinach, pomyślał Hornfel, kochamy jednak też światło. No, przynajmniej niektórzy z nas.

Usłyszawszy cichy odgłos kroków i chrząknięcie, odwrócił się zaskoczony. Postarał się jednak nie okazać zdziwienia. Napotkawszy spojrzenie ciemnych oczu thana Theiwarów, Hornfel odniósł wrażenie, że Realgar, mrużący oczy w za jasnym dla niego blasku, obserwuje go od dłuższej już chwili. Ujrzał w oczach maga cień morderczych myśli. Poczul też nagły powiew chłodu na karku,

jakby przez ogród przemknęło tchnienie zimy.

- Twoi... goście już czekają - powiedział mag derro. Wymówił te słowa tak, jakby powiadał go o nadejściu zarazy. Uśmiechnawszy się drwiąco, Theiwar odszedł równie cicho, jak się tu zjawił.

Mroczne myśli i gorączkowa furia, pomyślał Hylar. Upierając się przy twierdzeniu, że nic dobrego nie wyniknie z wpuszczenia ludzi w górskie dziedziny, Realgar walczył do ostatnich chwil długich i wyczerpujących wszystkich obrad Rady.

Hornfel przywykł już do myśli, że byłby pierwszy, którego Realgar zabiłby z lubością, gdyby tylko mógł. Wiedział też teraz, że jeśli tylko nadarzy się sposobność, Realgar zabije go z pewnością. Przedtem jednak

zabije Gneissa, którego zwlekanie z ogłoszeniem swej decyzji otworzyło uciekinierom drzwi równie skutecznie jak natychmiastowa zgoda.

Przypuszczał, że jedynym powodem, dla którego jeszcze pozostaje przy życiu, jest fakt, iż Realgarowi nie udało się znaleźć Królewskiego Miecza. Jak długo jeszcze przyjdzie mu czekać? Ile czasu upłynie, zanim Theiwarowi znudzi się czekanie na odnalezienie symbolu i rozpocznie bunt bez niego?

Hornfel nie miał już pewności, że miecz uda się odnaleźć. Minęło zbyt wiele dni od chwili, kiedy do Thorbardinu dotarła wieść, że widziano Ostrze Burzy. Ostatniej nocy Hornfel zaczął rozważać, co trzeba będzie zrobić, gdyby okazało się, że Kyan, Fujara i Stanach nie żyją; że Ostrze Burzy przypadło ponownie. Planował jedynie posunięcia obronne.

Nieoczekiwanie zrozumiał, że Gneiss musi myśleć o tym samym. W jego pobliżu zawsze można było znaleźć przynajmniej trzech Daewarów. Jakże jednak zdołają ochronić go przed magią, do której z pewnością ucieknie się Realgar, jeśli okoliczności zmuszą go do rezygnacji z posłużenia się mordercami i sztyletami w mroku?

Nie zdołają, pomyślał Hornfel z goryczą, opuszczając ogród, by przekazać uciekinierom wieści o skąpej gościnie krasnoludów.

Gwardziści Gneissa nie weszli za Hornfelem do Sali Rady, pozostali jednak w pobliżu. Trzej inni, mocno uzbrojeni, czekali już w samej komnacie. Nie udawali nawet uprzejmości, stanęli tak, by w razie potrzeby natychmiast dosięgnąć wysłanników ludzi.

Idąc przez wielką salę, Hornfel uważnie przyglądał się przybyszom. Jednym z nich był czerwonobrody półelf, który odwrócił się, usłyszawszy odgłos kroków thana. Człek ów miał miecz u boku i długi łuk na plecach. Zielone oczy nieznanego spoglądały bystro i czujnie.

Towarzysząca mu wysoka kobieta, odziana w ulubione przez Niżowców spodnie z kozłej skóry, słysząc kroki thana, położyła dłoń na ramieniu rudobrodego. Gdy się poruszyła, płomienie pochodni obudziły w jej włosach błysk słonecznego złota i księżycowego srebra. Kobieta powiedziała jedno słowo i to wystarczyło, by półelf się odprężył.

Tak przynajmniej mogłoby się zdawać. Zielone oczy nieznanego nie zmieniły swego wyrazu. Oto jest ktoś, pomyślał Hornfel, kto nie lubi chodzić po prośbie. Cóż, nie mogę cię za to winić, myśliwcze! Sam nie czułbym się lepiej w twojej sytuacji.

Gdy Hornfel wykonał dłonią powitalny gest, strażnicy cofnęli się o dwa kroki. - Dziękuję, że zechcieliście poczekać - zaczął krasnolud.

Półelf otworzył już usta, jednak lekka dłoń spoczywająca na jego ramieniu poruszyła się na poły uspokajająco, na poły rozkazująco. Odpowiedziała więc kobieta, przemawiając głosem niskim i cichym. W głosie tym słyszało się kojący serce szmer skrzydeł gołębic, tak był miękki i łagodny. — Podziwialiśmy piękno waszej Sali.

Wątpię, pomyślał Hornfel, przynajmniej jeśli mowa o twoim towarzyszu. Skinął dłonią w stronę

bocznej otwartej alkowy, dość rozległej, by pomieściła stół służący do rozkładania map, wycięty z jednego kawałka marmuru z różowymi żyłkami.

- Pani - powiedział, biorąc pochodnię z najbliższego jarzma - zechciej się rozgościć.

Kobieta z wdziękiem kiwnęła głową, następnie wkroczyła do ocienionej alkowy i siadła przy stole. Obserwujący to Hornfel pomyślał, że nie założyłby się, co skuteczniej rozpędziło mroki alkowy - światło pochodni czy uroda nieznanym. Tuż za kobietą, jakby odpowiadał za jej bezpieczeństwo, podążył myśliwy, za nim zaś trzej Daewarowie Gneissa. Patrzący na to wszystko Hornfel, sapnął z irytacją. Wetknął pochodnię w jarzmo w ścianie i odezwał się do półelfa:

- Stań za swą panią, jeśli poprawi ci to samopoczucie. Wy zaś - kiwnął kciukiem w stronę swych strażników - stańcie za mną albo przy wejściu, jak wam wygodniej.

Daewarowie zmieszali się nieco, potrafili jednak rozpoznać rozkaz, nawet jeśli nie wypowiedziano go wprost. Opuścili alkowę. Półelf uśmiechnął się przepaszająco, nie ruszył się jednak z miejsca. - Mają bronić was przed nami?

Hornfel potrząsnął głową i usiadł na krześle, stojącym naprzeciwko nieznanym.

- Strzegą mnie, owszem, nie ma to jednak nic wspólnego z tobą lub waszą panią. Nie przywołujemy straży na widok przyjaciół.

Kobieta z Nizin przez chwilę zastanawiała się nad tym, co usłyszała z ust krasnoluda, po czym skinęła głową.

- Radzi jesteśmy, że nazywacie nas przyjaciółmi. - Wdzięcznym gestem dłoni wskazała na przybocznego. - Oto jest Tanis, półelf. - Uśmiechnęła się. - Choć nie jestem jego panią, nie mógłby strzec mnie lepiej. Mnie zaś zwą Goldmoon... jestem córką wodza plemienia Que-Shu.

- Jej oczy rozświetliły się, gdy mówiła o ojczyźnie. - Jestem służką bogini Mishakal - mówiła dalej - i jej kapłanką. W jej też imieniu pytamy, czy zechcecie udzielić schronienia bezdomnym zbiegom z niewoli Verminaarda?

-

- Pani, od trzystu lat na Krynnie nie było prawdziwej kapłanki ani kapłana. - Hornfel potrząsnął głową.

- Wiem, thanie. Od czasu Kataklyzmu. Teraz już są. Hornfel zamknął oczy. Mishakal! Krasnoludy nazywały ją Mesalax i darzyły miłością nie mniejszą niż Reorxa, którego nazywały Ojcem. Choć On był tym, który stworzył świat, Mesalax jednak była źródłem, z którego trysnęło piękno.

Hornfel przeniósł wzrok z Goldmoon na Tanisa. Czy to prawda? Niewykluczone. Bogowie zstąpili na Krynn, użyczając swego ognia Królewskiemu Mieczowi i smoków Smoczym Władcom. Dlaczegoż by Mesalax nie miała użyczyć swego błogosławieństwa tej kobiecie z barbarzyńskich Nizin?

Goldmoon uśmiechnęła się, krasnolud zaś w jej oczach ujrzał blask samej Mesalax.

Spojrzał na Tanisa i zobaczył, że jego osłonięte czerwoną brodą rysy łagodnieją nieco, gdy półelf - tak jak w tej chwili - patrzy na kobietę z Nizin. - Lady Goldmoon... - odezwał się w końcu Hornfel. - Witaj w Thorbardinie.

Później się pomyśli, co począć z tymi polami. Hornfel nie wiedział, czy Goldmoon w istocie jest tą, za którą się podaje - kapłanką Mishakal. Wiedział jednak, że nie skaże jej na mieszkanie w zatłoczonej chacie przy farmie - z równą niechęcią skazałby tę kobietę na pobyt w więziennej celi. Ona zaś - wiedział to również - pójdzie za swoim ludem.

Darknight rozwinął skrzydła na połowę ich szerokości i przez chwilę podziwiał swój cień na czarnych, lśniących ścianach, sięgający niemal wysokiego sklepienia legowiska. Smok wyciągnął szyję na całą długość i rozwarł paszczę. Choć nie mogła tego zobaczyć, bestia wyobraziła sobie, iż

blask małego kaganka umocowanego na ścianie sprawia, że jej szpony wyglądają jak języki ognia. Smok odwrócił głowę i przemówił do cienia na ścianie:

- Panie, złożywszy wszystko razem, wolę jednak zalane słońcem legowisko na skałach Pax Tharkas niż te mokre, zimne labirynty pod nędznym Thorbardinem.

- Wcale mnie to nie dziwi. - W swej komnacie w Pax Tharkas Verminaard odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. To samo zrobił jego cień na ścianie jaskini.

- Panie, z całego serca życzę Realgarowi, by wreszcie rozpoczął ten swój przeklęty bunt i skończył z tym wszystkim, a wtedy ja skończę z nim samym. - Smok trzepnął niecierpliwie ogonem i warknął gniewnie. Bestia

- wolała utrzymywaną żelazną garścią, panującą w Pax Tharkas, dyscyplinę pod władzą Verminaarda od burzliwych prądów polityki krasnoludów w królestwie, którym nikt nie władał.

Cień na ścianie stał się wyraźny, jakby wycięto go nożem. Smok mógł niemal dostrzec lśnienie czerwonych oczu Verminaarda. - Nadal traci czas na tego tropiciela?

Podczas przesłuchiwań przez Theiwarów Hauk ani razu nie powiedział, gdzie ukrył Ostrze Burzy.

- Owszem, panie. To właśnie różni was od siebie - prychnął smok, wsłuchując się w pomruki swego brzuszyska. - Gdyby ten leśnik wpadł tobie w ręce, już parę dni temu wysysałbym szpik z jego kosteczek. - Tak jak się rzeczy miały, Darknight musiał nocami polować na kozice, tymczasem Realgar tratował duszę Hauka buciorami dla czystej satysfakcji i bez żadnych rezultatów. Smok sarknął i zamknął ślepią. - Wszystko, co ma z tego, to tylko czystą zabawę. Sam nawet przyznaje, że jeśli ów leśnik zachowuje jeszcze jakieś tajemnice, to nie zdradzi ich mimo tortur. Dręczy go więc dla czystej uciechy i by odegrać się na nim za stracony czas.

Skryte w cieniu oczy rozbłysły czerwienią i stwór zgrzytnął szponami o kamienną posadzkę legowiska. Smok wątpił, czy tropiciel w ogóle wiedział, gdzie jest miecz, nawet gdyby zaś wiedział, w jego udreńczonym umyśle był taki zamęt, że nie potrafiłby dać sensownej odpowiedzi. - Panie, jak nasze plany?

- Wszystko idzie dość dobrze. Gdy oddziały przeniosą się w góry, furaz już tam będzie. Ember dziś wyleci, by osłaniać ostatnie wozy.

Ember! Rywal będzie latał, siejąc strach i grozę, on sam zaś ma tu siedzieć w tej obrzydliwej, mokrej norze! Darknight zgrzytnął zębami.

- Osłaniać, panie? Czy Ember nie potrzebowałby... - Smok ugryzł się w język. Dumny Ember nigdy nie przyznałby się, że potrzebuje pomocy. -Hm... towarzystwa? - Na Królową Mroków! Smoka świerzbiły łapy, jego skrzydła zaś tak tęskniły za lotem, że odczuwał to niemal jak fizyczny ból.

Cień na ścianie wyglądał teraz jak odbicie w czarnym zwierciadle. Smok widział twarz Verminaarda, urodziwą, chłodną, o oczach jak dwie bryłki lodu.

- Ember ma już towarzysza, jakiego mu trzeba. Tym towarzyszem, mój zacny smoku, jestem ja sam. To w końcu tylko nieliczna grupka partyzantów.

Mógłby równie dobrze powiedzieć, że chodzi o parę dokuczliwych owadów, westchnął Darknight. Verminaard zaśmiał się śmiechem, który przypominał huk pękającego

na rzece lodu. - Cierpliwości, Darknight. Zostań na razie przy swym nowym panu. Cień zniknął. Czerwone plamki przygasły i rozmyły się.

Smok syknął złowrogo. Wedle jego oceny nowy pan jest dupkiem. Realgar dowodził armią buntowników i radził sobie z tym nie najgorzej. Niełatwo jest rozkazywać morderczym derro, których marzenia ograniczają się do zamieszek, buntów i siania śmierci. A jednak Realgar jest dupkiem.

Sevrith nie znał się na polityce i nie bardzo pojmował - nie miał zresztą do tego niezbędnej

cierpliwości - do czego Realgarowi tak potrzebny jest Miecz Królewski, Ostrze Burzy. Smok westchnął, w jaskini zaś zadrżało powietrze. Krasnoludy, szczególnie Theiwarowie, miały niemal bzika na punkcie talizmanów i symboli. Realgar nie wzniesi buntu w Thorbardinie, dopóki swych chciwych łap nie zaciśnie na rękojeści tego miecza. Ujmie ją tak mocno, aż mu kostki zbieleją. Verminaarda zaś zadowalało czekanie.

A cóż to za różnica, pomyślał smok z drwiną, czy Realgar będzie władał Królewskim Mieczem, czy jakąś inną, skromniejszą i bezimienną klingą? Hornfel musi zginąć i nie ma żadnego znaczenia, czy śmierć zada mu Ostrze Burzy, czy wbity w plecy sztylet. Ten, kto go zabije, sam ułoży o tym opowieść. Nada jej kształt wedle swej woli i może nazwać się królewskim regentem czy Wielkim Królem... jak mu się spodoba.

Oczywiście, tak długo, jak długo pozostanie przy życiu. Darknight uśmiechnął się do siebie, czując przyływ lepszego humoru. Realgar nie pożyje zbyt długo, niezależnie od tego, jaki przybierze tytuł.

Smok poczuł delikatne drgnienia kamiennej posadzki jaskini. Ktoś nadchodził. Usłyszał też odległy szmer oddechu. Bestia zamknęła oczy. Tak oddychał Realgar, smok zaś, zwęszywszy jego zapach, poczuł falę podniecenia. O Mroczna Pani, niechby znalazł ten miecz! Sevrith otworzył oczy i westchnął. Nic z tego. A może jednak? Darknight spojrzał uważniej. Może dziś? Może. Realgar podszedł bliżej i uśmiechnął się, jakby przeciągał lód przez zęby. - Witaj, Darknight. - I ty witaj, Władco Smoków.

Użycie tytułu nie sprawiło, iż uśmiech nowego Władcy Smoków stał się cieplejszy. Pożądał tytułu Wielkiego Króla i nic innego nie mogło go zadowolić.

- Odnaleziono Królewski Miecz.

Smok przesunął rozwidlonym językiem po ostrych zębach. Nie znaleźli go, pomyślał Darknight. Nauczyłem się już czytać w jego oczach. On jedynie żywi nadzieję, że miecz odnaleziono. - Doprawdy? - Smok poruszył skrzydłami. - Mam więc polecieć, panie? - Tak, leć. - Theiwar zaskoczył smoka. - Herold już na ciebie czeka. Sevrith rozciągnął pozbawioną warg paszczę w szerokim uśmiechu. Polecą, i owszem, podczas lotu zaś powiadomi jedyne uznawanego przez siebie Władcę Smoków o tym, że jego plany mogą się urzeczywistnić szybciej, niż oczekiwał.

Rozdział siedemnasty

Gdzie jesteś? - dopytywał się kender.

Fujara nie wiedział. Powiedział kenderowi, że tuż za nim, i była to odpowiedź równie dobra jak każda inna. Znajdował się bowiem wszędzie i nigdzie. W wypełnionym mgłami bezmiarze, w którym znalazł się Fujara, nie było żadnych punktów orientacyjnych, wszystko wydawało się zmienne i od zawsze niestałe. Rzeczy, które „widział”, nie postrzegał oczyma, ale umysłem, i nie magia ukazywała mu to wszystko. Nie pozostało mu z niej nic prócz zaklęcia, które wiązało go z fletem.

Fujara był martwy, ale stał się duchem, dziełem magii fletu. Na chwilę przestał myśleć. Było to jak wstrzymanie oddechu. Podobnie jak oddychanie za życia, myślenie stało się teraz czymś, bez czego nie mógł się obyć. Ostrożnie, jak człowiek badający ledwie zabliźnioną ranę, przypomniał sobie chwilę poprzedzającą śmierć.

Wszystko wtedy było bólem i śmiertelnym wyczerpaniem. Słyszał wzywającą pomocy młodą kobietę i słyszał, jak woła Stanacha. Potem nie słyszał nic przez długi, długi czas, aż w jego umyśle pojawiła się pełna

żału, posępna myśl Stanacha. Ach, Jordy. Fujaro, jakże mi cię żal!

Chciał wtedy przemówić do przyjaciela i ostrzec go przed ludźmi Realgara. Nie miał jednak dość siły.

Gdy Stanach położył obok niego flet, ujrzał instrument, ale nie mógł zobaczyć nic innego. Flet zawierał w sobie jego muzykę i jego magię. Śpiewał dlań jak przyjaciel i rodził melodie, których Fujara nigdy by nie stworzył. Mag znalazł w sobie wreszcie odrobinę sił, by użyć ostatniego zaklęcia. Związał się z magią fletu.

Czy ten niesamowity stan, w jakim się znalazł, był czymś więcej czy mniej niż śmiercią? Fujara nie mógł „zobaczyć” wszystkiego, przynajmniej tak, jak to kiedyś wyobrażał sobie, jak świat widzą duchy. Widział lub był świadom niewiele więcej, niż postrzegał za życia. Zmieniało się to zresztą, dopiero ćwiczył używanie nowych zmysłów. Jak w przypadku potencjalnych możliwości ciała za życia, tak i teraz wiedział, iż zasięg nowego „wzroku” wzrośnie w miarę, jak będzie go używał. Będzie musiał zbadać swój niesamowity świat tak samo, jak kiedyś badał świat materialny, stopniowo i powoli. Nie był tu sam.

Dusze, które jawiły mu się jako mgła, były nieliczne i w ogóle się nim nie interesowały. Podobnie jak on sam, miały własne cele i ocierały się tylko o niego jak odległe wizje.

Fujara zaśmiał się ponuro, mgła zaś zadrżała. Ile z tych duchów było związanych z kenderem do końca jego życia?

To właśnie było dziełem fletu: zaklęcie związało go do końca życia kendera z instrumentem i z Lavimem. Zaklęcie dawało Lavimowi nie tylko towarzystwo ducha, ale pozwalało poprzez tego właśnie ducha na posługiwanie się magią fletu.

Oczywiście, nie spodziewał się, że pierwszą osobą, która dmuchnie we flet, będzie kender. Myślał, że uczyni to Stanach. Niestety, krasnolud okazał powściągliwość, której zupełnie pozbawiony był kender. Zaklęcie przywołania sprowadziło Fujarę z powrotem, ale rzuciło go na pastwę kendera. Fujara całą noc i połowę dnia przedzierał się przez zakamarki pokrętnego umysłu Lavima, zanim wreszcie dotarł do miejsca, z którego kender mógł go usłyszeć.

Zniewolony przez Theiwarów, Stanach ukrył flet obawiając się, że wpadnie w ich łapy. Nie mógł wiedzieć, że magia fletu należała już wyłącznie do Lavima.

Fujara mógł mieć tylko nadzieję, że Stanach nie wpakował się w tarapaty, z jakich nie zdoła się wyplątać. Trzeba będzie przekonać jakoś

Lavima, by oddał flet Tyorłowi.

Mgła wokół maga stawała się coraz gęstsza, mroczniejsza i ciężka od jego obaw. Wkrótce może być za późno, by pomóc Stanachowi.

Lavim niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Jakkolwiek zdumiała go i ucieszyła niespodziewana rozmowa z Fajarą, doszedł do siebie, zanim odnalazł miejsce, gdzie czekali Tyorl i Kelida. Wiśniowy flet wetknął w najgłębszą kieszeń swej kurtki pewien, że Tyorl skorzysta z pierwszej lepszej okazji, by mu go zabrać.

Teraz zaś jednym uchem musiał słycać indagacji Tyorla, drugim zaś łapać polecenia Fujary. Nie wiedział, komu dać pierwszeństwo. - Powiedz mi o Stanachu i daj mi flet.

- Lavim, powiedz mi o Stanachu! - Tyorl położył dłonie na ramionach kendera i przytrzymał go w miejscu.

- Zaraz. Za minutkę. - Kender zamrugnął oczyma niezbyt pewien, komu właściwie odpowiada.

- Nie zwlekaj! Gadaj mi natychmiast! - Błękitne oczy Tyorla zapłonęły gniewem. - Nie zwlekaj. Daj mi go natychmiast! - zawtórował mag.

Lavim wywinął się jakoś i stanął tak, że oddzielił się od Tyorla Kelidą. Elf, choć szczupły, miał w rękach siłę niedźwiedzia i zrobił minę, jakby zamierzał w razie potrzeby wytrząsnąć informacje z kendera, choćby z jego duszą.

- Dobrze już, dobrze... Już mówię! Tam w górze jest skała i znalazłem... hm... trochę śladów...

niektóre należały do Stanacha, inne nie. Stanacha tam nie ma i nie wiem, gdzie go znaleźć, wróciłem tu zaś, bo..

- Bo chciałeś oddać mu flet. Powiedz mu o flecie! - odpowiedział Fujara. - Bo pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć. - Lavim! Daj mu...

- Tyorl, jak sądzisz, co mu się przytrafiło? - Lavim uparcie ignorował przemawiający doń w myślach głos. - Te drugie ślady należały do krasnoluda, ten zaś pewnie był jednym z tych... hm... - Theiwarów - mruknął Fujara. - Theiwarów - podsunął Tyorl.

- O, właśnie. - Lavim zamrugnął oczami. Od tego wszystkiego dostał bólu głowy. - To są te typki, które szukają miecza Kelidy, prawda?

Tyorl sięgnął po łuk. Zacisnąwszy usta w posępną, twardą linię, wyjął z kołczanu strzałę. Kelida stała i przenosiła wzrok z jednego na drugiego. - Tyorlu, oni go zabijają - szepnęła. -

Słońce na ścieżce zaśniło już złotem. W gęstwinie zaczęły zbierać się cienie, które wkrótce rozpełzną się wśród drzew i staną się nocnym mrokiem. Wiatr również powiał większym chłodem. Owszem, pomyślał Tyorl, zabijają go. Wcześniej lub później go zabijają. - Nie zabrali go daleko - powiedział jednak głośno. - Jest w pieczarach pod rzeką. - powiedział Fujara Lavimowi. Lavim kiwnął głową. - Tyorl, on jest w pieczarach nad rzeką.

- Skąd wiesz? Lavim, do pioruna! Co jeszcze wiesz? Lavim sam nie wiedział, co jeszcze wie. O tych pieczarach, na przykład, dowiedział się przed chwilą. - Tyorl... - rozpoczął wyjaśnienia i zamknął gębę, słysząc ryk Fujary: NIE!

Jak mam mu to wyjaśnić, spytał w milczeniu, acz nie bez irytacji, jeśli nie wolno mi powiedzieć mu o tobie. I przestań się wydzierać, dobrze? Już i bez tego łeb mnie boli i...

- Powiesz mu później. Teraz nie mamy czasu, by mówić mu o mnie. Jak cię znam, ugrzęzniesz w wyjaśnieniach na cały dzień. Stanach nie ma aż tyle czasu. - Ale co mu mam powiedzieć? - Powiedz mu, że widziałeś te jaskinie. - Fujara westchnął ciężko. - Ale ja nie widziałem żadnych jaskiń...

- Lavim, nie zgrywaj się teraz na prawdomównego - zirytował się Fujara. - Widziałem te jaskinie. Gdzie jeszcze mogli go ukryć? - Przy pomocy Fujary dobrnął jakoś do końca opowieści.

- Wszystkiego pięć sztuk. Krasnoludów, nie jaskiń. Jaskinie są tylko trzy. Znajdziemy je z tej strony rzeki i...

- Tyorl je zna. Bywał w nich wcześniej. Finn składa oręż do pewnej jaskini w puszczy, nie wie jednak, iż łączy się ona z pieczarami pod rzeką - tłumaczył Fujara. Lavim skinął głową. - No właśnie, Finn składa... - Nie! Tego mu nie mów! I daj mu flet!!!

Lavim włożył dłonie do kieszeni i ujął flet. Nie zamierzał na razie pozbywać się instrumentu.

- ...zdobycze, prawda? No, wiesz, broń i inne przedmioty? - dokończył Tyorlowi. - Czy kiedykolwiek... - podpowiadał bezgłośnie Fujara.

- Czy kiedykolwiek używał do tego tych ja... znaczy, tutejszych jaskiń? - powiedział Lavim.

- Owszem, kenderze, używał. - Zniecierpliwiony elf potrząsnął głową. - Ale te jaskinie znajdują się w lesie i leżą za daleko na południe stąd, by w jakikolwiek sposób łączyły się z pieczarami pod rzeką.

- A jednak... to znaczy, może jednak się łączą. - Lavim ścisnął flet palcami. Zaczynał sobie radzić z tą dwustronną rozmową. Taką przynajmniej miał nadzieję. - Słyszałeś coś o tych jaskiniach... - ciągnął Fujara.

- Słyszałem coś o jaskiniach w lesie. Nie wiem gdzie, ale słyszałem. Coś o tym, że jest taka, która zaczyna się... hm... nad rzeką i wychodzi gdzieś tu w lasach. W Long Ridge ludziska mówili, że Bandydzi chowali w niej łupy, a niekiedy korzystali z niej, by zgubić pościg. Wystarczy tylko

posłuchać, a poznasz mnóstwo tego rodzaju historyjek i...

- Tyorl... - Dłoń Kelidy drżała, gdy dziewczyna kładła ją na ramieniu elfa. - Musimy pomóc Stanachowi.

Tyorl westchnął z desperacją. Z jednej strony miał uwierzyć w coś, co kender gdzieś usłyszał - co mogło oznaczać, że usłyszał to w istocie lub tylko mu się tak zdawało albo wręcz wymyślił rzecz całą właśnie przed chwilą - z drugiej zaś strony elf wiedział doskonale, że jeśli Stanach zostanie zmuszony, by powiedzieć oprawcom, gdzie jest miecz, życie Kelidy nie będzie warte funta kłaków. Jak w przysłowiu o niedźwiedziu i przepaści, pomyślał z goryczą.

Musimy pomóc Stanachowi, powiedziała Kelida. To już inna sprawa. Nie mógł zostawić jej tu samej i z mieczem, który uczyni z niej cel ataku krasnoludów, nie chciał jej także zabierać tam, gdzie grozi im z pewnością niebezpieczeństwo.

Skrepowany okolicznościami, Tyorl zaklął. Gdzie podziewa się Finn? W tych lasach przynajmniej paru z trzydziestu tropicieli powinno już natknąć się na ich ślady. Przeklął miecz, przeklął krasnoludy i podjął jedyną decyzję, jaką mógł podjąć w tej chwili.

Ostrzegłszy kendera i dziewczynę, że mają poruszać się za nim tak cicho i niepostrzeżenie, jak tylko potrafią, zboczył ze ścieżki i skierował się na południe.

Potężne westchnienie ulgi, jakie wydał Fujara, sprawiło, że Lavim zastrzygł uszami.

Zgroza i przerażenie ogarnęły Stanacha, wczepiając się weń lepkiemi palcami. Schwytany w pułapkę przez jednookiego derro, krasnolud z trudem oddychał i myślał. Słyszał jakieś głosy, niewyraźne i przytłumione jak echo koszmarnych snów. Otwierając oczy, ujrzał nad sobą nie czyste niebo, a błotniste i

chropowate sklepienie jaskini. Leżał na skalistym podłożu i czuł wbijające mu się w plecy i ramiona kamienie!" Choć nie miał związanych rąk, nie mógł się poruszyć.

Nie, pomyślał, nie w tym rzecz, iż nie może się ruszyć. Nie ma sił, by się poruszyć... i właściwie nie ma na to chęci. W każdą jego kość i każdy mięsień niczym gęsta, wilgotna mgła wsącżyło się znużenie.

Wokół wejścia do jaskini migotała nikła, łagodna poświata. Stanach nie umiał przypomnieć sobie, jak się tu dostał. Nie pamiętał nic, prócz błysku w czarnym oku Herolda, nagłego ataku mdłości, towarzyszącego zakłęciu przenoszenia, i długiego zapadania w sen. I tych odległych głosów. Chcieli Ostrza Burzy.

Odcinając go od źródła światła, w polu widzenia Stanacha pojawił się chudy krasnolud, trzymający jedno ramię sztywno u boku. To ten, którego nazywali Wulfenem. Stanach wiedział, że był to jeden z Theiwarów, którego krew wycierał z miecza trawą na poboczu drogi do Long Ridge.

Stanach poczuł, że w jego żołądku pęcznieje zimna i śliska kula strachu. Ujrzał bowiem żądę zemsty w oczach Wulfena i usłyszał jego niski, podobny do charczenia wilka śmiech.

Stanach nie był magiem jak Fujara. Nie znał żadnych sztuk tajemnych, którymi mógłby się obronić. Pozostały mu jedynie resztki sił i nadzieja, że towarzysze nie zechcą go ratować.

Tyorl, pomyślał Stanach, zabieraj stąd miecz! Znajdź swoich druhów i ruszaj z nimi do Thorbardinu! Czy Tyorl tak właśnie postąpi? Może jednak uznał już, że Hauk nie żyje?

On może tak, ale nie Kelida. Tego Stanach był pewien. Dał jej godnego miłości, dzielnego leśnika, ona zaś nie wierzyła, że ten nie żyje. Ostrze Burzy trafi do Thorbardinu, zanieś je tam Kelida. Elf zaś pójdzie tam, gdzie ona.

Stanach wbił spojrzenie w pułap jaskini. Nie utraci Królewskiego Miecza po raz drugi. Zrobi to, co trzeba, tak jak Kyan-Czerwony Topór i Fujara.

Wulfen wydał z siebie gardłowy pomruk, Stanach zrozumiał zaś, że nie jest już płatnerzem. Teraz

był kupcem i jego zadaniem było kupowanie czasu.

Skrytka była pusta. W noc poprzedzającą ich wyprawę do Long Ridge Tyorl i Hauk pomagali składować tu kołczany pełne strzał, miecze i sztylety. Wedle wszelkich oznak niedawno byli tu ludzie Finna i zabrali

zapasy.

Tyorl chciał wiedzieć, gdzie podzieli się jego leśni towarzysze. Pusta skrytka oznaczała, że potrzebowali oręża. Walczyli jednak gdzieś dalej, bo w pobliżu nie znalazł żadnych śladów potyczki.

Przekleństwo!, pomyślał. Potrzebuję ich, oni zaś nie pogardziliby wsparciem mojego łuku. Gdzie się podzieli, w imię wszystkich bogów!

Uśmiechnął się krzywo. Było wielce prawdopodobne, że Finn już wiedział, iż armie smokowców przemieszczają swe tabory: prawdopodobne było też, że smocze armie wiedzą już o Finnie i Kompanii Koszmaru.

Jaskinia nie była dość wysoka, by elf mógł się w niej wyprostować, głęboka zaś była na tyle, że mieścił się w niej jedynie on i kender. Kelida została na zewnątrz, by pełnić wartę. Tyorl przez chwilę nasłuchiwał odgłosu jej kroków na kamieniach, dostrzegł czerwonozłote warkocze i dopiero wtedy zwrócił się do Lavima. - Nie ma stąd żadnego przejścia nad rzekę - odezwał się poirytowany. Kender zaprzeczył, tak energicznie potrząsając głową, że jego biały warkocz podskoczył kilkakrotnie. - Właśnie, że jest. Tam... hm... za tylną ścianą. - Lavim, tu nie ma nic prócz kurzu i kamieni.

Elf przesunął dłonią po skale, popękanej z powodu korzeni rosnącej nad nią sosny. Pieczarę wypełniała silna woń próchnicy. Tyorlowi brakowało słonecznego ciepła. Pieczary były dobre do przechowywania oręża, elf nigdy jednak nie zdołał polubić ich mroku i posiadania w nich świadomości ciężaru ziemi nad głową.

Tymczasem Lavim precyzyjnie przycisnął się obok elfa i przykucnął przy najszerzej z rozpadlin. Wsunął w nią dłoń i zgiął palce, ujmując skałę jak krawędź drzwi. Potem uśmiechnął się do elfa, wesoło błysnąwszy zielonymi oczami.

- Tyorl, tu jest przeciąg. - Przesuwał lewą dłonią po ścianie na wysokości ramienia, wodząc palcami po wąskiej szczelinie. Zmrużył oczy, przyjrzał się dokładnie i dostrzegł, że szczelina ciągnie się od pułapu aż do ziemi. Zmierzył wzrokiem odległość pomiędzy swymi ramionami i uśmiechnął się szeroko. - Łatwo się przeciśniemy. - Jasne... - warknął Tyorl. - Jeśli tylko potrafimy przejść przez ścianę.

- Nie, to niepotrzebne. Tu są... - Nachylił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał, po chwili zaś podjął wątek: - Wydaje mi się, że słyszę echo. Tak jakby gdzieś płynęła rzeka. Myślę, że jeśli poruszymy te kamienie, wyjdziemy wprost na rzekę. Ta pieczara ciągnie się tam... znaczy, rzeka

- tak pachnie, jakby pieczara ciągnęła się prosto na wschód i była tą jaskinią, w której trzymają Stanacha. - Domysły, kenderuniu.

- Wcale nie! Ja... - Kender chrząknął i kiwnął głową. - Masz rację, to tylko domysły. Tyorl, słyszałem rzekę i wyczuwam krawędź skały. - Wyjął dłoń ze szczeliny i podsunął ją elfowi pod nos. - Ta ściana nie jest grubsza niż moja dłoń, jej krawędź zaś jest gładka. Jeśli zdołamy ją poruszyć, to idę o zakład... - Lavim naparł ramieniem na skałę i pchnął.

- Lavim! - westchnął Tyorl z rezygnacją. Kender wparł drobne stopy w ziemię, zamknął oczy i cały swój wysiłek włożył w parcie na ścianę. - Lavim, naprawdę nie sądzę...

- Tyorl, choć raz daj sobie spokój z wydawaniem sądów i pomóż mi pchać! - sapnął kender. - Mógłbyś naprzeć barkiem? O, tu, z prawej...

Tyorl przyłożył bark do skały i pchnął jedynie po to, by położyć kres kretyńskim wskazówkom

kendera. Skąła ustąpiła prawie natychmiast. Przez rozwierający się otwór do jaskini napłynęło ciężkie, wilgotne powietrze, w którym wyczuwalna była bliskość rzeki - zapachy ryb, szlamu i gnijących wodorostów.

- Widzisz? - wrzasnął Lavim. - Jaskinie opryszków! Mieliśmy... znaczy, miałem rację!

Zamierzał już dać nura w otwór, Tyorl jednak w porę złapał go za kołnierz czarnej, pozbawionej już dawno pierwotnego kształtu opończy. - Lavim, poczekaj!

Kender jednak wcale nie zamierzał czekać. Wywinął się elfowi i śmignął do odkrytej przez niego jaskini.

Tyorl zawołał Kelidę. Dziewczyna weszła do jaskini, zerknęła na wąski otwór i obejrzała się przez ramię na światło padające z wejścia. Żywiła najpewniej te same co Tyorl wątpliwości. - Gdzie jest Lavim?

Tyorl machnął kciukiem, wskazując wejście w głąb groty. - A gdzieżby indziej? Gotowa? Kelida skinęła główką.

- No, to trzymaj się mnie... i zobaczymy, czy potrafimy dotrzymać kroku kenderowi.

To nie miał być żart, gdy jednak zielone oczy Kelidy rozbłysły niespodziewaną wesołością, Tyorl uśmiechnął się i dwornie odstąpił w bok, jakby otwierające się przed nimi przejście było bezpieczne i wygodne. Przechodząc obok elfa, dziewczyna odruchowo dotknęła dłonią jego ramienia. Lekkie muśnięcie palców Kelidy pozostało w pamięci elfa jeszcze długo po tym, jak z tyłu zniknęło światło.

Trzy!

Stanach wczepił się w myśl o tej cyfrze, dzięki czemu odzyskał orientację w otaczającej go i szybko wirującej czerwonej mgle. Złamali mu trzy palce. Siedem. Pozostało jeszcze siedem albo dwa, jeśli zamierzają pozostawić mu tylko jedną rękę. Siedem albo dwa.

Opadła już zeń drętwa z powodu zakłęcia snu, nadal jednak nie mógł się poruszyć. Czuł się tak, jakby do kamiennego podłoża jaskini przykuto go niewidzialnymi łańcuchami. To robota Herolda, pomyślał.

Na czerwieniejącym niebie migotała czerwona jak węgielek z kuźni Reorxa gwiazda. Stanach mógł poruszać jedynie oczyma. Utkwił więc wzrok w tej gwiazdzie.

Siedem albo dwa. To nie ma znaczenia... Żadnego znaczenia... Wkrótce w ogóle już nie będę tego czuł.

Wulfen, którego czarne oczy wyglądały jak bezdenne studnie mroku, ponownie nachylił się nad więźniem. - Gdzie jest miecz?

Stanach nie miał sił ni ochoty, by zastanawiać się, dlaczego Theiwar przemawia tak zimno i obojętnie. Wokół niego ponownie owinęły się skrzydła bólu. Krasnolud przełknął wzbierającą mu się w gardle żółć i z wymiotował.

- Mówiłem już... - szepnął ochryplym i słabym głosem. - Nie wiem. Ja... ja go nie znalazłem. Herold kiwnął głową i uśmiechnął się. Stanach wrzasnął tak głośno, że w jego krzyku utonął niemal przesywający go ból i kolejne ostre chrupnięcie. Cztery! Sześć... szumiało mu w głowie... sześć lub jeden... sześć lub... Pięć!

Gdy złamano mu kciuk, wrzask Stanacha jemu samemu nawet wydał się tryumfalnym śmiechem. Jego prawą dłoń przekształcono w nabrzmiałą, siną bulwę, leżącą bezwładnie na kamieniach pieczary.

Te wałki nie przypominają palców, stwierdził w duchu krasnolud, wcale a wcale. Ta ręka nigdy już nie wzniesie młota w górę.

Gdzieś za nim Agus roześmiał się gardłowo. Obok wejścia do jaskini przeszedł pełniący wartę

Theiwar. Przeszedł w jedną stronę... zawrócił... Stanach wyczuł nikłą jak stare wspomnienia woń ogniska wartowników.

Czerwona gwiazda zamigotała, zniknęła i pojawiła się znowu. Zimny pot zalał oczy Stanacha, spłynął na jego policzki i niczym łyzy zniknął w gęstwinie brody. Zamknął oczy, otworzył je i spostrzegł, że obraz jaskini zaciera mu się już na krańcach pola widzenia.

Wulfen wyjął zza pasa sztylet. Jedyнным światłem w jaskini był teraz odblask zmięzchu na ostrzu noża. Do jaskini wpłynęła snująca się tuż nad ziemią smuga dymu. Stanacha zapiekły oczy i zaczęło go drapać w gardle.

Krasnolud spojrział w bok, zobaczył proste i nie tknięte palce lewej dłoni i zamknął oczy. W ciemnościach ujrzał wizerunek Królewskiego Miecza, błysk stali z czerwoną nicią zboczą i cztery szafiry o barwie zmięzchu... piąty zaś miał kolor północnego nieba. Oglądał ponownie narodziny stali w płomieniach, widział zachwyt Isarna, dostrzegł budzące się w starym mistrzu zrozumienie, gdy odblask ognia paleniska nie zniknął w zboczcu. Z rozpaczą i współczuciem obserwował, jak po kradzieży Królewskiego Miecza stary mistrz pograża się w szaleństwie.

Królewski Miecz, pomyślał. Królewski, Realgarze! Na kuźnię bogów, nie będziesz go miał!

Niczym muśnięcie lodu w brutalnej pieszczocie zimna stal dotknęła stawu kciuka jego lewej dłoni. Stanach zaczerpnął tchu i wypuścił go ze spazmatycznym westchnieniem. Stanachu, mój chłopcze, usłyszysz tylko trzask, jakby pękał orzech... - Gdzie jest miecz?

Stanach pomyślał, że powoli zaczyna wariować. Zaśmiał się dokładnie w rytm wybuchów płomieni, pożerających jego prawą dłoń. - Mó... mówiłem wam... Nie mam go.

- A kto go ma? - Głos Theiwara był teraz miękki. Stanach nie mógł już wpatrywać się w gwiazdę. Niebo zasłonił mu wartownik. Krasnolud zamknął więc oczy.

Jeśli te opryszki Realgara znajdą Kelidę, zabiją ją, zanim dziewczyna zdąży krzyknąć.

Uczynię to, co powinienem. Zełgałem pozbawionej przyjaciół dziewczynie i patrzyłem na śmierć druhów. Czy to wyrównuje moje poczynania? Czy w ogóle można je wyrównać?

Poczuł na twarzy gorący oddech Wulfena. W oczach opryszka odzwierciedlała się przewrotna, przesycona szaleństwem dusza derro. Morderca dotknął ostrzem szczęki Stanacha. - W którym ręku jest teraz Królewski Miecz?

Agus przysunął się bliżej. Stanach usłyszał jego oddech i przypomniał sobie syk węża.

Spojrzał na prawą dłoń, obrzmiałą i zniekształconą nie do poznania. Nigdy już nie podniesie w górę młota. Nigdy już nie zazna magii tworzenia. Jego własne dzieło życia, doskonały miecz, leżał zniszczony i bez życia wśród potrzaskanych palców. Wulfen pozbawił go również tego.

W pewien szczególny sposób on i pokrewni mu derro okradną cały Thorbardin, niszcząc i wykorzeniając wszelkie piękno, które zostanie zdeptane przez ich niewolnicze królestwo.

Ostrze sztyletu przesunęło się, rzeźbiąc cienką, czerwoną linię, kończącą się tuż pod prawym okiem Stanacha. Mięśnie na grzbiecie dłoni Wulfena nieznacznie napięły się. - Pytam po raz ostatni. W którym ręku jest Ostrze Burzy?

Stanach splunął we wpatrzony weń ślepie i przygotował się na utratę oka.

Rozdział osiemnasty

Niskie sklepienie podniosło się, zanim Lavim zdołał zrobić kilka kroków w głąb korytarza. Na skalnych ścianach lśniła wilgoć, która wespół z pokrywającym podłogę pyłem, tworzyła miałkie błocko. Nikłe światło, przesączaające się z jaskini Finna, kiepsko rozjaśniało wewnętrzny korytarz i rzucało tylko mylące wędrowca cienie. Lavim słyszał idących ostrożnie z tyłu Tyorla i Kelidę.

- Fujaro... - szepnął kender, gdy przez but przelazło mu coś, co najbardziej przypominało pająka, miało jednak zbyt wiele łap - czy stamtąd, gdzie jesteś, nie mógłbyś mi tu podesłać nieco magicznego

światła? Nie? To wyglądało jak pajak, nie jestem jednak pewien i chciałbym mu się do...

- Nie, nie mogę. Nie trać czasu po próżnicy, nie zgub się w mroku i zaczekaj na Tyorla.

- Och, nie martw się. Nigdy się nie gubię. Niekiedy tylko odkrywam nowe miejsca pobytu. I... ten... zastanawiam się, co jest, o, tam... - Kurz. Lavim, Tyorl i Kelida już cię wyprzedzają. - Oho! Dziękuję, żeś mi powiedział. Ja już... zaraz...

Kender miał szczerzy zamiar spełnić obietnicę... za chwilę. Choć nie mógł dobrze widzieć, nadal pozostały mu dłonie i... ciekawość. Powiedział przecież Tyorlowi, że są to jaskinie zbójców i podczas przekonywania elfa, przekonał przede wszystkim samego siebie.

Przecisnął się obok sterty kamieni, wymacał jakąś niszę, ale wycofał się z niej, gdy nie znalazł wewnątrz nic ciekawego, następnie zaś ruszył do drugiej groty. Nie bez zdziwienia zauważył, że ściana drgnęła i zaszeleściła jak liście na drzewach podczas wiatru. - Hej, Fujaro! Spójrz, tamta ściana się rusza. - Nietoperze - ostrzegł go Fujara. - Lavim, zmiataj stąd czym prędzej! - Nietoperze? No to co? Nie boję się...

- Za to one się boją i kiedy stąd wylecą, ostrzegą wszystkich w zasięgu wzroku, że tu jesteście. Wynoś się stąd! Lavim westchnął rozczarowany. Ten Fujara ma chyba rację. Wycofał się z jaskini, poruszając się tak cicho, jak tylko potrafił.

Ruszając na wschód za zapachem rzeki, Lavim zboczył nieco z drogi -tylko troszeczkę - i zajrzał do oplecionego pajęczynami kąta pieczary.

Fujara, który za życia uważał się za jednego z najcierpliwszych ludzi pod słońcem, po raz czwarty w ciągu godziny stracił panowanie nad sobą. - Lavim, ty... Ruszaj! - Fujaro, ale to są zbójceckie jaskinie i ja... - To nie są zbójceckie jaskinie. Ruszaj i dogoń Tyorla. I daj mu mój flet! Lavim zaczął grzebać w pokrytej kurzem stercie kamieni, która nagromadziła się w niszy. Tyorl i Kelida wyprzedzili go o kilka chwil, pewien był jednak, że szybko zdoła ich dogonić. Wszystko, co musiał robić, to podążać za zapachem rzeki i nasłuchiwać ich kroków.

- Sam mówiłeś, że to zbójceckie jaskinie. - Po chwili wpadło kenderowi jednak do głowy, że Fujarę mógł ktoś wprowadzić w błąd. W grocie znalazł jedynie porozrzucane beładnie kamienie. Nie natknął się tu nawet na stare kości.

- A czego się spodziewałeś, szkieletu? To ty mówiłeś, że to są zbójceckie jaskinie, nie ja.

Lavim westchnął ponuro. Nie bardzo podobało mu się, że w jego głowie siedzi ktoś, przed kim nie da się ukryć żadnej myśli. - Fujaro, naprawdę wydaje mi się, że to jednak ty wspomniałeś o zbój... - Lavim, do jasnej cholery!

Nie dość, że duch, pomyślał kwaśno Lavim, ale do tego nerwowy i przerywający mu równie często, jak czynili to Stanach i Tyorl. - A jakże, nerwowy! Jeśli zaczniesz jakieś sensowne zdanie, to może... Powietrze przeszył okropny krzyk, głucho, beznadziejne echo bólu. Tak właśnie powinien jęczeć duch, pomyślał Lavim. Wszelkie nadzieje na odnalezienie skarbu zbójców zniknęły, gdy kender przypomniał sobie, dokąd i po co zmierza.

- Stanach? - wyszeptał. Gdzieś z przodu dobiegł go odgłos sapnięcia Kelidy i ciche, pospieszne słowa Tyorla. - Nie inaczej, Stanach. Lavim, poczekaj tu - odezwał się Fujara.

- Przed chwilą mówiłeś, że bym ich dogonił. Fujaro, skąd mam wiedzieć, czego ode mnie chcesz, skoro ty sam tego nie wiesz. - Zostań tutaj! - Tak, ale... - Wyjmij mój flet.

Teraz Lavim uśmiechnął się szeroko. A... to zrobię z przyjemnością. Uważał wprawdzie, że granie na flecie w chwili, kiedy Stanach potrzebuje

pomocy, jest trochę nie na miejscu, sięgnął jednak do kieszeni, wyjął flet i podniósł go do ust.

- Nie! - ryknął Fujara. - Nie teraz. Zostaw instrument i posłuchaj mnie bardzo uważnie. Lavim niechętnie opuścił flet.

- Rób dokładnie to, co ci powiem. Bogowie świadkami, że musiałem chyba zwariować. Jeśli jednak wysłuchasz - bardzo uważnie! - tego, co ci powiem, i zrobisz to dokładnie wedle moich wskazówek, to... Powietrze rozdarł wrzask, przypominający niesamowity śmiech.

- Teraz posłuchaj. Flet wie, że jestem gdzieś w pobliżu... nie! Powstrzymaj się na chwilę od zadawania pytań! Instrument wyczuwa obecność mojego umysłu... mojego ducha, może to lepsze słowo, co? Flet użyje mi swej magii. Weź głęboki oddech... nie, jeszcze głębszy. O, tak. Flet zagra melodię, będzie to zaś melodia magiczna, ty jednak musisz dostarczyć mu powietrza i celu.

Właśnie, pomyślał (bo trzymając w zębach ustnik fletu, nie mówi się zbyt dobrze) Lavim, ale jaki ma być mój cel? Czy mogę przywołać potwory? Mam się stać niewidzialny? Może zamienić strzały Tyorla w ogniste pociski?

- Nic z tego, Lavim - rzekł surowo Fujara. - Ja ci powiem, co masz zrobić.

Lavim poczuł, że mag się uśmiecha, i ze względu na jego dobry humor postanowił wprowadzić w życie swój własny pomysł.

W niskim i ciasnym tunelu, który łączył leśną jaskinię z pieczarą nadrzeczną, przez chwilę jeszcze wibrowało echo rozpaczliwego wrzasku. Tyorl wzdrygnął się i spojrzął przez ramię na Kelidę. Otoczona pajęczyną mroku i cieni, stała tam, gdzie kazał jej się zatrzymać, pośrodku zakrętu w prawo, który właśnie mijali. Oczy dziewczyny lśniły w mroku, jej usta zaś zaciśnięte były w prostą, wyrażającą determinację linię. W dłoni trzymała pewnie sztylet, tak jak tego nauczył ją Lavim.

W tunelu śmierdziało wilgotną ziemią, mocny zapach wionął też od niewielkiej kałuży stojącej wody pośrodku korytarza. Na zasypianym kamieniami podłożu jaskini, w zalegającym je błocku, nie było widać żadnych śladów stóp, poza może jednym czy dwoma odciskami. Jeśli Theiwarowie w ogóle zadali sobie trud zbadania tego tunelu, zawrócili pewnie przy pozornie zamkniętej ścianie.

Owszem... kender jednak, jeśli zechce, znajdzie nawet drogę do sakiewki nędzarza. Nie dziw, że nie zatrzymała go solidna skała. Naniesione tu podczas jakiejś burzy, na poły gnijące, zdechłe ryby świeciły gnilną poświatą. Przykleiwszy się plecami do ściany, Tyorl ominął kałużę, starając się nawet najcichszym pluskiem nie zdradzić swej obecności.

Drugi wrzask, gardłowy i głośniejszy niż pierwszy, skrzyknął elfa w wywołujący mdłości węzeł. Pod osłoną tego wrzasku tropiciel przemknął do przodu, aż znalazł się u wejścia do pieczary. Wąskiego otworu, przez który Tyorl przecisnąłby się nie bez trudu, strzegł zwrócony do elfa plecami krasnolud w opończy z kapturem.

Krasnolud przesunął się, Tyorl zaś przymknął oczy. Wnętrza jaskini nie widział zbyt dobrze, mógł dostrzec tylko ramię i dłoń Stanacha.

Leśnego zwiadowcę ogarnęła furia. Każdy palec dłoni był wykręcony i złamany. Elf zacisnął palce na sztylcie. Zakapturzony stał w zasięgu rzutu i Tyorl wiedział, że gdy jego sztylet utkwi tamtemu w żebrach, sam uśmiechnie się niemal wesoło. Zanim jednak zdołał wykonać jakikolwiek ruch, usłyszał głuchy dźwięk fletu, któremu towarzyszyło dziwaczne echo. Nie! Na wszystkich bogów, nie! Kender ma flet maga!

Theiwar odwrócił się jak dźgnięty sztydłem. Jego jedyne oko przepełniała nienawiść i żądza mordy. Ujrawszy Tyorla, zaklął paskudnie. Jego dłonie jakby chwyciły zimne powietrze jaskini i zatańczyły skrzydlaty taniec zaklęcia. Tyorl zaledwie ujrzał, jak dłonie krasnoluda opadają nagle, niczym ptaki przeszyte strzałą łowcy, gdy pod nim samym ugięły się kolana.

Stojąca w tunelu Kelida krzyknęła przerażona, jej krzyk zamienił się jednak natychmiast w jęk.

Muzyka, przewrotnie lekka i beztrocka, płynęła ku elfowi na fali najpaskudniejszego smrodu, na jaki kiedykolwiek i gdziekolwiek się natknął. Była to mieszanina odorów nie czyszczonych od lat śmietników, zawieszistej woni zepsutych od kilku miesięcy jaj, gnijących od tygodni pod podłogą

karczmy szczurów i rozkładających się, pokrytych już gęstym śluzem warzyw. Opadłszy na kolana, Tyorl zdołał jedynie ująć się za brzuch i zacisnąć zęby, żeby powstrzymać nagłą i nieodpartą chęć wymiotów.

W całej jaskini rozlegało się charczenie i inne odgłosy, świadczące o okropnych cierpieniach ofiar smrodu. Za elfem zaś zagrzmiął głęboki, basowy śmiech, jakim mogła roześmiać się tylko jedna osoba na świecie. Małe dłonie Lavima zabębniły o plecy Tyorla i kender odciągnął elfa w tył.

- Tyorl! Czy to nie śmierdzi przeokropnie? Wszyscy wywalają z żołądków to, co jedli nawet tydzień temu! Wspaniale, co? Hej, Tyorl,

wstawaj! Powinieneś tam wpaść, uratować Stanacha i skończyć z tymi... jak im tam... hej, Tyorl...

- Ty... kenderze! - wycharczał Tyorl słabym głosem. - Przysięgam na wszystkich bogów, że... - Poczawszy w brzuchu nagłą falę mdłości, zrozumiał poniewczasie, że nie powinien jeszcze się odzywać. Rozpoczęte nawet niezłe przemówienie zakończyło się długą serią jęków i wymiotów. Gdy przyszedł do siebie, okazało się, że Lavim gdzieś zniknął.

Ja go zabiję, pomyślał, ocierając usta grzbietem dłoni. Dźwignął się chwiejnie i usiłując nie oddychać, oparł się plecami o ścianę. Rozpruję tego przeklętego kendera od szyi po kolana i pozwolę mu tak zdechnąć!

Ramię Tyorla ujęła czyjaś dłoń, drżąca jeszcze po nagłym ataku mdłości. O elfa oparła się otumaniona i osłabiona Kelida. Dziewczyna wzdrygnęła się i spytała: - Dobrze się czujesz?

- Owszem. - Tyorl ujął Kelidę za brodę. Potem, zaskoczony własnym gestem, opuścił rękę i delikatnie podtrzymał dziewczynę. - A ty?

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się niewyraźnie. Okropny smród rozwiął się już częściowo, odpływając w stronę rzeki, gnany podmuchami wilgotnego, chłodnego wiatru. - Tyorl, co to było? Skąd się wziął ten straszliwy smród?

- Przeklęty kender dobrał się do magicznego fletu! Widziałaś, gdzie go poniosło?

Kelida rozejrzała się szybko dookoła i potrząsnęła główką. - Te krzyki... - Jej twarz nagle zbieleła. - Stanach!

Dobiegające z jaskini odgłosy wymiotów już ucichły. Dominujący nad wszystkim śmiech kendera grzmiał jeszcze przez chwilę i nagle urwał się niepokojąco gwałtownie. Tyorl wszedł do pieczary, prowadząc Kelidę tuż za sobą.

Rzeński, wieczorny wiatr rozwiął już resztki smrodu zakłęcia Lavima. Tyorl odetchnął ostrożnie. Poczuł się lepiej, mdłości przestały mu już dokuczać. Rozejrzał się po jaskini i dostrzegł leżącego w cieniu pod ścianą Stanacha. Kelida precyzyjnie się obok elfa i podbiegła do nieszczęsnego krasnoluda.

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

Zabójcy Realgara leżeli na ziemi i nie wyglądało na to, że kiedykolwiek powstaną. Dwóch miało rozbite czaszki, kamień zaś, którym je rozbito, leżał u stóp elfa, pokryty krwią zmieszaną z mózgiem. Trzeci z Theiwarów zginął od ciosu sztyletu zadanego pomiędzy żebra. Tyorl szybko rozejrzał się wokół i ujrzał czwartego krasnoluda, leżącego nad wodą, zanurzonego do połowy w rzece. - Lavim... - spytał Tyorl głosem przyciszonym ze zdumienia - zabiłeś

ich wszystkich?

- Chciałbym! - Skulony w najdalszym i najmroczniejszym kącie pieczary, Lavim powiedział wzrokiem dookoła.

- Jeden z nich zdołał zwać, a na nim najbardziej mi zależało! Powinienem być zaczekać na was, ale jakoś się spóźnialiście i... - Stanach!

Wydawszy cichy i pełen współczucia jęk, Kelida opadła na kolana i bez wahania przyłożyła delikatnie dłoń do krtani krasnoluda. Skinieniem głowy dała znak Tyorlowi: znalazła słaby, ale równy puls.

Gdy Tyorl ujrzał to, na co pozwoliło mu nikłe światło gwiazd, poczuł nagły skurcz serca. Broda krasnoluda była zmierzwiona i pokryta zaschniętą warstwą błota i krwi. Twarz od oka po brodę rozcięto sztyletem. Najgorzej jednak wyglądała prawa dłoń Stanacha.

Choć uczono go tylko sztuk wojennych, Tyorl znał również inne zajęcia. Ktoś kiedyś powiedział mu, że dłoń artysty jest rzeczą świętą. Nie da się bez niej zbudować mostu, który połączy wizję z ostatecznym dziełem. Most Stanacha legł w ruinach.

Cichy, niewyraźny, nabrzmiały bólem jęk przywrócił Tyorla rzeczywistości. Stanach oprzytomniał i spoglądał na Kelidę tępym, zamglonym spojrzeniem czarnych oczu, pełnych niebieskich plamek. Gdy się odezwał, wydobył z siebie jedynie nikły szept. - Nie... nie czuję dłoni.

Przez mgłę otępienia w jego oczach przebił się nagły błysk paniki. Drgnął całym ciałem, potem spróbował poruszyć palcami. Kiedy przekonał się, że nawet najmniejszy z nich nie reaguje, ponownie zamknął oczy.

- Czy coś tam jest? Czuję ramię, nie czuję jednak dłoni. Kelida usiłowała coś powiedzieć, zabrakło jej jednak

słów. Delikatnie pogłaskała go po głowie i odsunęła skrwawione kudły z czoła. Tyorl z nagłym skurczem w sercu ujrzał łzę na policzku dziewczyny.

- Tak, młodziku, twoja dłoń jest przy tobie - dziwnie grubym głosem odezwał się Lavim. - Ale ja... jej nie czuję.

Aby dodać Stanachowi otuchy, Tyorl zdołał wykrzesać z siebie krzywy uśmiech i przyklęknął obok krasnoluda na jednym kolanie. - Za to, że teraz jej nie czujesz, możesz podziękować jakiemuś bogu. Owszem, Stanachu, twoja dłoń jest na miejscu. - Serce Tyorla zamarło z bólu. Masz krasnoludzie szczęście, pomyślał, że nic nie czujesz. Głośno zaś

powiedział: - Spróbuj teraz odpocząć. - Fujara... - wycharczał Stanach. - Zabili Fujarę. Chcieli Ostrza Burzy. Tyorl ujrzał, iż oczy Kelidy pociemniały. Tak, Hauk, ona ma nadzieję, że żyjesz. Chłopie! Ja mam nadzieję, że jesteś martwy. Dla krasnoluda mieli tylko parę godzin. Dla ciebie mieli ponad tydzień. Bogowie, mam nadzieję, że nie żyjesz!

Kelida dotknęła Ostrza Burzy i cofnęła rękę jak oparzona. Wiedziała, że gdyby Stanach nie zdołał zachować milczenia, podczas gdy tamci łamali mu palce, byłaby już martwa. - Nie... - szepnęła. - Och, Stanach, nie!

Jakże znieść ciężar świadomości, że ceną twojego życia jest czyjaś tortura i udręka? Tyorl potrząsnął głową. Rozdzierasz opończę na bandaże i usiłujesz ulżyć nieznośnej męce, chłodząc cierpiącemu czoło wodą z manierki. Obserwując delikatne dłonie Kelidy, słuchając, jak uspokaja Stanacha, gdy obmywa mu twarz i zwilża bandaże, Tyorl zrozumiał, że pokochał Kelidę równie głęboko, jak ona pokochała Hauka.

Nie, zaprzeczył sam sobie, to być nie może. Jestem zmęczony, jeszcze mnie mdli i nie mam pojęcia, dokąd teraz mamy się udać. Przytrafiło mi się mnóstwo rzeczy, nie zakochałem się jednak w dziewczynie z oberży i na dodatek nie mojej rasy. A już z pewnością nie w kobiecie, która pokochała Hauka.

Tyorl trącił Lavima łokciem i ruszył do wyjścia z jaskini. Potrzebne mu było świeże powietrze, które oczyściłoby mu płuca i otrzeźwiło głowę. Kender podniósł się i poszedł za elfem. - Lavim, mówiłeś, że jeden uciekł?

Lavim kiwnął głową. - Szybki był ten... jednooki Żlebowiec. - Obejrzał się przez ramię, spojrzał na Kelidę i wzruszył ramionami. - Udało mu się. Co prawda i tak miałem pełne ręce roboty z pozostałymi.

- Owszem, temu nie przeczę. - Tyorl spojrzał na brzeg rzeki. - A ten tutaj? - Ooo... też nie żyje. Choć niewiele brakowało. - Widzę, widzę. Przez chwilę musiałeś naprawdę zdrowo się uwijać.

- No tak... byłem naprawdę zajęty. Nie miałem za wiele czasu... Tyorl, czy ja kiedykolwiek mówiłem ci, jak świetnie potrafię walczyć w jaskiniach, chyba że wrogowie mają zdecydowaną przewagę liczebną, ja zaś jestem związany, nie mam noża i... - Gdzie jest flet? - Hm... flet? - Lavim zaczął intensywnie wpatrywać się w niebo. - Flet maga. - Elf wyciągnął dłoń. - Dawaj. I nie marnuj powietrza na - próby wyjaśnienia mi, że go nie masz.

- Ależ Tyorl, ja naprawdę... Uhm... Chyba zgubiłem go gdzieś w jaskini. - Lavim sięgnął do głębokich kieszeni opończy. Wyjął z nich kilka woreczków i przeszukał je - i nawet ofuknął sam siebie. Jego oczy mogłyby służyć za wzór spojrzenia osobnika niewinnie posądzanego. -Ja... hm... musiałem go gdzieś zgubić. To smrodliwe zakłęcie było paskudniejsze, niż się spodziewałem, muszę też rzec, że jakby mnie zaskoczyło. A ciebie? Gdy się na ciebie natknąłem, wyglądałeś na nielecho zaskoczonego? Byłeś... jakby to rzec... zielonkawy. Nie bardzo, ale dość wyraźnie. Można by rzec, że tylko na brzegach.

Na brzegach! Tyorl nie miał wątpliwości, był zielony jak spleśniały chleb. Nie zamierzał się jednak sprzeczać i wolałby o tym nie rozmawiać. Wiedział, że sam powinien poszukać fletu. Jednak krasnolud leżący na brzegu rzeki, wyglądał tak, że Tyorl się nim zainteresował. - Lavim, idź, poszukaj fletu i przynieś go mnie. - Och, jasne... nie wiem jednak, gdzie mam szukać. - W jaskini! - Aaa... w jaskini. A której, jeśli łaska?

Tyorl nie usłyszał reszty pytań, szedł już bowiem ku zwłokom. W sposobie, w jaki krasnolud runął na brzeg, w jego rozrzuconych szeroko dłoniach, które zastygły w geście chwytania czegoś niewidocznego, było coś, co kazało Tyorłowi podejrzewać, że karzeł nie zginął od ciosu kamienia, rozwalającego mu czaszkę, czy od sztyletu tkwiącego w żebrach. Co więcej, Tyorl zaczynał podejrzewać, że krasnolud w ogóle nie zginął z ręki kendera.

Stanach pragnął znaleźć się na omiatanych przez wiatr skalnych półkach nad Thorbardinem. Pragnął spokoju. We śnie bez końca szukał kamienia, o który mógłby oprzeć plecy, by poczuć lodowe tchnienie złotej jesieni. Pragnął nie dającego ciepła światła gwiazd, srebrnej poświaty Solinari na świeżym śniegu i zabarwiającego purpurą krawędzie skał i szczytów Lunitari.

Żadnej z tych rzeczy nie odnalazł wśród swych majaczeń ani w rzadkich momentach, kiedy odzyskiwał przytomność. Jego świat wypełniał teraz ból.

Cały stworzony był z bólu. Nie z kości, mięśni, krwi czy nerwów. Za każdym razem, kiedy usiłował wspiąć się ku niebu, na jego drodze stawał ból - roześmiany demon z szalonymi oczami Wulfena. Nie mógł dotrzeć do złotego światła słońca, do usianej diamentami nocy ani do szafirowego zmięszchu. Wszystko przepadło gdzieś w ciemnościach, w których

jedynym dźwiękiem był odgłos kropel sączących się z wilgotnej ściany. Kiedy jęczał, nikt nie przychodził i nie przynoszono żadnego światła. Samotnego i bez możliwości powrotu do Thorbardinu porzucono go na pastwę losu.

Lavim wracał do pieczary. Podczas drogi machinalnie włożył rękę do kieszeni i pogładził gładkie drewno fletu.

Gdy zdał sobie sprawę z tego, co robi, niemal się zdumiał. Nie uważał się za łgarza, nie myślał nawet o sobie jako o człowieku skłonny do przesady. W to, co mówił, wierzył całkowicie i bez zastrzeżeń. Mówił zaś, że nie ma fletu.

Przechylił głowę, by wysłuchać komentarza Fujary. Wydawało mu się -przynajmniej ostatnio - że mag zawsze ma coś do powiedzenia na temat rozumowania i postępowania Lavima. Fujara milczał. Fujaro... pomyślał, hej, Fujaro! Nic.

Uklęknął obok Kelidy. Pomyślał, że Fujara może być nieco zdenerwowany skutkami jego improwizacji. Ale przynajmniej, powiedział sobie, spodobały się fletowi!

Zagrał dokładnie te nutki, jakie Lavim uważał za melodię zaklęcia-pierdnięcia. Niezłe to było, pomyślał na użytek milczącego maga.

Kelida tymczasem otarła krew i błoto z twarzy Stanacha, oczyściła ranę na policzku i przykryła krasnoluda swą opończę. Podnosząc ostrożnie jedną ręką głowę Stanacha, drugą podsunęła mu do warg manierkę z wodą. Krasnolud nie przełknął płynu i wtedy Lavim pochylił się i delikatnie poklepał go po krtani sękatymi palcami. Stanach nie otworzył oczu, przełknął jednak wodę.

- To niekiedy pomaga - odezwał się kender. Spojrzał na Kelidę i potrząsnął głową. - Biedny Stanach.

Dziewczyna była zmęczona i nie wyglądała najlepiej. Machinalnie odsunęła z czoła pasmo czerwonych włosów. - Powinniśmy... powinniśmy zrobić coś z jego palcami, Lavim, ale ja nie mogę... nie mogę... - Umilkła, nie potrafiła bowiem znaleźć słów, by wyrazić swój lęk zajęciem się ruiną dłoni Stanacha.

Rozumiejąc jej uczucia, kender zaczerpnął tchu i wypuścił go długim westchnieniem. - Boisz się, że zrobisz coś, co sprawi mu jeszcze większe cierpienie? - Tak... - szepnęła dziewczyna. - Lavim, cokolwiek zrobimy, będzie go - okropnie bolało!

- Szkoda, że nie mamy krasnoludzkiego trunku. Słyszałem, że jeśli wlejesz w siebie odpowiednią jego ilość, nie poczujesz nawet, jak na łeb zwali ci się drzewo. Niestety, nie możemy Stanacha nim napić, lepiej więc zrobmy to, co trzeba, zanim się ocknie. Nie sądzę, by chętnie przyglądał się, jak prostujesz i obwiązujesz mu te palce. - Lavim potrząsnął głową. - Skoro się już o tym zgadało, mnie również to się nie podoba. - Lavim, zechcesz mi pomóc?

Lavim z całą pewnością nie chciał jej pomóc. Gdy o tym pomyślał, jego wnętrzości gwałtownie zaprotestowały. - Dziewczyno... nie sądzę... to znaczy, nie jestem w tym dobry i... - Pomóż jej - odezwał się w jego głowie Fujara. - Ale naprawdę nie sądzę...

- Przytrzymaj go za nadgarstek i wyprostuj mu palce, gdy ona będzie je bandażowała. Żołądek Lavima naprawdę zaczął protestować. To pozostałości zaklęcia-pierdnięcia, powiedział sobie zapominając, że osoba rzucająca zaklęcie nigdy nie pada jego ofiarą. - Nie, Fujaro - powiedział w duchu - nie chcę tego robić.

- Lavim, jego dłoń na zawsze już pozostanie bezwładna. - Fujara tym razem przemówił bardzo

lagodnie. - Możesz jednak pomóc Kelidzie i ulżyć jego cierpieniom. - Dobrze więc - szepnął kender.

Stanach czuł, że coś pożera mu dłoń. Przeżulo mięśnie jednego palca, wypluło kości i zabrało się za następny. Pozbawiony mowy, otoczony bezcielesnymi, głuchymi głosami, które powinien znać, ale brzmiały jednak obco, krasnolud usiłował wrzaskiem wyrazić swój sprzeciw... bez powodzenia. Trzy! (Dwa lub siedem...) Cztery! (Jeden lub sześć...) - Reorksie! Błagam! Daj mi siłę lub ucisz mnie na zawsze! Sztylet Wulfena ponownie rozjarzył się ogniem; stalowe ostrze wywołało odbijającą się od zimnych i wilgotnych ścian pieczary falę strachu, jak echo bólu i dawnych, zapomnianych myśli. Gdzie jest Ostrze Burzy? Strzępy zmierzchu i północnej gwiazdy.

Lyt chwaer. - Stanachu, już tylko jeden.

Stanach usłyszał odległy krzyk, nikły i słaby, mimo to wstrząsnął otaczającym go mrokiem. Pięć!

- Spokojnie, młodziku - powiedział bóg głosem starego kendera. -Odpocznij.

Stanach westchnął z ulgą, gdy rzeński, chłodny wiatr od gór osuszył jego pot i przedarł się przez echo, rozdzierając je niczym pasma dymu.

Rozdział dziewiętnasty

Tyorl szedł wzdłuż pasma zamarznętego błota nad brzegiem rzeki. Dmący znad wody wiatr niósł ze sobą chłód górskich szczytów. Elf pomyślał, że wiatr pachnie śniegiem. Instynkt mówił mu, że choć do nadejścia nocy pozostało jeszcze wiele godzin, powinni oddalić się od tego przekłętego miejsca i zdobyć gdzieś nieco żywności, rozpałcić ognisko i uczynić wszystko, co niezbędne, by Stanach choć częściowo odzyskał siły.

Intuicja podpowiadała mu też, że powinien skłonić Stanacha, by spróbował iść o własnych siłach. Jednooki Theiwar nadal mógł się tu

gdzieś kręcić. Krasnoludy nazywały go derro. Tyorl w okolicach Thorbardinu spędził dostatecznie wiele czasu, by nauczyć się sporej liczby słów z krasnoludzkiego języka. Wiedział więc, że derro znaczy: na poły szalony i kierujący się jedynie nienawiścią. Jednooki był prócz tego magiem i jako takiego należało traktować go z podwójną ostrożnością.

Kopnięciem wrzucił do wody mały kamyk i pożałował tego w tej samej chwili, gdy usłyszał plusk. Takie dziecinne zachowanie może na nas ściągnąć śmierć jeszcze przed świtem. Dziecinne zachowanie i niespodziewana zmiana jego uczuć do Kelidy. Został z nią w tunelu, bo obawiał się o jej bezpieczeństwo. Jego pomoc, na przykład, przydałaby się Lavimowi i gdyby elf w porę znalazł się tam, gdzie był potrzebny, Theiwarowie nie zagrażaliby im teraz, wszyscy bowiem byłiby martwi.

Przekleństwo! Ta dziewczyna nie przemierza puszczy, ryzykując życie, dlatego że Hauk jest ważny dla ciebie. Ona to robi, ponieważ Hauk jest ważny dla niej! Opuścił karczmę Tenny'ego, zostawiając jej miecz, ale w zamian zabrał serce tej dziewczyny! Czy ona zdaje sobie z tego sprawę?

Tyorl potrząsnął głową. Na to, że Hauk jeszcze żyje, nie postawiłby nawet trzech groszy. Właściwie ze względu na fakt, iż był jego przyjacielem, miał nawet taką nadzieję.

Elf zaklął przez zęby i ruszył biegiem. Tuż za zakrętem rzeki natknął się na martwego Theiwara.

W piersi krasnoluda tkwiła strzała. Na długość palca ponad lotkami brzechwę strzały oznakowano czterema cienkimi, niebieskimi paskami. Tyorl znał dobrze ten znak, znał też szare i czarne lotki z kogucich piór. Finn!

Szybko rozejrzał się wokół. Po lewej stronie niezmordowanie szemrała rzeka. Zbocze wzgórza wieńczyła mroczna puszcza. Tyorl wyciągnął strzałę z piersi martwego krasnoluda i wstał, posyłając ku drzewom przenikliwy okrzyk rudego jastrzębia. Od mrocznej ściany odbiło się wysokie echo keee-yeer! Na ten okrzyk natychmiast odpowiedziano przenikliwym zawołaniem drozda trzciniaaka. Usłyszawszy go, Tyorl roześmiał się z ulgą.

Spomiędzy drzew wyszedł chudy i wysoki jak tyczka Finn. Tyorl nie dostrzegł uśmiechu wodza,

usłyszał go jednak w pytaniu. - Gdzie cię nosiło, elfie?

- Szukałem cię, wodzu, i liczyłem na to, że ty odnajdziesz mnie. - Niedbałym kopnięciem trącił leżące u jego stóp ciało. - Widziałeś gdzieś jeszcze w okolicy takich jak on? - Nie, tylko tego. Na mój widok natychmiast podniósł kuszę. Nie - miałem czasu spytać go o innych.

Finn szybko zbiegł ze zbocza. W ślad za nim z puszczy wyłoniły się dwa mroczne jak sama noc cienie i pomknęły za wodzem desperatów. Lehr wyprzedził Finna, Kembal zaś zajął się ochroną tyłów.

Lehr, którego ciemną grzywę rozwiewał wiatr, klepnął Tyorla po ramieniu, uśmiechając się przyjaźnie. - Gdzie jest Hauk? Tydzień temu powinien mi oddać trzy złote lub dwanaście stalowych monet. Zacząłem już podejrzewać, że właśnie dlatego nie można było wyciągnąć was z miasteczka.

- Nie ma go tu, Lehr. - Tyorl, którego nagle opuściła radość ze spotkania przyjaciół, potrząsnął głową. Wskazał dłonią wejście do jaskini. - Kem, znajdziesz tam kogoś, komu potrzebne są twe umiejętności. Jest tam też kender, który zarzeka się, że zabił czterech krasnoludów. Wiem, że zabił trzech. - Tyorl spojrzał na trzymaną w dłoni strzałę.

- Chętnie się chyba jednak już mu się znudziło i z chęcią wdepnie w następną awanturę.

Lehr zaśmiał się, jego brat zaś skinął głową i bez słowa ruszył ku jaskini.

- Lehr, idź za nim - polecił Finn. Gdy został z Tyorlem sam, wziął strzałę od elfa i sprawdził jej opierzenie. Stwierdził, że jeszcze się przyda i wrzucił strzałę do kołczanu. - Dobrze jest cię znów zobaczyć, Tyorlu.

- Ja również jestem rad, wodzu. - Elf obejrzał się na las. - Reszta jest z wami?

- Nie. Zostawiłem ich jakieś sześć mil stąd. Przybylibyśmy tu wcześniej, ale wygląda na to, że Verminaard przyspiesza swoje działania. Podczas ostatnich trzech dni mieliśmy pełne ręce roboty. - Finn uśmiechnął się zimno. - Niszczylimy tabory. - Straciliśmy kogoś?

- Nie, choć Kem zwymiotował od smrodu, jaki panował tu przed chwilą. Skąd się to wzięło? Jeśli mi powiesz, że z Otchłani, nie będę się spierał.

- To bardzo długa historia. - Tyorl westchnął, uświadomiwszy sobie nagle, jak jest zmęczony i jak dziwną historię ma do opowiedzenia.

- O, w to nie wątpię. - Finn obrzucił go baczny spojrzeniem. Po chwili jednak jego wzrok nieco zlągnął. - Tyorl, nie widzieliśmy tu śladów Hauka. Zginął?

- Nie wiem. Myślę, że jest gdzieś w Thorbardinie. Finn milczał przez chwilę i patrzył na wzgórza za rzeką. Thorbardin był stąd o setki mil.

- Żywy czy martwy, Hauk nie powinien się tam znajdować, prawda? Prawda, do stu katów, prawda, pomyślał Tyorl. - Wysłucham teraz twego raportu. - Jak chcesz, wodzu, choć ostrzegam, iż niełatwo ci przyjdzie dać wiarę.

- Słucham. - Finn cofnął się o krok od ciała martwego Theiwara i przykucnął.

Tyorl przysiadł obok wodza. Obserwował przez chwilę, jak wiatr ślizga się po czarnej powierzchni rzeki i burzy rudą brodę i włosy martwego krasnoluda. Przypomniawszy sobie nagle, co mu się nie zdarzyło od nocy spędzonej w Qualinoście, że na Krynn zstąpiła Takhisis, Królowa Mroków.

Smocza Pani, jak nazywano ją w Istar i Ergoth. Trudno zaprzeczyć, że nią nie była. Ludy zamieszkujące Lodową Ścianę nazywały ją Niszczycielką, i to było trafne. Krasnoludy z Thorbardinu zwały ją Tamex, Panią Fałszywych Metali.

Powinieneś być o tym pamiętać, zwrócił się w myślach do martwego Theiwara. Oby fałszem zapłaciła i twemu panu!

Zaczął opowieść o Królewskim Mieczu, buncie, tropicielach, dziewczynie z oberży, ucieczce i pościgu.

Wysoko, na rozjaśnionym lodowatymi światłkami gwiazd niebie, dwa weszły niedawno miesiące, srebrny i czerwony, połączyły swe światło, tworząc jedną różową plamę. Darknight niczym czarna strzała odcinał się od tarczy czerwonego księżyca. Ember, którego dosiadał Verminaard, jak ogromny, odległy cień przyćmiewał blask Solinari.

Darknight zmrużył oczy, choć niełatwo byłoby orzec, czy powodem tego był panujący na tej wysokości ziąb, czy blask księżyca. Smok złożył szerokie skrzydła wzdłuż grzbietu i zanurkował w dół, poniżej tarczy czerwonego miesiąca. Czarny smok wyleciał z przeciwnej strony, obrócił się na skrzydło i dołączył do Embera, grzmiącym śmiechem kwitując niechęć czerwonego smoka do jego błazeństw.

Darknight nie dbał dziś o nic. Wyrwał się z wilgotnych jam Głębokich Pieczar i nic nie mogło stłumić jego radości.

Darknight wyczuł, że przelatującego nad puszcza na południu Embera znajdzie w odległości dziesięciu mil od Thorbardinu, u południowo-zachodnich rubieży Równin Śmierci. Czarny smok dzięki potężnym zamachom skrzydeł nabrał szybkości i dołączył do Smoczego Władcy i jego wierzchowca ponad Wzgórzami Krwi. Zatrzepotał skrzydłami, pozdrawiając Embera, i natychmiast przesłał Verminaardowi w myślach informację o sytuacji w Thorbardinie. Pomiedzy Verminaardem i smokami Takhisis istniała tak silna więź,

telepatyczna i empatyczna, że Smoczy Władca nie tylko natychmiast poznał plany Realgara, ale dowiedział się też, jak ocenia je Darknight.

- Owszem, Darknight, przynieś mu ten Królewski Miecz. Pomóż mu rozpętać bunt. - Zadowolenie Verminaarda smok wyczuwał jak cień czarnego lodu. - Potem dostarcz mi Ostrze Burzy wraz z głową tego krasnoluda. Będę miał dwa piękne trofea.

Ember przechylił szyję w bok i w blasku płomieni, które wystrzeliły z wąskiej paszczy czerwonego smoka, Darknight zobaczył na zboczach pogórza Kharolis małe, ostro zarysowane cienie obu bestii. Czarny smok ponownie złożył skrzydła i zanurkował w dół nad piaskowej barwy wzgórzem. Jako nocne stworzenie o świetnym wzroku znacznie wcześniej dostrzegł to, czego szukał Ember, i obraz grupki partyzantów posłał wprost Smoczemu Władcy.

W odległości kilku mil od zgrupowania leśnych smok dostrzegł czarną chmurę myśli Szarego Herolda. Darknight zaryczał tryumfalnie, zatoczył w powietrzu krąg i dał nura w kierunku swojego celu.

Pod sobą ujrzał srebrną linię rzeki na wschód od wzgórz. Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin i Darknight spodziewał się, że do Thorbardinu wróci wcześniej. Zanim wstanie słońce, prastare dziedziny krasnoludów usłyszą okrzyk tryumfu Realgara.

Oba księżyce płynęły już nisko, opadając ku lasowi na zachodzie. Tyorl, obserwując purpurową poświatę poprzez gałęzie drzew, zastanawiał się, jak Finn zareaguje, gdy usłyszy historię. Elf wiedział, że wódz leśnych nie uważa za możliwe, by Hauk pozostawał jeszcze przy życiu. Elf nie potrafił przekonać Finna.

- Jeśli jakaś dziewczyna uważa kogoś za żywego, to z pewnością pozostanie on wśród żywych, to jasne... - Oczy Finna powiedziały Tyorlowi, że wódz uważa już Hauka za trupa. - Chcesz iść do Thorbardinu? - Tak, wodzu, chcę.

Finn nie odezwał się, tylko przeniósł wzrok z Ostrza Burzy, nadal ukrytego w pochwie u boku dziewczyny, na bezwładną dłoń Stanacha, którą Kem odwijął z prowizorycznych bandaży, i z powagą podziękował dziewczynie za jej robotę.

Tyorl poprawił polano w ognisku. Ogień rozniecił Lavim, który nikogo nie pytając o zgodę, zgromadził chrust, drewno i rozpałił ognisko nieco z boku od wejścia do jaskini. Kender ciągle

jeszcze nie znalazł fletu Fujary.

Zgubiłeś go, akurat!, pomyślał Tyorl, w jednej ze swoich kieszeni, ty czorcie. Kiedy wrócisz, klnę się na wszystkich bogów, że cię związę,

zawieszę w dół głową i przeszukam wszystkie twoje kieszenie i sakwy!

Odwrócił się nagle, słysząc ciche skrzypienie podeszew o kamienie i szelest opończy. Obok niego przystanąła niepewnie Kelida, której oczy zdradzały wyczerpanie. - Nie przeszkadzam?

- Skądże znowu. - Tyorl potrząsnął głową. - Lehr złapał parę ryb. Masz ochotę coś przegryźć?

- Nie, jestem po prostu zmęczona. - Stała obok niego, opierając się plecami o skalną ścianę. - Co ze Stanachem?

- Śpi. Naprawdę śpi. Kem nakłonił go do wypicia jakiejś mikstury z ziół. Powiedział, że to mu pomoże odzyskać siły.

- Na pewno. Kem jest dzielnym wojownikiem, ale jeszcze lepszy z niego uzdrowiciel. Czy został przy Stanachu?

Kelida kiwnęła głową. Przez chwilę wpatrywała się w nurt rzeki i słuchała jej odwiecznej pieśni podróźnej. - Spędziłeś sporo czasu w tych okolicach, prawda? - No... kilka lat.

- Gdy przemywałam Stanachowi dłoń i gdy ją bandażowałam, powiedział coś w języku, którego nie rozumiem. - Pewnie po krasnoludzki - Może. Powiedział: „Lyt kwer”.

- Aaa. Lyt chwaer. Siostrzyczko. No... jest ranny i może nie bardzo zdaje sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje. Nic dziwnego, że nazwał cię tak, jakbyś była jego krewną. - Tyorl potrząsnął głową.

- A więc Stanach ma młodszą siostrę, co? No, no... Mówił wprawdzie, że Kyan-Czerwony Topór był jego kuzynem, nigdy nie pomyślałem jednak, że krasnolud ma rodzeństwo lub że potrafi darzyć uczuciem kogokolwiek czy cokolwiek poza tym przeklętym Królewskim Mieczem.

Rzeka szemrała cicho, pluszcząc przy brzegach. Tyorl włożył w ognisko kolejną gałąź. Uśmiechnął się do Kelidy i wskazał jej krępego młodzieńca, który niezmordowanie przemierzał brzeg tam i z powrotem. - Niekiedy przypomina mi Hauka. Finn nazywa nas Kompanią Koszmaru. My zaś nazywamy Lehra Koszmarem Finna. - Dlaczego?

- Jest młody, zapalczywy, ma niespożyte siły i aż za bardzo kocha się w bitkach.

Chłodny wiatr dał coraz mocniej i poświstywał żalobnie nad wodą. Kelida zawinęła się szczelniej w zieloną opończę.

- Czy nie są to cechy pożądane u leśnego wojownika? Zamiast odpowiedzi Tyorl postawił jej pytanie: - Nie widzisz różnicy pomiędzy Lehrem i Haukiem?

- Nie znam Hauka, tej nocy w gospodzie nie miałam przecież czasu go poznać, ale... - Co? - Tyorl wbił wzrok w tańczące płomienie.

- Nie wiem. Myślałam, że może... może on jest kimś, kogo... mogłabym polubić. Polubić czy pokochać?, pomyślał elf.

Wiatr zmienił kierunek, teraz wiał z północnego wschodu, dokładnie wzdłuż rzeki. Lehr przerwał swój niezmordowany marsz i zatrzymał się nad brzegiem. - Hauk... tak, można go polubić. - Ale on również za bardzo lubi bitki?

- Nie, wcale nie. - Tyorl potrząsnął głową. Przeważnie zachowuje zimną krew. To dobry towarzysz i nieźle jest mieć go u boku w wielu sytuacjach, ale podobnie jak Koszmar Finna jest młody. Przypuszczam, że właśnie dlatego Lehr mi go przypomina.

Kelida pomyślała nagle o pozornie odległej o setki lat nocy w Long Ridge, kiedy to Hauk dał jej Ostrze Burzy. Przypomniała sobie ówczesne zachowanie Tyorla, który był lekko rozbawiony przesadnymi przeprosinami i zadośćuczynieniem Hauka. Elf obserwował, jak wycierała plamy po winie z szynkwasu, ona zaś w myślach porównywała obu leśników: Hauka, krępego i rosnącego jak

niedźwiedź, i Tyorla, który przypominał jej cicho i z gracją stąpającego jelenia. Przypomniała sobie też, że już wtedy wydawało jej się, że niezwykle trudne, jeśli nie w ogóle niemożliwe, jest określenie wieku elfa z jego wyglądu.

Spojrzała nań ponownie. Siedział przy ognisku ze skrzyżowanymi nogami, pogrążony w myślach, łagodzących chłodny zwykle wyraz jego oczu, a jego rozjaśnione blaskiem księżyców włosy rozwiewał zimny wiatr. Był szczupły i zręczny, otaczała go atmosfera niebezpieczeństwa i... tak, nie inaczej, pewnej romantyczności. Łatwo było się pomylić i wziąć go niemal za rówieśnika Hauka. - Myśle - zaczęła z wahaniem - że tobie wszyscy wydajemy się młodzi.

- Owszem, niekiedy tak. Kelido, widziałem już setkę zim. To sprawia, że ty i Hauk wydajecie mi się bardzo młodzi. Ale wedle miar mojej własnej rasy sam należę do młodzików. - Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. - Kiedy nie przebywam wśród elfów, ciągle padam ofiarą pomyłek. Wszystkie te przeżyte lata... - Poklepał się po sercu, które nagle

- skurczyło się boleśnie. - To tutaj czuję, jak jestem młody...

Nieoczekiwanie Lehr zszedł ze ścieżki i pochyliwszy głowę jak pies podejmujący trop, ruszył w górę rzeki. Tyorl wstał i polecił Kelidzie: -Sprowadź tu Finna.

Wyczuła napięcie w jego głosie i podniosła się. Zanim jednak zdążyła zadać mu choć jedno pytanie, pomknął ku rzece.

Lavim wyczuł dym wraz ze zmianą wiatru. Wyciągnąwszy się na brzuchu przy brzegu, kender rozmyślał o ciepłe i obozowych ogniskach. W tej chwili na pewno nie miałby nic przeciwko jednemu i drugiemu. Złożył opończę nie opodal, bo mokry był aż po barki - usiłował bowiem łowić ryby gołymi rękoma, tak jak podejrzwał to u Lehra.

Obserwując go, można by pomyśleć, mówił sobie Lavim, że to takie łatwe! - Lavim, nic nie jest takie łatwe, jak się wydaje - odezwał się Fujara. Kender nie odpowiedział, tylko ponownie zanurzył dłonie w lodowatej wodzie. Za późno! Okoń otarł się o jego palce i śmignął na głębszą wodę pośrodku rzeczulki. Lavim wyciągnął dłonie z wody, potrząsnął nimi kilkakrotnie i schował pod pachy, by ogrzać zlodowaciałe paluchy.

- Lavim, to kwestia perspektywy. Kiedy spoglądasz w wodę, w rzeczywistości nie patrzysz tam, gdzie wydaje ci się, że patrzysz. Jeśli już zresztą o tym mowa, ryba, patrząc w górę, też widzi nieco inaczej.

- Mhm... - mruknął Lavim. - Ty to wszystko wiesz, bo większą część życia spędziłeś w rybiej postaci, co?

- Biorąc pod uwagę to i owo - warknął Fujara - uważam, że to źle, jeśli stajemy się drażliwi. W końcu to ja nie żyję. Jeśli ktokolwiek miałby prawo do okazywania swoich humorów, to tym kimś byłbym ja!

- Nie okazuję humorów. Usiłuję złapać śniadanie. Wiesz, Fujaro -powiedział Lavim pod wpływem impulsu - przykro mi, że nie żyjesz. Nie znałem cię za życia, ale mi przykro. Co się czuje, kiedy się nie żyje? Fujara milczał przez chwilę. - Tak naprawdę nie czuje się nic. - Gdzie przebywasz? - We wnętrzu twojej głowy i w zaświatach. - Jak tam jest?

- Pełno mgły, i to w obu miejscach - zaśmiał się Fujara. - Lavim, masz szansę złapać rybę!

Na płyciźnie pojawił się brunatny pstrąg, niemal tak długi i tłusty jak okoń. Leniwe poruszenie ogona przeniosło rybę w rejon chwiejących się tuż pod powierzchnią rzeczki wodorostów. Lavim uśmiechnął się szeroko i wyciągnął dłonie.

- Łap trochę z boku, a potem z przodu. - Dlaczego tak?

- Bo chcesz mieć pstrąga na śniadanie. Doszedłszy szybko do wniosku, że to najlepszy z możliwych powodów, Lavim postąpił zgodnie z radą Fujary.

- Haaa! - wrzasnął tryumfalnie, czując zdobyc w palcach. Wyrwał z wody mokrą i lśniąca rybę. - Mam cię! - Pstrąg jednak szarpnął się ostro i, nienawykły do trzymania śliskich łusek, Lavim puścił rybę. Ta, jakby sukces niespodziewanie ją uskrzydlił, śmignęła do wody wielkim łukiem i przepadła. - A bodaj to! - Lavim padł na plecy, rozczarowany i za bardzo przemarznięty, by jeszcze raz zanurzyć zbiele dłonie w wodzie. Dym zgęstniał tymczasem w powietrzu. - Co oni tam wyprawiają z tym ogniem? Jak tak dalej pójdzie, to... - Lavim!

- Na wszystkich bogów, Fujaro! Nie rycz tak na mnie! W uszach mi zadzwoniło. Co jest? - Smoki!

- Gdzie? - Kender błyskawicznie chwycił hoopak, opończę i zerwał się, bacznie wpatrując się w niebo.

- Nadlatują od północy! Lavim, wracaj natychmiast do obozu! Jeden jest już nad puszcza i leci ku rzece!

Lavim uśmiechnął się szeroko i pomknął ku obozowisku. Wszyscy nieustannie gadali o smokach - czerwonych, czarnych, zielonych, błękitnych - każdy mógł sobie wybrać barwę, jaką chciał. On zaś naprawdę widział tylko jednego, czerwonego, było to w dzień marszu od Long Ridge, ale bestia leciała wysoko.

Pędzący ku jaskini kender roześmiał się głośno, usiłując jednocześnie patrzeć w niebo i pod nogi. Wyglądało na to, że los znów mu sprzyja!

Rozdział dwudziesty

Hauk zapadł teraz w kamienny sen. Śniły mu się nieustannie najróżniejsze duchy, poruszające się tuż pod ścianami jego celi. Kiedy pojawiły się po raz pierwszy, uznał, iż są zapowiedzią zbliżającego się szaleństwa.

Nie dbał o to. Oczekiwał śmierci i tym razem wiedział, że umrze naprawdę. Realgar nie zadawał mu już pytań i nie ukazywał mu żadnych przewrotnych wizji, nadal jednak zabawiał się z nim w śmierć. Szybka niczym jastrząb spadający na ofiarę lub leniwa jak czyhający nad nią sęp, śmierć mieszkała z Haukiem w jego wilgotnym grobie, niekiedy szeptała doń jego imię i chwyciła go lodowatymi palcami, przeciągając go przez czarne bramy do miejsc, gdzie zimne powietrze wdzierało mu się do płuc tysiącem lodowatych igiełek.

Dawno temu już stracił rachubę swych zgonów i teraz leżał w mroku, obserwując sny na ścianie, gdy przesuwwały się po chropowatym kamieniu.

Widział więc puszcę. Qualinesti, zielona i cienista ojczyzna elfów, była oświetlona kolumnami miodowozłotych smug słońca. Przez zagajniki olch i osik, niczym sen we śnie, wędrował Tyorl. W skośnych, błękitnych oczach elfa, które Hauk znał od dawna, gościł teraz dziwny wyraz. Były w nich ból, żal i niemal rezygnacja. Tyorl podążał ścieżkami znanymi tylko elfom i nieustannie czegoś poszukiwał.

Sen zmienił się jak pasmo dymu na wietrze i oto Hauk znów znalazł się w gospodzie w Long Ridge. Uśmiechała się doń zielonooka dziewczyna o warkoczach barwy miedzi.

Owszem, pomyślał, ale przecież naprawdę nigdy się do niego nie uśmiechnęła. Unikała go z obawą, potem zaś nagle czymś rozjuszona plunęła mu w oczy. Gdy zniknął gdzieś gniew, w jej oczach pojawiło się znużenie, ale nie uśmiech. Jak miała na imię? Nigdy się tego nie dowiedział.

Uważniej wpatrzył się w ścianę, usiłując wdrzeć się w sen i zobaczyć wyraźniej twarz tej dziewczyny. Była wysoka jak na kobietę. Niższa odeń tylko o kilka cali. Dziewczyna. Służebna dziewczyna w karczmie. Jak jej było

na imię?

Obraz na kamiennym ekranie zadrżał, zamglił się i Hauk w obawie, że straci i tę dziewczynę,

będącą jedynym wspomnieniem, którego Realgar zeń nie wyłuskał, sięgnął ku kamieniom, jakby chciał dotknąć ściany.

Owszem, była wysoka, pomyślał, sen bowiem nagle stał się bardziej wyrazisty. Nieznajoma dziewczyna wyglądała teraz jak myśliwy lub jeden z leśnych ludzi - do boku przypasała miecz, opięła się opończą równie zieloną jak jej oczy, odziała się zaś w szary, skórzany łowiecki strój. Łowczyni, leśna dziewczyno, jak masz na imię?

Gdy zadawał to milczące pytanie, dziewczyna odwróciła się ku niemu. W jej bladej twarzy wyraziście lśniły oczy. Nieznajoma wdzięcznym gestem wyciągnęła ku Haukowi dłoń, jakby pragnęła go powitać. Jeniec ujrzał iskierki światła tańczące na złocie i szafirach.

Dziewczyna u bioder niosła miecz, który Realgar nazywał Ostrzeni Burzy.

Sen rozplątał się nagle, uderzony błyskawicą bólu, który ugodził w oczy więźnia i ostrymi szponami przeorał jego plecy. Hauk jęknął z żalu, że zabito jego sen, i krzyk ten echem ozwał się w mrocznej celi.

Ktoś wysoko podniósł latarnię, rozsiewającą światło niczym ogniste krople. Z ciemności, zza kręgu światła rozległ się suchy, starczy głos, jakby przytłumiony z żalości. - Nie dostanie go. Nie.

Hauk znał ten głos. Był to głos na poły szalonego starca, którego niejedyn już raz słyszał przez zasłony swych koszmarów, nawiedzający go, kiedy leżał bezwładnie spowity w szepty jak lochy w pajęczynę. Niekiedy w głosie był śmiech lub płacz, gdy leśnik umierał.

Hauk jęknął i zadał pytanie, na które nigdy jeszcze nie otrzymał odpowiedzi. - Kim jesteś?

Przedtem, gdy Hauk zadawał to pytanie, głos oddalał się, towarzyszyło zaś temu człapanie. Tym razem stało się inaczej. - Nie dostanie go. Wstawaj, chłopcze, wstawaj!

Hauk nie mógł się podnieść. Sękate dłonie, które dotknęły jego twarzy, drżące i pokryte odciskami, obudziły w nim echo dawnych cierpień.

- Moje Ostrze Burzy, on pożąda mojego Ostrza Burzy. Myśli, że je znalazł, chłopcze. Myśli, że je znalazł!

Hauka przeszła kolejna strzała bólu. Z kaganka unosił się dym, który snuł się w celi niczym żałobne chorągwie. Poprzez ciemności przedarło się rude światło. Hauk przetoczył się na plecy i ujrzał twarz nachylonego nad

nim krasnoluda. Na ramiona nieznajomego bezładnie opadała długa grzywa siwych włosów. Zmierzwiona dziko broda przybysza sięgała mu niemal do pasa. Na twarzy krasnoluda lśniły łzy, a w jego oczach zagnieździł się strach.

Zebrawszy wszystkie siły, jakie jeszcze mu pozostały, Hauk uniósł dłoń, słysząc ze zgrozą trzask własnych stawów. Chwycił przegub krasnoluda. Na brodatej twarzy nieznajomego pojawiło się przerażenie, takie samo jak w oczach tych, co wielokrotnie ginęli z ręki Realgara.

Jaskinie ciągnęły się bez końca, skalne ściany wznosiły się aż do spowitych w cieniu sklepień; wszędzie czuć było ciężką woń wilgoci i zapach kamienia.

Mimo że wydawał się stary jak same góry, krasnolud był krzepki. Mrużył tylko oczy, gdy musiał podtrzymać banitę lub gdy Hauk łapał go za ręce. Niełatwo przychodziło mu dźwiganie Hauka, ale jakoś sobie radził. Bardzo zależało mu na tym, by wynieść banitę z więzienia Realgara i doprowadzić go do miejsca, które uważał za bezpieczne.

Dotarli wreszcie do celu. Krasnolud powiodł Hauka ku pryczy na podłodze przy przeciwległej ścianie. Spiętrzono na niej cztery grube koce i pomimo iż pod nimi był goły kamień, legowisko wydało się banicie łóżem godnym lorda. W ściany pieczary w równych odległościach wbite były kunsztownie wykute w żelazie kaganki. Pieczara miała jakiś system wentylacji, bo zapach dymu był ledwie wyczuwalny.

Mrucząc coś pod nosem, jakby za żadną cenę nie chciał zakłócić odpoczynku Hauka, krasnolud zaczął sprawdzać niewielkie zapasy wody w manierkach i żywności. Pośrodku pieczary stał niski piecyk koszowy i krzątający się krasnolud, przechodząc obok, zatrzymywał się niekiedy i poprawiał węgle w palenisku. Za każdym razem, gdy to czynił, oglądał się na Hauka i przerywał mamrotanie.

Hauk uważnie obserwował gospodarza. Orzechowe oczy krasnoluda z pewnością były oczami szaleńca, teraz jednak błyskało w nich coś nowego. To coś niekiedy pojawiała się na jedno mgnienie i zniknęło, ustępując miejsca strachowi, tęsknocie i bólowi. W oczach starego krasnoluda pojawiały się iskierki świadomości. Hauk nie znał przyczyn, dla których tak się działo, nie wiedział też, co wywoływało owe iskierki.

Nie dbał o to zresztą. Nie zdradzał się z niczym, nawet nie mrugnął, nadal patrzył nieruchomo, zimno, co starego krasnoluda napawało takim lękiem.

Powoli i stopniowo, jak wody przyływu zalewające nagą plażę, Haukowi wracały siły. W miarę, jak rosły jego siły, wzrastał się gniew i

nienawiść leśnika. Będzie teraz cierpliwie wypatrywał okazji do zemsty i nieważne, jak długo przyjdzie mu czekać.

Gdy zaś nadejdzie pora, wstanie i gołymi dłońmi wyrwie serce staremu draniowi i wetrze je w kamień.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Stanach lewą dłonią dźwignął prawą. Pod bandażami niczym sztywne, pozbawione czucia stalowe pręty, tkwiły połamane palce. Choć uginały się

pod nim kolana, gestem dłoni dał znać pragnącej mu pomóc Kelidzie, że poradzi sobie sam, i chwiejnie zrobił dwa kroki. Zacerpnął tchu i podszedł do wyjścia z jaskini. Leśnik uzdrowiciel zapewniał go, że szybko odzyska siły.

Oparłszy się o skalną ścianę, spojrzął na wodę. Miał nadzieję, że Kem się nie myli. Nad wodą kłębił się dym, pędzony przez wiatr niczym stado wełnistych owiec. Wysoko ponad wierzchołkami drzew niebo pulsowało purpurą. Kelida z Ostrzem Burzy pobiegła wzdłuż brzegu na spotkanie Lavima. Kender niemal tańczył z podniecenia. Dziewczyna chwyciła go za ramiona i przytrzymała w miejscu na tyle długo, by usłyszał, co ma mu do powiedzenia. Usłyszawszy polecenie, kender, którego liczne sakwy podskakiwały podczas biegu, pomknął tam, gdzie brzeg rzeki badał Tyorl.

Stanach widział, jak spod baldachimu drzew wyłonili się dwaj leśni i przyłączyli się do elfa nad wodą. Jeden z nowo przybyłych, zwany Finnem, wskazał ręką na północ.

- Co się dzieje? - Krasnolud wrócił do jaskini. Delikatną twarzyczkę Kelidy ocieniały smutek i troska.

Dziewczyna podniosła głowę znad wiązanej właśnie przez siebie woreczka z leczniczymi ziołami, które dał jej Kem.

- Mówią, że gdzieś pali się las. Wynosimy się stąd. Masz dość siły, by iść? Finn chce, byśmy tu przeszli rzekę w bród i oddzielili się nią od ognia.

- Tak to sobie obmyślił? No, to rzeczywiście muszę zacząć przebierać nogami. - Niechętnie warknięcie Stanach złagodził wzruszeniem ramion.

Potrząsając rozwianą na wietrze czupryną ciemnych włosów, do jaskini zajrzał Lehr. To on wspólnie z wodzem zagłębił się dość daleko w puszcze, gdzie wyczuł woń spalenizny. Obrzucił teraz Stanacha bystrym spojrzeniem i klepnął po ramieniu dość mocno, by krasnolud podziękował losowi za to, iż postawił za nim ścianę. - I jak, dasz radę na własnych nogach? Dobra! Kem, ruszajmy!

- Jak daleko na północ jest ten ogień? - Kem przerzucił przez ramię sakwę. - Tam do licha, Lehr! Co go wywołało?

- Nie jest daleko i rozprzestrzenia się dość szybko. - Lehr sprawdził, czy nic w jaskini nie zostawiono i spojrzął na rzekę. - Doszliśmy do wniosku, że front ognia jest pomiędzy naszą grupką i resztą oddziału, nie wiemy jednak, gdzie znajdują się skrzydła pożaru, i nie mamy czasu, by to sprawdzić. Finn powiada, że jedynym miejscem, gdzie możemy znaleźć oddział albo gdzie oni znajdują nas, jest wschodni brzeg rzeki.

Tropiciel zniknął, zanim Stanach czy Kembal zdążyli zdać sobie sprawę, iż nie odpowiedział na pytanie dotyczące przyczyny pożaru. Kem

skrzywił się nie bez irytacji. Stanach opuścił pieczarę z mieczem na plecach. Miał złe przeczucia.

- W tym miejscu rzeka nie jest przesadnie szeroka - powiedział Tyorl -woda zaś sięga tu zaledwie do pasa. Dasz radę, Stanachu?

Czy siły krasnoludowi przywróciły lekarstwa Kema, czy też sił dodał mu odległy szmer nadciągającego pożaru - Stanach wiedział, że dotrzyma kroku towarzyszom. Spojrzął na niebo. Oba miesiące już zaszły. Purpurowa poświata wyglądała jak zapowiedź świtu.

- Owszem, jakoś sobie poradzę. - Stanach ujrzał jednak w oczach Tyorla cień wątpliwości.

- Będę szedł tuż za tobą. - Elf kiwnął głową - Kem powiedział, żebyś, jeśli to możliwe, nie moczył ręki.

Pierwszy do wody, unosząc wysoko ponad głowę swój łuk, wszedł Finn. Nawet nie zdążył się oddalić od brzegu, a już skryły go nadchodzące kolejne pasma dymu.

Za Finnem przeprowił się krasnolud, który unosił ponad wodami zabandażowaną dłoń i ufał, iż skórzana pochwa będzie stanowić dostateczną ochronę przed wilgocią dla jego miecza.

Następni byli Tyorl i Kelida. Naśladując Finna, dziewczyna wyjęła Ostrze Burzy z pochwy i zawiąawszy oręż w opończę, uniosła miecz nad głowę, co pozwalało jej lepiej utrzymywać równowagę i jednocześnie sprzyjało ochronieniu ostrza przed zamoczeniem. Po jej drugiej stronie szedł Kem, gotów do pomocy, co przy szybkości i sile nurtu rzeki miało swoje znaczenie. Ciemnowłosa trzymał się blisko dziewczyny i podawał jej dłoń, gdy tego potrzebowała. Raz nawet, gdy prąd zbił Kelidę z nóg, objął ją wpół i przyciągnął ku sobie.

Stawiając ją na nogi, Lehr zaśmiał się radośnie. Najwyraźniej nie widział nic złego w sytuacji, w której urodziwa dziewczyna o kształtach dość wyraźnie rysujących się pod zmoczoną, skórzaną odzieżą obejmuje go za szyję. Tyorl jednak łypnął w jego stronę okiem, tak jakby on, owszem, miał coś przeciwko temu. Mocno zaskoczony tym, że zastanawia się, czy nie skarcić bezczelnego zuchwalca, Tyorl pospiesznie ruszył do przodu. Minął przy tym Stanacha, który ustąpił mu z drogi.

Lavim nie trzymał się żadnego porządku. Godząc się z nieuniknioną koniecznością, dał nura w lodowatą wodę i przebijał się przez czarne fale z entuzjazmem młodego łososa, ale bez jego wdzięku.

Kiedy wreszcie zeszywniały, ziębnięty i skulony krasnolud wylądował na skalistym, wschodnim brzegu, obejrzał się za siebie, by zobaczyć przebytą drogę. Nad obydwoma brzegami wisiała już gęsta i ciemna,

poruszana tchnieniem wiatru, zasłona dymu. Krasnolud poczuł na swoim ramieniu lekką dłoń Kelidy. - Dobrze się czujesz? - Owszem - odparł niepewnie Stanach. Rzeka wyssała zeń całe ciepło. Finn kiwnął ręką w stronę niskich wzgórz. Kem ruszył na prawo, Tyorl zaś uparł się, że Lehr powinien z nim razem zbadać lewą flankę. Tymczasem Lavim, otrząsając się jak mokry ogar, pomknął naprzód i wkrótce zniknął wędrowcom z oczu.

Aż do wzgórz ścigał ich ciężki odór płonącej puszczy. Tereny po wschodniej stronie rzeki były kamieniste i wznosiły się coraz wyżej. Rosły tu gęste krzewy. Coraz bardziej na wschód przechodziły w coraz wyższe turnie. Pograżona we własnych myślach, Kelida dotrzymywała kroku Stanachowi. Za

każdym razem, kiedy oglądała się przez ramię, widziała niebo splamione purpurą pożaru.

- Guyll fyr - szepnął Stanach przystając, by przyjrzeć się, jak płomień ogarnia krzewy w odległości mili od jaskini.

Mimo chłodu porannego, gnanego wiatrem, twarz krasnoluda pokryła się potem, który zbierał się na koniuszkach wąsów i wsiąkał w jego gęstą brodę. Zorientowawszy się, iż uparty krasnolud musi wypocząć i odzyskać siły, Kelida zatrzymała się obok niego.

Bezgłośnie spróbowała wypowiedzieć usłyszane przed chwilą słowa, potem podniosła główkę i odezwała się: - Gnil ogień?

- No, dość blisko. - Stanach uśmiechnął się. - Guyll fyr. Samozapłon. - Krasnolud wskazał na leżącą na południu puszcze. - Poszycie się pali, ale ogień idzie koronami drzew. Przy zmianie wiatru pożar przedostanie się przez rzekę. - To właśnie jest samozapłon?

Stanach ocenił wzrokiem odległość dzielącą ich od Kembala czekającego u stóp pierwszego z serii łańcucha pagórków. - Nie - odparł ruszając - ale ten ogień przekształci się w guyll fyr, kiedy dotrze do leżących w odległości trzydziestu mil stąd Równin Śmierci...

Jeśli wiatr ma się zmienić, pomyślał posepnie, nie nastąpi to wcześniej niż jutro.

Nie odezwał się już więcej. Całą uwagę skupił na marszu. Kelida szła nieco z przodu. Dziewczyna patrzyła na ziemię, by wśród nagromadzonych tu kamieni i ukrytych dziur w gruncie odnajdywać szlak i w porę podierać potykającego się niekiedy krasnoluda.

Prawa ręka Stanacha wisiała bezwładnie jak ciężka, żelazna sztaba. Stanach pamiętał ogień, jakim jego dłoń płonęła nie tak dawno temu. Teraz

jednak nie czuł nic, nawet śladu bólu. Poczuł, że serce ścisną mu zimna obręcz strachu.

Zaczął się zastanawiać, kiedy minie zbawczy skutek nałożonej przez Kelidę maści.

Dotarłszy na szczyt wzgórza, Tyorl przykucnął i spojrzał na niebo, szukając oznak zbliżającego się świtu. Nie znalazł żadnych. Nikłe światło gwiazd wskazywało na to, iż niebo powinno już szarzeć, jednak pożar, który rozprzestrzeniał się coraz gwałtowniej na południe i wschód, tłumiał nikły blask świtu.

Czy ogień przedarł się już przez rzekę? Tyorl mocno w to wątpił. Wstał i rozprostował zbolące nogi. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz porządnie się wyspał. Nie wiedział też, kiedy będzie mógł wyspać się ponownie.

Utkwiwszy bystry wzrok w ziemi u podnóża pagórka, Finn trącił Tyorla łokciem. - Krasnolud musi wypocząć. Wygląda tak, iż myślę, że lepiej będzie, jeśli odsapnie na dole - odezwał się Finn. - Nie sposób się tu zatrzymać. Ogień może przekroczyć rzekę.

- O, przekroczy ją z pewnością - prychnął Finn. Obaj milczeli przez chwilę. Tyorl spoglądał na wschód

zastanawiając się, czy trzydziestu towarzyszy z leśnej kompanii uszło przed pożarem. Spojrzał na Finna i w ogorzałej twarzy wodza ujrzał to samo pytanie. W jego oczach zaś zobaczył odpowiedź.

Kompania nie mogła wydostać się z pułapki. Na przestrzeni sześciu mil na północ rzeka toczyła swe wody wśród białej kipieli i nie sposób było przedrzeć się na drugą stronę. Pożar zresztą wybuchł w miejscu, gdzie - wedle słów Finna - kompania rozłożyła się obozem. Co tam się stało?

O bogowie, pomodlił się Tyorl, który skądinąd nie czynił tego zbyt często, pozwólcie im przeżyć.

Kerrith. Bartt. Stary G'Art. W smugach dymu widział twarze trzydziestu ludzi i przypominał sobie ich imiona. Wszyscy od kilku lat byli jego przyjaciółmi. Elf wzdrygnął się pod wpływem myśli, że mogli zginąć równie łatwo, jak pasma dymu rozwiewają się na wietrze.

- Zastanawiam się, gdzie zniknął kender? - Finn niecierpliwym krokiem przemierzał wierzchołek wzgórza. - Bez wątplenia woli nie pokazywać mi się na oczy - mruknął Tyorl. - Wróci? - Finn

chrząknął.

- Lubi nocą pomyszkować tu i ówdzie, ale zawsze wraca. Ku mojemu nieszczęściu. - Czyżby? - Finn obrzucił elfa bystrym spojrzeniem. - - Myślałem, że jesteście przyjaciółmi? Czyżbyście się posprzecziali? - Jeden nie chce ustąpić drugiemu - odparł Tyorl ze znużeniem. Oba księżycy już zaszły, na niebie zaś nie pozostała żadna gwiazda, która mogła stanowić źródło światła. A jednak Tyorl sercem przeczuł zagrożenie i ujrzał je tak wyraźnie, jakby widział je nadciągające z daleka.

Finn ryknął wściekle, syjąc przekleństwami. Z dołu odpowiedział mu wrzask Lehra, który usiłował ostrzec brata.

Wyjąc jak upiór, niczym oderwany strzęp mroku z nieba, runął na nich czarny smok.

Chwila, kiedy w powietrzu rozległ się bojowy wrzask smoka, podzieliła się jakby na odrębne części. Serce przepojonej przeraźliwym lękiem Kelidy rozpaczliwie tłukło się o zębra. Przerazona do szpiku kości i zdrętwiała z lęku dziewczyna patrzyła bezradnie, jak smocze skrzydła uderzają o lśniące, hebanowe boki bestii; obserwowała z przerażeniem, jak stwór zbliża się do ziemi. Potężna głowa smoka wznosiła się wysoko nad gruntem. Przednie łapy bestii wystrzeliły z przerażającą szybkością, jakby smok chciał coś w nie pochwycić. Bestia sięgała po nią!

Krzyk przerażenia, który wydał z siebie krasnolud, przeciął krępujące ją więzy strachu równie skutecznie, jakby Stanach uderzył w nie mieczem. Kelida rzuciła się w bok. Ostrze Burzy!

Nawet nie pomyślała, że nie obyta z szermierką i nie posiadająca żadnej wprawy, raczej zrani się sama, niż wyrządzi smokowi niewielką choćby krzywdę. Zawisły nad nią ostre kindżały szponów jak kraty gotowej zamknąć się klatki. Kelida tymczasem szarpała się z rapciami i usiłowała wyciągnąć ostrze z pochwy. Głównia ze zbroczem z czerwonej niczym żar paleniska stali mocno ciążyła dziewczynie, która chciała wnieść oręż do ciosu. Kelida nie zwracała na to uwagi. Musiała przynajmniej spróbować.

Zanim jednak uwolniła Ostrze Burzy, usłyszała złowrogi i przepojony tryumfem, rozdzierający noc wrzask. Smoka dosiadał jeździec! Na grzbiecie bestii siedział krasnolud w ciemnej opończy z kapturem.

Stanach krzyknął i runął pomiędzy Kelidę a sięgające ku niej sztyletowate szpony. Uderzyło weń potężne, smocze skrzydło i powaliło na ziemię. Krasnolud przetoczył się na grzbiet, wstał chwiejnie, lecz zaraz upadł na kolano. Szybko, niczym błyskawica, dopadło go z boku uderzenie długiej, smoczej szyi. Bestia obnażyła lśniące, ociekające jadem kły i łypnęła ślepiami. Smok spojrzał na powalonego Stanacha. - Nie! - jęknęła Kelida. - Nie! Stanach! -

Z siłą walącego się pnia dębu spadł na nią z góry jakiś ciężar. Tracąc dech, dziewczyna runęła na ziemię. Usiłowała krzyknąć. W jej płucach nie została jednak ni krztyna powietrza. Czyjaś dłoń chwyciła za ramię Kelidę, szorstko i brutalnie ciągnąc ją w górę. Pomiedzy bestią i dziewczyną stał teraz Lehr. Ciemną grzywę leśnego desperata rozwiewał wiatr, wywołany ruchem skrzydeł smoka. Młodzieniec uniósł miecz i pchnął nim z całej siły, choć musiał przecież wiedzieć, że nie zdoła nawet przebić chronionej przez łuski skóry potwora.

Miecz Lehra ześlizgnął się po hebanowym boku bestii. W głębi smoczej piersi coś zagrzmiało. Niski dźwięk przypominał pełen rozbawienia śmiech.

Nie spuszczać wzroku z Kelidy, smok niedbałym niemal gestem uderzył szponami i rozdarł Lehra na połowę. Krew młodzieńca niczym ciepły deszcz zbryzgała twarz i dłonie Kelidy. Dziewczyna chciała krzyknąć, zdołała jednak wydobyć z siebie tylko cichy jęk. Usiłowała biec, potknęła się jednak i upadła.

Jak pręty klatki, pomyślała na widok szponów smoka, które teraz właśnie zamykały się wokół niej, potem zacisnęły lekko i uniosły w górę. Nie!, krzyczała bezgłośnie. Nie!

Dosiadający smoka jeździec sięgnął po nią, szarpnął mocno i przerzucił ją przez kark bestii. Głowa Kelidy opadła do tyłu i dziewczyna poczuła nagły atak mdłości.

Pozostało w niej teraz jedno tylko pragnienie. Pragnienie odzyskania wolności. Dziewczyna wierząc rozpaczliwie, usiadła i natychmiast sięgnęła paznokciami do gęby krasnoluda. Jej palce zdarły mu kaptur z łba i Kelida ujrzała, że przeciwnik ma tylko jedno oko.

Kelida uderzyła krasnoluda w tej samej chwili, gdy smok odbił się od ziemi i rozkładając szeroko skrzydła, skoczył w niebo. Szybko i zręcznie niczym górski kot dziewczyna dźgnęła palcami w jedyne oko wroga. W tejże samej chwili poczuła, że czyjaś dłoń chwytą ją za kostkę, puszczając w sekundę później. Wokół jej bioder zamknęły się krzepkie ramiona. Tuż przed sobą ujrzała dłoń owiniętą w bandaż z jej własnej zielonej opończy. Stanach!

Twarz smoczego jeźdźca zalewała krew, wsiąkając w jego szarą brodę. Krasnolud rozpaczliwym ruchem szarpnął się w tył. Kelida niemal nie poznała własnego głosu w przenikliwym, tryumfalnym okrzyku, który wypełnił całe niebo. Niebo to runęło nagle na nią, potem zaś wszystko utonęło w wyciu wiatru, wzniecanego uderzeniami smoczych skrzydeł. Choć smukła i na pozór krucha, Kelida pozostała jednak córką

wieśniaka, mocniejszą niż można byłoby sądzić po jej wyglądzie. Usadowiła się na smoczym karku, tak jakby dosiadała konia. Ponownie zamachnęła się na przeciwnika, nie zwracając uwagi na jego sztylet, dopóki ręk smoczego jeźdźca nie chwyciła poznaczona bliznami powstałymi w kuźni dłoń. Stanach!

Rozglądając się ujrzała, że jej przyjaciel wczepił się w uprzęż smoka tuż za plecami jeźdźca.

Chrupnęły kości i powietrze znów rozdarł wrzask nie znanego im krasnoluda. Kelida udami wyczuła naprężające się potężne mięśnie smoka, gdy bestia zakręcała w powietrzu, nabierając wysokości. Niczym w bezdźwięcznym śnie, gdzie wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, Kelida ujrzała, że jeździec ześlizguje się po czarnej pochyłości smoczego barku, i zobaczyła, jak jego obramowana brodą gęba rozwiera się w daremnym ryku o pomoc, gdy krasnolud odkrył, że nie ma się czego uchwycić. Rozpaczliwie czepiając się powietrza, runął w dół z szeroko rozłożonymi rękoma i nogami.

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

Kelida poczuła ze zgrozą, że jej własne dłonie i nogi są zbyt słabe, by mogła mocniej się chwycić i nie reagują na polecenia. Pochyliła się więc tylko nisko nad smoczym karkiem i, niezdolna oprzeć się nawet naporowi wiatru, czekała, aż dosięgnie rozciągających się w dole piaskowej barwy wzgórz i rozbije się o nie, tak samo jak rozbił się jednooki. Nic podobnego, na szczęście, nie nastąpiło.

W pasie chwycił ją szybko Stanach i przytrzymał się, mimo iż drżał z wysiłku i ciężko dyszał w chłodnym powietrzu. Krasnolud pociągnął ją do tyłu i przytulił do siebie. Kelida poczuła na karku dotyk jego ciepłej i gęstej brody. Jakby z dużej odległości obserwowwała, jak Stanach otacza ją lewą ręką i zaciska dłoń na łuskach smoczego karku.

Bestia leciała coraz zwawiej, z łatwością przecinając szare chmury przedświt. Kelida usłyszała, że Stanach wzdycha i szepcze coś do siebie zduszonym głosem. Zabrzmiało to jak: Lyt chwaer. Siostrzyczko.

Cofnęła się lekko i zmrużyła powieki, by sprostać naporowi wiatru, i wezwała na pomoc cały hart ducha, by pomógł jej znieść ciężar bezradnego oczekiwania na chwilę, w której smok dotrze do wybranego przez siebie miejsca przeznaczenia.

Na szarej, myśliwskiej kurtce dziewczyny oraz dłoniach i ramionach nie zdążyła jeszcze zakrzepnąć krew Lehra. Kelida wzdrygnęła się. W końcu, nie mogąc się powstrzymać, wybuchnęła płaczem i na jej policzkach

zaczęły zamarzać łzy.

Wzbijający się w górę Darknight ryknął donośnie. Daleko w dole niczym kamień leciał ku ziemi sługus Realgara zwany Szarym Heroldem.

Jego lot był całkowicie inny! Czarny smok wybuchnął grzmiącym śmiechem. Bestia z całego serca nie cierpiała zadufanego w sobie magusia i jego poleceń. Smok nienawidził myśli Agusa i jego woni. Teraz przechylił głowę w bok, by przyjrzeć się tym dwojgu, którzy siedzieli w miejscu, nie tak dawno jeszcze zajmowanym przez Szarego Herolda. Jeszcze jeden krasnolud, równie lekki jak Agus, i należąca do rasy ludzkiej dziewczyna. Sevrith zmrużył oczy, chroniąc je przed wiatrem. Z pełnej kłów paszczy smok wysunął szybko długi i rozwidlony język, a następnie skrył z powrotem. Bestia wyczuwała strach obojga jeńców, strach zaś ten pachniał nadzwyczaj słodko.

Niczego nie żuło się z większą trudnością niż żyłastego i chudego krasnoluda. Jeśli jednak mowa o smaku, to nic nie było lepsze od delikatnego mięsa młodego człowieka. Ta dziewczka miała przy sobie Miecz Królewski, Darknight nie miał zaś nic przeciwko zaspokojeniu żądań Realgara, o ile będzie mógł zatrzymać sobie tę dwójkę. Na kolację, oczywiście.

Czarny smok nie szczędził wysiłków, by utrzymać jeźdźców na swym grzbiecie. Starał się lecieć gładko i unikał wirów powietrznych tak, jak kapitan żaglowca prowadzi statek, unikając fal mogących splukać pokład.

Stanach nie czuł nic - ani zmęczenia, ani przerażenia, ani gwałtownych łkań Kelidy, dopóki smok nie przeleciał nad Równinami Dergoth, które krasnolud znał jako Równiny Śmierci. Potem, gdy czarna bestia wzbiła się wyżej, by chwycić pod skrzydła sprzyjający wiatr i wykorzystać swoje szerokie bary, Stanach ujrzał rozległy dywan nacierającego na wschód pożaru.

Przytulona doń Kelida drżała niczym osika na wietrze, a krasnolud nie umiał jej pocieszyć.

Wysoko na niebie promienie wschodzącego słońca błysnęły na czymś, co wyglądało na długą, purpurową strzałę. Spośród chmur kłębiącego się nad płonąca puszcza dymu, wyłonił się drugi smok,

czerwony i zionący ogniem i złożywszy skrzydła, zanurkował w dół ku wysokim, ciemnym szczytom południowych gór wokół Pax Tharkas.

Wtedy też Stanach zrozumiał, co było bezpośrednią przyczyną pożaru. Nie umiał jednak pojąć powodu, dla którego puszcza stanęła w ogniu. Jeśli w góry wkraczały właśnie oddziały Verminaarda, to dlaczego Smoczy Władca miałby ryzykować pożar puszczy i zniszczenie, założonych z niemałym trudem, nowych linii zaopatrzenia?

Smok trafił wreszcie na właściwy prąd powietrzny i opadł w dół z przyprawiającą o mdłości szybkością, Stanach przyciągnął więc Kelidę ku sobie. Wtedy też znalazł odpowiedź na dręczące go wątpliwości. Patrząc z góry, zobaczył proste, szerokie linie pogorzelskich, wyglądające z góry niczym bruzdy wyryte w ziemi gigantycznym lemieszem. Pożar wypalił wśród wzgórz kanał, wiodący prosto ku Równinom Śmierci.

To kanały, które chronią puszcę od północy i południa i skierują płomienie ku Równinom Śmierci.

Stamtąd zaś ogień - guyll fire! - ruszy prosto na Thorbardin, niczym czoło nacierającej z zapalem armii.

Stanach jęknął z bezsilną wściekłością. Żadna armia wygłodniałych do cna najeźdźców nie obeszlaby się gorzej z podbitym krajem.

Ponad sto lat temu na bagnistych łąkach Równin Śmierci wybuchł pożar. Krasnoludy podjęły próbę powstrzymania żywiołu i uratowania Równin. Bagna były nieprzyjazne człowiekowi, jałowe i odarte z wszelkiego uroku, należały jednak do ziem krasnoludzkich i były miejscem, gdzie gnieździły się ptaki i gdzie zwierzęta znajdowały wodopoje, w strumieniach zaś pełno było ryb. Bagniska te stanowiły więc ognisko łańcucha żywnościowego Thorbardinu.

Wtedy, sto lat temu, nie udało się uratować moczarów. Słuszne okazało się przekonanie, że żywność uzyskana z cieplarni skrytych głęboko pod górami mogła wystarczyć do wyżywienia Thorbardinu. Prawdą też było, iż gdyby jakakolwiek choroba czy szkodniki zagroziły plonom, Thorbardin zdziesiątkowałyby głód i śmierć. Jesteśmy oblegani!

Oslabiona i zeszywniała z wyczerpania Kelida odwróciła się i skryła twarzyczkę na ramieniu Stanacha. Krasnolud chwycił mocniej smoczą łuskę i by lepiej objąć dziewczynę, podniósł wyżej obandażowaną i nadal pozbawioną czucia rękę. Kelida nie odezwała się, po chwili jednak jej łkania ustały. Stanach usiłował zajrzeć jej w twarz, nie udało mu się to jednak.

Smok obniżył lot i zmniejszył prędkość. Na południowym wschodzie leżał pod nimi Thorbardin. Miasto kryło się we wnętrzu wysokich gór, złoconych teraz pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Różowy blask szczytów mówił o zalegających już ich wierzchołki zimowych czapach śniegu. Smok ślizgał się, wykorzystując powietrzne prądy, krasnolud zaś spoglądał w dół, aż wypatrzył wypełnioną cieniami przełęcz z wąwozem, która wiodła ku Północnej Bramie, strzaskanej i obróconej w

perzynę trzysta lat temu podczas Wojny o Bramy Krasnoludów. Porozrzucone bezładnie głazy nadal krzyczały bezgłośnie z bólu, samo zaś wejście przekształciło się w zdradziecko wąską szczelinę skalną. Podczas ostatnich trzystu lat bramy nigdy nie udało się zamknąć, jej mechanizm bowiem został zniszczony podczas działań wojennych. Teraz Brama Północna strzeżona była o wiele pilniej niż nadal działająca Brama Południowa.

Powietrze wokół nich świszczą i grzmiało, gdy smok ześlizgnął się poniżej poziomu wąwozu i przełęcz, zanurzając się w ostatnich cieniach nocy u samego podnóża góry.

Stanach poczuł zimny dreszcz strachu. Północna Brama była strzeżona przez krzepkich i zajadłych w boju Daewarów. Był jednak oto świadkiem, że poniżej leżało jedno jeszcze sekretne wejście do

Głębokich Pieczar podległych Theiwarom.

Realgar dostał na swoje rozkazy smoka i pewnie wkrótce każe się nazywać Smoczym Władcą. Teraz w Głębokich Pieczarach czekał na Ostrze Burzy. Pobłogosławiony przez Reorxa Królewski Miecz uczyni zeń kogoś więcej niż Władcę Smoków: mag stanie się królewskim regentem Thorbardinu. Stanach zamknął oczy.

Poczuł wstrząs, gdy smok wylądował na twardym podłożu i usłyszał zgrzyt pazurów na kamieniach. Kelida poruszyła się i odsunęła od krasnoluda. - Gdzie jesteśmy? Masz jakąś orientację?

Stanach oczywiście miał orientację. Spojrzawszy na zwisający u boku dziewczyny miecz, miał ochotę powiedzieć jej, że przybyli do miejsca, gdzie wkrótce oboje zginą. Zamiast tego potrząsnął tylko głową.

- Jesteśmy w domu. - Wypowiedział te słowa ochryplym sykiem, jakby były kłamstwem. - Jesteśmy w Thorbardinie.

- Rozdział dwudziesty drugi

Lavim kopnął niewielki kamyk i patrzył przez chwilę, jak toczy się po zboczu wzgórza. Słyszał - choć nie umiałby powiedzieć, czy mówił mu o tym Fujara, czy ktoś inny - że na miejscu tej pustyni, będącej teraz jedynie nudnym, pustym, suchym i pozbawionym odrobiny cienia miejscem zwanym Wzgórzami Krwi, rozciągały się kiedyś pokryte trawą równiny. - Nie dodałeś słowa bezbarwne - odezwał się Fujara. - Co? - Nie wspomniałeś, że te wzgórza są bezbarwne.

- Nie musiałem. - Lavim westchnął. - To miejsce mówi samo za siebie, czy nie tak? Fujara tylko się uśmiechnął.

Kender kopnął w piach patrząc, jak przenikliwy wiatr unosi w dal kłęby pyłu. Potem zaczął rozmyślać, iż to ciekawe, skąd wie, że Fujara się uśmiecha.

Sięgnął do kieszeni i wyjął mapę nakreśloną na starannie złożonym, pomarszczonym ze starości pergaminie. - Miałem kiedyś szkatułkę na mapy, nie wiem jednak, gdzie zginęła. Było to nie tak dawno temu, miesiąc czy dwa, zanim trafiłem do Long Ridge. Teraz jednak jej nie mam. Wiele rzeczy gdzieś znika, gdy muszę w pośpiechu opuszczać jakieś miejsce. - Sam popatrz, Fujaro. - Przykucnął i rozłożył mapę, starannie wyglądając miejsca załamań. - Nawet na mapie wygląda to obrzydliwie. - Wskazał duchowi miejsce palcem. Fujara mógł teraz widzieć znacznie lepiej i w rzeczy samej sięgał wzrokiem daleko do przodu i tyłu. Fujara nie odezwał się, pozwalając Lavimowi trajkotać.

- Widzisz? Tu na wschodzie jest Qualinost. - Lavim łypnął okiem na niebo. - Nie uważasz, że to trochę dziwne... całe życie szukałem duchów, a jak już w końcu jednego znalazłem, to okazało się, że zupełnie niechcący.

- Cóż, tu mamy Puszczę Elfów, zieloną i piękną. Tu jest rzeka, przez którą się przeprawiliśmy... to ta kręta niebieska linia. - Prychnął z niesmakiem. - Tu zaś mapa robi się paskudna, kraj zaś jest jeszcze paskudniejszy. Małe wzgórza, powiada mapa. Ha! To nie małe wzgórza, ale małe góry! - Nie, to wzgórza.

- Łatwo ci mówić, bo nie musisz się na nie wspinać. - Lavim złożył mapę i wetknął ją w kieszeń. - Znacznie łatwiej dotarlibyśmy do Thorbardinu, gdybyśmy szli przez Równiny Dergoth czy Równiny Śmierci, jak nazywają je krasnoludy. Hej, Fujaro, dlaczego oni je tak nazwali?

Ponieważ podczas Wojny o Bramy Krasnoludów zginęły tu tysiące krasnoludów górskich i zamieszkujących wzgórza.

Lavim wstał i przeciągnął się, prostując kości. Dał ostry wiatr ze wschodu, pędząc przed nimi czoło pożaru. Niebo nad równiną było czyste, bo błakające się nad moczarami prądy powietrza wciągnęły kłęby dymu w rowy bagiennych kanałów. Kender jednak węchem wyczuwał dym.

Nie mówiąc już nic więcej, ruszył truchtem na południe i wspiał się na najwyższe wzgórze, gdzie

ponownie przykucnął.

Pożar szalał kilka mil dalej i ze szczytu wzgórza wyglądał jak tłusty, czerwony wąż, pełznący ku góróm znajdującym się na wschodzie. Nad moczarami, niczym gruby całun, wisiała zasłona dymu. Zamknąwszy mocno oczy i zgarbiwszy się nieco, Lavim wyobrażał sobie, że słyszy ryk odległego pożaru jak odgłos gromu.

Niespodziewanie odezwał się milczący dotąd Fujara i Lavim podskoczył jak spłoszony królik. - Dlaczego nie chcesz pogadać z Tyorlem?

- Nie sądzę, by był to dobry pomysł. - Lavim obejrzał się przez ramię na przebytą niedawno część szlaku. - Wciąż jest bardzo zdenerwowany z powodu porwania Kelidy i Stanacha przez smoka. Nie mam mu tego za złe i doskonale go rozumiem. Ja sam... nie lubię o tym myśleć.

- Nie omieszkałem zauważyć. Może jednak Tyorl chciałby o tym porozmawiać?

Lavim potrząsnął głową, dając do zrozumienia, iż sprawa jest beznadziejna. - Nie, ze mną na pewno nie. Popatrz tylko na niego.

Przysiadłszy Tyorl obserwował niebo. Od świtu, kiedy smok porwał Kelidę i Stanacha, elf nieustannie jednym okiem wpatruje się w górę, westchnął Lavim. On sam stracił pyszny widok i wrócił do reszty towarzystwa jedynie po to, by patrzeć, jak smok - wyglądający już wtedy jak mała, czarna plamka na niebie - podąża do Thorbardinu, unosząc na

grzbiecie zamiast swego jeźdźca Kelidę i Stanacha.

Jednookiego krasnoluda znaleźli w jarze pomiędzy dwiema turniami. Żył jeszcze, choć miał połamane kości i ciężko broczył krwią. Gdy Finn podrzynał gardło Agusa, Lavim pomyślał, że wódz leśnych desperatów pragnie pomścić śmierć Lehra. Fujara jednak orzekł, że dla krasnoluda był to akt miłosierdzia.

Kender spojrział na Finna. Wódz leśnych siedział u stóp pagórka, podciągnąwszy wysoko kolana i oparłszy o nie czoło. Wydawało się, że nie zwraca uwagi na Kema, który niezmordowanie krążył wokół wzgórza. Zawsze spokojny uzdrowiciel od śmierci brata nie odezwał się jeszcze ani słowem. Okrążał wzgórze jak myśliwy, usiłujący odnaleźć trop ściganego zwierza. Fujara orzekł, że Kem hartuje groty strzał swej zemsty.

Ze zmianą wiatru, która nadeszła ze świtem, pożar szybko rozprzestrzenił się wśród wzgórz, gnając na północ i południe z szybkością równą tej, z jaką niedawno parł na wschód. Za uciekinierami powstała ściana płomieni. Za radą Finna ruszyli ku pustynnym wzgórzom. Niewiele było tu do spalenia i wódz leśnych sądził, że będą bezpieczni. Musieli posuwać się bardzo szybko i teraz, gdy wydłużające się cienie zapowiadały nieunikniony zachód słońca, czwórka uciekinierów zatrzymała się na krótko, by odpocząć przed dalszym marszem na wschód. - Dalej, Lavim. Pogadaj z Tyorlem. - I... - Co „i”? - I daj mu flet, co? Cały czas mnie o to męczysz. Daj mu flet, daj mu flet. - Byłbym o wiele spokojniejszy, gdybyś to zrobił. - Ale on nie może go używać, a ja mogę!

- Jak długo mówię ci, co masz zrobić, to owszem... możesz. - Fujara westchnął ciężko. - No, to po co mam go oddać? - Lavim! Idźże wreszcie!

Kender zamknął oczy i przyłożył dłonie do uszu. Klnąc w duszy paskudny zwyczaj Fujary porykiwania nań z wnętrza jego własnej głowy, Lavim ruszył w stronę Tyorla.

Gdy mały cień kendera padł na cień elfa, Tyorl nawet nie podniósł głowy. Lavim odchrząknął więc odpowiednio głośno.

- Lavim, mamy mniej więcej godzinę do zapadnięcia zmroku. - Tyorl wstał i zbadał wzrokiem wschodnią połąć nieba. - Nie stracimy jej na próżne gadki. - Kiwnął głową do Finna i dał znak Kemowi, że są gotowi

- do marszu. Przemierzając ziemię długimi krokami, Kem zgodnie ze swym zwyczajem zajął się

ochroną od północy. Ustalający kierunek marszu Finn ruszył na południowy wschód. Wkrótce ponad ich głowami unosił się już delikatny całun Równin Śmierci. Lavim szedł obok Tyorla i musiał nieźle wyciągać nogi, by dotrzymać kroku elfowi. - Hm... Tyorl, chciałbym ci coś powiedzieć. Tyorl nie odpowiedział. - Chciałbym powiedzieć ci coś o Fularze.

- On już nie żyje - warknął Tyorl. - Cóż jeszcze powinienem o nim wiedzieć?

- Wiem, że nie żyje. - Lavim westchnął ze sporą dozą wyrozumiałości. - Myślę jednak, że trapisz się tym, iż gdybyś miał jego flet wtedy, gdy smok porwał Stanacha i Kelidę, mógłbyś może coś na to poradzić. Tyorl nadal uparcie milczał. - Nie dałbyś rady. Nic by z tego nie wyszło. - Ach, tak? A czemuż to?

- Ponieważ flet jest posłuszny jedynie mnie. Fulara powiada, że flet nie będzie... - Fulara powiada?

- Widzisz, on stał się duchem. - Lavim skwapliwie kiwnął głową. - Mówi do mnie w mojej głowie i opowiada mi o rzeczach... - Lavim!

- Tyorl, proszę, pozwól mi dokończyć. On naprawdę jest duchem. Powiedział mi, że nad puszcza pojawił się czerwony smok, który podpalił lasy. Więc tak... nie powiedział mi, że on - znaczy smok - zamierza to zrobić, ale że nadlatuje. I... i o czarnym smoku też mi powiedział. - Kender westchnął i przyspieszył kroku. Wydało mu się, że piach i czerwony pył złośliwie utrudniają mu marsz. - Ale... ja wtedy byłem zbyt daleko, by coś zrobić. Próbowałem! Naprawdę próbowałem, Fulara jednak powiada, że zaklęcia mają właściwy im zasięg i... naprawdę mi przykro, Tyorl. Wiele dałbym za to, by być wtedy bliżej. Wiele dałbym za to, by nie utknąć wśród wzgórz, ale utknąłem. I... wiem, że myślisz, iż zdołałbyś pomóc Lehrowi, Kelidzie i Stanachowi, gdy zaatakował ich smok, ale mylisz się. Nie masz Fulara w głowie.

- Ty też. Słuchaj, kenderze, niekiedy myślę, że jesteś już na poły zbzikowany i...

- Powiedz mu, że jeszcze do reszty nie zdiadziałeś - podpowiadał Fulara.

- Jeszcze do reszty nie zdiadziałem! - Lavim syknął gniewnie dotknięty do żywego - Nawet odrobinę nie zdiadziałem!

-

Tyorl urwał przemowę. Lavim posłużył się określeniem, którego zamierzał użyć elf. - Co takiego?

- Ja... Fulara powiedział... chcę powiedzieć, że ja powiedziałem, iż nie zdiadziałem do reszty. - Lavim nabrał tchu w płuca, zachłysnął się i umilkł. Oparłszy dłonie na kolanach i pochyliwszy nisko głowę, przez chwilę ciężko sapał i próbował odzyskać dech, nie przerywając jednak mówić. - Fulara zresztą też mówi, że teraz właśnie myślisz, iż powinieneś znaleźć jakiś sposób na zatkanie mi gęby, zanim usłyszysz nas Finn. - Naprawdę? Tak mówi? - Tyorl zamrugał oczami.

- Owszem... i jeszcze powiada, iż myślisz, że ostatnia rzecz, jakiej wam trzeba, to szurnięty kender. Tyorl, nie jestem szurnięty! Rozumiesz? Nie zmyślam! To prawda. Masz, proszę, sprawdź...

- Przez chwilę grzebał w kieszeniach, wreszcie wyciągnął flet. Wcisnął Tyorłowi instrument w dłonie tak szybko, jakby sam obawiał się, iż się rozmyśli. - Spróbuj. Zagraj coś.

- Czego miałbym w ten sposób dokonać? Potrafię grać na tym instrumencie, ale nie znam nut żadnego zaklęcia.

Lavim zagrał szybką, zwawą melodię, której użył, by rzucić zaklęcie-pierdnięcie. - Spróbuj. - Powtórzył melodyjkę. - Potrafisz? - Lavim! - Tyorl wziął instrument dość niechętnie. - Spróbuj, nie żałuj sobie! Fulara powiada, że wszystko jest w porządku. Elf popatrzył na flet, potem obrzucił Lavima podejrzliwym spojrzeniem i zaczerpnął tchu. - No... dalejże.

Tyorl zagrał melodyjkę, gotując się na powitanie fali okropnego odoru, który w jaskini niemal

przyprawił go o śmiertelne zaczadzenie.

Nie stało się nic... no, prawie nic... jeśli nie liczyć lekkiego powiewu wietrzyku.

- Fujara powiada, że ten wiatr i flet nie mają ze sobą nic wspólnego. Mówi coś o prądach powietrznych tworzących się z powodu pożaru. Sam widzisz. Spróbuj raz jeszcze.

Co też elf uczynił. Wiatr nadal jednak dał z tą samą siłą, w powietrzu zaś unosił się tylko zapach spalenizny i niczego więcej. Tyorl zapatrzył się na trzymany przez siebie flet i w tej samej chwili smagła dłoń kendera śmignęła i porwała flet, zanim elf zdążył pomyśleć o sprzeciwie. - Lavim! Czekaj! Dawaj go... Lavim jednak już przepadł, pędząc wzdłuż szlaku do Finna. Flet

oczywiście zabrał ze sobą.

Przez chwilę Tyorl patrzył na oddalającego się kendera. Gdyby wiercipięta był na turni podczas ataku czarnego smoka, może zdołałby pomóc, ale wcześniej udał się na nocne myszkowanie i nie wrócił na czas. Obwinianie go było równie jałowe, jak obwinianie siebie o to, że nie trafił do smoka z łuku. Stało się, i tyle.

Przyspieszył kroku. Nie myślał już o duchach i straconych szansach. Nagle bowiem zdał sobie sprawę z faktu, iż Lavim udowodnił przed chwilą, że magia fletu działa wyłącznie dla niego. Konsekwencje zaś tego były przerażające.

Ze szczytu wzgórza, gdzie spacerował podczas warty pełnionej po północy, Tyorl widział pożar szalejący wśród moczarów i bagien Równin Śmierci. Wiatr ze wschodu ustał zaraz po nadejściu ciemności, ogień jednak nie potrzebował już wiatru, który popędzałby go w stronę gór. Trawy na mokradłach płonęły niczym knot w lampie i nic nie mogło już zatrzymać pożaru.

Tyorl zaklął z goryczą i spojrzał na gwiazdy, które wyglądały niczym bryłki lodu rozsiane na czarnym aksamicie nieboskłonu. Świecący wysoko Solinari otoczony był mgiełką srebrzystej poświaty. Purpurowe światło Lunitari zabarwiało czerwienią wzgórza na wschodzie, zasyłając równiny długimi, błękitnymi cieniami. Poświata wokół miesiąca miała barwę świeżej krwi. W powietrzu Tyorl wyczuwał zapach śniegu.

Nie dotrzemy do gór przed ogniem, pomyślał elf, to zaś oznacza, że w ogóle nie dotrzemy do Thorbardinu.

Przesunął palcem po wypolerowanym drzewcu łuku. Czuł pod opuszką znajomą, jedwabistą gładź drewna. Znajomy oręż jednak na nic się zdał, gdy Kelidę zaatakował smok.

Tyorl skrzywił się czując, że ból i żal znów gnieźdzą się w jego sercu. Te uczucia były mu aż nadto znajome. Solidne strzały odbijały się bezsilnie od hebanowych łusek, chroniących smoka równie pewnie jak stalowe płyty. Mógłby zabić bestię, gdyby posłał jej grot w ślepią, smok jednak poruszał się zbyt szybko i oddalił się, zanim elf zdążył wziąć go dobrze na cel. Gdy potwór wzbijał się w niebo, patrzący za nim Tyorl przez chwilę sądził, że Stanach puścił Kelidę. Obserwował samotanicę na grzbiecie smoka i modlił się o ratunek, potem zaś widząc, że bestia wzbija się coraz wyżej, zamienił modły na przekleństwa.

Stanachu!, myślał elf z goryczą, Ostrze Burzy odebrało ci krewniaka, przyjaciela i dłoń. Mówiłeś, że głównię pobłogosławił Reorx, ja zaś twierdzę, że ją przeklął. Cóż, przynajmniej próbowałeś. Walczyłeś o nią

jak wilk.

Odwrócił się plecami do zwodniczego blasku guyll fyr na równinach, gdy zaś jego wzrok trafił na nikły i równy blask ogniska w kotlinie, zajął się obserwowaniem tańca cieni na otaczającej ogień ziemi. Czerwone na słońcu skały i pył pustyni, oświetlane światłem księżyców, wydawały się dziwnie purpurowe. Lavim jak zwykle gdzieś przepadł. Zanim rozbito obóz, Tyorl nie zdążył z nim pogadać, później zaś kender zniknął.

Znowu myszkuje gdzieś po nocy, pomyślał elf, albo rozmawia z tym swoim upiornym magiem.

Ta myśl mocno nim wstrząsnęła. Pewien był, iż Lavim jest głęboko przekonany, że rozmawia z Fajarą. Tyorl zaś nie wiedział, co o tym myśleć. Owszem, to prawda, że Lavim znał jego słowa, zanim on sam zdążył je wypowiedzieć. Kiedy usiłował omówić to z Finnem, wódz wzruszył ramionami i ograniczył wypowiedź do kilku kąśliwych uwag, wyrażających skrajne niedowierzenie.

Tyorl ponownie spojrzął na obóz. Finn otulony opończę spał nie opodal ognia. Kem, którego Tyorl zmienił godzinę temu, siedział i wpatrywał się w płomienie. Tyorl zastanawiał się, czy jego towarzysz w ogóle zaśnie.

Milczenie Kema zawsze było połączone z dobroduszną, niekiedy zabarwioną rozbawieniem, obserwacją. Spokojny z natury uzdrowiciel zostawił prowadzenie większości rozmów swemu młodszemu bratu. Teraz elfowi wydało się, iż śmierć Lehra wydarła z oczu Kema charakterystyczny dla nich dotąd wyraz dobroci i wesela. Kem pragnął zemsty, podobnie jak Tyorl.

Tyorl nagle poczuł, że przejmuje go zimny dreszcz. Po raz pierwszy bowiem pomyślał, że być może Kelida nie żyje.

Czarny smok odleciał na wschód. Do Thorbardinu. Mogło to oznaczać tylko jedną rzecz: bunt, którego tak obawiał się Stanach, stał się faktem. Królestwem krasnoludów władał teraz Realgar, który mógł wydawać rozkazy smokom. Verminaard zaś był jego sojusznikiem.

Zaklął ponownie, choć pierwiej musiał uporać się z nagłym skurczem gardła. Podczas ostatniej nocy rozważał, czy zakochał się w Kelidzie. Nierad był tej myśli, a jednak łowił uchem dźwięk jej łagodnego głosiku i wspominał drzenie, jakie wywołał w nim przypadkowy dotyk jej dłoni.

Dziś - ponieważ - zrozumiał, że ją kocha. Teraz zaś będzie mógł jedynie we wspomnieniach usłyszeć jej głos i poczuć dotyk jej dłoni na ramieniu lub ujrzeć błysk słońca w jej ognistych włosach. Czy teraz wyznałby jej miłość? Owszem, w jednej chwili! A co z Haukiem?

Elf uśmiechnął się z goryczą. Teraz nie miało to niemal znaczenia. Oboje byli martwi, jemu samemu została zaś jedynie garść wspomnień po wiejskiej dziewczynie, którą los postawił obok kontuaru w oberży. Za późno teraz na rozmyślenia, co mogło wyniknąć z tych kilku przelotnych chwil, kiedy widział się z nią. Wszystko należało już do przeszłości.

Tyorl spacerował wśród blasku pożaru i cieni padających na ziemię dookoła niego. Za późno na wszystko prócz zemsty, pomyślał z chłodną zawziętością. Nieważne, kto włada Thorbardinem w tej chwili. Elf znajdzie drogę do wnętrza gór i zemści się za Kelidę i za Hauka, którego kochali oboje.

Lavim obserwował kroczącego po wzgórzu Tyorla, skrywszy się pierwiej w mroku wąwozu na zachód od obozowiska. Z charakterystyczną dla kenderów szybkością odzyskał dech po biegu i spodziewając się, iż Tyorl zechce odebrać mu flet, skrył się w mroku, unikając leśnych desperatów. Pragnął pogadać z Fajarą i nie życzył sobie, by przeszkadzały mu w tym żądania Tyorla. Lavim miał bowiem parę pytań, na które chciał otrzymać odpowiedzi.

Przez chwilę wiercił się, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję, potem, utkwivszy spojrzenie w mroku nocy, skrzywił się ze złością. Sęk w tym, iż Fajara nie dawał mu zbyt wielu odpowiedzi. Przestał odpowiadać w tej samej mniej więcej chwili, kiedy kender zabrał flet Tyorlowi. Lavim przesunął palcami po gładkim drewnie i uśmiechnął się przebiegle. Podejrzewał, iż brak odpowiedzi Fajary na ostatnie pytanie jest sam w sobie swoistą odpowiedzią.

- Podejrzewam - zaczął oskarżycielsko, celując fletem w miejsce, gdzie (wedle jego wyobrażenia) stałby Fajara, gdyby akurat nie siedział w jego głowie - że mogę posługiwać się fletem, gdy tylko zapragnę. Fajara nie odpowiedział.

- Myślę też, że nie ma znaczenia, czy i jaką melodię każesz grać fletowi. Fajara milczał uparcie.

- Tak właśnie sądziłem. - Lavim uśmiechnął się szeroko. - A wiesz dlaczego? No cóż, powiem

ci: bo zakłęcie-pierdnięcie było moim pomysłem, flet zaś zagrał melodię, którą ja wymyśliłem. Dlatego też chciałeś, bym oddał flet Tyorlowi, prawda? Mogę posługiwać się magią fletu i wcale nie musisz mi mówić, jak mam to robić. Aby flet zaczął działać, potrzebne było jedynie, byś znalazł się w mojej głowie. I co ty na to? - Powiem, że jesteś dupkiem. -

- Niewykluczone. - Lavim nie raczył się obrazić. - Jeśli jednak już, to przyznaj, że jestem dupkiem z magicznym fletem.

- O, tak - zabrzmiał w głowie kendera chłodny głos Fujary. - I trudno mi wyobrazić sobie coś bardziej głupiego czy niebezpiecznego.

Lavim patrzył, jak światło miesiąca igra na gładkiej jak jedwab powierzchni drewnianka.

- Jesteś wściekły, co? Dziwne... bo wydaje mi się, iż to ja powinienem wściec się na ciebie za to, żeś mi powiedział, iż konieczne jest, abyś ty mówił mnie, jak mam używać magii. - Kiwnął głową z ubolewaniem. - Nie kłamie się przyjaciołom. - Lavim, przyjaciół się również nie okrada.

- Nie ukradłem fletu! - Kender, dotknięty do żywego, niemal spadł z kamienia, na którym siedział. - Sam mi go dałeś! - Prosiłem, byś oddał go Tyorlowi. - Ja zaś powiedziałem, że wkrótce to zrobię. I nadal mam taki zamiar! Lavim, nie mam pojęcia, co tam sobie roisz, lepiej jednak będzie, jeśli zostawisz flet w spokoju. Za pomocą magii fletu możesz rzucić tylko parę zakłęb, sam zaś nie wiesz, jakie one są.

- Znam przynajmniej dwa z nich. - Lavim zachichotał przebiegle. - Zakłęcie przenoszenia i zakłęcie-pierdnięcie. To ostatnie nie jest mi teraz potrzebne!

Wyskoczył z wozu, szybko wdrapał się na strome zbocze i śmignął w stronę obozu.

- Nic łatwiejszego! - wrzasnął. - Przeniesiemy się do Thorbardinu, gdzie uratujemy Kelidę, Stanacha i może jeszcze Hauka!

Nie! Lavim, nie! To zakłęcie wymaga też słów! Musisz je znać, gdy grasz nutki. Jeśli spróbujesz tego zakłęcia bez właściwych słów, trafisz gdzieś na kraniec świata, obok siebie zaś znajdziesz trzy kupki kurzu po tych, którzy niedawno jeszcze byli twymi przyjaciółmi!

Lavim zatrzymał się i przechylił głowę na bok. Potem zmarszczki na jego ogorzałej twarzy wygładził chytry uśmieszek. Kender znalazł rozwiązanie i tego problemu. - Nie przejmuj się. Podpowiesz mi te słowa, kiedy będą mi potrzebne.

Fujara, który nagle poczuł się tak, jakby pędził w dół stromego zbocza na oszalałym koniu, pragnął mieć tylko coś, czego mógłby się złapać. Nie było sposobu, by powstrzymać Lavima.

Tyorl uwierzył w nawiedzenie kendera w tej samej chwili, w której ujrzał, jak Lavim wyciąga flet. Sapiąc niczym miech kowalski - bieg po zboczach wymagał sporego wysiłku - siwowłosa wyga zaczął machać ręką

wzywając, by elf zszedł do niego.

- Tyorl! Chodź tu! Wykombinowałem już, co robić! Mogę przenieść nas do Thorbardinu, zanim się obejrzycie!

W pamięci elfa obudziło się echo smutnego i przepojonego żalnością głosu Stanacha: „Fujara znany był w Thorbardinie z zakłęb przenoszenia”. Fujaro!, jęknął Tyorl bez słów. Fujaro, powstrzymaj go!

Elf zbiegł w dół, potykając się o leżące kamienie i większą część drogi zjeżdżając na piętach. Bogowie jedynie mogą wiedzieć, co się stanie, jeśli kender popełni jakiś błąd, rzucając zakłęcie przenoszenia. Potrzebne do tego słowa i gesty były bardzo delikatnej natury. Jak bardzo trzeba być dokładnym, żeby zakłęcie współbrzmiało z magicznym fletem? Jakiego zakłęcia użyje Lavim, jeśli coś pokręci? Tyorl rzucił się na Lavima. Dokładnie to samo uczynił Finn... ..i Kem.

Pod uderzeniami napastników kender zwałił się na ziemię, wierzgał przy tym nogami i

rozpaczliwie wymachiwał ramionami, nie wypuścił jednak fletu z dłoni.

- Hej! Poczekajcie! Co robicie! Puszczajcie mnie! Nie rozumiecie, że oto ja...

Tyorl zdołał wydostać się spod kolana Finna i nie wypuścić nogi Lavima z rąk. Finn przesunął się pod łokciem Kema, cały czas trzymając kendera za pas. Kem usiłował postawić kendera na nogi. Żaden z nich nie trzymał Lavima za ręce i żadnemu nie wpadło do głowy, by zamknąć wydze usta.

Lavim zaś pewien, że przyjaciele po prostu źle go zrozumieli (gdyby bowiem było inaczej, na pewno mieliby radośniejsze miny niż teraz), nabrał powietrza w płuca i przyłożył flet do warg.

Pomyślał przy tym, że melodia zaklęcia przenoszenia powinna być barwniejsza i bardziej podniecająca niż trzy proste nutki. Gdy usłyszał to Fujara, zaryczał jak ranny byk. Lavim pomyślał, że słowa wypowiedane przy zaklęciu powinny zabrzmieć bardziej słodko i łagodnie niż okropne przekleństwa.

Kender poczuł, iż rozciąga się i niknie, potem nagle jego żołądek coś wywróciło i zawiązało w supeł.

Bardzo to dziwne, pomyślał czując, jakby coś go wysysało. (Miał niejasne wrażenie, że owo wysysanie odbywa się przez palce rąk i nóg). Myślę, że kiedy już trafimy na miejsce, poszukam jakiegoś kąta, by na minutę czy dwie ulżyć swemu żołądkowi. Lepiej też będzie, jeśli przeniosę nas gdzieś poza miasto. Wywalanie niedawno zjedzonej kolacji w obecności całego tłumu jest nieco krępujące... I nagle Lavim zdał sobie sprawę, że nic nie czuje...

Tyorl łupnął o ziemię, aż zadzwoniły mu zęby. Gdy usiłował zaczerpnąć tchu, poczuł, iż jego płuca wypełniają się dymem. Końce palców lizał mu ogień i zaryczałby z bólu, gdyby miał w piersi jakikolwiek zapas powietrza. Przeklęty kender przeniósł nas w środek pożaru! - Wstawaj! Tyorl! Wstawaj!

To był głos Finna. Z przyzwyczajenia i nawyku Tyorl spróbował wykonać rozkaz. Podciągnął pod siebie kolano, poślizgnął się na czymś i wpadł twarzą w zimną wodę. Cholerny kender przeniósł nas na środek oceanu!

- Tyorl, wstawaj! - To był Lavim i choć Tyorl nie przysięgłby, że w głosie kendera brzmi strach, to, co usłyszał, wystarczyło, by spróbować w końcu jakoś wstać. Otarł dłonią z twarzy gęsty muł i śliskie, lepkie łodygi traw. Chwiejąc się i zataczając odwrócił się do kendera. Lavim był zaledwie mglistą postacią w mroku. - Na wszystkich bogów! Gdzie my jesteśmy?

- Ty... Tyorl, ja... przepraszam. Nie chciałem nas tu wpakować, naprawdę. Chciałem wylądować nie tak blisko miasta, bo czułem się trochę... hm... nieswojo i pomyślałem, że nie będzie uprzejmie, jeśli wylądujemy w czyimś domu bez zaproszenia. Potem zaś... no... nie bardzo wiedziałem, co robić i nie miałem kogo spytać, a całe zaklęcie jakby wymknęło mi się spod kontroli i... wylądowaliśmy gdzieś... - podrapał się po głowie i obejrzał niepewnie na zbliżające się płomienie - ...tutaj. - Gdzie jest flet? - Nie mam pojęcia. - Lavim wzruszył ramionami. - Gdzie jest flet?

- Mam go przy sobie. - Kender nabrał powietrza w płuca i uśmiechnął się głupawo. - Dawaj go! - Ależ, Tyorl, ja... - Dawaj go! - ryknął elf.

- Dobrze już, dobrze. - Zrobiwszy markotną minę, Lavim podał flet Tyorlowi. - Ale Fujara mówi...

- Co mówi Fujara? - Tyorl powiedział to głosem cichym, wyzywającym i groźnym. - Żebyś go nie wyrzucał. Powiada, że flet może się nam jeszcze - przydać.

Snujący się wokół nich dym zdążył już zgęstnieć i Tyorl rozejrzawszy się dookoła, zobaczył, że Finn pomaga Kembalowi podnieść się. Wszyscy czterej stali po kolana w wodzie, otoczeni wysokimi, bagiennymi trzciniami. W odległości najwyżej ćwierci mili od nich pałki tataraku płonęły

niczym maleńkie pochodnie, jak daleko Tyorl mógł sięgnąć wzrokiem. Powietrze gęste było od dymu i pełne iskier oraz niesionych z wiatrem płonących łodyg trzciny i trawy. Elf chwycił kendera za ramię i szorstko odwrócił w stronę pożaru. - Popatrz! - Widzę... - Lavim wił się niczym robak na haczyku.

- Jesteśmy w samym środku moczarów i dookoła wszystko się pali. Czy tak właśnie wyobrażałeś sobie najbliższe okolice miasta? - Nie, ale...

Finn brodził już przez błoto i kałuże obrzydliwej, stojącej wody. Wódz chwycił Tyorla za ramię i skierował go na wschód. - Tędy. Nie znam tych bagien, ale przede wszystkim musimy wydostać się na otwartą przestrzeń. - Obrzucił kendera spojrzeniem zimnych teraz niczym stal, błękitnych oczu i zwrócił się ponownie do elfa. - Myślę, że powinniśmy zabić tego małego gnojka i wynosić się stąd czym prędzej.

Lavim już zamierzał rozpląnąć się w przeprosinach, usłyszawszy jednak słowa Finna, natychmiast zamknął gębę. Począł, aż wódz leśnych zniknie wśród dymu, odczekał, aż przebrnie obok nich Kembal i dopiero wtedy spojrzał na Tyorla. - On chyba nie mówił tego poważnie, co? Tyorl nie odpowiedział, popchnął tylko kendera przed siebie.

- Fujaro - spytał Lavim bezgłośnie - nie myślisz chyba, że Finn naprawdę chciał mnie zabić, co?

- Jeśli on tego nie zrobi - głos Fujary był słaby, ochryply, ale pełen determinacji - to zajmę się tym osobiście!

- Ale... ależ, Fujaro - przekonywał niezłomny kender - ja tylko usiłowałem im pomóc! Chciałem przenieść nas... Fujaro? Mag milczał. - No, daj spokój, Fujaro. Naprawdę chciałem im pomóc!

- Rozejrzyj się wokół - warknął Fujara. - Nie zrobiłeś nic złego... poza tym, że teraz możesz mieć pewność, iż ty i twoi przyjaciele, zanim dostaniecie się w pobliże Thorbardinu, upieczecie się żywcem.

Lavim spojrzał przez ramię i potknął się gwałtownie, usiłując iść do przodu, patrząc jednocześnie w tył. Zasłony szalejącego ognia były coraz bliżej. Płomienie syczały, trzeszczały i wysyłały w mroczne niebo całe

tabuny iskier.

Kender postanowił - co było z jego strony mądrym posunięciem - wstrzymać się z dalszymi wyjaśnieniami, aż wydostaną się z ognia. Później jednak będzie musiał uświadomić Tyorlowi i Fujarze, że choć nie trafili do Thorbardinu, mogą być o kilka dni marszu bliżej.

Rozdział dwudziesty trzeci

Daewar Gneiss szedł przez labirynt krętych alejek i ścieżek pomiędzy pospiesznie wybudowanymi chatkami dla robotników rolnych, które wzniesiono przy ścianie Wschodniej Ciepłarni. Nie tak dawno temu wygłosił opinię, że wkrótce w Thorbardinie zabraknie powietrza dla krasnoludów. Sam przyznawał, że mocno przesadził, teraz jednak za każdym razem, kiedy odwiedzał ciepłarnię, przypominał sobie tę uwagę. Ośmiuset uchodźców szybko stworzyło tu sobie warunki do życia. Najmłodsze dzieci, te, które nie nadawały się jeszcze do pracy na polach, biegały pomiędzy chatami, krzycząc przenikliwymi głosikami, które odbijały się od ścian jaskini i wlatywały na setki stóp w górę. Kobiety zajmowały się trzodą, na którą składało się parę tuzinów koni niezbędnych do orki, skąpe stadko kóz i kilkadziesiąt - co było stanowczo zbyt małą liczbą - kur i kaczek.

Przekłęte miejsce wygląda i śmierdzi jak pograniczne miasteczko tam, gdzie demony mówią dobranoc! W myśli Daewara wkradła się nutka niechętnego podziwu. Reorx świadkiem, niewiele czasu trzeba było uciekinierom, by podźwignęli się z przygnębienia towarzyszącego im podczas wędrówki przez Krainy Zewnętrzne.

Choć podziemne pola uprawne nie były tym, do czego nawykli pracujący na powierzchni rolnicy, szybko przyzwyczaili się do pracy na położonej głęboko czarnej ziemi, zwiezionej do ciepłarni wiele

lat temu i uzupełnianej dostawami z doliny za Południowymi Wrotami. Żaden kamień nie tępił tu lemieszka pługa i nawet najdrobniejszy żwir nie utrudniał pracy konia czy oracza.

Gneiss przystanął na skraju świeżo zaoranego pola. Tłusta czarna gleba lśniła tu w świetle wielu kryształowych sztolni, dostarczających z góry światło słoneczne. Wzdłuż równych bruzd kroczyli poważnie chłopcy z przewieszonymi przez barki dużymi, ciężkimi workami ziarna i rozrzucali nasiona. Wkrótce żyzny czarnoziem pokryje się delikatnym dywanem wschodzącej pszenicy. Dalej siano żyto, w głębiej zaś położonej jaskini wznosiły się proso, trawa i inne rośliny, stanowiące pożywienie dla trzody.

Owszem, lud Goldmoon radził sobie całkiem dobrze. Można by niemal uwierzyć, iż sama Mesalax pobłogosławiła ich wysiłki. Można by niemal uwierzyć, że kobieta z Nizin cieszy się łaskami bogini.

Niemal. Gneiss prychnął. Nigdy nie słyszał, by jednym z darów, jakie Mesalax ofiarowała kapłanom, była umiejętność zjednywania sobie thanów. Hornfel zaś był wyraźnie oczarowany. Wydawało się nawet, że ostatnio więcej czasu spędza pomiędzy niedawnymi zbiegami niż w górnych miastach.

Ja zaś, pomyślał Daewar, za każdym razem, kiedy chcę z nim porozmawiać, muszę tu schodzić jak chłopak na posyłki! To tylko uprzejmość wobec sprzymierzeńców, powiada than Hylarów. Najpewniejszy sposób zjednania sobie sojusznika to poznanie jego obyczajów, powiada. Ha! Jakimiż sprzymierzeńcami mogą okazać się te obdartusy? Założę się, że kiepskimi.

Usłyszał beztroski i przenikliwy śmiech jakiejś dziewczynki. Wybiegła zza chaty z pochyloną główką i machając rączkami, wpadła na Gneissa. Daewar nie zdążył się usunąć, siła zderzenia zachwiała nim, dziewczynka zaś upadła jak długa na ziemię.

Krasnolud chwycił ją za łokcie i dość bezceremonialnie postawił na nóżki. - Hej, mała, uważaj, gdzie biegiesz. Masz dwoje oczu, nie krępuj się i używaj ich do woli!

Dziewczynka ostrożnie wycofała się w głąb pola, wpatrując się w Gneissa oczyma tak błękitnymi i ogromnymi jak morze.

Składa się niemal wyłącznie z chudych nóżek i jeszcze chudszych rączek, zauważył Gneiss. I czym oni przycinali jej włosy? Sądząc po wyglądzie czupryny tego stworka, chyba piłą... - Hej, poczekaj chwilę, dobrze?

Dziewczynka stanęła jak wryta i odgarnęła z twarzyczki zmierzwiłone, czarne włosy.

- Szukam Goldmoon i - mówiąc to, uśmiechnął się cierpko - jej więźnia, Hornfela. Gdzie mogę ich znaleźć?

- Więźnia? - Oczy dziewczynki rozszerzyły się jeszcze bardziej, choć Gneiss przysięgłby przed sekundą, iż to niemożliwe. Dziewczynka roześmiała się wesoło. - O, żartujesz, dziaduniu. - Dziaduniu!

Mała brudnym paluszkami wskazała długą, siwiejącą już brodę krasnoluda.

Gneiss zmrużył oczy, usiłując ukryć ogarniającą go wesołość. Żadna miarą nie należy ośmielać bezczelnej smarkuli.

- Wiem, gdzie ich szukać. Zaprowadzę cię. - Twarz bezczelnej smarkuli pękła w szerokim uśmiechu.

- Aha! - zagrzemiał krasnolud. - A potem lepiej wracaj do mamy... niech cię trochę umyje i uczesze ci włosy.

- Nie da rady, dziaduniu. - Dziewczynka potrząsnęła główką w jak najbardziej rzeczowy sposób. - Nie da rady? A dlaczegóż to, moja panno?

- Goldmoon mówi, że moja mamusia i mój tatuś poszli do Mishakal. - Twarzyczka dziecka

sposobem. - Myślę, że nie żyją.

Powiedziawszy to, dziewczynka skoczyła przed siebie i krasnolud musiał dobrze wyciągać nogi, by za nią nadążyć. Dzieci czasu wojny są fatalistami, przypomniał sobie. Wielokrotnie to stwierdzał, ale nigdy się nie przyzwyczaił, choć był twardym i zahartowanym w bojach wojownikiem.

Gneiss szedł za dzieckiem wśród krętych, nowo pobudowanych uliczek, aż oboje dotarli do zwykłej, wieśniaczej chaty z niskim dachem, niczym nie różniącej się od pozostałych. Wewnątrz znalazł Hornfela siedzącego przy stole z kobietą z Nizin. Półelf przykucnął przy drzwiach, jako że wewnątrz nie było trzeciego krzesła. Rudobrody opatrywał strzały lotkami z niedbałą zrećnością kogoś, kto wykonywał już tę czynność wielokrotnie dla zabicia czasu i dla utrzymania broni w dobrym stanie. Choć męża o

lisiej czuprynie i Goldmoon często - jako przywódców uciekinierów - widywano razem, plotki głosiły, że gdzieś niedaleko można spotkać wysokiego i posępnego Niżowca, który miałby pełne prawo nazywać Goldmoon swą panią. Grupa buntowników, która uwolniła niewolników z kopalń Verminaarda, liczyła dziewięć osób. Gneiss spotkał się i rozmawiał jedynie z półelfem i Goldmoon. Pozostałe siedem miało swoje sprawy i radzi zostawili negocjacje tej dwójce.

Dobrze, że tak właśnie się stało, pomyślał Gneiss. Doniesiono mu, że wśród buntowników znajduje się krasnolud ze wzgórz, należący do owianego złą sławą klanu Fireforge. Wcale nie zamierzał wieść rozmów z krasnoludem ze wzgórz, nie pragnąłby też znaleźć się w jednym pomieszczeniu z osobnikiem, którego dziadek walczył przeciwko mieszkańcom gór podczas Wojen o Bramy Krasnoludów.

A tutaj, proszę, siedzi sobie Hornfel i popija krasnoludzki trunek z mieszkańcami Krain Zewnętrznych! Jakby dla niego i dla Rady nie można było znaleźć lepszego zajęcia niż beztrudne popołudniowe przyjęcie!

Gdy jednak Gneiss ujrzał wzrok przyjaciela, zrobiło mu się wstyd. Mroczne spojrzenie Hornfela powiedziało mu, iż omawia się tu ważne i trudne sprawy.

- Szukasz przyjaciela, thanie Gneiss? Możesz oskarżyć mnie o samolubstwo. Zatrzymałam go zbyt długo.

Przysługiwał jej tytuł córki wodza. Gneiss pomyślał nagle, że chciałby poznać jej ojca po to choćby, by ujrzeć męża, który tak świetnie wyuczył Goldmoon królewskich manier i sprawił, że miała tyle godności.

- Nie inaczej, pani. Potrzebna nam jego rada. Hornfelu... - zwrócił się do thana Hylarów. - Nadeszły wieści z granicy. Guyll fyr. - Odezawszy się w mowie krasnoludów, ze zdziwieniem spostrzegł, że półelf drgnął gwałtownie. - Wielki pożar? - Tanis wbił w Gneissa ostre spojrzenie zielonych oczu. - Gdzie?

- Zbliża się od wzgórz od zachodniej strony Równin Śmierci. Dwa patrole spostrzegły go podczas ostatniej nocy. Ogniowi sprzyja wiatr i pędzi go szybko ku nam.

Ogień mknie szybciej niż gnający go wiatr, pomyślał Gneiss. O świcie przyglądał się pożarowi z wysokości murów Bramy Północnej. Jaskrawe światła łuny bijącej w blade, koloru opalu niebo sprawiały, iż guyll fyr wyglądał jak morze ognia, którego fale uderzają o puszcę u podnóża gór. W niebo wzbijały kolumny gęstego, czarnego dymu. Dym, gnany podmuchami zimnej wichury ponad Równinami Śmierci, snuł się również

przed czołem pożaru. Blask i dym sprawiały, że nadciągający świt wydawał się chorobliwie blady.

- Przyjacielu, twoja obecność jest pożądana w Sali Rady. Ta właśnie i inne sprawy wymagają twej opinii.

Srebrnowłosa o błękitnych oczach Goldmoon podniosła się z chwiejnego stołka, na którym siedziała do tej pory. - Ten pożar... - Tak, pani? - Gneiss kiwnął niedbale głową. - Czy wiesz, co go wywołało?

- Nie, pani, ale ty i twój lud możecie przestać się obawiać. - Zobaczył grymas na twarzy Hornfela i wzruszył ramionami. - O to się martwiliście?

- Nie - odparła łagodnie Goldmoon. - Wiem, że ogień tu nas nie dosięgnie. Wiem również, co dzieje się na równinach, gdy ogarnia je pożar. Widywałam już pożary, nigdy jednak o tak późnej porze roku. - Myślicie o smokach Verminaarda, prawda? - Owszem.

- Ja również o nich pomyślałam. - Ze względu na Hornfela, który zdawał się darzyć ową samozwańczą kapłankę Mesalax wielkim szacunkiem, Gneiss uciekł się do oficjalnego tonu. - Pani Goldmoon, to sprawa Rady. Ufam, iż pozwolisz nam odejść.

Goldmoon nie rzekła ani słowa, kiedy jednak Hornfel i Gneiss wyszli z małej chaty, podążył za nimi Tanis. Hornfel nie wyraził sprzeciwu, Gneiss więc również nie protestował, tylko parł przed siebie zastanawiając się, dlaczego jego słowa nawet jemu samemu wydały się grubiańskie i niegrzeczne.

Na Thorbardin składało się sześć małych grodów, osadzonych głęboko we wnętrzu góry. Grody te oraz kilka dodatkowych wielkich sal i dwie potężne bramy łączył ze sobą system dróg i sztolni transportowych, dobrze znanych dwom krasnoludom. Szli, niemal nie zwracając uwagi na mijane trasy, jak przystało na tych, co się tutaj urodzili i wychowali. Niczym promienie słońca i smugi cienia przecinali na przemian hałaśliwe bazary i zaciszne ogrody.

Tanis szedł za thanami, pogrążony we własnych myślach i zadowolony z możliwości obserwacji. Gdy trójka wędrowców weszła na wąski i krótki most, przerzucony nad bezdenną przepaścią pieczary, w której wzniesiono główne miasta, Gneiss usłyszał, jak półelf wciąga powietrze w płuca, szybko więc rozejrzał się dookoła.

Na zbudowanym z kwadratowych płyt ciemnego i jasnego granitu moście było pusto i cicho. Thanowie i Tanis widzieli tylko własne cienie i

słyszeli tylko swoje oddechy. Z położonej za mostem esplanady aż tu dobiegały okrzyki i śmiech dzieci. W leżących dalej ogrodach było cicho, jakby zalegały je tylko cienie. - Co się dzieje? - spytał szeptem Gneiss.

Tanis podniósł ostrzegawczo dłoń i przechylił głowę w bok, by lepiej słyszeć. Po chwili wszyscy usłyszeli skrzyp, jaki wydaje skórzany but na kamieniu i wyraźny odgłos ostrożnych kroków. Półelf sięgnął po krótki kord, Hornfel zacisnął rękę na rękojeści sztyletu, który nosił u pasa. - Tam, w cieniu - szepnął Hylar.

Gdy wymawiał te słowa, skulone na krawędzi mostu cienie - mogłoby się zdawać, że wypłynęły z ziejącej w dole przepaści - przybrały materialną formę i kształt. Po karku Gneissa przebiegł zabobonny dreszcz. Rozpoznał krasnoluda, który wyłonił się z mroku i pozornie nie zwracając uwagi na całą trójkę, odwrócił się i ruszył drogą za mostem. Theiwar, jeden z magów derro Realgara.

- Któż to taki? - Tanis, gładzący rękojeść korda, przeniósł wzrok z Hornfela na Gneissa. - Nie znam go - warknął Gneiss.

- To Dhegan - mruknął Hornfel. - Tak, przypominam sobie, Dhegan. Jeden z... podwładnych Realgara.

Równie dobrze mógłbyś powiedzieć morderców Realgara, pomyślał Gneiss. Potrząsając głową, krasnolud ruszył ku światłu i esplanadzie.

Podczas marszu Daewar zauważył, iż Hornfel składa Tanisowi krótkie wyjaśnienie. Dobrze wiedząc, co jegostary druh mógł przybyszowi powiedzieć i czego powiedzieć nie mógł mu żadną

miarą, Gneiss zrozumiał, iż pólełf nie wędrował tu z nimi dla przyjemności obejrzenia miasta. Podczas minionego dnia i nocy Hornfel musiał wyjaśnić przywódcom zbiegów polityczną sytuację, w jakiej znalazły się królestwa krasnoludów. Tanis, obcy przybysz z Krain

Zewnętrznych, towarzyszył im nie tylko jako ciekaw cudów architektury gość, ale i jako strażnik przyboczny.

No cóż, w końcu obcy dbają tylko o swe interesy, pomyślał Gneiss. Gdyby powiódł się bunt tych przeklętych Theiwarów, pierwszą rzeczą, jaką byliby zrobili, okazałoby się pozbycie uchodźców.

Nieoczekiwanie dla samego siebie Daewar zatęsknił za światłem. Wkrótce będzie musiał podjąć walkę. Nie chciał walczyć pośród mroku i cieni.

Darknight nie przepadał za blaskiem ognia. Realgar jednak zignorował gniewne sapnięcie smoka i odwrócił się plecami do wetkniętego w żelazną

kunę kaganka. Cień maga, czarny i nieregularny, wyprzedzając go, popęłznął czarną plamą po kamiennej posadzce smoczego legowiska. Theiwar poczuł, iż niby płomienna igła przeszywa go dreszcz wściekłości. Prawą dłonią przesunął po rękojeści miecza, ukrytego w pochwie u boku. Przez chwilę palce maga pieściły srebrny oplot i muskały guzy osadzonych w złocie szafirów. Gniew Realgara rozproszył się natychmiast, jakby krasnolud dotknął zapewniającego harmonię ducha talizmanu. Dał znak dwom strażnikom, którzy czekali w mroku. Ci wciągnęli w krąg światła jakiś nieruchome ciało.

- Martwe mięso! - warknął Darknight, w którego głosie zadrgały ostre nutki protestu i niezadowolenia. W małej jaskini nieco dalej - do której jednak nie miał dostępu - mógłby znaleźć lepszy posiłek: jednorękiego krasnoluda i dziewczynę, których Realgar wziął o świcie. Smok pomyślał o ciepłym, pulsującym życiem mięsie i łypnął okiem na zwłoki martwego strażnika. - Tym zamierzasz mnie karmić?

- Nadal więc jesteś głodny, prawda? - Śmiech Realgara przypominał trzask pękającego lodu. - Koza i ciele ci nie wystarczyły? Cóż, smoku, masz nienasycony apetyt...

- Okrążył bestię, łypiąc gniewnie oczyma. - Leśnik uciekł! Znalazłem tego trupa na posadzce celi, w której powinien siedzieć... Hauk! Jesteś głodny? Dobrze! Na przekąskę poczęstuj się tym mięsem, potem zaś znajdź leśnika. Wtedy - ale nie wcześniej! - będziesz miał smaczniejsze mięso.

Darknight węzowym ruchem wysunął głowę, rozdymając nozdrza. Częstowanie go ścierwem było obrazą, ścierpiał ją jednak, czując głód skręcający mu wnętrzości. Zatopił kły w ciele martwego strażnika i, z chrzęstem pękających kości, odgryzł potężny kęs.

Realgar nie przejął się gniewem smoka. Gestem kciuka odprawił strażników. Następnie odwrócił się od uczującego Darknighta i wyjął z pochwy Ostrze Burzy. Nad ozdobną rękojeścią miecza przesunęła się smuga dymu z kaganka.

Muśnięte boskim palcem czerwone serce głowni pulsowało regularnie w drżącym, migotliwym płomieniu kaganka. Realgar ujął miecz oburącz i podniósł go. Na lśniącej głowni osiadła para przyspieszonego oddechu krasnoluda. Zbrocze jednak nadal płonęło czerwienią.

Królewski Miecz, Ostrze Burzy, miał czystą, nie tkniętą jeszcze żadnymi runami powierzchnię. - Pojawia się później - szepnął Realgar, przemawiając pieszczotliwie do - miecza. - Upamiętnią wielkie czyny mojego panowania. Królewski regent? - Krasnolud zmrużył oczy. - Nie! Będę Wielkim Królem.

Nie będę regentem, myślał opuszczając klingę; nie będę sługą tronu, którego zadaniem jest czekanie do ostatnich dni panowania na odnalezienie mitycznego Młota Kharasa. Będę Wielkim Królem!

Darknight ponownie wyciągnął szyję i niemal dotykając pyskiem zimnych kamieni posadzki,

przesunął łeb w stronę krasnoluda. Ślepia bestii znalazły się na wprost oczu Realgara.

- Panie, po cóż mam strzec więźniów, skoro i tak staną się moją kolacją?

Realgar uśmiechnął się zimno, przenosząc spojrzenie z główki miecza na leżących tam, gdzie ich cisnęli strażnicy, więźniów. Zakłęcie snu wkrótce przestanie działać. Uśmiechnął się ponownie na myśl, że obudziwszy się spojrzą prosto w głodne ślepia strzegącego ich smoka. Czeladnik kowalski Stanach i rudowłosa dziewczyna mogą przydać się na coś lepszego niż kolacja dla smoka.

Będą świadkami mej koronacji, pomyślał, podczas której przede wszystkim podziękuję im za zdobycie dla mnie Królewskiego Miecza, potem zaś wyrwę im serca za to, że przedtem go przede mną ukrywali. Nie odpowiedział więc smokowi, wzruszył jedynie ramionami.

Darknight uniósł głowę. Kły smoka ociekały śliną, a z paszczy dobywał się odór niedawno spożytego posiłku. - Mój panie?

- Strzeżesz ich, bo taka jest moja wola. - Realgar zachował spokój, choć na widok smoczych kłów tuż obok swojego karku ścierpła mu skóra. - To powinno ci wystarczyć.

Smok zadowolony więc rozmyślaniami, z jaką radością Verminaard powiesi miecz na ścianie sali tronowej Pax Tharkas tuż nad czaszką tego bezczelnego krasnoluda.

Realgar wyczuwał swój tryumf tak, jak wilk czuje zdobycz. Zwycięstwo było obok niego tuż: wystarczy, że sięgnie ręką. Jego zabójcy - pomniejsze wilki, ale równie jak on sam groźne i żarłoczne - osaczyli już pozostałych thanów. Darknight owinał się ogonem i rozciągnął paszczę w bezgłośnym uśmiechu.

Tamtym drapieżcom również odmówi się łupu, dopóki Realgar nie da znaku, że nadszedł czas uczty. To zaś nie nastąpi, dopóki Hornfel nie legnie trupem.

Smok patrzył, jak Realgar, zapomniawszy o więźniach, podnosi ostrze ku światłu kaganka i śledzi ich taniec na główce. Purpurowy blask zbroczą zabarwił dłonie krasnoluda czerwienią świeżej krwi.

Hylar wkrótce umrze... padnie ofiarą mrocznych planów Realgara. O, tak, tchórze, prychnął smok, swego największego wroga zabijesz podstępnie, w ciemności i uderzając z tyłu. Naprawdę sądzisz, że śmierć mniej znaczących ofiar w pełnym świetle i na oczach tych, którzy pozostaną przy życiu w rozdartym wojną królestwie, potwierdzi twą odwagę?

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

Realgar włożył miecz do pochwy powoli i uroczyście. Gdy odwrócił się do smoka, na jego ustach pojawił się dziwny i pełen zrozumienia uśmiech.

- Czytasz w moich myślach, prawda, Sevrith? - Darknight z wdziękiem rozłożył skrzydła, jakby zamierzał pochwalić się ich rozpiętością. - O, tak... czytasz w nich i to jest dobre. Słuchaj więc uważnie. Potrzeba, byś raz jeszcze wyleciał dla mnie, zanim wszystko się dokona, jest zaś wielce prawdopodobne, że nie będę mógł wezwać cię w inny sposób.

- Ach tak, panie... Jak zawsze, jestem na twe rozkazy. - Złożywszy skrzydła wzdłuż hebanowych boków, smok obnażył rozwidlony język i przesunął nim po kłach.

Obserwując odchodzącego krasnoluda, Darknight wsłuchał się w jego napuszone myśli i nie znalazł w nich cienia wątpliwości w powodzenie planów, czy jego własną lojalność wobec thana Theiwarów. Krasnolud myślał tylko o tronie i ciemnych, wiodących ku niemu ścieżkach.

Dobrze, pomyślał smok, używając zdania, którym nie tak dawno skwitował go than derro. Bestia zatopiła szpony i kły w torsie martwego strażnika, wyobrażając sobie, że pękające w jej potężnych szczękach kości są kośćmi Realgara.

Rozdział dwudziesty czwarty

Powietrze jaskini, o której Hauk przywykł myśleć jako o swoim sanktuarium, przeładowane było szalonym podnieceniem Isarna. Płatnerz usiłował mu coś powiedzieć, jąkał się jednak przy tym i bełkotał niezrozumiale. Ciemne włosy na przedramieniu Hauka zjeżyły się, jakby wyczuwały zbliżającą się burzę. Po plecach leśnego zwiadowcy przebiegł dreszcz odrazy. Usiłując opanować ogarniające go podniecenie, Isarn tak wykrzywił twarz, że z trudem potrafił wypowiedzieć pojedyncze, zrozumiałe słowo.

Hauk podkulił nogi i usiadł, opierając plecy o kamienną ścianę jaskini będącej ich kryjówką. - Wyraźnie i powoli - szepnął. - Powtórz to raz jeszcze.

- Mój chłopak. Dziewczyna elf. Mój chłopak. Hauk nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Nie wiedział też, co usiłuje mu przekazać Isarn. Jednak mimo przerażenia, jakie gościło w oczach krasnoluda, tropiciel zrozumiał, że płatnerz dawno już nie był tak przytomny jak teraz.

- Jeszcze raz - poprosił. Ze względu na informację, którą miał nadzieję wydobyć z Isarna, postarał się, by jego głos brzmiał możliwie łagodnie i nie zdradził pośpiechu. Nie wiedział, jak długo - może to trwać minutę lub godzinę - Isarn zachowa odrobinę świadomości.

Podczas wspólnie spędzonych w kryjówce godzin nie sposób było przewidzieć, kiedy krasnolud odzyska świadomość. Niekiedy w jego oczach dość długo tliła się isierka inteligencji, momenty te jednak zdarzały się coraz rzadziej. Gdy tracił rozum, dreptał wkoło jaskini szybkim, żwawym krokiem. Przypominał wtedy Haukowi zamkniętą w stodole jaskółkę, która usiłując odzyskać wolność, rozpaczliwie obija się o ściany. Nic nie mogło go uspokoić, choć czasem zatrzymywał się, jakby sam sobie wydawał polecenia. Gdy odzyskiwał świadomość - jak w tej chwili - jego oczy były spokojne niczym cieniste sadzawki w zakolach strumienia. Nie poruszał nerwowo dłońmi i zupełnie nie przypominał osobnika, który jeszcze niedawno nerwowo krążył wokół jaskini. Siadał wtedy obok Hauka i przemawiał doń cicho, jak mówi się do przyjaciela, który długo chorował, ale wraca już do zdrowia.

Ta troskliwość wcale nie powstrzymywała w Hauku morderczych pragnień. Teraz jednak leśnik nie zamierzał zatłuc krasnoluda, choć mógł -i w rzeczy samej tak właśnie teraz było - z niecierpliwością czekać chwili, kiedy do tego się zabierze.

Isarn odetchnął głęboko, starając się uspokoić. Krasnolud pochylił się ku leśnikowi z oczyma płonącymi zapałem, Hauk zaś poczuł obawę, że zapał ów jest oznaką kolejnego zbliżającego się napadu szaleństwa.

- Ostrze Burzy wróciło do domu! - Hauk nie drgnął i nawet głębiej nie odetchnął. - Słuchaj - szeptał tymczasem Isarn. - Mój miecz wrócił. Królewski Miecz wrócił do świata, w którym się narodził! - Hauk nadal nie wykonał żadnego ruchu. - Słyszysz mnie? - Dłonie Isarna zaczęły wykonywać coraz szybsze, nerwowe ruchy, jakby krasnolud nieustannie wycierał ręce. Wyglądało na to, że w głębi sadzawki gotuje się burza, która lada moment zakłóci spokój jej powierzchni. - Słyszę... - wyszeptał Hauk.

Leśna panno... pomyślał, mała służko. Znalazł cię! Och, bogowie, nie! Znalazł cię!

- O, tak... wrócił tam, gdzie jego miejsce, wrócił do mnie, który dałem mu życie i cel. Wrócił do mnie dla thana. Tak, dla thana i przyszłego króla. Wrócił razem z moim chłopcem. - Jakim chłopcem? - zapytał Hauk z sercem ściśniętym obawą.

- Z chłopcem, którego uczyłem. Moim chłopakiem, młodym Stanachem. - Twoim czeladnikiem?

- Tak, tak, z nim właśnie i z dziewczyną, odzianą jak elfy i wysoką jak one. Ale ona nie elf! Nie. Włosy jak ogień i oczy jak nefryt.

Isarn jęknął, gdy Hauk chwycił go za przegub. Ostrze Burzy przyniosła do Thorbardinu dziewczyna o płomiennych włosach i nefrytowych oczach! Jego leśna panna, jego znajoma z karczmy! - Co z tą dziewczyną? Mów!

Krasnolud szarpnął się w tył z takim samym skutkiem, z jakim królik mógłby wyrywać się z wilczej paszczy. Wijąc się w uścisku Hauka, Isarn wycharczał coś, czego leśnik nie zrozumiał. - Mów! -

- Realgar! - wrzasnął stary. Sercem leśnika szarpnął nagły skurcz strachu. Niemal zmiądzzył przegub krasnoluda. - Ma ich Realgar. Realgar ma mój miecz, mojego chłopaka i elfia dziewczynę, która nie jest elfem! - Gdzie? - W tunelach derro. W kryjówce. - Po co? - warknął Hauk. - Powiedz mi, dlaczego ich tam więzi? - Ja nie... nie wiem! - Zaprowadź mnie tam, starcze, albo złamię ci rękę jak gałązkę! Krasnolud specjalnie się nie opierał. W jego oczach Hauk ujrzał coś, co kazało mu podejrzewać, że od samego początku Isarn do tego właśnie zmierzał. Leśnik pojął nagle, że stary krasnolud chce, by odzyskał dlań jego bezcenne Ostrze Burzy.

Gniew, który ogarnął Hauka, był jak smagnięcie ognistym biczem. Pojmano jego leśną dziewczynę, jego przyjaciółkę z oberży. Nie przyszło mu do głowy zastanawiać się, dlaczego myślał teraz o niej jak o swojej przyjaciółce. Powodem być może było to, iż pozostała jedynym wspomnieniem, z jakiego nie obrabował go Realgar. Zresztą nie miało to dlań teraz znaczenia. Ze względu na tę dziewczynę odnajdzie dla Isarna Ostrze Burzy.

Rozdział dwudziesty piąty

Stanach wpatrywał się w mrok, słuchając chrapliwego oddechu smoka. Niczym słabe echo towarzyszyły mu przypadkowe westchnienia Kelidy. Od chwili, kiedy ich tu przyniesiono, dziewczyna nie poruszyła się i leżała skulona obok niego. Nie spuszczając smoka z oczu, Stanach powoli przesunął dłoń w bok. Delikatnie dotknął przegubu dziewczyny, usiłując odnaleźć tętno. Puls był równy i spokojny, co jednak wcale nie usmierzyło obaw Krasnoluda. Skutki zakłęcia snu, jakie rzucił na nią Realgar, powinny już dawno minąć.

Ponownie oparł plecy o zimne kamienie. Za każdym razem, gdy smok przeciągał się lub ziewał, Stanach czuł skurcz w sercu, za każdym bowiem razem Kelida poruszała się i bestia spoglądała w ich stronę.

Miejszem ich uwięzienia były dwie położone obok siebie jaskinie: mniejsza, w której Stanach

teraz siedział, i większa, rozleglejsza i wyżej sklepiona, będąca siedzibą smoka. Przejście z jednej do drugiej zaznaczało się jedynie grubszym podłożem i nagłym podwyższeniem pułapu pieczary. Te ściany, pojął nieoczekiwanie krasnolud, nie sięgają sklepienia, lecz otwierają się na niebo, słyszał bowiem dobiegający z jaskini smoka jęk wiatru, omiatającego zbocze góry.

Dzięki wrodzonej zdolności widzenia w mroku Stanach rozróżniał mgliste, czerwone zarysy smoczego cielska. Oceniał, że od bestii dzieliło ich nie więcej niż pięćdziesiąt kroków. Smok zaś, pomyślał, może pokonać je jednym susem!

Prawa ręka od przegubu aż po łokieć paliła go przejmującym bólem. Strażnicy Realgara nie potraktowali ich łagodnie. Mimo bólu Stanach jednak nie czuł palców. Wiedział już, iż tej drętwoty nie zawdzięcza działaniu maści Kema. W tej dłoni nigdy już nie odzyska czucia. Nie będzie już w niej odczuwał nawet bólu. Połamane, a nawet zmiażdżone kości mogą się zrosnąć. Pozrywane mięśnie i nerwy nie odzyskają nigdy jednak dawnej sprawności. Stanach dojrzał nagle złośliwy błysk w oczach smoka.

Smok zaczął oddychać szybciej i głośniejszym niczym kowalski miech. Krasnolud instynktownie wyczuł głód bestii, pojął też jednak, iż ich strażnik na coś czeka. Polecono mu najwidoczniej nie zabijać więźniów,

tylko ich strzec. I potwór czekał.

Realgar nazywał bestię Darknight. Nie tak dawno temu przyniesiono smokowi dwie kozy i beczące ciele, które miały zaspokoić jego głód. Stanach jeszcze wyczuwał duszący, jakby pachnący miedzią, wywołujący w nim mdłości smród oddechu potwora. Pośród szczątków zwierząt leżały strzępy czarnego, wyszywanego srebrem uniformu strażnika Realgara.

Kelida drgnęła, poruszyła nieznacznie dłonią i ponownie zamarła w bezruchu. Za długo to trwa, pomyślał Stanach. Za długo już leży nieprzytomna.

Jak długo ich więziono? Krasnolud miał w pamięci jedynie strzępy chwil, które spędzili w podziemiach. Przez jakiś czas był otumaniony nagłą zmianą sytuacji i zakłębieniem snu. I tak jak we śnie, czas nie miał dlań znaczenia. Nawet teraz, wsłuchując się w chrapliwy oddech smoka, Stanach mógł przypomnieć sobie jedynie kilka chwil, które nastąpiły po wylądowaniu Darknighta w wąwozie pod przełęczą wiodącą do Wrót Północnych.

Jak stadko nietoperzy z jaskini wypadło sześciu Theiwarów pod wodzą Realgara. Każdy trzymał wymierzoną w Kelidę i Stanacha kuszę, z bełtem na łożu i gotową do strzału. Realgar nie musiał jednak uciekać się do aż tak drastycznych środków. Poleciał jeńcom zsiąść z grzbietu smoka, oni zaś podporządkowali się bez sprzeciwu, w każdej chwili bowiem spodziewali się poczuć grot między zębami.

Gdy tylko Stanach dotknął stopami ziemi, otoczyło go trzech strażników. W ciągu paru sekund krasnolud został sprawnie rozbrojony. Jeden strażnik mierzył doń z kuszy, dwóch zaś chwyciło go za ramiona i poprowadziło pospiesznie do jaskini. Tam, mimo sprzeciwu oprawców, Stanach zdołał się zaprzeć, odwrócić się i spojrzeć na Kelidę.

Do dziewczyny podchodził właśnie Realgar, którego oczy płonęły ogniem dziwnego podniecenia, dłonie zaś drgały mu nerwowo, jakby nie mogły doczekać się dotknięcia zimnej, złotej rękojeści miecza.

Strażnicy zacisnęli łapy na ramionach Stanacha. Wykręcili mu ramiona w tył i krasnolud poczuł, że od łokci do ramion jego ręce przeszywają błyskawice bólu. Nieprzytomny niemal Stanach obserwował, jak rozbijają Kelidę, widząc wszystko przez mętną, czerwoną mgiełkę.

Nawet teraz zemdliło go z odrazy, gdy wspomniał, jak Realgar sięgał po Ostrze Burzy... Mag dotknął niemal szafirów na rękojeści, potem jednak cofnął ręce. Następnie skinieniem kazał oddalić

się strażnikom. Bardzo delikatnie rozwiązał rapcie przy pasie dziewczyny. Stanach zamknął oczy, usiłując zapomnieć o jęku Kelidy i o własnym

okrzyku zgrozy i oburzenia, gdy ujrzał, jak Realgar bierze w dłonie pochwę z Królewskim Mieczem i uśmiecha się błogo.

Teraz zaś, jakby wtórując jego wspomnieniom, Kelida raz jeszcze ciężko westchnęła. Stanach ujął ją za rękę, pogładził po dłoni i pochylił się.

- Lyt chwaer - szepnął tak cicho, że niemal nie usłyszał sam siebie -spokojnie... jestem przy tobie.

W jaskini panował mrok głębszy niż podczas bezksiężycowej nocy, ona zaś, będąc człowiekiem, nie posiadała właściwego krasnoludom daru widzenia w ciemnościach. Stanach poczuł, iż jej dłoń drży.

Obserwujący więźniów złośliwymi, żółtymi ślepiami Darknight wydał z siebie głęboki, gardłowy pomruk i węzowym ruchem wysunął głowę. Potem, jakby straciwszy wszelkie zainteresowanie, cofnął się do legowiska. W jaskini rozległo się echo zgrzytu łusek i szponów o kamień, krasnolud zaś poczuł, iż dłoń Kelidy wiotczeje w jego rękę.

Stanach ponownie ujął dłoń dziewczyny, usiłując dotykiem dodać jej otuchy i uspokoić ją. Jak długo rozkaz Realgara powstrzyma bestię?

Powoli i ostrożnie Stanach rozluźnił uścisk na ręce Kelidy. Dziewczyna westchnęła spazmatycznie i objęła go tak, jak tonący pośrodku zimnych i mrocznych mórz chwyta się ostatniej deski ratunku. Głosik dziewczyny był cichy, cienki i drżący z obawy. - Ja... niczego nie widzę.

- Ależ nie, dziewczyno, widzisz. Tu jest po prostu gęsty mrok. Teraz zachowaj spokój, siadaj i oprzyj się o mnie. Poruszyła się powoli. Wymacała ścianę, oparła się o nią i usiadła prosto.

- Już lepiej? Jak twoja głowa? Założę się, że okropnie boli? - Stanach starał się mówić tak beztrosko, jak tylko mógł, sam jednak wyczuwał fałsz dźwięczący w swoim głosie. - No, tak, to skutki zaklęcia snu. Ma się po nim takiego samego kaca, jak po flaszcze naszego trunku... tylko żadnej uciechy przedtem.

Smok wydał z siebie niskie i głośnie stęknienie, czemu towarzyszył zgrzyt łusek po kamieniach. Kelida zachnęła się, natychmiast jednak zastygła w bezruchu.

- To tylko smok - odezwał się Stanach takim tonem, jakim mógłby oznajmić obecność królika. - Na razie jesteśmy bezpieczni. - Gdzie... gdzie on jest?

- W swoim legowisku... - Stanach wzruszył ramionami. Zabawia się w psa ogrodnika. - Łgał już całkiem gładko. - My go nie interesujemy. Czy mu uwierzyła? Prawdę rzekłszy, Stanach na to nie liczył. - Dlaczego ja nic nie widzę? -

- Bo tu jest ciemno. - Krasnolud prychnął nie bez pewnej wyższości w głosie. - Na Zewnątrz zawsze jest jakieś światło. Nawet jeśli chmury zakryją w nocy gwiazdy i księżyc, jakieś resztki blasku kołaczą się pomiędzy niebem i ziemią. Tutaj zaś, w głębi góry, nie ma żadnego światła, chyba że je sobie stworzysz. - Ale ty mnie widzisz?

Darknight chrapnął, posyłając ku nim falę śmierdzącego krwią oddechu. Krasnolud odezwał się szybko, by stłumić panikę, rodzącą się w sercu dziewczyny.

- Wszystko, co żyje, wytwarza ciepło. To zaś, co jest martwe, jak kamień czy góra, zatrzymuje ciepło światła dziennego. I to ciepło ja mogę widzieć... jako mglisty zarys. W tej chwili jesteś dla mnie jedynie lekko czerwoną sylwetką, ale widzę cię dość dobrze. Gdybyś teraz mogła zajrzeć mi w oczy, myślę, że niezbyt by ci się spodobały. By chwycić każdy promyk, źrenice krasnoluda rozwierają się w mroku tak bardzo, że przypominają dwie bezdenne jamy.

Kelida nabrała powietrza w płuca i wypuściła je, wydając ciche, niemal niesłyszalne

westchnienie. - Co z nami będzie?

Stanach nie umiał odpowiedzieć. Potrząsnął głową i przypomniał sobie, że ona nie może zobaczyć tego gestu. - Nie wiem, lyt chwaer. Teraz Realgar ma Ostrze Burzy. Nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze nas nie zabił.

Kelida milczała przez chwilę. Stanach poczuł, że zaciska palce na jego dłoni i wiedział już, jakie będą jej następne słowa. - A więc Hauk nie żyje. Krasnolud przełknął ślinę i nie odpowiedział. - Tak... - szepnęła do siebie Kelida. - Hauk nie żyje.

W jaki sposób Stanach, widząc jedynie pozbawiony głębi wizerunek postaci w czerwieni, mógł odczytać kryjący się za tymi słowami żal i ból? - Lyt chwaer... - szepnął tylko.

Dziewczyna skryła twarz w jego ramieniu. Stanach poczuł na szyi ciepło jej łez. Lyt chwaer, tak ją nazwał. Siostrzyczka. Pomogła mu znieść brzemię żałoby i dbała o jego rany dłońmi delikatnymi i czułymi... prawdziwie siostrzanymi.

Trzymał ją więc mocno, ona zaś płakała. Ponad jej ramieniem ujrzał swą prawą rękę, zaznaczoną czerwienią ciepłoty ciała. Wiedział, że jego dłoń, obandażowana w strzępy opończy Kelidy, leży sztywno na plecach dziewczyny. Żadna jednak barwa nie zdradzała obecności bezwładnej dłoni. - Przykro mi - szepnął krasnolud. - Dziewczyno, doprawdy, szczerze ci

współczuję.

Kelida nagle zeszywniała w jego ramionach, potem zaś zwiotczała niespodziewanie, jakby niezdolna do uniesienia świadomości winy. Urywany, ochryplym od bezgłośnego płaczu głosem powiedziała: - To ja... ja go zabiłam.

Stanach, niepewny, czy dobrze ją zrozumiał, powstrzymał oddech. Odsunął ją od siebie, usiłując odczytać coś z jej twarzy i oczu, niestety, ujrzał jedynie czerwony zarys dziewczęcej sylwetki. - Dziewczyno, co mówisz?

- Powinam była... powinam była lepiej strzec miecza. - Dłońmi, niczym widmami czerwonych ptaków, zakryła twarz. - Nie. Powinam była dać go tobie lub Tyorłowi. Gdybym go nie utraciła... gdybyś mógł go oddać twemu thanowi... - Wciągając powietrze do płuc, niemal się nim zachłysnęła. - Och, Stanachu! Gdybym się tak głupio nie upierała przy noszeniu miecza... Hauk pozostałby przy życiu!

- Nie... - szepnął krasnolud. - Nie, Kelido, mylisz się. Żadną miarą nie mogłaś temu zapobiec.

- Gdybym oddała ci miecz, zamiast udawać, że posiadając miecz, mogę rościć sobie jakieś prawo do Hauka... Łudziłam się, że dał mi go, bo... bo mnie polubił. Myślałam, że będzie mnie pamiętał i może... - Nie! - krzyknął krasnolud ochryplym głosem.

Echo tego okrzyku odbiło się od ścian jaskini, zaznaczając daremność protestu krasnoluda. Towarzyszył temu zgrzyt szponów o kamienie. Darknight wydał z siebie głęboki, gardłowy pomruk. Po przeciwnej stronie pieczary błysnęły żółte ślepie. Bestia nawet nie drgnęła, Stanach jednak był pewien, że smok się śmieje. Ujął ramię Kelidy w lewą ręką, pozwalając prawej opaść bezwładnie w dół.

- Przykro mi, Kelido. Bogowie świadkami, że bardzo tego żałuję. Śmierć Hauka... nigdy nie zdołałabyś jej zapobiec.

- Ależ tak... gdybym tylko... - Dziewczyna przełknęła ślinę i potrząsnęła głową.

- Nie - szepnął Stanach. - Hauk nie żyje, ale to nie twoja wina, Kelido, najpewniej był już martwy, zanim opuściliśmy Long Ridge.

Odsunęła się odeń tak raptownie, jak cofnęłaby się przed niespodzianą obnażonym sztyletem. - Ale mówiłeś... - Ucichła nagle i zdanie zakończyło się przejmującym westchnieniem, gdy zrozumiała znaczenie słów krasnoluda. - Mówiłeś, że... - Kłamałem. Chciałem odzyskać miecz. Okłamałem cię.

- Kelida jęknęła cichutko.

Stanach oparł głowę o głaz i zamknął oczy. Nie powtórzył, że jest mu przykro, choć Reorx świadkiem, że niczego nie żałował tak bardzo, jak właśnie tego swojego postępku. Nawet utrata Ostrza Burzy nie poruszyła go tak mocno. Dla wyrażenia swych uczuć nie potrafił znaleźć słów, nie sądził zresztą, że w jakimkolwiek języku istnieją słowa, którymi mógłby oddać swą rozpacz.

Po długim czasie, gdy w jaskini słychać było jedynie łkania Kelidy i chrapliwy oddech smoka, Stanach poczuł delikatny dotyk dziewczęcej dłoni na prawym ramieniu. Kelida podniosła jego bezwładną dłoń. Krasnolud wiedział, iż trzymała ją w palcach, ponieważ usłyszał szelest, gdy dotykała bandażu.

Na smaganych wiatrem Równinach Śmierci szalał pożar. Rozległy front nacierającego ognia poprzedzały pojedyncze, niewielkie płomienie, wyglądające niczym harcownicy dzierżący jaśniejsze od słońca proporce. Żadne łupu ogniste jęzory szalały na moczarach i bagnach, z jednaką ochotą łykając suchą trawę i wyschnięte łądygi bylin.

Stojący przy roboczym stole w Komnacie Czarnego Księżyca Realgar obserwował pożar, patrząc w gładką powierzchnię szkła. Proste zakłęcie przywołało żądany obraz i mag widział pożar tak, jakby go oglądał człowiek stojący na szczycie wysokiej góry.

Rad temu, co zobaczył, przesunął dłoń nad powierzchnią szklanej płyty i wyszeptał jakieś słowo. Obraz, który oglądał, zmienił się, stając się wyraźniejszy i bardziej przybliżony.

Realgar ujrzał więc bagiennego szczura przepływającego porośniętą trzcinami sadzawkę i ginącego o krok od swej nory, kiedy zagotowała się nagle podgrzana woda.

Błękitnogłowa kaczka ugrzęzła i spłonęła podczas bezowocnych prób ucieczki przed płomieniami.

Żuraw o długiej szyi i srebrny lis pędzili obok siebie, uciekając przed wspólnym wrogiem. Bezlitosny guyll fyr schwytał ich i zabił tak samo obojętnie, jak każde inne stworzenie na swej drodze. Zimne jeszcze nie tak dawno temu powietrze nad równinami dygotało w ognistym upale. Wiatr, wieczny i samowolny wędrowiec, podążał teraz szlakiem płomieni.

Magowi wydało się, iż ogień jest dziką i oszalałą bestią, która miota się i wierzga, znacząc swe ślady płomieniami. Pożar pędził ku góróm, kwitując sykiem przejście przez bagna i radosnym rykiem witając perspektywę lepszej uczyty wśród gęstwiny puszczy, gdzie będzie mógł sycić się żywicznymi sosnami i przerażoną, szukającą ucieczki zwierzyną.

Realgar odwrócił się od tych scen zniszczenia. Układały się w piękny obraz nagłych śmierci, była jednak jeszcze jedna nić, którą należało weń wpleść, by obraz stał się doskonały. Nić tę miał teraz Realgar w dłoniach.

Do ruin Bramy Północnej od wielu lat nie posyłano żadnej zmiany warty, od niedawna jednak było inaczej. Ruiny Bramy, nie używanej od czasu niszczycielskiej Wojny o Bramy Krasnoludów, nieoficjalnie uznano za posterunek podległy Theiwarom. Realgar rozsiadł się w krześle za szklanym stołem i wybuchnął śmiechem. Wartę wystawili wierni Gneissowi Daewarowie.

Wierni jak zawsze, z jednym małym wyjątkiem. Każdego można przekupić, nawet wartownika Daewarów.

Ten właśnie wartownik poszukiwał teraz Hornfela, niosąc mu wiadomość, że Gneiss chciałby się z nim spotkać na blankach Północnej Bramy. Zdradziecki gwardzista zanieś Hylarowi wiadomość, że than Daewarów widział szalejący na Równinach Śmierci guyll fyr. Występujący w imieniu Gneissa posłaniec będzie naglił do pośpiechu, wyrażając zaniepokojenie z powodu ryzyka utraty zapasów żywności dla Thorbardinu.

Choć Hornfel nie będzie rad, wkraczając na terytorium Theiwarów, musi zdawać sobie sprawę z

faktu, iż tylko z Północnej Bramy da się ocenić rozmiary pożaru. Zresztą doda mu otuchy pewność, że na miejscu spotkania będzie nań czekał Gneiss.

Tyle że Gneissa tam nie zastanie. Ujrzy natomiast Realgara i Ostrze Burzy.

Przewrotny mag dotknął ukrytego w pochwie i wiszącego u jego boku miecza.

- Tak będzie - szepnął. - Długo szukałeś Ostrza Burzy, Hornfelu, i znajdziesz je przy Północnej Bramie. Ujrzysz w końcu ten miecz i zginiesz za jego sprawą!

Takhisis, Królowa Mroków, wyciągała ku niemu swą dłoń. Musiał tylko ją ująć. Iskra buntu, która rozpali suchą jak pieprz górę emocji krasnoludów Thorbardinu, zapoczątkuje panowanie derro.

Realgar zamknął oczy, przeszedł na mowę myśli i wezwał czarnego smoka. - Znalazłeś już tego leśnika?

Smok nie znalazł Hauka. Do myśli Theiwara zakradło się zniecierpliwienie.

- Teraz zresztą nie ma to znaczenia. Wkrótce osiągniemy nasz cel. Leśnika znajdziemy później.

-

Jedną myślą Realgar wysłał smoka nad szczyty gór. Darknight szykował się do ataku na Hornfela i na strażników Gneissa przy Północnej, a później przy Południowej Bramie.

Gneiss zatrzymał się pośrodku ogrodu obok budynku Rady Thanów. Powietrze było tu przesycone zapachem białych i czerwonych królewskich róż. Nie zamierzał się nimi zachwycać, zawsze zresztą czuł się nieswojo w łagodnej i pełnej spokoju atmosferze tego ogrodu. Ponad różanymi kwietnikami w ogrodu Thorbardinie panował dziwnie posępny nastrój. W sposób właściwy mieszkańcom miast ludność wyczuwała niepokój. Niewielu krasnoludów potrafiłoby określić jego rodzaj, wszyscy jednak reagowali niespokojnymi spojrzeniami i większą niż zwykle skłonnością do wybuchów gniewu.

Gneiss odwrócił się, by odejść najkrótszą, wiodącą ku ulicom alejką. Gdy mijał niewielką sadzawkę przy wschodnim krańcu ogrodu, uzmysłowił sobie, iż nie jest tu sam. Nad brzegiem stawu przysiadł Tanis półelf i ciskał kamyki do wody.

Usłyszawszy kroki zbliżającego się krasnoluda, półelf odwrócił się zwawo, odprężył się jednak przekonawszy się, że przybyszem jest Daewar. - Jeśli szukasz Hornfela - odezwał się spokojnie - to tu go nie ma.

- Sam widzę - odparł Gneiss, obrzucając Tanisa uważnym spojrzeniem. - Czego tu szukasz?

- Ot, po prostu podziwiam ogród. - Półelf potrząsnął głową. Gdy we wzroku Gneissa pojawiły się iskierki podejrzliwości, Tanis uśmiechnął się lekko. - Gneiss, daj spokój. Hornfel był tu chwilę temu. Rozmawialiśmy, gdy wezwał go jakiś gwardzista, jeden z twoich, jeśli sądzić po barwach, i razem gdzieś poszli. - Powiedział, dokąd idzie? - Nie.

Pomiędzy sojusznikami zapadło niezręczne milczenie. Kryjący oczy w cieniu kaptura Tanis podrapał się po brodzie.

- Gneiss, ty mnie nie lubisz, prawda? Zaskoczony i nie mający pojęcia, co rzec, Gneiss zdołał wybąkać: - Nie bardzo wiem, co o tobie sądzić...

- Owszem, wiesz. - Tanis ponownie przykucnął i cisnął w staw kolejny kamyk. - Nie lubisz mieszkańców Krain Zewnętrznych, szczególnie zaś nie chcesz ich mieć w Thorbardinie. Powiedz mi więc, dlaczego w końcu zdecydowałaś się opowiedzieć za nami?

- Przekonały mnie argumenty Hornfela - odparł zwięźle Gneiss. - Przymrużył oczy. - Do czego zmierzasz, półelfie?

-

- Zależy mi na bezpieczeństwie zbiegów. - Tanis wstał sprężyście, wypuszczając kamyki z dłoni. - Są przecież bezpieczni.

- Doprawdy? Nie, dopóki tkwią pomiędzy młotem i kowadłem lub siedzą pomiędzy zwierającymi się ostrzami buntu. - Tanis przeniósł wzrok z wonnego żywopłotu kwietników na rozciągające się dalej ulice. - Gneiss, wszyscy są dziwnie podenerwowani. Powiedz mi, że tego nie dostrzegasz...

Gneiss nie odezwał się ni słowem. Nie uważał, że zawilóści wewnętrznej polityki Thorbardinu mogą służyć za temat do dyskusji z cudzoziemcem.

- Gneiss, niedobrze jest znaleźć się pośrodku. Zanim przyszedłeś, rozmawialiśmy o tym z Hornfelem. Zbiegowie będą się bić, jeśli zostaną do tego zmuszeni. Byłoby jednak lepiej, gdyby nie musieli walczyć... dla was czy za was, ale jeśli wybuchnie bunt, będzie wam potrzebna nasza pomoc.

- Jakiej pomocy mogą udzielić nie znający wojaczki wieśniacy? -Gneiss potrząsnął głową.

- A co sądzisz o pomocy ludzi, którzy uwolnili tych zbiegów z niewoli, sprzątnęli ich sprzed nosa Verminaardowi i przywiedli ich aż tu spod Pax Tharkas? - Półelf musnął palcem na wpół rozwinięty pąk szkarłatnej róży. Na knykciach Tanisa została smuga złotego pyłu.

Osiemset, pomyślał Gneiss. Może połowa z nich będzie zdolna do walki albo do obrony Wschodnich Ciepłarni, jeśli już do tego dojdzie.

Tego się jednak nie spodziewał. Realgar nie da sygnału do buntu, jeśli nie będzie pewien zwycięstwa. Zdecyduje się zaś na działanie tylko wtedy, gdy Rance pošle swoich opryszków na wsparcie Theiwarom. Muszą uderzyć celnie i mocno, tak by obezwładnić przeciwników. Dwaj thanowie derro nie będą tracić energii i zapału pierwszego uderzenia na położone daleko ciepłarnie, leżące u wschodnich rubieży Thorbardinu. Nie ma więc potrzeby wciągania w to wszystko półelfa i jego zbiegów. A może jednak?

Gneiss zerknął na Tanisa. Nie czas teraz na brak zaufania czy podejrzliwość. Uśmiechnął się cierpko. Nie sposób przewidzieć, czy i - co więcej - kiedy zbuntują się derro. Istniała jednak możliwość, że ich cios, jeśli w ogóle zostanie zadany, będzie mocno osłabiony.

Wschodnie Ciepłarnie od północy i południa otwierały się na gród Daergarów. Zatrzaśnięci w nim jak szczury w norach Daergarowie odkrywają, że niełatwo im będzie poprzec Theiwarów.

- Półelfie, nie wiem zbyt wiele o pracy na roli. - Gneiss spojrzał na Tanisa i uniósł brew. - Myślę jednak, że twoi ludzie powinni wiedzieć, jak powstrzymać szkodniki od dostania się na pola? - Spodziewam się. - Tanis wzruszył ramionami.

- W takim razie mam pracę dla twoich wieśniaków. - Gneiss pogładził się po srebrnej brodzie. Pochylił się, podniósł jeden z upuszczonych przez półelfa kamyków i cisnął go do sadzawki. Pluskowi wody po sekundzie zawtórowały liczne westchnienia echa odbitego od powierzchni stawu.

Rozdział dwudziesty szósty

Tyorl zachwiał się i oparł się o szorstki pień wysokiej sosny. Ciężył mu przemoczony, skórzany, myśliwski strój pokryty błotem i warstwą czarnej sadzy. Elf nie czuł już nóg, jego plecy i ramiona zamieniły się w przesyconą bólem masę mięśni i kości, wiedział też, że gdyby w porę nie oparł się o drzewo, upadłby twarzą w błocko.

Iskry i dym drażniły mu oczy, które nieustannie łzawiły. Drżąc z zimna, otarł powieki grzbietem dłoni, rozmazując na bladych policzkach błoto i sadzę na podobieństwo popiołów żałobnika.

Za nimi szalały szybko zbliżające się ognistą ścianą płomienie. Guyll fyr tryumfował pośród bagien, wysoko w niebo strzelając ognistymi jęzorami. Gęsty wał toczącego się ku wzgórzom dymu przesywały gdzieniegdzie kolumny ogma. Tyorl i jego towarzysze będą mieli zaledwie kilka chwil wytchnienia. - Finn! - wycharczał elf. Słowa grzęzły w wyschniętym do cna gardle. -

Finn... co wiesz o tych górach?

- Nie jestem krasnoludem. - Finn potrząsnął głową. Przywódca desperatów wykrzywił wargi w

gorzkim, cynicznym uśmiezką. Wiem o nich tyle, co każdy po tej stronie gór, to znaczy prawie nic. Słyszałem, że krasnoludy nazywają te wzgórza i góry Krainami Zewnętrznyimi. Cóż, nie słyną z przesadnej gościnności czy życzliwości dla obcych. Szkoda, że nie ma z nami twojego przyjaciela, tego ze złamaną ręką.

Rzeczywiście, szkoda, pomyślał Tyorl. Młody krasnolud nie był może najmiłszym kompanem, jakiego elf spotkał w życiu, teraz jednak w istocie przydałby się. Stanach jednak, zawsze chłodny, milczący i pograżony we własnych myślach, był teraz najpewniej już martwy.

Myśl ta była tak bezwzględna, że Tyorl aż się wzdrygnął. Owszem, Stanach był chłodny i nieprzystępny, elf jednak wiedział, że jednoręki i wyczerpany krasnolud skoczył na grzbiet smoka, by ratować Kelidę, a nie przekłete Ostrze Burzy.

Znużony ucieczką przed płomieniami i własnymi myślami, Tyorl potrząsnął głową. Jego towarzysze byli już martwi. Stali się częścią krwawego okupu za Ostrze Burzy.

Finn zachłysnął się dymem i rozkaszał się. Tyorl spojrział w jego stronę. - Finn, nie mamy przewodnika. Musimy zrobić, co się da, by uciec przed pożarem i dotrzeć do celu.

- Nie wszyscy z nas do niego dotrą. - Finn skinął głową w stronę Lavima.

Kender również oparł się o pień sosny. Pochyliwszy głowę, łapał oddech w płuca, wydawał przy tym świst nie gorszy wcale od świstu wiatru pośród sitowia. Ostatnią milę przebrnął utykając i mruczając coś o kamieniach, które wpadły mu do butów.

W jednym z jego buciorów rzeczywiście ziała dziura dość duża, by marudzenie kendera nabrało pozorów rzeczywistości. Tyorl jednak nie wierzył w to tłumaczenie. W tej chwili bowiem, sądząc, iż nikt nań nie patrzy, Lavim pochylił się nad prawym kolaniem i masował je ostrożnie. Przed chwilą z trudem wyciągnął nogę z bagna.

Tyorl spojrział na Finna. Wódz ponownie potrząsnął głową, a w jego błękitnych, zażawionych od dymu oczach pojawił się wyraz współczucia. Finn upierał się przy poderżnięciu kenderowi gardła i pozostawieniu go na moczarach, jego wściekłość jednak, jak zawsze zresztą, była krótkotrwała. To on właśnie wyciągnął klnącego i wypluwającego wodę Lavima z najgłębszego zapadliska. Lavim i ja, pomyślał nagle elf, jesteśmy ostatnimi z czwórki, która

wyruszyła z mieczem. Żaden z nas nie wiedział o pozostałych nic, z wyjątkiem imienia. Nagle zdał sobie sprawę z faktu, iż podczas tych kilku dni zaczęło mu brakować towarzyszy. Śmierć ich dwojga - tak! nawet posępnego Stanacha - na długie lata okryje jego serce mrokiem żałoby. Odepchnął się od pnia drzewa.

- Tracimy czas. Stanacha tu nie ma, wiem jednak, w jakim kierunku zamierzał iść. Na południowy wschód od bagien. Nie znam Thorbardinu, sądzę jednak, że jeszcze znajdujemy się na północ od grodu. Wiatr gna ogień na północny wschód. Niełatwo będzie przedrzeć się na południe... do Thorbardinu. Lepiej ruszajmy, póki jeszcze możemy. Co zaś tyczy się Lavima, dotrze tam, dokąd ja, bo gdy nie będzie mógł iść, ja go poniosę.

Nie oglądając się już na wodza, Tyorl ruszył i dołączył do Lavima. Przyklękając na jednym kolanie, położył dłoń na ramieniu starego kendera. Lavim rozejrzał się dookoła i uśmiechnął jak zwykle. Choć trzeba przyznać, że tylko na krótką chwilę. - Jak się czujesz, bracie kenderze? Gotów do marszu? - Pewnie, Tyorl, dokądkolwiek ruszacie. Myślę... znaczy, Fujara myśli... - Co mianowicie? - Tyorl poczuł się ogromnie znużony.

- Że może nas poprowadzić do Thorbardinu. Powiada, że zaczyna rozpoznawać teren, i mówi, że masz rację i trzeba iść na południowy wschód. Chciałby wiedzieć, czy pozwolicie, by został waszym przewodnikiem?

Duch przewodnikiem? Tyorl westchnął z rezygnacją. Czemu nie? Uciekający z płomącego domu

zostawia wszystko, byle tylko ujść z życiem. Odwrócił się i spojrzął na zachodnią część nieba, purpurową i pokrytą gęstymi, kłębiącymi się nisko chmurami dymu.

- Cóż, i tak nie mamy innego. Powiedz Fajarze, iż wdzięczni będziemy za pomoc. - Elf uśmiechnął się lekko. - Ale pozwól, że sam powiem o tym Finnowi, dobrze?

- Nie podoba mu się Fajara, prawda? - Lavim również odpowiedział uśmiechem.

- Powiedzmy raczej, że nie podoba mu się pomysł, iż Fajara może istnieć naprawdę.

Elf dotknął fletu wiszącego u jego pasa. Wyciągając kendera z zapadliska, zabrał mu instrument i przytwierdził do pasa skórzanym rzemieniem. Nie spuścił go już z oka. Tyorl uśmiechnął się.

W swoim czasie zdoła wytłumaczyć to Finnowi. Nadeszła pora, by zostawić wszystko, nie wyłączając zdrowego rozsądku, którym wcześniej się szczycili.

Hauk nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, i uczucie to szybko zaczęło go drażnić. W podziemiach nie sposób było określić kierunku, nie było żadnych punktów orientacyjnych i żadnego światła z wyjątkiem blasku podskakującego w dłoniach Isarna łuczywa. Szedł więc za tą pochodnią przez mroczne korytarze, tak jak wędrowiec w obcym kraju idzie za światłem gwiazdy północnej.

Ze swoich tobołków Isarn wyciągnął w jaskini sztylet i miecz. Dał je Haukowi z dumą w na poły szalonych oczach. - Co mianowicie? - Tyorl poczuł się ogromnie znużony.

- Że może nas poprowadzić do Thorbardinu. Powiada, że zaczyna rozpoznawać teren, i mówi, że masz rację i trzeba iść na południowy wschód. Chciałby wiedzieć, czy pozwolicie, by został waszym przewodnikiem?

Duch przewodnikiem? Tyorl westchnął z rezygnacją. Czemu nie? Uciekający z płonącego domu zostawia wszystko, byle tylko ujść z życiem. Odwrócił się i spojrzął na zachodnią część nieba, purpurową i pokrytą gęstymi, kłębiącymi się nisko chmurami dymu.

- Cóż, i tak nie mamy innego. Powiedz Fajarze, iż wdzięczni będziemy za pomoc. - Elf uśmiechnął się lekko. - Ale pozwól, że sam powiem o tym Finnowi, dobrze?

- Nie podoba mu się Fajara, prawda? - Lavim również odpowiedział uśmiechem.

- Powiedzmy raczej, że nie podoba mu się pomysł, iż Fajara może istnieć naprawdę.

Elf dotknął fletu wiszącego u jego pasa. Wyciągając kendera z zapadliska, zabrał mu instrument i przytwierdził do pasa skórzanym rzemieniem. Nie spuścił go już z oka. Tyorl uśmiechnął się.

W swoim czasie zdoła jakoś wytłumaczyć to Finnowi. Nadeszła pora, by zostawić wszystko, nie wyłączając zdrowego rozsądku, którym wcześniej się szczycili.

- Sam je zrobiłem - rzekł prosto, gdy ujrzał, jak Hauk sprawdza wyważenie pięknie wykonanego oręza. - Weź je. Ja zabiorę pochodnię.

Ze sztyltem u pasa i mieczem w dłoni Hauk poczuł się o wiele lepiej. Odzyskał prawie dawne siły. Podziękował nieznacznym kiwnięciem głowy.

Korytarze, którymi wiódł go Isarn, wydawały się labiryntem, skręcały bowiem bez żadnego planu. Niektóre były szerokie i w ich gładkich,

wysokich ścianach umieszczono kuny dla pochodni. Inne były niskie i tak wąskie, że Hauk musiał mocno się w nich schylać. Dym z niesionego przez Isarna łuczywa wił się nisko, niemal dusząc Hauka. Przy końcu jednego z takich przejść leśnik, którego bolały już plecy i ramiona, chwycił Isarna za rękę. - Daleko jeszcze? Gdzie jesteście?

- Jesteśmy w Niskich Grotach. - Stary płatnerz wyrwał się z uścisku. - Już niedaleko. Jeszcze kilka korytarzy.

- Tak? No, jeśli nie będą wyższe niż ten ostatni, to nie przydam ci się na wiele.

Isarn nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami, jakby podkreślając, iż korytarzy nie kuto z

myślą o wysokich mieszkańcach Krain Zewnętrznych. Nie były jednak przeznaczone i dla zwykłego w Thorbardinie ruchu. W niektórych miejscach sam Isarn miał kłopoty z przejściem. Gdy Hauk ujrzał, iż przy końcu kolejnego tunelu krasnolud się schyla, jęknął w duchu i opadł na czworaki.

Zanim dotrę na miejsce, pomyślał - dokądkolwiek zabiera mnie ten szurnięty, stary drań - będę musiał pełzać na brzuchu!

Sklepienie korytarza było tak niskie, iż Hauk miał wrażenie, że przygniata go cały ciężar góry. Przejście było ciasne i szorstkie kamienie drapały mu barki i ramiona. I oto unoszący się nad leśnikiem dym z łuczywa Isarna popłynął do przodu, porwany chłodnym powiewem przeciągu.

Hauk pojął, że nie przeciskali się zwykłym korytarzem, tylko korytarzem łączącym dwa tunele. Podpierając się na łokciach, przedostał się do tunelu i ostrożnie wstał.

Isarn, który do tej pory zachowywał się spokojnie i niemal normalnie, zaczął przestępować z nogi na nogę. Oddychał teraz szybciej, ręce zaś tak mu drżały, iż w świetle trzymanego przezeń łuczywa roztańczył się cały korytarz. - Co się dzieje? - spytał Hauk szeptem. - Tutaj. Są tutaj. Chłopak i dziewczyna. - Gdzie? - Serce Hauka skoczyło raptownie i zaczęło tłuc się o żebra. Zamiast odpowiedzi Isarn wetknął mu łuczywo w rękę, sam zaś ruszył w rozciągającą się przed nimi płataninę cieni i mroku. Hauk ruszył za nim czując, iż zaschło mu w gardle i szumi w uszach.

Jest gdzieś tutaj! Ognistowłosa dziewczyna, której nie znał nawet imienia! Wspomnienie smukłej, szczupłej i zielonookiej panny podtrzymywało go na duchu podczas wszystkich tortur, jakie zadawał mu

Realgar. Wtedy, kiedy sam nie będąc świadomy, czy żyje, czy jest martwy, gdy oglądał śmierć Tyorla, wiedząc, że sam zabił go i nie zabił jednocześnie, zielone oczy dziewczyny lśniły w jego sercu niczym szmaragdy. I oto jest tutaj.

Podążając wolno za odgłosem oddechu rozgorączkowanego Isarna, Hauk wychylił się z za rogu. Rude światło łuczywa odbiło się od odległej ściany, ukazując krasnoluda skulonego przy szczelinie w skale. Przejście było tak wąskie, że Hauk z trudem mógłby się przez nie przecisnąć. Zaczynało się od podłoża, niknąc poza zasięgiem wzroku leśnika. - Tam w środku? - Tak. Chłopak i... - Isarn kiwnął głową.

W korytarzu rozległ się grzmot, początkowo niski i złowrogi, potem coraz wyższy, aż przeszedł w przenikliwy ryk, w którym Hauk rozpoznał dziką, posępną uciechę. Pod wpływem tego ryku zadrżały nawet kamienie, odsyłając echo do istoty, która wydała te mrozące krew w żyłach dźwięki.

Isarn jęknął przerażony, żałośnie i cienko. Straszliwy ryk uderzył w Hauka niczym grom i rzucił go na kolana. Leśnik chwycił łuczywo oburącz, ciskając miecz na ziemię. Nie usłyszał nawet brzęku spadającej stali. Ryk wzmagał się, jakby wydający go stwór podnosił się. Rzucane przez łuczywo cienie skakały jak szalone po ścianach i sklepieniu korytarza. Nikłe, żółte błyski światła śmigły po korytarzu, ukazując chropowate ściany i mroczne nisze. Isarn gdzieś przepadł. Hauk przełożył łuczywo do lewej ręki, prawą podnosząc z ziemi miecz. - Isarn! - zawołał cicho. - Isarn!

W kamiennym korytarzu nie poruszało się nic oprócz roztańczonych, rzucanych przez łuczywo cieni. Myśli Hauka zmroził nagły strach, który przyspieszył też bicie jego serca. Isarn gdzieś przepadł. Hauk powstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać. Nie złowił uchem żadnego dźwięku oprócz skwierczenia i syku płonącego łuczywa. Gdzie podział się stary krasnolud?

Nagle zapomniał o Isarnie. Z drugiej strony szczeliny skalnej rozległo się ciche niczym łkanie wiatru zawodzenie. W tej samej chwili, w której Hauk rozpoznał w nim płacz kobiety, zawodzenie ucichło.

Nie namyślając się wiele, Hauk, którego serce waliło teraz jak szalone, przecisnął się przez szczelinę. Na lewo od wejścia leżała skulona, niewielka postać, w której leśnik rozpoznał Isarna.

Mimochodem Hauk odnotował w pamięci, że krasnolud się nie rusza. W jaskini panował chłód, a powietrze pełne było kwaśnego, piżmowego zapachu wielkiego gada. W

odległym kącie, niczym sen przeistoczony w jawę, kuliła się dziewczyna o miedzianych włosach.

Kłęcząca, unosząc w górę ręce z zaciśniętymi pięściami. Na bladej, częściowo ukrytej w cieniu twarzyczce lśniły zielone, szeroko otwarte oczy. Nad nią stał czarnobrody i krępy krasnolud. Sięgał do niej obandażowaną dłonią.

Hauk wydał z siebie ryk, którego nie powstydziliby się atakujący niedźwiedź i skoczył ku przeciwległej ścianie. Biegnąc zdał sobie sprawę, iż krasnolud stoi za blisko dziewczyny i pchnięcie mieczem naraziłoby ją na niebezpieczeństwo. Odwrócił więc oręż w ręce i podniósł w górę rękojęść. Dziewczyna ujrzała go i poznała w tej samej chwili, w której, zamachnąwszy się potężnie, rąbnął krasnoluda rękojęścią miecza pomiędzy łopatki.

- Hauk! - zawołała rozpaczliwie. - Nie! Okrzyk dziewczyny zawtórował echu uderzenia, stęknęciu krasnoluda i łomotowi jego ciała uderzającego o ziemię. W oczach dziewczyny, rzucającej się na leżące ciało krasnoluda tak, jakby zamierzała go bronić, błysnęły gniew i zgroza.

Hauk, którego serce waliło jak oszałałe, opuścił miecz. Trzymane przezeń łuczywo zaskwierczało i zgasło. W jaskini zapadły ciemności. Jedyne odgłosami, jakie słyszał leśnik, był dobiegający gdzieś z góry świst wiatru i urywany oddech Kelidy.

Wyciągnął dłoń i łagodnie dotknął ramienia dziewczyny. Gdy szarpnęła się w bok z okrzykiem strachu, Hauk poczuł się, jakby ktoś zadał mu cios prosto w serce.

Po długim czasie, kiedy to leżał w ciemnościach, Stanach poczuł, że jego głowy dotykają czyjeś drżące palce.

- Błagam... - wyszeptał znajomy głos. - Stanachu, przyjacielu... błagam cię, nie umieraj! Była to dziecinna, nielogiczna prośba podyktowana sercem. Typowa dla Kelidy. Ktoś skrzesał ogień, który zaskwierczał w zimnym powietrzu.

Światło błysnęło i mocno oszołomiło Stanacha. Niewiele pamiętał od chwili, kiedy nagle zaryczał smok. Kelida krzyknęła okropnie, jego własne zaś serce zamarło ze zgrozy. Nie oczekiwał, iż poczuje cokolwiek innego prócz bólu, gdy przebiją go i rozszarpną smocze szpony. Z pewnością jednak nie spodziewał się uderzenia rękojęścią miecza pomiędzy łopatki.

- Lyt chwaer - westchnął, me mogąc jeszcze otworzyć oczu. - Nie ma sensu prosić martwego, by nie umierał. Dziewczyna zachnęła się, wydając szybkie, zdumione westchnienie, i ujęła go za lewą dłoń.

Stanach otworzył oczy, choć natychmiast rozbolała go głowa od światła. Rozniecone ponownie łuczywo rzucało drżące cienie na twarz Kelidy. Krasnoludowi wydało się, że jej zielone oczy połyskują w słabym świetle pochodni.

Z mroku zza Kelidy wyłonił się cień, który wstąpiwszy w krąg światła, przekształcił się w młodego, czarnobrodego i ciemnowłosego człowieka. Skórzana, myśliwska odzież wisiała niezgrabnie na jego ciele, które musiało niegdyś być muskularne i krępe.

Krępe, pomyślał Stanach, jeśli normalnie odżywiane. Ten człowiek nie wyglądał na kogoś, kto ostatnio jadał dobrze i często. - Krasnoludzie, to ja ci przyłożyłem.

W zimnym głosie Stanach nie usłyszał żadnej nutki żalu. W błękitnych oczach młodego człowieka lśniły iskierki śmiertelnie niebezpiecznej zapalczywości; były to oczy wilka, który dawno temu już odłączył od stada i zapomniał o strachu.

Stanach z wysiłkiem usiadł. Młody człowiek bacznie obserwował każdy jego ruch. Krasnolud wzdrygnął się i przez chwilę miał wrażenie, że patrzy na ducha. Leśnik miał poszarpane ubranie i spojrzenie wygłodniałego drapieżnika. Nagle krasnolud zrozumiał, kogo ma przed sobą, ale jakimże

sposobem ów człek zachował życie? Jak udało mu się przeżyć tortury, których nie szczędził mu Realgar? A musiały to być tortury nie byle jakie. Stanach ujrzał w mrocznych oczach Hauka, że jego serce skamieniało pod ich wpływem.

Krasnolud rzucił szybkie spojrzenie na Kelidę. Dziewczyna zrobiła pełną obawy i oszołomienia minę człowieka, kto odnalazł kogoś, kogo długo szukał i teraz z niezrozumiałych powodów jego własna intuicja ostrzega go, iż powinien obawiać się tego, kogo poszukiwał.

Stanach wstał, czując ból niemal w każdym mięśniu. Hauk obserwował go, nie spuszczać zeń czujnych, przerażająco groźnych oczu. Krasnolud, żywiąc nadzieję, iż pamięta jeszcze, jak uśmiechnąć się z kpina i uznaniem, spróbował przywołać na wargi taki właśnie uśmieszek. — Ty musisz być tym Haukiem, o którym mówiła mi Kelida. Masz ciężką rękę.

Grymas na twarzy Hauka złagodniał nieco, krasnolud zaś pojął, iż leśnik nie znał nawet imienia dziewczyny.

- Tak - odezwał się, masując ostrożnie kark. - Kelida. Kelida przez chwilę poruszała krtanią, usiłując przełknąć ślinę, potem wstała. Szybkimi i nerwowymi ruchami odsunęła opadające jej na twarz włosy i wygładziła pomiętą odzież.

- - Pa... pamiętasz mnie?

Poruszył wargami, choć nie wydał żadnego dźwięku. Skinął tylko głową. - Możesz... możesz odłożyć miecz? Proszę... Hauk zeszywniał i jakby mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza. - Proszę... - Podeszła do niego i wyciągnęła rękę. - Szukaliśmy cię.

- Tyrol? - Hauk rzucił szybkie, podejrzliwe spojrzenie na Stanacha. Opuścił jednak miecz.

- Myślę, że już wszystko w porządku. - Kelida położyła dłoń na ręce leśnika i zmusiła go do opuszczenia miecza. Spojrzała na Stanacha.

- Czuję się już lepiej. - Krasnolud uśmiechnął się kącikiem ust. - Powiedz mu o mieczu, Kelido. A skoro nas tu odnalazł, to może wie, jak się stąd wynieść. Nagły odlot smoka nie wróży nic dobrego.

Rozejrzał się po jaskini. W cieniu, nie opodal wejścia, leżał ktoś nieduży i skulony. Stanach zaczerpnął tchu.

- To Isarn - rzekł szybko Hauk. - Myślę, że żyje. Ja... prowadził mnie tutaj, gdy usłyszeliśmy ryk. Wszedł tuż przede mną i musiał zobaczyć odlatującego smoka.

Hauk słusznie odgadł, iż stary mistrz nie umarł. Jeszcze nie. Leżał w mroku, oddech zaś miał przyspieszony i płytki.

Stanach ledwie go poznał. Szaleństwo, które od dawna niszczyło jego umysł, i żal, który od dawna niszczył jego duszę, pozostawiły ślady również na ciele Isarna. Stary krasnolud wychudł okropnie, jego niegdyś krzepkie ramiona były teraz piszczelami, do których przylegało kilka zaledwie włókien mięśni. Broda Isarna, dawniej puszysta i biała niczym śnieg, była teraz zmierzwiona i brudna.

Gdy zbliżył się doń Stanach, stary płatnerz nawet nie mrugnął okiem, tylko patrzył łagodnie, utkwivszy spojrzenie gdzieś ponad głową ziomka.

Stanach uklęknął przy mistrzu. Jego patrzące teraz tępo, brązowe niegdyś oczy ujrzały wizję królewskiego ostrza. Spoglądały na pierwszy błysk klingi Królewskiego Miecza. Czeladnik poczuł, iż serce ściska mu się z bólu. Ogarnął go smutek.

- Mistrzu... - Stary zwrot całkiem naturalnie wypłynął z jego ust. - Mistrzu Isarnie - przemówił głosem, który starzec znał dobrze, ale którego dawno już nie słyszał.

- Chłopcze... - powiedział Isarn słabym głosem. Powiódł wyschniętym językiem po splekanych wargach. - Tak, mistrzu, to ja. Wróciłem. Stary krasnolud ujrzał brudne, zielone strzępy materiału, w które

owinięta była prawa dłoń Stanacha. - Chłopcze, co oni zrobili z twoją ręką? Stanach zmarszczył brwi nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Nie musiał odpowiadać. Isarn zapomniał o zadanym pytaniu. Gdy stary mistrz w końcu przemówił, w jego głosie dzwięczało niezłomne przekonanie i pewność. - Ostrze Burzy zabije Wielkiego Króla!

Stanach powstrzymał oddech. Słowa zabrzmiały jak proroctwo! Zawierały przecucie. Zimny dreszcz przebiegł po plecach i ramionach Stanacha. Miecz zabije Wielkiego Króla.

Ale przecież w Thorbardinie nie panuje Wielki Król. Tron od trzystu lat stoi pusty. Tak, ale też od trzystu lat nikt w Thorbardinie nie wykuł Królewskiego Miecza. - Mistrzu - wyszeptał Stanach. - Nie rozumiem.

W pustych oczach Isarna pojawiło się nagle światło powracającej świadomości. Starzec spojrział na Stanacha, a na jego ustach pojawił się grymas, który można było uznać za uśmiech.

- Chłopcze, zawsze mi mówiłeś, że nie rozumiesz, ale zawsze w końcu okazywało się, że jednak rozumiałeś.

W pamięci Stanacha niczym widma przeszłości pojawiły się słowa usłyszane przezeń w czasach, kiedy jego ręce uczyły się sprawności, a jego głowa chłonęła wiedzę.

„Stanachu, mój chłopcze, twoje dłonie posiadają wiedzę, a twoje serce ma swe pragnienia. Trzeba tylko, by twoja głowa, twardsza niekiedy niż kamień, od którego wzięłeś swe imię, jedno i drugie połączyła zrozumieniem”.

Mówiąc tak, Isarn utrwał nową porcję wiedzy i kształcił w kuźni dłonie Stanacha.

- Mistrzu - Stanach pochylił się nad starcem - w Thorbardinie nie ma teraz żadnego Wielkiego Króla, nie rozumiem więc...

Brwi Isarna zmarszczyły się w grymasie dobrze znanym Stanachowi. Była to groźna mina, która pojawiała się na twarzy mistrza, kiedy czeladnik czegoś nie pojmował.

- Ależ jest król, mój chłopcze - szepnął Isarn chrapliwie i gniewnie. - Jest. Wykułem dla niego miecz, który nazwałem Ostrzem Burzy. Powiadam ci, mamy króla.

Hornfel! Stanach zadrżał zarówno z wyczerpania, jak i dlatego, że pojął, o kim mówi Isarn. Wielkim Królem będzie Hornfel.

Zamknął oczy, usiłując zebrać myśli. Isarn był niewątpliwie szalony. Czy to, co mówi, tylko jest bredzeniem? Niektórzy utrzymywali, że Isarn popadł w szaleństwo, gdy ukradziono Ostrze Burzy. Stanach jednak wiedział, że ten długi upadek zaczął się wcześniej, gdy mistrz zobaczył nie gasnące, ogniste serce zbocza głowni i gdy pojął, że wykuł Królewski Miecz.

Owszem, wykuł, ale nie dla Wielkiego Króla, tylko dla królewskiego regenta. Nawet Hornfel nie zamierzał sięgać wyżej niż po władzę regenta. Stary płatnerz zagubił się na ścieżkach śmierci i szaleństwa. Nie wiedział, o czym mówi.

- Mistrzu Isarnie.. - odezwał się Stanach bardzo łagodnym głosem. Isarn nie odpowiedział. Stanach, którego serce nagle zaczęło bić szybciej, przyjrzał mu się uważnie. Oczy starego krasnoluda nie były już szeroko otwarte, niemal całkowicie skryły się pod powiekami. - Mistrzu?

- Wykułem miecz - wyszeptał Isarn. - Miecz dla mego thana. Realgar użyje go, by zabić Wielkiego Króla. - Dłoń starca, sękata ze starości i pokryta bliznami po oparzelinach, niczym krab popęzła w poprzek jego piersi. Palce, którymi dotknął Stanacha, były suche niczym stary pergamin. - Przyniosłeś miecz do domu. Znajdź go ponownie. Znajdź go!

Stanach chciał coś powiedzieć, gardło jednak ścisnęło mu się z bólu, a po policzkach popłynęły łzy. Chwycił dłoń starego krasnoluda.

- Mistrzu, nie... Proszę, nie obarczaj mnie... - Słowa zamarły mu na ustach i tylko westchnął.

Isarn Hammerfell skonał.

Ramię Stanacha gładziły drżące, smukłe palce. Oszołomiony śmiercią przyjaciela i krewniaka, odwrócił się gwałtownie. Obok niego klęczała Kelida.

Na dziewczynę i na ciało starego krasnoluda padł drżący w świetle łuczywa cień. Stanach spojrział w górę i ujrzał stojącego obok Kelidy Hauka. Oczy leśnika, w których jeszcze niedawno czaiło się szaleństwo, były już spokojniejsze. Nadal jednak tliła się w nich iskierka obsesji. Żyła w nich pamięć tortur.

Krasnolud chciał wstać, jednak opadł na kolana. Wyglądało na to, iż jest zbyt słaby. W jaki więc sposób udźwignie straszliwe brzemię Ostrza Burzy? - Pozwól, że ci pomogę. - Kelida wyciągnęła do niego rękę. Stanach nie odrzucił przyjaznej dłoni. Zanim jednak dziewczyna zdołała ująć go za ramię, pomiędzy nimi stanął Hawk. Leśnik miał wielkie dłonie, o twardych, pokrytych odciskami od miecza

i sztyletu palcach. Gdy postawił krasnoluda na nogi, nie cofnął rąk natychmiast, jak się tego spodziewał Stanach. Zamiast tego Hawk chwycił rękę krasnoluda i uściśnił tak, jak wojownik, gdy ofiarowuje drugiemu swą przyjaźń. Krasnolud nie odpowiedział. Słowa zresztą były zbędne.

- Słyszałem, co mówił stary - odezwał się Hawk. - Nie wiem już, czy ten miecz, Ostrze Burzy, należy do mnie. Myślę, że nie. - Brałem jednak udział w tym wszystkim. Realgar... - Głos Hauka nagle przycichł. - Realgar torturował mnie... pokazywał mi śmierć Tyorla i kazał mi wierzyć, jak to ja go zabiłem. Wiem... mówicie, że on żyje... ale nadal żywo pamiętam, że go zabijałem. Realgar zabijał też mnie... a potem przywracał do życia. - Mówiąc to, leśnik patrzył na Stanacha, nie chciał bowiem, by Kelida zobaczyła pustkę w jego oczach. - I znów mnie zabijał. Stanachu, ten... Realgar... mam z nim swoje porachunki.

Stanach spojrział na połamane palce swojej dłoni. Zamknął oczy i ujrzał kołujące na błękitnym niebie kruki, usłyszał zawodzenie wiatru nad kamiennym cairnem na wzgórzach. Ostatnie słowa Isarna trąciły szaleństwem, mitami i legendą. Prawdą zaś było, iż jego krewni i przyjaciele padli ofiarą zatruwającej wszystko żądzy władzy Realgara. Wielu jeszcze umrze z jej powodu.

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

Czując dreszcz strachu, Stanach patrzył, jak Hauk podaje sztylet Kelidzie. - I ty także? Kelido, nie..

- Owszem. - Dziewczyna wzdrygnęła się i rozejrzała się po zimnej pieczarze. - Nie zostanę tutaj. Pójdę za Haukiem i za tobą. - Dotknęła sztyletu. - Ty sam nalegałeś, bym nauczyła się nim władać. Myślę, że twój druh, Lavim, był dobrym nauczycielem. Nadal nie wiem, czy potrafiłabym zabić. Myślę jednak, że zdołam się obronić. Idę z wami.

Z mojego powodu cierpieli ludzie. - Delikatnie dotknęła obandażowanej dłoni Stanacha. - Muszę iść z wami.

Krasnolud zobaczył, że z oczu Hauka znika pustka. Zobaczył w nich również strach o Kelidę. I w tejże chwili krasnolud i leśnik zawarli milczące porozumienie. Dziewczyna pójdzie z nimi, oni obaj zaś dopilnują, by nie stała jej się krzywda.

Rozdział dwudziesty siódmy

Wąską półkę skalną omiały podmuchy ostro tnącego wiatru. Wyjący potępieńczo wichur niósł czarny jak sadza dym z nad płonących Równin Śmierci. Wyglądało to tak, jakby były spowite żalobnym kirem.

Z tej półki, znajdującej się tysiąc stóp nad porośniętą świerkami doliną, Hornfel widział ogień jako błam złotego jedwabiu, rozwijający się niczym sztandar, który trzepocze i drży zgodnie z kaprysami wiatru.

Hornfel obserwował pożar w chwili, gdy żywioł wypalił już równiny. Posuwający się z niesamowitą szybkością ogień dotarł do gęsto zalesionych zboczy góry. Niczym łupiąca wszystko na swej drodze armia najeźdźców, pożar również niszczył to, na co się natknął.

Wiatr zmienił nagle kierunek, jak to się często zdarza w krętych korytarzach dolin położonych wśród górskich szczytów, i teraz dał z północnego zachodu. Szlakiem wiatru szła ściana płomieni, pędzących z szaloną szybkością przez rozciągającą się przed Thorbardinem dolinę.

Gneiss zaprosił go na spotkanie przy wartowni. Hornfel więc czekał, zabijając czas rozmową z kapitanem straży. Nie trwało to jednak długo, zapach bowiem i huk szalejącego w dolinie pożaru zmusiły go do wejścia na skalną półkę.

Teraz więc stał na kamienistej grzędzie... na tyle samotnie, na ile pozwalali jego przybocznicy. Za nim, na rozległym placu, gdzie niegdyś Północna Brama strzegła wejścia do Thorbardinu, stało czterech krzepkich krasnoludzkich wojów. Dwóch strzegło thana, a pozostali pilnowali terenu obok wartowni. Obserwowali wewnętrzny dziedziniec i spowite mrokiem rozwaliska samej kordegardy. Wszyscy czterej mieli się na baczności i nie wypuszczali z dłoni mieczy. Żaden z nich ani na chwilę nie zapomniał, że im właśnie powierzył Gneiss bezpieczeństwo Hornfela.

Jakkolwiek by rzecz ujmować, Północna Brama była posterunkiem wroga. Choć zajmowali ją obecnie Theiwarowie, większa część powierzchni długiego pasażu, wiodącego z wartowni do Północnej Sali Sprawiedliwości, pokryta była wiekowym kurzem. Sam pasaż, służący niekiedy za posterunek, był oczyszczony z gruzu i doprowadzony do

porządku. Wznosząca się jednak w głębi świątynia i zbudowane przy niej różne niegdyś rezydencje wydawały się nietknięte od czasów Wojny o Bramy. Kamienne posadzki i ściany do dziś nosiły blizny po zaciekłych, toczonych tu bojach. W niektórych miejscach stare, popękane płyty posadzki poplamione były czarnymi plamami zastygłej krwi.

Zanim pretensje do tych terenów zgłosili Theiwarowie, w miejscu tym można było natknąć się

jedynie na szkielety ludzi i krasnoludów. Zresztą nadal tkwiły tu kupki kości i starego oręża. Theiwarowie, dziwna rasa krasnoludów derro, czerpali jakąś przewrotną uciechę z faktu, iż dzielą kwatery z umarłymi.

W głębi łączącego wartownię z Salą Sprawiedliwości pasażu rozległ się głośny tupot butów i pobrękiwanie kolczug. Zmiana warty.

Hornfel usłyszał głębokie głosy rzucające hasło i odpowiadające na nie. Hornfel miał wrażenie, iż przybyli wartownicy dowiadują się, jak postępuje guyll fyr. Wyczuł też niemal namacalną obawę w głosach krasnoludów zdających relację.

Cofnął się. Ogień nie zagrażał bezpośrednio niezniszczalnemu Thorbardinowi, spustoszenie bagien i moczarów z pewnością jednak zmniejszy wiosenne dostawy żywności do górskiego królestwa.

Nie będziemy głodować, pomyślał z goryczą, przyjdzie nam jednak zacisnąć pasa. Jakże teraz przekonać Radę Thanów, że nie tylko powinniśmy wspomagać przyjętych zbiegów, ale i dawać azyl następnym? Hornfel westchnął ciężko.

Wspomnienia nieszczęsnych czasów Wojny o Bramy Krasnoludów dręczyły go jak upiory potępieńca. Wtedy to Kataklyzm wpełznął krasnoludy do Thorbardinu. Za owych czasów zniszczenia zmieniły oblicze Krynnu.

W późniejszych latach przyszła zaraza i Neidarowie. Krasnoludy zamieszkujące wzgórza, na których osiedlili się przed Kataklyzmem - jak sami powiadali, szukali na nich otwartej, wolnej przestrzeni - zapragnęli wrócić do podziemnych pieleszy. Dręczył ich głód, nie mogli bowiem uprawiać roli ani polować w krainie wypalanej do cna posuchą i wyniszczoną zarazą.

Neidarowie potrzebowali sprzymierzeńca i znaleźli go w osobie wielkiego maga Fistantilusa, który na czele armii ludzkich wyrzutków i maruderów obiegnął najpierw Pax Tharkas, a później Thorbardin. Ludzie wierzyli, że w górach ukryty jest skarb.

Duncan i krasnoludy górskie wiedzieli, że istotnie posiadają skarb: żywność. Nie wystarczyło jej jednak nawet dla tych, którzy żyli w Thorbardinie.

Wielki Król Duncan wiedział, że ma obowiązki wobec swego ludu. Współ z przyjacielem Kharasem zapoczątkował więc wydarzenia, które historia ochrzciła mianem Wojny o Bramy.

Gdy więc Duncan, ostatni król krasnoludów, postanowił ukryć i wykarmić w Thorbardinie względnie nieliczną grupę ludzi, którzy mogli się tam schronić, krewniacy wystąpili przeciwko krewniakom.

Obecnie pożoga wojenna znowu pustoszyła Krynn. Hornfel wiedział jednak, że choć okropności wojen są zawsze takie same i nie zmniejszają się od stuleci, obecna wojna nie była taka sama jak ta, której musiał stawić czoło Duncan.

Dlatego choćby, myślał Hylar, spoglądając na ogarniętą ogniem dolinę, w tej wojnie nie bierzemy udziału. Mój lud wybrał wygodną neutralność. Po drugie zaś, uciekinierzy, którzy skryli się w Thorbardinie, nie są krasnoludami.

Są ludźmi, ale czy istotnie stanowi to różnicę? Nikt nie mógł - jeśli chciał, by traktowano go poważnie - nazwać przerośniętych, wojowniczych i krótko żyjących istot krewniakami. A jednak w krainach ogarniętych wojną ludzie i elfy zawarły sojusz i choć sojusznicy nie darzyli się przesadnym zaufaniem, razem stawili czoło smoczym armiom. Stare przysłowie mówi, że wilk za drzwiami potrafi zbratać nawet obcych sobie.

- Królu Duncanie, jest jeszcze jedno stare przysłowie - szepnął Hornfel, zwracając się do nieżyjącego od trzystu bez mała lat króla. - Kto nie czerpie nauk z czynów swych ojców, nie nauczy

się od nikogo.

Duncanie, wilk jest żądny krwi twoich dzieci. Wyczuwam jego oddech w dymie guyll fyr. Musimy więc zbratać się z obcymi.

Rozmyślając o tym wszystkim, odwrócił się od płonącego w dole ognia. Przeszedł pomiędzy dwoma przybocznymi i ruszył ku wartowni. Nie wiedział, czy Gneiss już przybył, nie mógł jednak czekać dłużej. Zostawi mu wiadomość u kapitana straży, następnie zaś...

Usłyszał, że obok ktoś nabiera tchu, i odwrócił się ku nowemu przybyszowi. Ujrzał, że nie opodal, obok szybu, w którym niegdyś mieścił się mechanizm wrót, stoi Realgar. Theiwar przybrał swobodną pozę i niedbale założył ręce na piersiach. Przed przenikliwym wiatrem chroniła go gruba opończa, która nie kryła, iż than derro ma jak zwykle miecz u pasa. Czarne oczy Realgara błysnęły. - Jest podobny do armii - odezwał się mag - i zbliża się coraz szybciej. Pożar wewnątrz i pożar na zewnątrz! Hornfel przypomniał sobie

Dhegana, który śledził jego i Gneissa na moście, i spojrzął na przybocznych. Daewarowie zmrużyli oczy i podeszli bliżej.

- Owszem, pożar wygląda jak armia - przyznał Hornfel. Nie bez trudu wstrzymał się od ujęcia sztyletu. - Zamierzam zwołać Radę. Trzeba będzie poczynić pewne przygotowania: wygląda na to, iż tej zimy przyjdzie nam zacisnąć pasa.

- Jak chcesz. - Realgar wzruszył ramionami. Odsunął się na bok, by przepuścić Hornfela z jego orszakiem i odczekał chwilę, aż czterej przybocznicy Daewarowie zajmą miejsca za podopiecznym.

Przepuszczając obok siebie pomrukujących coś pod nosami wartowników, Realgar zabawiał się odtwarzaniem w myślach swych planów buntu i morderstwa. Jego armia żądnych krwi Theiwarów gotowa była do walki o krasnoludzkie grody, Ostrze Burzy zaś ciężarem przypominało mu o swej obecności. Magowi wydało się nawet, iż Królewski Miecz drży niespokojnie, jak on sam dręczony żądzą władzy. Realgar ruszył ku Hornfelowi i jego strażnikom.

Wilgotny i zimny korytarz otwierający się na most prowadzący nad Kowadłem Ech, nie był całkowicie pozbawiony światła, choć po przejściu po ciepłych i dobrze oświetlonych ulicach Thorbardinu, Kelida takie właśnie odniosła wrażenie. Musiała po prostu odczekać parę chwil, zanim jej wzrok przyzwyczaił się do słabej poświaty, oświetlającej kamienną halę. Nie było to światło upadające z zewnątrz, lecz odbicie iluminacji z kryształowych sztolni, które przewodziły, wzmacniając je po drodze, blask słoneczny do miast Thorbardinu.

Gdy wreszcie ujrzała wszystko wyraźnie, mimo woli przylgnęła do stojącego za nią Hauka. Most rozpiął się nad przepaścią tak wielką i głęboką, że dziewczyna nie widząc jej dna, nie umiała sobie wyobrazić jej końca. Po obu stronach szerokiego mostu znajdowały się niskie, kamienne barierki. Podtrzymywały je wyglądające jak milczący wartownicy wyrzeźbione w kamieniu figury krasnoludów z rozłożonymi ramionami.

- Stanachu - szepnęła dziewczyna. Szept niezliczonym echem odbił się w całej jaskini. Kelida nie bez trudu przełknęła ślinę i dotknęła ramienia krasnoluda, by zwrócić jego uwagę.

Położywszy jedną dłoń na rękojeści znalezionej gdzieś w mieście miecza, Stanach odwrócił się ku dziewczynie, Kelida zaś zdumiała się, ujrzała bowiem, iż prawdą było to, co mówił jej kiedyś Stanach w jaskini - jego oczy były teraz dwiema ogromnymi, czarnymi źrenicami, pustymi i przerażającymi. Dziewczyna poczuła, iż zimny dreszcz przebiega po jej plecach.

- Co, czyżbym cię nie uprzedził? - Krasnolud uśmiechnął się z lekką drwiną. - Można się przestraszyć, jeśli ktoś nie przyzwyczał się do tego widoku. - Poklepał Kelidę po ramieniu. - To ja, lyt chwaer, nikt inny, tylko ja. - ... ja... tylko ja... ja... ja...

Kelida wzdrygnęła się, zaraz jednak poczuła na ramieniu delikatny dotyk dłoni Hauka. Gdy

przemówił, jego słowa również zaczęły ścigać się pod sklepieniem jaskini.

- Stanachu, nie podoba mi się ta dziura. Co robi tu Hornfel? Powinniśmy udać się do waszej Rady Thanów i poprosić o wsparcie.

Stanach byłby tak uczynił, gdy jednak w mrocznych korytarzach nie opodał smoczego legowiska dopadli jakiegoś strażnika, powalili go i zaczęli wypytywać o Realgara i jego plany, drab roześmiał się tylko chrapliwie i odrzekł z chętnością w głosie: - Hornfel jest już padliną u Północnej Bramy!

Wedle milczącej ugody Stanach powiódł Kelidę przodem, Hauk został zaś na chwilę z Theiwarem, potem zaś szybko dołączył do dziewczyny i krasnoluda. Trupa strażnika zostawił w mrocznym korytarzu.

Bezczelne przechwałki strażnika napęłniły serce Stanacha gniewem i desperacją, od których uwolnił się dopiero, gdy dotarli do górnych poziomów miasta. To Hauk wytłumaczył krasnoludowi, że słowa Theiwarów nie muszą być prawdą. Przynajmniej na razie.

- Spójrz sam - odezwał się, wskazując dłonią rynek, tawernę i park. - Krasnoludy są czymś podenerwowane, nie zachowują się jednak tak, jakby usłyszały niedawno, że ich przywódca został zabity.

Stanach przyznał mu rację i poczuł ulgę. Może nie jest za późno na przyście z pomocą Hornfelowi. Mieszkańcy Thorbardinu jeszcze czekali na coś i dość skutecznie tłumili swe obawy.

Thorbardin wyczuwał zbliżającą się burzę i wiedział, że wkrótce posypią się gromy. Miasto nie wiedziało jednak, z której części nieba należy spodziewać się natarcia żywiołu.

Stanach porzucił rozmyślenia i wskazał otaczające ich ciemności. - Oto posterunek Theiwarów. To miejsce cieszy się złą sławą nawet wśród awanturników. Na moście jednak powinniśmy być dość bezpieczni.

Ścigani echem własnych kroków, które podążało za nimi niczym legiony duchów, wkroczyli na most.

Aby zapomnieć o ziejącej w dole bezdennej głębi, Kelida liczyła kroki. Most był dość szeroki, by mogli iść obok siebie, dziewczyna jednak uważała, iż jest stanowczo za wąski.

Odgłos kroków wzmagął się, jakby wracał odbity od coraz bliższych ścian. Kelida westchnęła i zabrzmiało to bardzo podobnie do jęku wiatru, błakającego się wśród górskich jarów. W ten sposób przeszli przez most nad Kowadłem Ech. Stanach obejrzał się jeszcze przez ramię, potem zaś machnął ręką i wskazał kierunek marszu.

Wyczucie kierunku równie pewne jak instykt elfa wiodło ich niezawodnie na północ. Minęli mury osmalone czarną sadzą i poznaczone białymi bliznami bitew. W mrocznych zakątkach leżały szkielety wojowników, którzy padli w boju przed trzystu laty. Okrywające ich skóry i tkaniny dawno już zetlały, w szkieletach dłoni nadal jednak tkwiły miecze. Przeżarte rdzą kolczugi i potrzaskane broje nadal okrywały martwe korpusy.

Kelida trzymała się blisko Stanacha i czerpała otuchę, słysząc tuż za sobą pospieszny oddech Hauka.

Po jakimś czasie w korytarzu zaczęło się rozwidniać i nikłe, szare światło rozwiało towarzyszące wędrowcom mroki.

Kelida dojrzała zwieńczony kopułą budynek, ku któremu wiodły szerokie schody. Okazało się, że wędrowców nie otaczają już kamienne ściany. Wyszli na dość rozległy plac czy rynek.

- Świątynia - sapał Stanach. - Jesteśmy nie opodał wartowni. Słuchajcie!

Niczym szepty dawno minionych dni wokół nich rozbrzmiały brzęki kolczug i zgrzyty podkutych butów o kamienie. Po skórze Kelidy przebiegł dreszcz strachu. Hauk położył ciepłą dłoń na jej

ramieniu. Dziewczyna zachnęła się ostro, natychmiast jednak się opanowała.

- Spokojnie! - syknął Stanach. - To tylko zmiana warty. Dobrze się składa. Cokolwiek planuje Realgar, nie może zabić Hornfela na oczach obu załóg wartowników.

W swoim czasie świątynia musiała być równie piękna jak te, które pozostały w obrębie miast. Nakrywająca ją wysoko sklepiona kopuła była rozbita. Jej odłamki leżały na zakurzonej marmurze posadzki dziedzińca i widać było - pokryte teraz całunem pyłu - gwiazdy wyrzeźbione w kamieniu i czarniejsze od marmuru.

Pierwszą myślą Kelidy było pytanie, dlaczego tworzący kopułę artyści zapragnęli pokazać gwiazdy czarniejsze od nieba. Potem zrozumiała, iż owe gwiazdy pierwotnie wykonano z kutego srebra. Metal poczerniał już ze starości, niegdyś jednak odbijał drżące światło pochodni i kaganków i w taki sposób wyrzeźbione gwiazdy naśladowały blask prawdziwych gwiazd.

Do centralnego ołtarza wiodło szerokie przejście, wyłożone płytami czerwonego piaskowca. Po obu stronach nawy ustawiono kolumny z różowego marmuru. Niektóre z nich leżały potrzaskane. Ołtarzem okazało się kowadło wysokie na siedem i szerokie na pięć stóp. Cały ołtarz wycięto z jednego bloku obsydianu. U podstawy kowadła spoczywało coś, w czym przy bliższym przyjrzeniu się można było rozpoznać budowlę stylizowaną na ogromny młot.

Świątynia Reorxa, pomyślała Kelida. Jakże piękna musiała być kiedyś! Wzdrygnęła się na myśl, że nie opodal miejsca dawnych modłów ktoś zamierza popełnić zbrodnię.

Stanach uszedł za ołtarz i odnalazł drzwi, którymi posługiwali się kapłani.

- Tędy powinniśmy przejść do samej wielkiej hali. Całe to miejsce jest częścią kompleksu Północnej Sali Sprawiedliwości. Zbudowano tu swego czasu świątynię dla wygody oficjalnych gości królestwa. Teraz wszystko popadło w ruinę. Od tego miejsca droga powinna być łatwiejsza. Theiwarowie może i kochają się w rozwaliskach i brudzie, wartownię jednak utrzymują w dobrym stanie, bo zawsze może pojawić się konieczność skorzystania z niej.

Hauk podszedł bliżej. Milczał przez chwilę i wreszcie odezwał się szeptem: - Co znajdziemy za nią?

Zanim Stanach zdążył odpowiedzieć, usłyszeli dobiegający z zewnątrz przenikliwy wrzask agonii. Nim ucichło echo strasznego krzyku, zabrzmiał jeden, potem drugi okrzyk wzywający pomocy. Stanach śmignął przez drzwi jak bełt wylatujący z kuszy.

Hauk porwał Kelidę za rękę. W jego oczach pojawiła się obawa o nią i dziwne, dzikie pragnienie. Kelida cofnęła się o krok, rozpoznała bowiem w oczach leśnika zapal i ochotę do bójki.

- Zostań tu, gdzie jesteś! - warknął Hauk. Potem, usłyszawszy bezwzględność swego polecenia i zrozumiałwszy, że jeśli Kelida zechce pójść za nim, nie wstrzyma jej żadna siła, dodał: - Broń tych drzwi. Jeśli zdołamy pomóc Hornfelowi, tędy pewnie będziemy się wycofywać. Nie zatrzymał się nawet, by zobaczyć, czy go usłuchała.

Kelida, która została przy drzwiach i która przez dobrą chwilę słyszała jedynie dźwięki toczącej się coraz bliżej utarczki, z trudem oparła się chęci pobiegnięcia za Haukiem. Leśnik wyglądał teraz jak dziwny, bezlitosny wojownik, który pragnie jedynie zabijać.

Gdy dziewczyna chwyciła sztylet, poczuła, iż jej palce są chłodne i suche. Broń ciążyła jej w dłoni, a jednocześnie czuła, że głównia jest niezwykle lekka.

W tej samej chwili usłyszała - niczym ulotne wspomnienie z dawno minionej przeszłości - szept Lavima, który beztróska udzielał jej rad, jak używać sztyletu. „Sztylet nadaje się też do zadawania pchnięć”.

Próbując zapanować nad ogarniającą ją falą mdłości i słabością w kolanach, Kelida podkradła

się do drzwi. Zadawanie pchnięć...

Wielka hala za świątynią była nieco jaśniejsza niż porzucone od dawna zabudowania Północnej Bramy, choć światło było tu zwodnicze. Wystarczyło go jednak, by Kelida ujrzała, iż Realgar w rzeczy samej zamierza zabić Hornfela podczas zmiany warty i ma do tego sposobność. Wokół bowiem roili się krasnoludowie, noszący czarne i srebrne barwy Realgara, którzy zewsząd runęli na dwukrotnie mniej liczną grupę wartowników.

W całej sali wrzała zacięta bitwa. Stal ścierała się ze stalą, pod sklepienie sali zaś wzbijały się nie do rozróżnienia okrzyki, wieszczące czyjaś śmierć lub zwycięstwo. Nad całym miejscem, niczym chmury burzowe, wisiał odór krwi i strachu.

W samym środku zawieruchy otoczony przez licznych wrogów krasnolud zaciekle walczył o życie. Nic - prócz zjadłości szalejącej wokół niego bitki i okazywanej przezeń wrodzonej godności kogoś, kto walczy, mimo iż wie, że musi zginąć - nie wskazywało, że tym wojownikiem jest than Hylarów, Hornfel.

Hornfel bowiem był wojownikiem na długo przedtem, zanim został thanem.

Obok niego walczył ostatni z przybocznych, młody krasnolud, odziany w szkarłat i srebro, które Kelida uznała za barwy warty Hylara. Odwróciwszy się plecami do thana, odpierał ataki napastników z zaciekłością i determinacją otoczonego przez psy wilka. W środek bitwy, w owo jądro zawieruchy rzucił się Stanach. Tuż za nim pędził Hauk, który go osłaniał.

Kelida, nie myśląc już o niczym, skoczyła w bój. Nie przebiegła jednak nawet kilku kroków, kiedy bitewny tumult oddzielił ją od przyjaciół.

Ktoś uderzył ją w plecy, jakieś ramię owinęło się wokół jej kolan i dziewczyna, nie mając nawet dość tchu, by krzyknąć o pomoc, upadła na ziemię. Gdyby nie ogarniające ją przerażenie, wypuściłaby z dłoni sztylet. Wykręcając się i kopiąc desperacko prawą nogą, zdołała w końcu uwolnić rękę i podciągnąć pod siebie nogi. Następnie z trudnością dźwignęła się na kolana.

Wrzasnęła przeraźliwie, ale nie ze strachu. W jej wrzasku rozbrzmiewała wściekłość człowieka, który widzi w oczach wroga odbicie własnej żądzy krwi.

„Zadawanie pchnięć to dość zabawna sprawa... Nie zadawaj pchnięć z góry, gdy walczysz w zwarcu. Trafisz tylko w kość i rozjuszysz jegomościa. Na pewno nie zadasz mu poważnej rany. Uderzaj z dołu. W ten sposób będziesz miała spore szanse, że trafisz w coś ważnego... wątrobę lub nerkę...”

Ujawszy rękojeść oburącz, Kelida z całej mocy pchnęła sztylet przed siebie. Stal zgrzytnęła o żelazo kolczugi. Dysząc ciężko, instynktownie zmieniła cel ataku i pchnęła krasnoluda w grdykę.

W górę, niczym szkaradna fontanna, bluznął strumień krwi i strażnik Realgara runął martwy na ziemię.

Kelida wstała z trudem, zwalczając ogarniające ją od widoku krwi torsje. Znowu coś uderzyło ją z tyłu. Trochę na oślep odwróciła się i pchnęła nożem, chybiła, natychmiast jednak wymierzyła napastnikowi podstępnego i złośliwego kopniaka w... brzuch. Przeciwnik schylił się, wydając okropny charkot. Kelida instynktownie uniosła w górę kolano i nie bez satysfakcji usłyszała trzask pękającej szczęki.

Serce dziewczyny waliło jak szalone, gdy odwracała się, by sprawdzić, czy na krótką chwilę ma spokój.

Tłumiąc torsje i chęć ucieczki, rozejrzała się za towarzyszami. Gwardziści w wyszywanej srebrem czerni nadal okrążali ludzi Hornfela, choć ich przewaga nie była już tak przytłaczająca. Przerastający ich wzrostem i przypominający rozjuszonego niedźwiedzia, Hauk odpierał wrogów usiłujących zająć Stanacha od tyłu.

Stanach, który dotarł już na odległość ramienia do swego thana, odciął właśnie mieczem głowę Theiwara. Były czeladnik płatnerza jednym kopnięciem odrzucił trupa precz i wyciągnął prawą, owiniętą zakrwawionym bandażem dłoń do Hornfela.

W tej samej chwili waleczny i ostatni obrońca thana runął na ziemię, powalony ciosem sztyletu, który utkwił mu między żebrami. Gdy Stanach dotknął thana, ten odwrócił się błyskawicznie.

Pokryty krwią zabitych gwardzistów, Hornfel dziko łypiąc szeroko rozwartymi w bojowej furii oczyma, oburącz uniósł miecz w górę i wymierzył potężny cios. Kelida krzyknęła ostrzegawczo.

Rozdział dwudziesty ósmy

- To MY! - ryknął Stanach. - Wodzu, to my! Przybyliśmy na pomoc!

Tym, co przekonało Hornfela, iż Stanach nie należy do wrogów, nie była jego słowna deklaracja. Stanach natychmiast poparł ją czynem, odrąbując mieczem ramię Theiwara, który z krótkim kordem rzucił się na plecy thana. Następnie jednoręki krasnolud, nie odwracając się nawet, cofnął ostrze i rozplątał brzuch kolejnemu wojownikowi derro.

Hornfel pokazał zęby w oszczędnym uśmiechu wojownika, który w zamęcie bitwy rozpoznał przyjaciela. Ten brodacz okazał się przyjacielem. Podobnie jak zwalisty człowiek, który osłania mu grzbiet. Miecze obu nieznanym ociekały krwią. W oczach obu sojuszników gorzał zapal

bitewny nie ustępujący żarowi guyll fyr.

Stanach tymczasem, korzystając z krótkiej chwili wytchnienia, rozejrzał się po sali. Jego spojrzenie przypominało wzrok wilka, który otoczony w jarze przez myśliwych szuka drogi ucieczki. Tak jak drapieżnik pragnął wydostać się z pułapki i tak jak on drżał na całym ciele. Gdy znalazł drogę, gdy dostrzegł szczelinę w zaciskającym się wokół łańcuchu wrogów, jego oczy pojaśniały odrobinę.

Gwardziści Gneissa odparli napastników i przez moment Hornfel został tylko w towarzystwie obrońców - człowieka i jednorękiego krasnoluda. - Kto był na wartowni? - wrzasnął Hauk.

- Nikt. - Hornfel zaczerpnął tchu i spojrzał na leżącego u jego stóp, poległego w obronie thana wojownika Daewarów. - Zamierzaliśmy ją zająć, kiedy nas zaatakowali.

Młody człowiek wzruszył ramionami i uśmiechnął się szeroko, co wydało się Hornfelowi nie na miejscu wśród tylu trupów. - Idziemy, Stanach?

Stanach kiwnął głową, oczyma jednak nadal przeszukiwał wielką salę. Hornfel usłyszał nagle, jak z ust jednorękiego wrywa się krótkie i ciche przekleństwo. Stanach trącił łokciem towarzysza z tyłu i wskazał mu coś sztywną dłonią.

Podążając wzrokiem za gestem Stanacha, than Hylarów ujrzał przypartą plecami do jednej z marmurowych kolumn dziewczynę. Hornfel ujrzał, że nieznanoma ma zakrwawione dłonie i bladą jak tarcza Solinari twarzyczkę. Odpierała ataki trzech odzianych w czerń i srebro napastników jedynie sztyletem wspieranym celnymi, podstępnie wymierzanymi kopniakami, do których uciekała się, gdy zawodziła ją stal. Zdawało się jednak, iż niezbyt długo utrzyma swą pozycję, wrogowie bowiem byli zajadli. - Hauk! Biegnij do Kelidy! Pomóż jej i gońcie do wartowni! Stanach poprawił rękojeść miecza w dłoni i kiwnął głową thanowi. - Wodzu, będę cię osłaniał.

Choć jednoręki krasnolud pozostał jego jedynym przybocznym, Hornfel nie uważał, że ma zbyt słabą ochronę. Ruszył więc biegiem ku wartowni.

Fujara badał granice swego świata, kiedy tylko miał na to dość czasu, i odkrywał, że za każdym razem może sięgnąć nieco dalej. Nie chodziło o to, iż miał większą swobodę ruchów, rozciągały się po prostu granice obszaru, do których mógł sięgnąć świadomością.

Nie był skrępowany żadnym kierunkiem wiodącym w tył czy do przodu, w górę czy w dół. Mógł słyszeć wszystko, co słyszał jego towarzysz, a nawet więcej - słyszał myśli otaczających go osób.

Dzięki temu właśnie zdał sobie sprawę z faktu, iż wbrew temu, co sądzili Tyorl, Lavim i leśni, nie są w wąwozie sami.

Ciasne ściany jaru tworzyły idealny komin dla dymu, wąwóz pełen był ryku i trzasku płomieni, które szalały na zboczach góry. Tyorl zaklął siarczyście.

Powietrze gęste było od ciężkiego, czarnego dymu i duszącego zapachu spalenizny. Po twarzy elfa ciurkiem płynęły łzy i okropnie piekły go oczy.

Tyorl zapytał sam siebie, czy Fujara ciągle czyta w jego myślach, i roześmiał się niewesoło. Finn z pewnością orzekłby, iż ktoś, kto godzi się wziąć ducha za przewodnika, zrobiłby lepiej zastanawiając się, czy przypadkiem nie zwariował.

Gdzieś w przodzie byli przepatrujący szlak Kem i Finn, niewidoczni, lecz dający o sobie znać okropnym kaszlem. Podążający z tyłu Lavim nie robił hałasu poza, oczywiście, lekkim posapywaniem.

Tyorlowi wcale nie podobał się ów dźwięk, przypominający poświst wiatru w trzcinach. Gdy odwrócił się, by zobaczyć, jak kender sobie radzi, zrozumiał natychmiast, że bez pomocy Lavim nie dotrze do końca wąwozu.

- Lavim, nie mamy czasu na odpoczynek. Pozwól, że ci pomogę. - Chwycił kendera za ramię i podtrzymała go. Potem przysiadł obok niego.

Lavim potrząsnął głową. - Nie - wycharczał. Czuję się świetnie, naprawdę.

Nie wyglądał jednak tak, jakby czuł się świetnie. Osiadła na jego twarzy sadza nie była dość gęsta, by ukryć szarą jak papier cerę kendera, załzawione oczy były zaś mętne ze znużenia. Brudne, ciężkie powietrze nie na długo wypełniało płuca Lavima, natychmiast bowiem wyrzucał je chrapliwy kaszel.

- Lavim, dajże spokój. - Elf objął ramiona kendera łagodnym, lecz mocnym uściskiem. - Proszę... Nie mam czasu na spory. No, wstawaj. Włóż mi na plecy i siedź tam, dopóki nie wydostaniemy się na teren, gdzie będzie można przynajmniej oddychać.

Lavim ponownie potrząsnął głową, a jego popękane war-gi rozciągnęły się w uśmiechu, w którym było tyleż dumy, co uporu. - Dam sobie radę... zapewniam cię, że... W Tyorlu coś nagle pękło boleśnie, jakby ktoś zaciął go biczem. - Nie spieraj się!

W tej chwili stracił z oczu kendera, oszołomionego ostrością krzyku i gapiącego się nań szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma, a ujrzał przed sobą twarze ludzi, Których dawno już uznał za straconych i przepadłych

wśród wojennej zawieruchy. Hauk i Kelida.

Ujrzał towarzyszy, obok których walczył wiosną, martwych teraz i żyjących jedynie we wspomnieniach.

Zobaczył młodego Lehra, który stawił czoło czarnemu smokowi i zginął. I... owszem, ujrzał też maga Fajarę. Otaczają mnie duchy!

- Nigdy więcej! - krzyknął załamującym się głosem. Ujrzał, że Lavim mruga oczami ze zdumienia i przez chwilę nie umiał zrozumieć zaskoczenia kendera - tak bardzo pogrążył się w zalewającej go fali żalu i strachu. - Posłuchaj, Lavim! Nigdy więcej!

Ujrzał, że jego zaciśnięte na ramieniu kendera palce zbieleły, i zrozumiał, iż uścisk musi sprawiać Lavimowi dotkliwy ból. Próbował nieco rozluźnić chwyt, nie zdołał jednak tego uczynić. Nie wiedział nawet, dlaczego i po co to robi, ale trzymał kendera tak, iż nawet śmierć nie mogłaby rozluźnić jego palców.

Lavim szarpnął się, po chwili jednak uspokoił się niespodziewanie. Nakrył nawet dłoń elfa własną dłonią. Kiwając głową, jakby nagle coś zrozumiał, zdołał się też uśmiechnąć.

- Niech będzie, Tyorl. W porządku. Myślę, że trochę odpocznę. Na barana, to na barana. Lepiej jednak się pospieszmy, bo zgubimy Finna.

Objąwszy ramionami szyję elfa, usadowił się na jego biodrach najwygodniej, jak tylko dało się w tej sytuacji, zadbał wszakże o to, by równo rozłożyć swój ciężar. Nie ważę chyba zbyt wiele, pomyślał przy tym.

- On uważa, że ważysz mniej niż na poły zagłodzone dziecko - powiedział Fujara. - Jeśli idzie o to zagłodzenie, to masz rację. - Co znowu? - Tyorl rozejrzał się dookoła. - Fujara mówi, że jesteśmy prawie na miejscu.

- Nie, wcale tak nie powiedziałem. - zaoponował Fujara. - Ale masz rację, jesteśmy prawie na miejscu. Możesz mu powiedzieć ode mnie, że wiem, co robię, i wcale się nie zgubiłem. Jeszcze miłą w dół tym wąwozem i będziemy przy Północnej Bramie. - Tyorl, jeszcze tylko mila. Mogę już...

- Nie złaż z jego grzbietu. Pomoc, jakiej ci udziela, jest jedyną rzeczą, którą może teraz się wykazać. Tak przynajmniej uważa. Nie odrzucaj tej pomocy - radził Fujara.

-
- Dobrze jest odpocząć... dziękuję ci, Tyorl - westchnął Lavim. - Fujara chce ci przekazać, że wie, co robi, i wcale się nie zgubił. Nagłym sapnięciem elf wyraził zaskoczenie.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby zechciał łaskawie przestać czytać w moich myślach. - Głos Tyorla ociekał sarkazmem.

- Bywają chwile, w których doskonale cię rozumiem - skwitował Lavim.

Fujara jednak nie wytrzymał. Zaledwie Lavim zdołał przyzwyczaić się do dość nierównego rytmu kroków Tyorla - który bardziej niż cokolwiek innego przypominał kenderowi stąpanie trójnogiego, kulejącego kucyka - kiedy mag znów wtargnął do jego myśli. - Smok! - krzyknął Fujara. - Smok! - kwiknął Lavim. - Smok... - sapnął Tyorl. - Gdzie? - Na górze! - podpowiedział Fujara.

- Na górze. - Stary kender żwawo zeskoczył z pleców elfa, wyszarpnął z pochwy sztylet i podbiegł w stronę leśnych. - Finn! Kem! Na górze jest smok!

- Co to znaczy na górze? Gdzie konkretnie? - Tyorl zdążył złapać kendera za ramię i zatrzymał go.

Lavim wzdrygnął się i zacisnął powieki, mijał się bowiem pomiędzy pytaniami Tyorla i odpowiedziami Fujary. Czynił, co mógł, by wszystko poukładać, w głowie miał jednak zamęt, który tworzyło echo głosu Fujary, jego własne myśli oraz żądania Tyorla i leśnych.

Mówiąc do wszystkich naraz i czując się, jakby gadał sam ze sobą, Lavim spróbował udzielić zadowolających odpowiedzi. - Gdzie? Tyorl, tam, na szczytach... wysoko... za grzbietem... Co? Co mówisz? Dobrze już, dobrze!

Jakby z oddali słyszał, że Finn pyta o coś, Tyorl zaś mu odpowiada. Lavim chwycił elfa za ramię. Serce kendera waliło niczym młotem, a z jego piersi wydobywał się chrapliwy oddech. - On zabije thana Hylarów! Tego jegomościa, o którym mówił Stanach! - Kogo? Lavim, o czym ty gadasz? Gdzie jest ten smok? - Smok jest na górze, za szczytami, nad Thorbardinem.

- Lavim potrząsnął głową, by zebrać myśli. - Jest też mag, krasnolud, który zamierza zabić thana Stanacha. Teraz właśnie o tym myśli. Zamierza zrobić to w najbliższym czasie i zanoszą się tam na bitwę lub coś w tym rodzaju. - Tam jest Stanach! I Kelida! -

Oszołomiony nowinami Tyorl jedynie gapił się na Lavima. Finn zaś nie wytrzymał. - Kenderze, co ty gadasz? Stanach i dziewczyna nie żyją.

- Tyorl, Fujara wie, co mówi. - Lavim zwrócił się do Tyorla, szarpiąc go za ramię. - To wszystko zdarzy się lada moment... Stanach od dawna bał się właśnie tego!

Tyorl nie wątpił w to, że Lavim mówi prawdę. Rozglądając się dookoła, powiódł wzrokiem po zasnutym dymem wąwozie i cieniach zbierających się na górskich zboczach. Cienie smoka i wojny.

Wyczuł niedowierzanie Finna. - Lavim - odezwał się, starannie dobierając słowa. - Uspokój się. Spytaj Fujarę, czy to wszystko dzieje się teraz.

- Nie, ale niedługo przyjdzie wam czekać - odpowiedział Fujara Lavimowi.

- Teraz nie... ale niedługo przyjdzie nam czekać. - Lavim potrząsnął głową. - Tyorl, musimy dostać się... - Gdzie jest Stanach i Kelida?

- W Thorbardinie. Są z... - Lavim przechylił głowę w bok i przez chwilę słuchał bezgłośnych wyjaśnień martwego maga. Wytrzeszczył oczy ze zdumienia. - Są z Haukiem. Jest zdrow i cały! Fujara powiada, że jesteśmy niemal u samej Północnej Bramy. Musimy jeszcze przejść tylko ćwierć mili w dół tym wąwozem, być może zdążymy.

- Owszem, może zdążymy - prychnął Finn. - A może zabłądzimy. Tyorl, dym zgęstniał tak, że prawie nie widzimy własnych ramion. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że w ogóle nie trafimy do Bramy.

- Nie, wcale nie - odparł natychmiast Lavim. - Przed Bramą wąwóz robi się bardzo wąski i przechodzi w skalną półkę. Ma ona może z pięć stóp szerokości. Na pewno nie zabłądzimy.

Finn spojrzał na kendera, jakby się zastanawiał, czy ów kpi, czy o drogę pyta. - Lepiej by było, gdybyśmy nie zbłądzili. Dolina leży tysiąc stóp niżej. Co na to ten twój duch?

- Powiada, że powinniśmy uważać, by nie spaść. - Twarz Lavima wyrażała w tej chwili samą niewinność. - Mówi też, że pewnie nie byłbyś rad, gdyby smok przyłapał nas na zboczu, lepiej więc będzie, jeśli się pospieszymy.

Gniew Realgara był równie niszczący, jak szalejące w dolinie płomienie guyll fyr. Zasadzka, którą zgotował Hornfelowi, zawiodła! Wściekłość maga była tak wielka, iż czerwone opary przyćmiły mu wzrok. Słyszał tylko własne, gniewne myśli i zaledwie zwracał uwagę na jęki konających

- własnego gwardzisty i Daewara, który poległ w obronie Hornfela. Potem, z góry wznoszącej się nad Thorbardinem, dobiegły go chłodne i mroczne myśli Darknighta. Realgar odebrał je jako gniewne warknięcie i nie pozwolił im umknąć. Theiwar nie bez trudności przeszedł na mowę myśli. - Jesteś gotów? - Tak. Czuję głód i wietrzę krew.

- Cierpliwości, przyjacielu. - Na ustach Realgara pojawił się złowrogi uśmiech. - Wkrótce będziesz miał żarcia do woli. Będziesz mógł wybierać wśród ziomków Hylara.

Darknight nieco się uspokoił. Nikłe nici jego pragnień przez chwilę jeszcze błąkały się w duszy Realgara, wtórując jego własnym życzeniom.

Realgar przesunął kciukiem po jelcu Ostrza Burzy i przez chwilę sycił wzrok widokiem krwistego, pulsującego, lśniącego zboczą, który to obraz podsycił dziki łomot jego serca. W wielkiej sali zapadła cisza, przerywana jedynie jękami konających i rannych. Popękane i potrzaskane płyty i brukowce dziedzińca splamiły się świeżą krwią, która zbryzgała również ściany i kolumny. Jego dwudziestu przybocznych leżało obok trzydziestu trupów obrońców Hornfela.

Nie zabił jednak wszystkich. Realgar zaklął paskudnie. Powinien był zabić więźniów, potem zaś postarać się, by czeladnik Hammerfella nie wyszedł ze starcia żywy!

Właśnie... to czeladnik pomieszał mu szyki. Gdyby nie on, rosły wojownik i dziewczyna nadal siedzieliby po ciemku w Głębokich Pieczarach i bezradnie czekali na chwilę, w której Realgar znajdzie trochę czasu, by z nimi skończyć.

Gdyby nie wmieszał się ten wypierdek, Hornfel nie siedziałby teraz w wartowni.

Realgar zamknął oczy i odetchnął głęboko, usiłując się opanować. Powoli udało mu się uporządkować myśli. Wraz ze spokojem pojawiło się rozwiązanie problemu.

Prawda, że dwudziestu jego krasnoludów legło trupem, pozostało jednak jeszcze sześciu - a

sądząc po ich minach, chętnie pomściliby śmierć towarzyszy. Było ich za mało, by szturmować wartownię, temu jednak łatwo mógł zaradzić. Oczywiście, sprowadzenie posiłków trochę potrwa, nie tak długo jednak, by Hornfel i jego trzech nowi obrońcy ośmielili się podjąć próbę przedarcia się przez halę.

Wkrótce zresztą, rozmyślał Realgar, than Hylarów będzie miał dość tej dziury. A żadną miarą nie zdoła stamtąd zbiec. Dwie zmiany warty wybite do nogi, jego przybocznicy również dali gardła. Nie znajdzie sposobu, by

posłać po pomoc. Realgar wybuchnął śmiechem. Już wkrótce każdy, kto będzie pragnął przyjść z pomocą Hornfelowi, będzie miał pełne ręce roboty, odpierając ataki buntowników.

Rozkoszując się świadomością, że głęboka na tysiąc stóp przepaść za Bramą odcina Hornfelowi drogę odwrotu - a nawet jeśli Hornel ryzykowałby, już Darknight postara się obrzydzić Hylarowi myśl o ucieczce w dół! - Realgar wezwał jednego z gwardzistów. - Sprowadź pięć drużyn, do Północnej Bramy. I niech się pospieszą.

Gwardzista pobiegł, nurkując w sieć podziemnych korytarzy, ciągnących się pod ruinami świątyni. Byli tam Theiwarowie, gotujący się do napaści na siedzibę Klarów. Pomiedzy nimi wysłannik znajdzie derro, którzy odpowiedzą na wezwanie swego thana. Realgar raz jeszcze pogładził głownię Ostrza Burzy.

Hornfel słuchał jęków konających. Siedząc w wartowni, nie wiedział, czy umierają przyjaciele, czy wrogowie. Mięśnie thana drżały z wyczerpania, które zazwyczaj odczuwa się dopiero po bitwie, jego płuca z wysiłkiem wciągały powietrze, przesycone zapachami zbliżającego się guyll fyr. Hornfel oparł się o wyciąg starego, potężnego mechanizmu wrót. Dla thana Hylarów nie miało znaczenia, kto wydawał jęki. Zdradzieccy Theiwarowie i niezłomni wojownicy Gneissa przede wszystkim byli dlań krasnoludami, teraz konającymi.

Wzdrygnął się. Nieważne, czy uznawali ten fakt, czy nie, byli jednej krwi. Bracia podnieśli broń przeciwko braciom - jak za czasów Wojen o Bramy Krasnoludów.

Wtedy, pomyślał z goryczą, walczone o prawo do życia. Teraz walczą o władzę.

Realgar posiadał Królewski Miecz. Hornfel ujrzał dziś Ostrze Burzy po raz pierwszy. Głownia o ognistym zboczcu, osadzona w złotej, zdobnej szafirami rękojeści kosila wojowników Gneissa niczym sierp młode zboże. Królewski Miecz wrócił do Thorbardinu.

Słyszał za sobą odgłos niespokojnych kroków tego człowieka o dzikim spojrzeniu... Hauka. Godne nosił imię. Podczas bitwy walczył z zabójczym instynktem drapieżnika i z błyskiem w oku, jaki Hornfel widział kiedyś u pojmanego jastrzębia.

Dziewczynę o szczupłej, wymizerowanej twarzyczce nazywali Kelidą. Hornfel zastanawiał się, kto ją tak nazwał i czy chrestny wiedział, że gdyby w jej imieniu zmiekczyć „d”, w mowie krasnoludzkiej uznano by ją za Wędrowniczkę. Keyle dtha: ta, która wędruje. Jego ramienia dotknęła czyjaś dłoń. Than podniósł wzrok i spojrzał w

czarne, zabarwione niebieskimi plamkami oczy syna Clarma Hammerfella. - Winien ci jestem życie - westchnął than.

- Thanie Hornfelu, nie rób rachunków, zanim nie wydostaniemy się z opresji. - Dobra to rada, młodzieńcze.

Stanach uśmiechnął się krzywo. Grymas był pełen goryczy, złagodził jednak ostrą, czerwoną bliznę po nożu.

- Nie inaczej. Zgodnie z tym, co mówi nasz nieposkromiony przyjaciel Hauk, siedzimy tu jak w saku i pozostaje nam tylko czekać, aż zjawią się łowcy, by nas wybrać - stwierdził Stanach. - Co o tym sądzisz, thanie?

- Myślę, że się nie myli. Droga ucieczki wiedzie przez wielką halę lub przez bramę. Nie umiemy latać i jest nas tylko czworo. Wiesz zaś, że Realgar wzywa już posiłki. Jednak, jeśli łowcy zechcą nas pojmać, będą musieli przyjść tutaj. Jeśli zaś to uczynią, niech Reorx ma ich w opiece. -Będą musieli mocno się natrudzić, by wziąć swój łup. Jest nas mało, mamy za to pod dostatkiem najróżniejszego oręża. To jest wartownia i zbrojownia zarazem. - Stanach poważnie kiwnął głową. - Poczekaj... -Than odetchnął i zadał pytanie, na które odpowiedzi obawiał się od początku tej rozmowy: - Co z Kyanem-Czerwonym Toporem i Fujarą?

- Ich groby są Na Zewnątrz, thanie - odparł Stanach. Nie potrzebował dodawać nic więcej. Górskie krasnoludy wiedzą, że nie można spokojnie powiadomić kogoś o śmierci przyjaciela.

- Poszukaj dla dziewczyny czegoś lepszego niż ten jej sztylet -powiedział miękko Hornfel. Potem jego głos stwardniał. - Dla Hauka nie znajdzie się tu żadnej kolczugi czy hełmu, ale na nią coś powinno pasować. Zobacz, czy nie da się znaleźć również i czegoś dla nas. Mało nas, ale Realgar będzie miał nie lada orzech do zgryzienia.

Keyle dtha. Ta, która wędruje. Odziana w myśliwski strój elfów i znaną gdzieś, zbyt szeroką w ramionach i za krótką krasnoludzką kolczugę, Kelida przestępowała z nogi na nogę, przyzwyczajając się do ciężaru zbroi.

Korytarz wartowni od strony zachodniej przylegał do kwater straży. Do przeciwległej ściany pomieszczenia przymocowano kilka niewygodnych prycz, przy pozostałych ścianach umieszczono stojaki na włócznie, kusze i miecze. Obok drzwi stały skrzynie z kołczanami pełnymi strzał i bełtów do kusz.

Z bramy sączyło się do pokoju niktłe światło słoneczne, w powietrzu czuło się mocny zapach dymu. Guyll fyr, pomyślał Stanach. Z bramy widział pożar jako jedno wielkie morze płomieni. Oddzielony jedynie wąską półką przepaści głębokiej na tysiąc stóp czuł się tak, jakby stał na krawędzi świata.

Potrząsnął głową widząc, że Hauk pomaga włożyć Kelidzie lśniący hełm. Osłona nosa przeszkadzała dziewczynie, ograniczała jej bowiem pole widzenia. Dziewczyna skrzywiła się z dezaprobatą, która przerodziła się w nieśmiały uśmiech.

- Lyt chwaer, spróbuj patrzeć mimo osłony, tak jak patrzysz spod dłoni, kiedy osłaniasz nią oczy przed słońcem. Nie zwracaj uwagi na osłonę.

Dziewczyna niezręcznie kiwnęła głową, przeszkadzał jej ciężar, do którego noszenia nie nawykła. - Stanachu, czuję się głupio. Jak dziecko, które bawi się w przebieranki. Z łagodnością, o jaką wcześniej Stanach nie podejrzewałby go, Hauk poprawił hełm dziewczynie i pogłaskał ją po policzku, następnie lekko uniósł jej brodę i delikatnie pocałował.

Stanach ujrzał, że dziewczyna zadrżała, odwrócił więc głowę i powiedział: — Głupio czy nie, jest to jeden z przypadków, kiedy strój dyktują okoliczności. Byłbym szczęśliwszy, gdybyś miała miecz.

- Nie, z mieczem sobie nie poradzę. Wolę sztylet. - Oczy rozbłysły jej niespodzianie, musnęła kciukiem rękojeść sztyletu.

W tych słowach Stanach usłyszał echo wskazówek i pouczeń Lavima i mimo woli uśmiechnął się pod wąsem.

- Owszem - mruknął Hauk - a jeśli sztylet ją zawiedzie, ci, którym przyjdzie dowiedzieć się, jak ona umie kopać, gorzko tego pożałują. -Delikatnie skierował dziewczynę w stronę drzwi. - Kelido, weź ze stojaka kilka mieczy i zanieś je Hornfelowi. Wybierz najlepsze... on jest thanem Hylarów. Stanach i ja zadowolimy się tym, co pozostanie.

Gdy dziewczyna wyszła, Hauk przysiadł na twardej pryczy. Czułość, która brzmiała w jego

głosie, gdy mówił do Kelidy, zniknęła natychmiast, jakby to uczucie było mu całkiem obce. - Stanachu, przyjdzie nam tu zginąć. - Nie założę się, że będzie inaczej.

- Ani ja. - Hauk uśmiechnął się ponuro. - Słyszałem, że mówisz do niej lyt chwaer. Co to znaczy? - To po krasnoludzką... siostrzyczko.

- Dobrze, jeśli naprawdę tak o niej myślisz. Stanach rozejrzył się dookoła. Owszem, pomyślał, to ona nauczyła mnie znaczenia tego słowa. - Krasnoludy niechętnie przyznają obcym prawa członków rodziny.

- Rad jestem. - Przez twarz Hauka przemknął cień uśmiechu. - Przyjacielu, wpakowaliśmy się w paskudną kabałę. Dziewczyna poszła do

- thana z zapalem godnym wojownika, nie posiada jednak odpowiednich umiejętności. Ci, z którymi przyjdzie nam walczyć, nie będą mieli względów dla dziewczyny. Zginie pierwsza i ty o tym wiesz. Czy jest jakaś droga, którą można by ją stąd wyprowadzić? Albo jakaś kryjówka?

- Może tylko zabarykadować się tutaj. - Stanach potrząsnął głową. Gdy ujrzał, iż Haukowi spodobała się ta myśl, dodał z brutalną szczerością: -Nigdy nie zdołasz jej do tego namówić. Powiem tylko tyle, Hauk: ta dziewczyna przeżyła napaść i zniszczenie swego domu przez smoka, przeżyła okupację Long Ridge i ucieczkę przez Równiny Śmierci. Nie da się przekonać, że powinna poszukać tu kryjówki. Myślę zresztą, że nie powinienes nawet jej tego proponować. Potraktuje to jak nie zasłużoną zniewagę... a winniśmy jej szacunek. W tej samej chwili usłyszeli ciche nawoływanie Hornfela. - Stanachu, już czas. Przybyli... i jest ich wielu. - Rozdział dwudziesty dziewiąty

Tyorl miał płuca pełne dymu, który przyniesiony został tu przez wiatr dmiający od strony wąwozu i pożaru w dolinie. W sercu elfa wzbierała czarna, odbierająca wszelką nadzieję, rozpacz. Tyorl wyobrażał sobie, że wycie wiatru pośród skał jest bojowym wrzaskiem smoka.

Powtarzał sobie, że nie wyczuwa smoczego smrodu. Choć prawdę rzekłszy, niełatwo byłoby zwęszyć w tym dymie coś innego od woni spalenizny i pożaru!

Nie umiał też pozbyć się okropnego wrażenia, że obserwuje go uważnie wielka i śmiertelnie niebezpieczna, zbrojna w kły i szpony, bestia, która czeka cierpliwie, aż będzie mogła go dosięgnąć.

Ale strach przed smokiem porównany z lękiem przed wysokością, na jakiej się znajdowali, wydawał się tropicielowi bezpodstawnym, nocnym lękiem małego dziecka.

Rzucił za siebie szybkie spojrzenie przez ramię. Współ z Lavimem mieli przepatrywać szlak. Siły kendera wznosiły się proporcjonalnie do stopnia jego fascynacji przygodą. Jak wszyscy zaś jego ziomkowie, Lavim tym bardziej oczarowany był przygodą, im większe zawierała w sobie niebezpieczeństwo. Tyorl zaś był jedyną osobą, która potrafiła poskromić nieco skłonność Lavima do wyskakiwania naprzód, zerkania za skalne grzbiety czy wdrapywania się wysoko po skalnych stromiznach jedynie po to, by pogapić się w dół na płonąca dolinę.

Tyorl, którego nogi drżały z wyczerpania, oparł się plecami o oszroniony głaz, niegdyś pewnie wmurowany w Północną Bramę Thorbardinu. Elf zamierzał odpocząć tu chwilę czekając, aż dotrą doń Finn i Kem, wspinając się po rumowisku drobnych skał i żwiru. Łoskot i grzechot kamieni, które potracali podczas wspinaczki, echem odbijał się w sercu Tyorla.

Lavim, który wysforował się do przodu, stał tymczasem spokojnie na półce skalnej nie szerszej niż długość jego stopy i zabawiał się zrzucaniem kamieni w omiataną wiatrami przepaść.

Opanowując nagły zawrót głowy, Tyorl zamknął oczy, lecz szybko odkrył, iż ciemność jest jeszcze gorsza, przełknął więc bezradnie ślinę i zmusił się do otwarcia powiek.

Moc bogów, którą uwolnili podczas Katakliizmu, w sporej części skupiła się na potężnych ścianach Północnej Bramy, zniszczenia były rozmaite. Gdzieniegdzie - jak w miejscu, gdzie pomiędzy

głazy wcisnął się odpoczywający elf - niczym rany w cielsku góry, spod piargów wyzierała surowa skała. W innych miejscach gładkość obróbki świadczyła o zachowaniu tradycji i wysokim kunszcie krasnoludów kamieniarzy. Na skalnej półce największe niebezpieczeństwa czyhały w niszach i na osypiskach, zawalonych gromadzonymi od setek lat kamieniami.

W niektórych miejscach szlak zwężał się do szerokości trzech stóp. Na szczęście, na tych właśnie odcinkach z braku miejsca nie gromadziły się piargi, wówczas bowiem nawet orzeł z trudem zdołałby wylądować na takiej ścieżce!

Obok elfa przystanął Lavim, którego okryta sadzą gęba zdradzała najwyższe ukontentowanie.

- Tyorl, czy to nie cudowne? Widać stąd cały świat! Wszystko! Widziałem Moczary i chyba Górę Trupiej Czaszki. Tam już się nie pali, znaczy, na bagnach. A Góra Trupiej Czaszki, tak czy owak, nie mogła się spalić, bo jest z kamienia.

- Założę się, że można by zobaczyć stąd Long Ridge, przeszkadzają tylko te szczyty. Można by sięgnąć wzrokiem aż do morza, do Enstar i zobaczyć, co leży za nim! Znaczy, jeśli w ogóle coś tam jest. Nie jestem pewien.

- Ojciec mówił mi kiedyś, że za morzami są inne kraje, nigdy jednak nie spotkał kogoś, kto był tam osobiście. Myślę, że zamorskie ziemie istnieją. Może jacyś ludzie kiedyś tam dotarli i tak im się spodobało, że zostali tam.

Kiedy wiatr dmący w dole zawył odrobinę głośniejszy, niepoprawny i beztroski Lavim podniósł głos.

- Wiesz, kiedy po przejściu przez Równiny przedzieraliśmy się przez wzgórza, myślałem już, że czas dać sobie spokój z wędrowaniem po świecie, ale zmieniłem zdanie. Tyorl, myślę, że - kiedy już uratujemy tego Hornfela i odnajdziemy Hauka, Stanacha i Kelidę - wybiorę się, by zobaczyć, co leży za Enstar...

-

Kender przez długą jeszcze chwilę zastanawiał się, jak też wyglądają owe kraje leżące za Enstar; spekulował, do kogo podobni są zamieszkujący je ludzie; obliczał, ile czasu zajmie mu dotarcie do tych krain, i rozważał, czy dotarł tam przed nim jakiś kender...

Tyorl westchnął i pozwolił mu trajkotać, niezbyt uważnie przysłuchując się jego opowieściom. Próby uciszenia kendera były bezcelowe. Jeśli - jak ostrzegał ich Fujara - na tych turniach zaczął się gdzieś smok, to doskonale wie, że zbliżają się do Bramy.

Z drugiej strony łatwiej byłoby powstrzymać lawinę, niż uciszyć podnieconego kendera. W tak oratorskim nastroju Tyorl nie widział Lavima od czasu, gdy wyszli z bagien. Wtedy zaś z lekkim zdziwieniem odkrył, iż brakuje mu nieustannego trajkotania kendera.

Na skalną półkę wszedł Finn, spocony i z załzawionymi od wiatru oczami. Tuż za nim przez rumowisko ostrożnie przedzierał się Kembal. Tyorl odczekał, aż obaj, oparłszy się o ścianę, dobrze usadowili się obok i wtedy zadał pytanie. - Daleko jeszcze do Bramy, Lavim?

- Tyle, co do zakrętu. - Kender wzruszył ramionami. - Widziałem ją, gdy mnie zawołałeś. Jesteśmy prawie na miejscu. - A jak sądzisz, gdzie jest smok?

Oczy Lavima na chwilę straciły swą bystrość. Potem kender uśmiechnął się i kiwnął głową, jakby przytakiwał Fajarze, który przekazywał mu informacje. Lavim wskazał dłonią urwisko.

- Tam, na górze. W skale jest wielka pieczara i w niej właśnie czatuje smok. Fujara mówi, że bestia nie jest w najlepszym nastroju. Smok należy do czarnych, te zaś nie lubią światła. W jaskini jest teraz za jasno.

- Aaa... czarny. Czy istnieje możliwość, że smok nie wyleci przed zmierzchem?

- A skądże! - odparł Lavim z irytującą zawsze i wszystkich beztroską kendera, mimo że nad jego

głową zbierają się coraz większe niebezpieczeństwa. - Fujara mówi, że smok nie cierpi światła, ale wyleci. Światło pewnie go tylko rozjuszy. Mówi też, że pewnie dlatego nie odczuwacie smoczej grozy. Bestia jest teraz nie w humorze i rozsiewa wokół tylko niewielkie niezadowolenie. Ale jeśli wpadnie w szal, to niezadowolenie wzmocni się na tyle, że z obawy nie będziecie mogli się ruszyć. - Pochyliwszy głowę, słuchał jeszcze przez chwilę i dodał: - Fujara powiada też, że smok doskonale wie, iż tu jesteśmy.

Finn zrobił minę świadcząca o tym, iż z rozkoszą udusiłby kendera za tak beztroskie wyjaśnienie sytuacji. Kiem tak cicho, jak tylko się dało,

wysunął miecz z pochwy i przysunął się do skały. - Lavim, powiedz też resztę. - Tyorl westchnął. - Jaką resztę? - Dlaczego smok jeszcze nie zaatakował? Fujara wie coś na ten temat? - No... nie pytałem... - To spytaj!

- Dobra. Ja... aaa... no, tak. Fujara mówi, że smok na coś czeka. Bestia wie, że tu jesteśmy, i wie, że kiedy tylko zechce, może nas wybrać jak raki z saka...- Finn syknął wściekle. Lavim wzruszył ramionami, robiąc grymas wyrażający oburzoną niewinność. - Cóż, przykro mi, ale takie właśnie jest zdanie smoka. - Kender niemal spopielił Finna wzrokiem. - Nie pytaj mnie dlaczego. Nie wiem, ponieważ nie wie tego Fujara. Wie tylko, że smok na coś czeka. Nie ma pojęcia, na co... może czeka na jakieś wydarzenie albo... - Lavim nie dokończył zdania. Przełknął ślinę i wyszeptał z drżeniem w głosie: - Myślę, że przybyliśmy za późno.

- Lavim! Co się stało? - Kender zbladł tak okropnie, że Tyorl, obawiając się, iż pod starym wyga ugna się nogi, złapał go za ramię. - Spóźnimy się! Och, Tyorl, spóźnimy się! - O czym ty mówisz?

Lavim wyrwał ramię z uścisku elfa i lekko utykając, ruszył przez rumowisko zalegające skalną półkę. - Lavim! Nie! Poczekaj! Tyorl odruchowo wyciągnął rękę, by złapać kendera. Chybił.

Elf stracił równowagę, wykręcił nogę w kostce i upadł na jedno kolano. Płomień bólu przeszył mu kolano i stopę.

Myślał jedynie o straszliwie długim spadaniu w płonąca dolinę. Czuł, że czeka go nieuchronna śmierć. Chciał krzyknąć, ale zabrakło mu tchu.

Kembał tymczasem wydał ochrypły okrzyk i chwycił elfa za ramię. Szarpnął go z całej siły i postawił na nogi. Finn nie zdążył nawet zareagować.

- Przeklęty kender! - warknął Finn. - Oby szczęście! Ze skały spadły kamienie i z łoskotem runęły w dół.

Twarz i włosy Tyorla owiał lodowaty wiatr. Serce elfa łomotało tak szybko, że niemal go nie czuł, szumiało mu także w uszach. W gardle ugrzęzła mu kwaśna, gorąca kula żółci i poczuł przyływ mdłości. Targnęły nim torsje, miał jednak zupełnie pusty żołądek.

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

Ręce trzęsły mu się okropnie i musiał dwukrotnie wyciągać dłoń, zanim zdołał uścisnąć ramię Kembala. Aby przemówić, zaczerpnął tchu.

- Nie przejmuj się kenderem - szepnął, z trudem opierając się chęci wybuchnięcia śmiechem, kiedy usłyszał krakanie, w jakie przekształcił się jego głos. - Brama jest za zakrętem. Pomóż mi, jeśli dasz radę.

- Nie. - Finn potrząsnął głową. - Posiedź tu przez chwilę i złap trochę tchu w płuca. Jeśli spróbujesz wstać, twoje własne nogi odmówią ci posłuszeństwa.

Przyciskając plecy do skały, Tyorl zdołał jakoś dźwignąć się. Podnosząc się ślizgał się plecami po skale, jakby nie chciał, by dzielił go od kamienia choćby cal powietrza. - Finn, teraz nie mamy czasu. Coś tam dzieje się wewnątrz góry. - Tak, oczywiście, utrzymuje martwy mag tego przeklętego kendera?

- Owszem - wysapał Tyorl. - Tak utrzymuje Fujara. Finn, możesz w to wierzyć albo nie. Nie zaprzeczysz chyba jednak, że Fujara albo Lavim, jak wolisz, do tej pory nie pomylił się ani razu.

Finn nie zaprzeczył. Nie przyznał też otwarcie racji Tyorlowi. Westchnął tylko przesadnie z udawaną cierpliwością. Odkrył też, że łatwiej mu patrzeć na płonącą dolinę niż w przepełnione ukrywaną zgrozą oczy elfa. Skinął więc na Kembala. - Prowadź.

Kem ostrożnie przesunął się obok nich do przodu. Tyorl ruszył za nim z twarzą bladą jak płótno. Za nim poszedł wódz i Tyorl czuł utkwiony w swoich plecach wzrok Finna.

On uważa, pomyślał elf, czy nie obsuwa mi się noga, ale przysięgam, że niełatwo mi znieść ciężar jego wzroku!

Słońce chyliło się ku zachodowi, a jego szare światło z trudem przenikało przez dym wzbijający się nad płonącą doliną. Dzierżąc sztylet i przyciskając grzbiet do skały Lavim trzymał się w cieniu i powoli podszedł do Bramy. - To musiała być ogromna brama! - odezwał się w myślach do Fujary. Fujara milczał. - Mówiłem - szepnął Lavim donośnie - że to musiała być...

- Lavim, słyszałem! Zamknij dziób! Nie ma czasu na pogaduszki. Zostało im kilka minut i lepiej by było, gdybyście dołączyli do nich, póki jeszcze możecie. - Komu zostało... - Zamkniesz się czy nie? - Komu zostało kilka minut? - Stanachowi, Kelidzie, Hornfelowi i...

- Stanach! Kelida? A co z Haukiem? Czy i on jest tutaj? Tyle o nim słyszałem, miło będzie wreszcie go poznać. Fujaro...

-

W tej chwili z głębi Bramy dobiegł odgłos powolnych i ciężkich kroków. Lavim ostrożnie zajrzał za uchylone skrzydło. Gapiąc się w mrok, zmrużył oczy i wstrzymał oddech.

Korytarzem szedł jakiś krępy krasnolud o kasztanowej, gęstej, długiej i przetykanej nitkami siwizny brodzie. W prawej dłoni trzymał miecz, w lewej zaś sztylet. Odzież nieznanego była poszarpana i mocno zbroczona krwią. - To Hornfel, than Hylarów - powiedział Fujara.

- Naprawdę? A więc tak wyglądają thanowie? Zrobiłby dobrze, gdyby się trochę przespał i...

Krasnolud zatrzymał się przy uchylonych drzwiach i oparł plecami o kamienny mur. Następnie szybko się wyprostował. Spojrzał na miecz i cofnął się w głąb korytarza. Potem pchnął bramę butem i otworzył drzwi.

- Stanachu, już czas. Przybyli... i jest ich wielu. Rzeczywiście, do korytarza wszedł Stanach, za którym podążał barczysty młodzian o potężnie zbudowanej klatce piersiowej, który mimo to wyglądał tak, jakby potrzebował nie tylko snu, ale i kilku solidnych posiłków.

Rezygnując z ostrożności, Lavim gwizdnął radośnie i pobiegł do ku wartowni. - Hej, Stanach!

Idący za Stanachem młody człowiek odwrócił się i zamachnął się błyskawicznie mieczem. - Nie! - wrzasnął Stanach. - Hauk, stój!

Lavim zdążył tylko kwiknąć z oburzeniem i schylić się nisko - w samą porę, by uniknąć nadziania na głownię Haukowego miecza. Utkwiwszy wzrok w lśniącym ostrzu, kender podniósł się bardzo powoli i stanął plecami do ściany.

- Hej, Stanach! - szepnął. - Nie sądzisz, że byłoby miło, gdybyś mu powiedział, że jestem twoim przyjacielem? - Spojrzał na Hauka i kiwnął głową, licząc na to, że owo kiwnięcie wypadnie przekonująco. - Możesz mi wierzyć. Kiedyś w Long Ridge ścigało go dwudziestu pięciu smokowców... i byliby go złapali, gdybym nie uratował mu życia. A potem, kiedy ci... jak im tam... złapali Stanacha w jaskini, ocaliłem go. No... Stanach pewnie nie wie, jak tam było, ale to prawda... spytaj Tyorla, kiedy tu wejdzie! Użyłem fletu Fujary i... nie byłoby nas tutaj, gdybym nie przeniósł nas prosto w te góry. No, niech będzie... może nie prosto... Wiesz, to zaklęcie sprawia, że chce ci się rzy... masz mdłości... a ja nie chciałem, byśmy pojawili się w środku miasta lub w czyimś domu i... ten... narobili zamieszania. Tak więc wylądowaliśmy na bagnach i - na

- wszystkich bogów! - ależ tam się paliło!

Stanach porwał kendera w ramiona, gniotąc mu żebra i wyciskając dech z piersi. Lavim stracił wszelką możliwość wyliczania swych dalszych zasług.

Rozdział trzydziesty

Długi rząd okien na zachodniej ścianie pracowni Gneissa wychodził na dobrze rozplanowany i usiany na przemian prostokątami kwiatów ogród.

Samą pracownię urządzono na surową, wojenną modłę. Nieliczne kilimy na ścianach przedstawiały dokładne plany legendarnych bitew. Szafy i półki wypełniono dawniej używanym i współczesnym orężem. Meble wykonane z twardego, niczym nie pokrytego drewna i kamienia mogły podobać się tylko weteranom, którzy nawykli do wojennych niewygód.

Ogród, nie większy niż sama pracownia, tworzył istny labirynt kwiatów, ziół i krzewów. Był jedną z ukrywanych uciech Daewara. Dziś do okna jednak przywiodła Gneissa nie uroda i bogactwo ogrodu, choć zazwyczaj dla nich właśnie lubił tu przystawać.

Z miejsca, w którym stał, słyszał krzyki bawiących się w ogrodzie dzieci. Były pośród nich jego wnuki. Patrząc na hałaśliwe i nieco brutalne zabawy dzieciarni, Gneiss westchnął i uśmiechnął się z zadowoleniem, które zdziwiłoby nawet jego przyjaciela Hornfela.

Ejże, Hornfelu! Gdzie się ukrywasz od paru godzin? Przyjacielu, dawno już powinieneś wrócić. Czyżby twoje milczenie, zastanawiał się Gneiss, było zwiastunem buntu? W tym samym bowiem czasie przepadł gdzieś Realgar.

Podzwaniając zbroją, Gneiss odwrócił się od okna, by zadośćuczynić potrzebom wojny. Przy stole z mapami czekali dwaj ludzie i półelf Tanis, którzy bynajmniej nie ukrywali swego zniecierpliwienia. Tanis i rycerz o imieniu Sturm studiowali mapy Thorbardinu. Ciemnooki rycerz z uwagą wodził palcem po szkicach ulic, które już znał, i starannie łączył je w pamięci z drogami prowadzącymi do Thorbardinu i szybami transportowymi, poznając w ten sposób całą sieć miejską.

Jeden z tych dwóch jest przywódcą, pomyślał Gneiss, drugi zaś doświadczonym łowcą.

Towarzyszący im uzbrojony w kirys i hełm wojownik, którego Tanis przedstawił imieniem Caramona, wyciągnął się na pobliskim krześle. Ten długonogi, o muskularnych ramionach mąż, był najroślejszym człowiekiem, jakiego Gneiss kiedykolwiek widział. Wszyscy trzej dziwnie nie pasowali do miejsca, w którym się znaleźli. Za wielcy!, pomyślał Gneiss. Wszyscy są, psiakość, za wielcy!

Krasnolud odchrząknął. W czasie wojny Gneiss był wodzem. Nigdy zaś nie był dobrym mówcą. Natychmiast więc przeszedł do sedna sprawy.

- Hornfel za długo bawi u Północnej Bramy - kiwnął głową Tanisowi. - Poszedł tam przed trzema godzinami. Wcale mi się to nie podoba. Moi zwiadowcy donoszą mi, że w miastach panuje podejrzany spokój. We wszystkich, prócz jednego. W grodzie zamieszkanym przez Theiwarów słychać szum, jak w gnieździe szerszeni. - Położył dłoń na stole. - Weźmy się do roboty.

Dość szybko określił trzem przybyszom położenie sześciu miast królestwa, znanego pod nazwą Thorbardinu, potem zaś nakreślił plan obrony, który wcześniej obmyślił wspólnie z Tanisem.

- Nadal nie wiem, czy Rance poderwie swoich wojowników, by walczyli u boku Theiwarów Realgara - kończył Gneiss. - Moi Daewarowie i Hylarowie zablokowali północne szlaki prowadzące do ich grodów. - Wskazał palcem południowy wschód na mapie i kiwnąwszy głowę Caramonowi, dodał: - Jeśli ty i połowa waszych ludzi zajmiecie przejścia pomiędzy grodem Daergarów i Wschodnimi Ciepłarniami, Sturm zaś z pozostałą częścią zamknie szlak południowy, to myślę, że buntownikom Realgara przyjdzie spędzić większą część buntu w klatce, co? - Możesz na nas polegać - zachichotał niezbyt głośno Caramon.

- Polegam, chłopcze - odparł than niewzruszenie. Następnie zwrócił się do Tanisa. - Uczyniłbyś mi, panie, zaszczyt - rzekł nieco sztywno, lecz dwornie - gdybyś zechciał przejąć dowództwo nad twoimi ludźmi. Czy macie jakieś pytania?

- Tylko jedno. - Tanis kiwnął głową, jednocześnie drwiąco i z aprobatą. - Dotyczy pewnych możliwości. - Przesunął palec na północny zachód mapy, przenosząc go nad obszarami zaznaczonymi jako miasta Theiwarów i Klarów aż do ruin Północnej Bramy. - Jakie jest prawdopodobieństwo?

- Powiedz raczej „pewność”, bo tak właśnie jest. - Gneiss niemal przebił palcem mapę w miejscu, gdzie zaznaczony był gród Theiwarów. Cień palucha zawisł niczym sztylet nad szczegółową mapą. - Tu... i jeszcze tu... zaczną się kłopoty. Tufa oddzielił już swoimi Klarami Theiwarów od Morza Urkhan. Nie są dość liczni, by powstrzymać tych pełzających drani, podeślę mu jednak kilku moich wojowników. - Ostrzegawczo spojrzął na ludzi. - Dwie bitwy, pomiędzy nimi zaś resztki zbiegów. - Sam najlepiej znasz tych ludzi - dodał. - Każ im zająć się tym, co za najważniejsze uznają twoi wodzowie, tak długo jednak jak się da, trzymajcie ich z dala od grodów. - Niezbyt ufacie swoim sprzymierzeńcom, co? - sarknął Caramon. Gneiss milczał przez chwilę, chcąc okazać cierpliwość, której jeszcze niedawno nie miał dla ludzi. Na Pierwszą z Kuźni! Chciałby mieć tylu wojowników, by obejść się bez pomocy tych zbiegów!

- Jesteście sprzymierzeńcami... i owszem - rzekł, starannie dobierając słowa. - Mój lud jest jednak zapalczywy i niechętnie współpracuje z obcymi... potem zaś jest już zwykle za późno. Rozumiecie? Oczy Caramona rozbłyły gniewnie. Tanis położył dłoń na ramieniu osiłka. Gest ten uspokoił Caramona.

Gneissa zaciekało, dlaczego półelf, który z racji mieszanej krwi rzadko musiał się spotykać z przychylnym przyjęciem ze strony innych elfów i ludzi, został uznany za wodza nie tylko przez tych dwóch, ale i przez pozostałych członków dziewięcioosobowej grupy, którzy bez żadnej pomocy uwolnili z kopalń Verminaarda ośmiuset więźniów. Był przecież wśród nich ten młody, świetny rycerz. Krasnolud spojrzął na Sturma. W oczach młodzieńca można było dostrzec co najwyżej lekkie zniecierpliwienie.

Gneiss prychnął gniewnie widząc, że Caramon się uspokoił. Jediną oznaką gniewu olbrzyma były jego zaciśnięte szczęki. Popędliwy osiłek miał jednak choć odrobinę mózgu we łbie. - Czy macie jeszcze jakieś pytania?

Nie mieli. Przez kilka chwil studiowali mapę, potem pożegnali się i wyszli z pracowni. Gneiss podszedł do okna i wtedy dotarło do niego, iż krzyki i śmiechy dzieciarni nagle się uciszyły. Ogród był pusty. Krasnolud wsłuchiwał się uważnie, usiłując złowić jakikolwiek dźwięk dobiegający z ulic za murami ogrodu. Wszędzie panowała niezwykła cisza.

W chwilę później dotarł doń z meldunkiem kapitan jego gwardii. Był zamach na życie thana Klarów. Tufa wykpił się powierzchowną raną i ruszył, by włączyć się do walki, toczącej się przy południowych krańcach posiadłości Theiwarów pomiędzy Morzem Urkhan i grodem Klarów.

- Thanie - dodał ponuro kapitan, zaciskając dłonie na rękonożce bojowego topora. - Klar powiada, że Theiwarowie rozdzielili swe siły i niemal pięćdziesięciu przedarło się do Północnej Bramy. Jego kohorty mogą utrzymać w szachu tych, którzy zostali. Obawia się jednak, że drużyny przedzierające się do Bramy działają według planu i na czyjś rozkaz.

Upewniwszy się, że broń jest należycie ostra, Gneiss zapiął pas i związał rapcie. Wiedział już, gdzie podział się Hornfel, i wiedział, dlaczego od kilku godzin nigdzie nie widziano Realgara. Przy Północnej Bramie zatrzasnęła się zastawiona na Hylara pułapka.

- Dziesięć drużyn natychmiast do mnie! - zawołał. - W czterech mają być łucznicy, pozostałe sześć... miecze i pawęże. Ty przechodzisz pod rozkazy Tufy. Weź resztę naszych ludzi i wesprzyjcie Klarów, gdzie Tufa uzna za stosowne.

Gneiss nie łudził się, że zdoła dotrzeć do ruin wartowni w porę, by ocalić Hornfela. Jednak setka krzepkich Deawarów, czterdziestu łuczników i sześćdziesięciu zbrojnych w miecze krasnoludów, rozpędzi

Theiwarów niczym słońce mgłę. Gneiss pragnął już jedynie pomścić śmierć przyjaciela.

Miażdżący uścisk Stanacha i serdeczny pocałunek Kelidy położyły kres powitaniom. Lavim poprawiał swoją opończę, gdy Stanach utkwiał w nim badawcze spojrzenie. - Mówisz, że jest tutaj Tyorl?

- A... i owszem, tak - przytaknął zwawo Lavim. - Zaraz tu będzie. - Kender rozejrzał się i zobaczył biegnącego do wejścia wartowni Hauka. - Wiesz, mógłbyś być bardziej ostrożny z tymi powitaniami. Z Tyorlem jest dwóch leśnych, a Tyorl nie musi być pierwszy, na którego się natkniesz. Pamiętasz tego tropiciela, Finna, o którym ciągle gadał Tyorl? Jest tutaj z Kembalem. - Wszystko w porządku - zapewnił kender Hauka w ten sam mniej więcej sposób, w jaki uprzedza się popędliwego psa podwórzowego o tym, że nadchodzących gości nie należy rozrywać na kawałki. - To przyjaciele. - Nie inaczej, stary. - Hauk uśmiechnął się szeroko. - Wiem, że są przyjaciółmi.

- Skory jest do bójki - mruknął Lavim, gdy Hauk Sobie poszedł. - Przez chwilę myślałem, że będę miał przeciąg w brzuchu. Szlachetny panie - rzekł, zwracając się do Hornfela. - Czy wiesz, że pewni ludzie usiłują cię zabić? - Owszem, Lavim, wiem. Powiedz mi, skąd ty to wiesz.

- Hornfel, który nie przeszkadzał w powitaniu przyjaciół, utkwiał groźne spojrzenie w źrenicach kendera.

Lavim podejrzewał, że spojrzenie krasnoluda nie miało być tak groźne, jak wyglądało. Pomyślał jednak, że może lepiej będzie odpowiedzieć szybko i dokładnie.

- No... trochę opowiedział mi Stanach. Mówił o Ostrzu Burzy i o tym, że zrobiono ten miecz dla ciebie, ale pożąda go też inny than i wszyscy walczyć o to, kto ma być królewskim czymś tam... - Regentem.

- Właśnie. To coś pośredniego między królem a jegomościem, który pilnuje sklepiku, podczas gdy właściciel wychodzi na obiad, prawda? - Hornfel kiwnął głową rozbawiony porównaniem.

- Tak myślałem. Fujara mówił mi o tym drugim thanie, który usiłuje cię zabić... - Fujara? - Kelida potrząsnęła głową. - Ależ Lavim, Fujara nie...

- No tak... nie żyje. To prawda. Niemniej jednak wiem o tym od niego. Spytajcie Tyorla. On wie.

Kelido, to... dość niezwykła historia. Wszystko,

- widzisz, zaczęło się w Qua-linesti, gdy Stanach budował cairn dla Fujary i...

W tejże chwili przerwały im okrzyki Tyorla i Hauka, stojących przy drzwiach. Przy wejściu do wartowni od strony południowej również rozległy się krzyki. Stanach porwał się na nogi. - Co się dzieje, Stanach? - Przyszli zabić thana. Masz jakąś broń? - Sztylet. Hoopak straciłem na bagnach, ale...

- Tam, w izbach dla warty znajdziesz mnóstwo broni. Wybierz coś poręcznego i wracaj tu do mnie.

Lavim już ruszał we wskazanym kierunku, kiedy Stanach go zatrzymał. - Czekajże! Jak uzbrojony jest Tyorl i pozostali leśni? - Leśni mają łuki i miecze, Tyorl stracił swój łuk na bagnach. - Pokaż im skrzynie z orężem i niech szybko coś sobie wybiorą. Stanach zastanawiał się nad sytuacją. Zwiększenie liczby obrońców Hornfela o cztery osoby nie będzie miało wielkiego znaczenia, jeśli Realgar rzuci przeciw nim kilkanaście drużyn wojowników. Mimo to Stanach uśmiechnął się zimno. Mamy teraz łuczników. To powinno zmylić nieco Realgara. Dłonią z połamanymi palcami dotknął lekko ramienia Kelidy.

- Lyt chwaer, przyślij tu Tyorla i... - przerwał nagle, zdając sobie sprawę, iż nie ma prawa wydawać rozkazów.

Hornfel kiwnął głową. - Kelye dtha, kiedy wykonasz polecenie Stanacha, powitaj w moim imieniu Finna w Thorbardinie. Powiedz mu, że potrzebuję dobrych łuczników i byłbym rad, gdyby oddał swych ludzi pod rozkazy tego tu mojego kapitana.

Stanach patrzył w milczeniu, jak dziewczyna ruszyła, by zanieść wiadomość Hornfela.

- Stanach... - odezwał się Hornfel, przerywając krótkie milczenie. - Jeśli przyjdzie mi tu umrzeć, wolałbym nie ginąć jak szczur zamknięty w swej norze.

- Thanie Hornfelu, przyda nam się każdy miecz, twój zaś nie jest najgorszy.

Stanach odwrócił się i szeptem wyjaśnił swój plan obrony sześciu obrońcom zgromadzonym w wartowni.

W wielkiej sali na zewnątrz ucichły nagle pomruki Theiwarów, nie słychać było nawet brzęku mieczy i zgrzytu zbroi.

A potem rozległ się wysoki i przenikliwy niczym wycie zimowej wichury głos Realgara dającego sygnał do ataku.

Stanach miał zaledwie czas na krótką modlitwę, którą odmówił, wznosząc miecz i sprawdzając jego wyważenie. Reorksie, miej nas w swej pieczy...

Dwaj łucznicy usadowieni poza zasięgiem mieczy na starym, wielkim kołowrocie Bramy, nieustannie strzelali z łuków tak, że powietrze gęste było od strzał. Przerażona Kelida nie bardzo widziała różnicę pomiędzy pchnięciem w pierś otrzymanym od wroga a strzałem przyjaciela w plecy.

Bardziej jeszcze przerażały ją bełty, którymi Tyorl strzelał z kuszy. Jego pociski przemierzały przestrzeń z głuchym warkotem, który nieodmiennie kończył się przenikliwym wrzaskiem konającego wroga.

- Kelido - odezwał się Hauk - nie przejmuj się strzałami. O cel niech troszczą się łucznicy. Ty masz pozostać przy życiu. - Chciał powiedzieć coś jeszcze, rozdzieliła ich jednak fala nacierających zaciekle Theiwarów.

Kelida walczyła z takim samym brakiem wprawy, z jakim walczyła w wielkiej sali, ale i z taką samą, jeśli nie większą, zjadłością. Nie trzeba było zresztą być strategiem, by wiedzieć, że nie mają odwrotu. Za nimi znajdowała się głęboka na tysiąc stóp przepaść, na dnie której szalał ogień.

Równocześnie z prawej i lewej strony zaatakowali ją dwaj odziani w srebro i czerń gwardziści Realgara. Jednemu Kelida zręcznie przebiła gardło sztyletem, a drugiego kopnęła w kolano i złamała mu staw. Wszystko wokół niej było zbryzgane krwią. Krew zalewała ostrze jej broni i przeciekała dziewczynie pomiędzy palcami.

Ktoś - chyba Lavim - wrzasnął ostrzegawczo, by się schyliła, co uczyniła błyskawicznie. Gdy opadła na śliską od krwi posadzkę, zrozumiała, iż ostrzeżenie było przeznaczone dla kogoś innego. O krok od niej jeden z Theiwarów podnosił właśnie gotową do strzału kuszę... i mierzył w Hornfela.

- Nie! - wrzasnęła, rzucając się na krasnoluda i podnosząc sztylet. Zamachnęła się potężnie i wbiła ostrze pomiędzy łopatki wojownika Realgara wiedząc, iż skonał, zanim zdążyła wyciągnąć broń.

Nie miała nawet czasu westchnąć, znów bowiem usłyszała wrzask Lavima. Mijając ją o włos, ponad jej głową przeleciał sztylet. Kelida usłyszała okropne rżenie i odwróciła się.

W tej samej chwili pojęła, że popełniła błąd - nie powinna była się odwracać. Ktoś ciężki rzucił się na nią z tyłu. Przeciwnik unieruchomił jej ręce i naparł kolanem na plecy. Dziewczynę przeszyła fala ostrego bólu. W ułamek sekundy później wzrok Kelidy zaćmiła szara zasłona i dziewczyna poczuła okropne mdłości. Przerazona i osłabiona usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu.

W żaden sposób nie mogła się uwolnić, nie mogła nawet złapać oddechu, by zawołać o pomoc. Usłyszała zgrzyt ostrza o kości... Została raniona?

Nie miała pojęcia. Nie czuła bólu... dopóki wróg nie wyciągnął ostrza. Wtedy zrozumiała, że otrzymała pchnięcie... w chwilę potem straciła przytomność.

Wypełniające wartownię wrzaski echem odbijały się w sercu Hauka. Desperat runął na Theiwarów jak wygłodniały drapieżnik spada na ofiarę, widząc w niej jedynie łup. Zabijał w milczeniu, licząc na to, że ich śmiercią nasyci żądzę zemsty, ta zaś pomoże mu odzyskać spokój ducha. Ci, którzy padli od ciosów jego miecza i zdążyli pochwycić wzrok swego zabójcy, odchodzili w wieczność, zabierając ze sobą obraz ognia i lodu. - Kelida! - krzyknął ktoś. Hauk wyszarpnął miecz z brzucha Theiwara. - Kelida!

Leżała na ziemi w szybko powiększającej się kałuży krwi. Lewa ręka dziewczyny była odrzucona w bok, jakby w geście prośby o pomoc czy litość. Nie poruszała się. Jej plecy przygniatał martwy Theiwar, gapiący się w sklepienie nieruchomymi oczami. Ciało krasnoluda najeżone było strzałami, a w jego karku tkwił bełt kuszy.

Niestety, Hauk nie mógł nawet zbliżyć się do Kelidy. Przez drzwi wlewała się właśnie kolejna fala wojowników Realgara, która odepchnęła Hauka od miejsca, gdzie na zakrwawionej posadzce leżało nieruchome ciało dziewczyny.

- Kelida! - wrzasnął Tyorl ostrzegawczo, spóźnił się jednak o chwilę, trwającą mgnienie oka. O jedno mgnienie.

Wystrzelony przez elfa pocisk trafił w cel i ugodził Theiwara w gardło. Niestety, za późno! Tyorl rozejrzał się błyskawicznie po wartowni, szukając kogoś, kto nie jest zajęty walką i znajduje się blisko dziewczyny. Lavim! Tyorl wciągnął powietrze w płuca, by go zawołać. Tej sekundy wystarczyło jednak, by na starego kendera zwałił się zajadły krasnolud i obaj runęli na ziemię, tworząc dziko wierzgającą płataninę nóg i rąk.

Umysł elfa pracował teraz dwutorowo. Tyorl gorączkowo poszukiwał sposobu uratowania Kelidy, równocześnie jednak nie zapominał o obronie. Przeszył stalowym grotem serce krasnoluda mierzącego sztyletem w plecy Lavima i wezwał okrzykiem Stanacha, który wyciągał właśnie swój miecz z brzucha innego napastnika.

Głowę elfa wypełniały jęki konających i bojowe okrzyki walczących. Tyorl nie umiał rzec, czy

Stanach go usłyszał, nie miał jednak czasu na

zastanawianie się, zaatakowała go bowiem czwórka Theiwarów. Oczy pędzących nań krasnoludów płonęły żądzą krwi.

Ponieważ byli zbyt blisko, by zrobić użytek z kuszy, elf chwycił miecz i sztylet. Dzierżąc w obu dłoniach zimną stal, zawołał imię Kelidy jak okrzyk bojowy i runął na wrogów.

Stanach trzymał się tak blisko Hornfela, że żaden miecz nie mógł wcisnąć się pomiędzy thana i jego obrońcę. Hornfel walczył zajadle i z zimną zaciętością, żaden zaś Theiwar nie mógł dobrać się do jego pleców, dopóki żył Stanach. Być może niedługo to potrwa, posępnie pomyślał Stanach.

Realgar sprowadził tu pięćdziesięciu wojowników. Wrogowie mieli tak wielką przewagę liczebną, że Stanach nawet nie próbował oszacować szans na przeżycie. Z drugiej jednak strony wejście do wartowni było dość wąskie i trzech łucznicy zbierali obfite żniwo. Stanach pomyślał więc, że jeśli każdy z obrońców wykaże się choć odrobiną zręczności, uda im się utrzymać wartownię przez dość długi czas. Wśród obrońców była jednak nie znająca się na wojaczce dziewczyna i stary kender, trzech zaś leśni byli wyczerpani wspinaczką i potrzebowali odpoczynku, zanim w ogóle zabrali się za poszukiwanie broni. Ja zaś mam tylko jedną rękę i coraz szybciej tracę siły.

Stanach zachwiał się pchnięty od tyłu przez Hornfela, na którego napierało dwóch wrogów.

- Cofnij się! - wychrypiał than. - Zostaw mnie i ruszaj do wartowni. Sam potrafię strzec swoich pleców! - Zostanę! - warknął Stanach.

Jednym cięciem rozplątał ramię przeciwnika. Spod mięśni wyłoniła się biała i odrażająco naga kość. Theiwar sapnął, poza tym nie wydał żadnego głosu. Stanach jednak ujrzał krzyk w jego oczach.

Krew trysnęła wysoką, parującą strugą. Czeladnik schylił się, by uniknąć strumieni krwi i powstrzymać gwałtowne torsje. Gdy się wyprostował, stanął przed kolejnym przeciwnikiem. Realgar!

Mag uniósł ozdobiony szafirami miecz. Jego oczy płonęły nienawiścią gorętszą niż ogień paleniska kuźni. Stanach ujrzał w tych oczach śmierć. Widział ją również w gorejącej krwawym blaskiem nici zbroczą.

Zamachnął się, by sparować zdradziecki cios, nie wiedział jednak, czy mu się udało, dopóki nie usłyszał brzęku ścierających się głowni i nie poczuł drżenia miecza, gdy Ostrze Burzy uderzyło w jego własną klingę.

Odwołał się do resztek sił, jakie mu jeszcze pozostały, i naparł na broń całym ciężarem.

Niestety, to nie wystarczyło. Z równym skutkiem mógłby próbować zatrzymać którykolwiek z księżyców w ich podróży na zachód po nieboskłonie. Ostrze Burzy napierało coraz bardziej.

Poczuł silny zapach krwi i ujrzał, że wzdłuż klingi Ostrza Burzy zsuwają się ku niemu czyjeś wnętrzności.

Gdzieś w głębi duszy Stanach wiedział, że zamyka się koło wydarzeń. Zginie od ciosu ostrza, dla którego ryzykował życie własne i życie tych, którzy stali się dlań kimś więcej niż przyjaciółmi.

I wtedy usłyszał czyjs wrzask; ktoś podciął mu nogi w kolanach. Gdy padał, Ostrze Burzy świsnęło mu tuż nad karkiem.

Całym ciałem rąbnął o potrzaskane płyty posadzki i poślizgnąwszy się w kałuży krwi, pojechał dobrą stopę w bok. Chrapliwie chwyając oddech, na oślep zaczął szukać swego miecza.

- Wstawaj! - darł się gdzieś blisko Lavim. - Wstawaj, młodziku! No, dalej! Wstawaj! Jest ich tu więcej! Popatrz!

Dyszac ciężko, Stanach zdołał dźwignąć się na kolana a potem wstać. Rozejrzał się dookoła. Wybuchnął głośnym śmiechem. Więcej, ha! Dobrze sobie! Niemal wszystkie krasnoludy, które widział, miały na sobie czerwień i srebro Daewarów! - Lavim, to przyjaciele! To wojownicy

Gneissa!

Zaczerpnął tchu i zauważył, że ucichł świst strzał i pojękiwania cięciw. W wielkiej sali słychać było jedynie dźwięk ścierającej się ze sobą stali. W znajdującej się za nim wartowni panowała cisza. Stanach spojrział tępo na starego kendera, który po raz kolejny uratował mu życie. - Gdzie jest than!?

Ręce Lavima po łokcie zbroczone były krwią, jego zaś opończa była pocięta niemal w paski. Miał zadrapanie na brązowym, pomarszczonym policzku, jakiś sztylet zostawił też ślad na czole starego wygi. Kender stał jednak na nogach, a w jego zielonych oczach widać było iskielki zapalu i uciechy.

- Nie wiem! - odparł Lavim. - Może znajdziesz go w wartowni. Pobiegł do Tyorla. Stanach... za nim popędził ten szurnięty krasnolud, który chciał odrąbać ci głowę! Fujara powiada, że to właśnie on zamierza zabić Hornfela.

- Fujara powiada... - Stanach potrząsnął głową. Fujara powiada... Cóż, nie miał czasu na wspomnienia martwych magów. Musi znaleźć Hornfela. - Jak tam nasi? - spytał. -

- Finn dostał cięcie w nogę. Hauk wyszedł cało. Kelidzie trochę się dostało, przed chwilą jednak widziałem Kerna, który utrzymuje, że nic jej nie będzie. - Kender umilkł i zaczął szarpać swój warkocz.

- Lavim... - spytał Stanach dziwnie spokojnym głosem. - Kto jeszcze jest ranny? - Ty... Tyorl... ale może jakoś z tego wyjdzie i... - Co mu jest? - uciał Stanach.

- Ten szurnięty krasnolud o dzikim spojrzeniu... gonił Hornfela... i wtedy Tyorl wpadł pomiędzy nich i... Ostrze Burzy...

Stanach rozglądał się po sali, jakby w ogóle nie słyszał słów kendera. Wokół naliczył dwudziestu dziewięciu martwych lub konających Theiwarów. Nie było wśród nich Realgara. Stanach nie wiedział też, gdzie podział się Hornfel. Lavim zaś nie wiedział, czy Tyorl wyzdrowieje.

- Muszę... muszę znaleźć thana - krasnolud przemówił chrapliwie, głosem, w którym dźwięczał strach i narastający żal. - Zrozum, Lavim, muszę... Czy Hauk opiekuje się Kelidą? - Tak.

- Idź do niego. Mamy wobec niego dług... Powiedz mu, że wiem, gdzie może odpłacić Theiwarom.

Lavim patrzył za odchodzącym przyjacielem i dopiero gdy krasnolud odszedł, stary kender uzmysłowił sobie, iż uradowany ze znalezienia przyjaciela i podniecony bitwą zapomniał powiedzieć Stanachowi o smoku.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Hornfel nie miał miecza. Przepadł gdzieś też jego sztylet. Thanowi pozostało jedynie życie, a i to wkrótce miał stracić. Hornfel podniósł głowę i odezwał się spokojnie i z godnością:

- Zabij mnie teraz, Theiwarze, i na wieki pozostań Przeklętym Królem. - Brązowe oczy Hylara błysnęły gniewem. - Żadna zaś klątwa nie spełnia się szybciej niż klątwa umierającego. No, spróbuj! Rozstrzygnijmy tę sprawę tu, nad królestwem, w którym chcesz objąć rządy. Starczy ci odwagi, by stawić mi czoło bez swoich wojowników?

Niczym dwie rzeźby wykute w skale, stali naprzeciw siebie na wąskiej, skalnej półce. Than Hylarów i than Theiwarów. Wiał gwałtowny wicher, który szarpał ich opończe i rozwiewał im włosy, ale patrzący na nich Stanach widział w nich jedynie dwa posągi, które gotują się do walki.

Wbite w skalisty grunt skrwawione miecze lśniły słabym blaskiem zmierzchu. Obaj thanowie musieli usłyszeć nadejście Stanacha, żaden jednak nawet się nie obejrzał.

Stanach usłyszał swój głos, zanim zdał sobie sprawę z tego, że coś mówi. - Mamy go, wodzu.

Hornfel, który właśnie sięgał po miecz podawany mu przez Realgara, nie spuścił wzroku z maga. Gdy jednak przemówił, skierował swoje słowa do Stanacha: - Może i tak. Rzuciłem mu jednak

wyzwanie, on zaś je podjął. -

Owszem, pomyślał Stanach, ale czy wyjdiesz z tego cało? Potrzebny nam regent, a nie szalony władca derro. Wstrzymaj się, thanie!

Niczym szept upióra w głowie Stanacha zawirowały słowa Isarna. „Wykułem miecz. Miecz dla mego thana. Realgar użyj go, by zabić Wielkiego Króla”.

W Głębokich Pieczarach Stanach nie zamierzał dociekać, ile jest prawdy w słowach starego płatnerza, nie chciał słyszeć zawartego w nich proroctwa. Teraz zaś, tysiąc stóp nad płonąca dolina, widząc krwawy blask kuźni Reorxa w zboczach, Stanach zaczął zastanawiać się, czy stary Isarn nie mówił jednak prawdy.

Spróbował odwołać się do rozsądku. Gdzie jest Młot Kharasa? Co z legendą, która głosi, że dopiero ów Młot uczyni kogoś Wielkim Królem? Nie wiedział nikt. Od lat nikt też nie wyruszył na poszukiwanie mitycznego oręża. A jednak Isarn Hammerfell, który wykuł Królewski Miecz, mówiąc o Hornfelu nazwał go Wielkim Królem, jakby stary mistrz w ostatnim momencie swego żywota przeczuwał, iż legenda staje się rzeczywistością.

Stanach usłyszał, że stojący za nim Hauk poruszył się niecierpliwie. Krasnolud gestem poprosił leśnika o zachowanie spokoju.

- Możemy go zabić - szepnął podniecony Hauk. - Stanach, możemy zakończyć bunt.

- Nie, Hauk, to sprawa thanów. - Stanach potrząsnął głową. -Poczekajmy.

W słowach Stanacha Hauk usłyszał jedynie wyrok śmierci na dzielnego wojownika. Zaciśnął dłonie na mieczu.

- Na co mamy czekać? - spytał z brutalną szczerością. - Na śmierć Hornfela? - Jest dobrym wojownikiem. Nie zginie.

Realgar uśmiechnął się tak, jak mogłaby uśmiechać się bryła lodu. Podniósł też nieco głowę, jakby już świętował zwycięstwo. W szarym świetle zmierzchu oczy Theiwara przypominały oczy węża, źrenice zwęziły się, by chronić siatkówkę przed światłem, które dla Realgara musiało być oślepiające. Stanach nagle zadrżał z obawy.

Jego oczy! Żaden nienawidzący światła Theiwar nie rozpocznie walki nawet w świetle zmierzchu, jeśli tylko będzie mógł tego uniknąć! Dlaczego więc Realgar przyszedł aż tutaj? Dlaczego nie ustawił Hornfela tyłem do zionącej mrokiem bramy wartowni? Realgar podniósł dłoń i poruszył bezgłośnie wargami, wymawiając

zakłęcie.

Nagły dreszcz przeszył Stanacha niczym strzała i napełnił go złymi przecuciami. - Strzeż się, thanie! Spóźnił się z okrzykiem o jedną chwilę.

Zmierzch nagle stał się mrokiem nocy, pozbawionej gwiazd, księżycy i równie głębokiej jak ciemności grobowca. Zimnymi niebiosami wstrząsnął bojowy ryk smoka. Obezwładniony smoczym strachem Stanach, którego nagle opuściła siła i odwaga, runął na kolana. Oślepiony zakłęciem mroku jak przez mgłę usłyszał pełen wściekłości okrzyk Hauka i gniewny ryk Hornfela.

Tryumfalny rechot Realgara przebił się przez ogarniający ich mrok, jakby był niesiony na smoczycy skrzydłach. - Łajdak! - ryknął Stanach. - Podstępny, załgany łajdak! Podmuch wiatru przywołany ruchem skrzydeł przelatującego smoka rzucił krasnoluda na ścianę i pozbawił go tchu w piersiach. Stanach poczuł, że kręci mu się w głowie, że stracił orientację i że zeszytniał ze strachu. Trzymał się jedynie resztką odwagi i siły woli. Schwytny nagle w sieć mroku, pogrążony w bagnie grozy, nie potrafił się ruszyć. Leżąca w dole dolina nadal płonęła gwałtownym ogniem. Skaczące w górę płomienie wyglądały tak, jakby nie miały żadnych wątpliwości, że w końcu go dostaną. Hulający na tej stromiźnie wicher i powiew wiatru wywołany ponownym przelotem smoka pchnęły

go na skraj półki i Stanach zrozumiał, że już wkrótce runie w dół.

Usłyszał swoje imię. Wołał go Hauk. Z siłą zrodzoną z desperacji w jego prawy przegub wczepiła się czyjaś dłoń. Stanach nie czuł uścisku, czuł jednak, iż ktoś ciągnie go w górę. Zrozumiał, że złapał go Hauk - w samą porę, by powstrzymać przed spadnięciem - teraz zaś leśnik wciągnął go wyżej i popchnął w stronę wartowni.

W zapadłych nagle ciemnościach, niczym echo koszmarów, nadal rozbrzmiewał dźwięk uderzających o siebie kling mieczów. Than! Och, na Reorxa, Than!

- On walczy na oślep! - zawołał Hauk. Przerazenie młodzieńca niczym uderzenie pioruna przebiło się przez jego dłoń trzymającą Stanacha. Stanach poczuł, iż jego własne kości przeszły dreszcz grozy.

Tyorl podciągnął się, cały czas opierając się ciężko na ramieniu Lavima. Widział kiedyś, jak robili to inni, którzy wstawali wtedy, gdy nie powinni mieć nawet sił potrzebnych do oddychania. Zastanawiał się wtedy, co czuli. Teraz już wiedział. Powoli wyciekało zeń życie i krew sączyła się z poszarpanej rany na brzuchu zadanej mieczem.

Wszystko to stało się w jednej chwili. Gdy do wartowni i wielkiej sali wlała się fala odzianych w czerwone i srebrne barwy Daewarów, furia i zaciekłość walczących osiągnęła szczyty szaleństwa. Wtedy to siedzący na kołowrocie elf ujrzał z góry, jak Realgar zamierza się mieczem w nie osłonięte plecy Hornfela. Nie było czasu na załadowanie i napięcie kuszy. Tyorl zareagował błyskawicznie i odruchowo.

Rzucił się pomiędzy Hornfela i Realgara. Poczł lodowaty język bólu, gdy przebijało go ostrze miecza i zaraz potem przeszył go płomień, Realgar bowiem szybko wyciągnął głownię. Teraz elf nie czuł już bólu. To właśnie, bardziej nawet niż przenikający go chłód, mówiło mu, że umiera. Czymże jest smoczy strach dla kogoś, kto kona? - Kusza... - wychrypiał elf. - Tyorl, nie sądzę, byś mógł... - Lavim przełknął ślinę. - Proszę... Lavim, choć raz mi pomóż...

- Nie! Tyorl, musisz poczekać tu na Kerna. - Rozpacz i nadzieja sprawiły, że głos kendera drżał. - On cię uzdrowi. Zobaczysz. Zobaczysz...

Tyorl oparł twarz o skałę i podciągnął nogi. Niewielkie ruchy i próby mówienia sprawiały, iż było mu coraz zimniej. Dotknął fletu Fujary, który ciągle wisiał mu u pasa.

Lavim zaklinał się kiedyś, że Fujara może czytać w jego myślach. Tyorl wziął flet do ręki.

Fujaro, pomyślał, powiedz mu, żeby mi pomógł. Jeśli kender mi pomoże, zdołam zabić tego smoka. Fujaro... - Lavim, zrób to, o co cię prosi - odezwał się Fujara.

Usłyszawszy protesty Lavima, Tyorl zacisnął dłoń na ramieniu kendera. Kostki i knykcie miał już zupełnie białe. - Proszę...

- Tyorl, powinieneś tu zostać. - Lavim spierał się nawet wtedy, kiedy wkładał kuszę w dłonie elfa. - Musisz poczekać na Kema. On teraz zajmuje się Kelidą i... - Kelida! - wychrypiał Tyorl. - Lavim, czy jej się coś stało?

- Ależ skąd, wyjdzie z tego. - Lavim energicznie kiwał głową. - Kem mówi, że wszystko będzie dobrze. Tyorl, pozwól, że pomogę ci usiąść i poczekamy tu na niego...

- Pomóż mi dostać się na tę skalną półkę. - Tyorl ponownie zacisnął dłoń na ramieniu kendera. - Tyorl, nie!

Elf czuł, że ból przyczaił się gdzieś w głębi jego ciała i waruje tam niczym nieustępliwy wilk. Powiedz mu, Fujaro.

- Lavim, pamiętasz, jak pomagałeś Kelidzie zestawić palce Stanacha? Wiem, że ci się to nie podoba, ale musisz to zrobić. Nie ma czasu na sprzeczkę. Zrób to, o co cię prosi - poparł Tyorla Fujara. - Ale musimy zostać tutaj! On musi poczekać na Kerna! Fujaro... Kender umilkł. Słysząc było tylko wycie wichru. Kamień, o który opierał się Tyorl, leżał na zboczu góry i elf sam nie wiedział,

jak to się stało, iż nagle znalazł się za Bramą. Podtrzymywały go sękaty, ale delikatne i łagodne dłonie Lavima. Przejmujący chłód panujący na skalnej półce wydawał się niemal ciepłym w porównaniu z pustką, jaką Tyorl coraz mocniej czuł wewnątrz siebie.

Gdzieś blisko i jednocześnie nieskończenie daleko dźwięczała stal uderzająca o stal. Skalną półkę spowijały ciemności. Tyorl poczuł namiastkę dawnego lęku wysokości. Był to jednak tylko cień dawnego strachu. Tak jak nie czuł smoczego strachu, nie czuł również lęku przed przepaścią. - Lavim, naciągnij cięciwę.

Usłyszał, że kender opiera kuszę o ziemię, potem dobiegło go zduszone stęknienie, gdy Lavim kręcił kołowrotem. Czarny smok, którego przeraźliwy wrzask przebijał się ponad wycie wiatru, zawrócił właśnie i zamierzał ponownie przelecieć nad półką. Usłyszeli też okrzyk Hauka, ochryply i pełen przerażenia: - On walczy na oślep! Gdzieś obok zaśpiewała stal i zgrzytnęły na kamieniach podkute buty. Tyorl otworzył oczy dopiero wtedy, gdy poczuł w dłoniach kolbę kuszy. - Nie widzę po ciemku! - Fujara ci pomoże - szepnął Lavim. - Uda się z pewnością. - Prowadź! - On ci... - Dobrze załadowałeś? - Jakżeby inaczej, Tyorl!

Tyorl westchnął słabo i zeszywniał nagle, ból bowiem w końcu go odnalazł. Mrok wypełnił się podmuchem wichru, który zagrzmiął jak grom. Smok runął w dół, wyjąc z dzikiej i niepohamowanej uciechy. Ramiona Tyorla, przed sekundą jeszcze ciężkie niczym ołów, nagle stały się lekkie i silne. Elf niemal nie poczuł, że podnosi kuszę. Słuchał wskazówek Fujary, gotów posłać grot w smoka, którego wcale nie widział.

Rzucone przez Darknighta zakłęcie smoczego strachu, śmiertelnym ciężarem legło na sercu Stanacha. Pograżony w magicznych ciemnościach

i nie widzący niczego, Hornfel znalazł jednak odwagę, by walczyć ze strachem i nieubłaganym wrogiem. Hylar nie mógł zobaczyć Ostrza Burzy ani dłoni, która nim władała. Nie mógł dostrzec też przepaści!

Nie myśląc o niczym, zapomniawszy nawet o tym, że smoczy strach powinien przecież uniemożliwić mu wszelkie ruchy, Stanach wyrwał się z uścisku Hauka.

Oszołomiony i dezorientowany krasnolud, który czuł ból w oczach -wytrzeszczał je bowiem w bezowocnych wysiłkach zobaczenia czegoś wśród ciemności - zmusił się do zrobienia kroku naprzód. On, który mógł widzieć w miejscach pozbawionych całkowicie światła, teraz był zupełnie ślepy.

Wciągając w płuca przeraźliwie zimne powietrze, zdołał opanować zawrót głowy. Wyteżył słuch i odkrył natychmiast, że może odnaleźć walczących, kierując się odgłosami ich ochryplych oddechów i dźwiękiem stali uderzającej o stal.

Gdzieś w tych lodowatych ciemnościach latał smok. Powietrze nad skalną półką gęste było od kotłujących się niczym morze grozy fal smoczego strachu. Stanach jednak postanowił skupić się wyłącznie na odgłosach walki. Zanosił modły do Reorxa, by ten podpowiedział mu, który z walczących jest Hornfelem, który zaś Realgarem.

Do wysokiego jęku stali dołączył w mroku jeszcze jeden dźwięk. Gdzieś niedaleko spadł kamień, Stanach usłyszał skrzyp buta i wstrzymał oddech.

Potem zaś w powietrzu rozległ się głęboki jęk cięciwy kuszy i warkot lecącego do celu bełtu.

Elf i kender stojący na skalnej półce nie byli dla smoka żadnym zagrożeniem. Darknight myślał o nich co najwyżej jako o przekąsce przed głównym daniem. Żadną miarą nie mogliby zaspokoić jego apetytu... choć może mógłby wyładować na nich wrodzone smokom okrucieństwo. Okrucieństwo jednak zamieniło się we wściekłość, kiedy bestia w dłoniach elfa ujrzała kuszę.

Czy te nędzne stworki naprawdę myślą, że taką zabawką zdołają mu zaszkodzić?

Wyginając grzbiet, smok odrzucił skrzydła do tyłu. Wyciągnął przed siebie łapy, by chwycić elfa, i zanurkował rycząc okropnie, co przypominało przerażający śmiech.

Usłyszał jęk cięciwy, wziął go jednak za podmuch wiatru. W tejże jednak chwili stalowy belt niczym srebrzysta błyskawica przebił się przez lewe oko smoka i radosny wrzask bestii przekształcił się w wycie agonii.

W pierwszej chwili smok był jedynie zaskoczony, potem, gdy załamały się mu skrzydła i ból przeszył mu grzbiet, stwór spanikował. Nagle potężne cielsko przestało czuć cokolwiek.

Gdzieś w najgłębszym zakątku umysłu smoka tliła się jeszcze przez chwilę iskierka świadomości - i dopóki trwała, dopóty bestia była zdumiona.

Otoczony echem swego śmiertelnego ryku, Darknight runął w ogarniętą ogniem dolinę.

Ryk ginącego smoka przedarł się jak płomień przez otaczający Stanacha mrok i ślepotę, niezliczone zaś echo długo powtarzało go wśród gór.

Powoli, niczym topniejący na słońcu lód, smoczy strach rozwiął się i zniknął. Mrok smoczego czaru rozplątał się w nicość jak rozegnany wiatrem kłęb dymu. Darknight legł trupem! Zaczerpnąwszy tchu, Stanach rozejrzał się szybko, szukając Hornfela.

Hauk krzyknął ostrzegawczo. Stanach usłyszał brzęk padającej na kamień stali i odwrócił się w samą porę, by ujrzeć Hornfela, bez broni, stojącego na krawędzi przepaści tyłem do płonącej doliny. Przed nim, luźno trzymając Ostrze Burzy, stał Realgar. Okrywająca maga derro opończa trzepotała w podmuchach wiatru, oczy zaś Theiwara płonęły ogniem trawiącego go szaleństwa. - Ogień czy miecz? - szepnął do Hornfela. - Przepaść czy stal? Wyraz twarzy Hornfela, spokojny i zdecydowany, powiedział Stanachowi, żeby zaczekał.

- Niech będzie stal - odezwał się than i drwiąco kiwnął palcem, jakby mówił „chodź bratku”. - Zobaczmy, czy dasz radę...

Realgar zacisnął dłoń na rękojeści Królewskiego Miecza i opuścił nieco ostrze. Udając, że zmienia pozycję, zadał nagle zdradzieckie pchnięcie w gardło Hornfela.

Stanach rzucił się na niego w tej samej chwili, w której Hornfel zrobił unik i zanurkował pod dzierżącym miecz ramieniem maga. Obaj dopadli Theiwara jednocześnie. Mierzący nieco wyżej Stanach lewą ręką chwycił przegub Realgara, Hornfel zaś trafił w korpus i wszyscy trzej runęli na krawędź przepaści.

Stanach dostał potężny cios łokciem w szczękę i odleciał do tyłu. Usiłował wstać, ale nic z tego nie wyszło. Dzierżący nadal Ostrze Burzy Theiwar wyrывał się Hornfelowi i wierzgał nogami nie gorzej od muła. Ciężki but trafił Stanacha w skroń i krasnolud poczuł się tak, jakby ugodził weń grom. W tej samej chwili dwie krzepkie ręce porwały Stanacha i postawiły go. Choć uginały się pod nim kolana, waleczny krasnolud

usiłował wyrwać się z uchwytu Hauka.

- Nie zdążysz! - warknął Hauk, przytrzymując z tyłu ramiona krasnoluda. - Za mało tam miejsca!

Realgar tymczasem wyrwał się Hornfelowi. Unosząc wysoko miecz, rzucił się na thana Hylarów. Wywijał przy tym Ostrzem Burzy, jakby dzierżył w dłoniach topór. Hornfel przetoczył się na skałę i rzucił się w lewo. W tej samej chwili w skałę uderzył miecz wroga i wszyscy usłyszeli wysoki jęk odbijającej się od skały stali. Realgar zachwiał się, rąbnął raz jeszcze, chybił i zatoczył się ku krawędzi przepaści. Hornfel warknął gniewnie, potem zaś ryknął okropnie, sypiąc przekleństwami. Than porwał się na nogi, zanim echo zaczęło powtarzać złorzeczenia.

Realgar chwiał się na krawędzi przepaści. Stanach ujrzał błysk prerażenia w oczach Theiwara i w tej samej chwili derro potknął się o kamień.

Sapiący wściekle Hornfel zdążył oburącz chwycić Realgara za ramię. Nie zdołał oprzeć się

ciężarowi i runął na kolana, ciągnięty w dół przez leżącego w przepaść przeciwnika. - Puść go! - wrzasnął Hauk.

Opierając się całą swą siłą, Hornfel zacisnął zęby i podciągnął w górę wiszącego bezradnie Realgara. - Puść go! - wycharczał Stanach.

Dłonie Hornfela zaczęły zsuwać się z ramienia ku przegubowi ręki maga. Gdy than chwycił złoconą rękojeść Królewskiego Miecza, szalony mag odrzucił głowę w tył i wydał dziki wrzask. Realgar poleciał w dół, Hornfel zaś wychylił się jeszcze bardziej, by nie stracić Ostrza Burzy.

Gdy than wrywał Miecz pustce, ostatnie promienie zachodzącego słońca rozbłyły na czerwonej nitce ognistego zbocza.

Stanach zamknął oczy, czując piekące go łzy. Przez długą chwilę, kiedy zwalczał opanowujące go nagle wzruszenie, nie umiał powiedzieć, czy jego serce chwycił żal, czy ogarnęła radość.

Ramiona, które objęły go w chwilę potem, nie należały do Hauka, lecz do Lavima. Hauk pospieszył do Hornfela. Oszołomiony jeszcze otrzymanym niedawno ciosem w skroń, Stanach rozejrzał się dookoła. Lavim mówił coś doń szybko, krasnolud jednak nie mógł się połapać, o co kenderowi chodzi. - Wolniej - powiedział wreszcie. - Lavim, mów wolniej...

- Stanach, chodź za mną. - Kender pociągnął go za rękę. - No, Chodźże! - ponaglił. - Musisz pójść ze mną. Krasnolud nie odpowiedział. Był zbyt słaby, by sprzeczać się z

kenderem i po prostu pozwolił się ciągnąć. Niespodziewanie usłyszał cichy i drżący głos Kelidy. Rozejrzał się.

Znalazł ją klęczącą u otwartych Wrót Północnej Bramy, gdzie podtrzymywała leżącego na ziemi Tyorla. Myśliwska kurtka Kelidy była rozdarta w miejscu, gdzie dziewczyna otrzymała cios. Kem rozciął kurtkę jeszcze mocniej, ponieważ musiał dostać się do rany, by ją oczyścić i opatrzyć. Dziewczyna powiedziała coś do kendera i ten zbladłszy okropnie, biegiem ruszył do wartowni, wołając Kembala.

Z miejsca, w którym stał, Stanach doskonale widział okrytą smutkiem twarz Kelidy i drżenie jej dłoni, gdy przykładała palce do szyi Tyorla, szukając pulsu, który z powodu rany musiał być słaby. Skórzana odzież elfa była niemal całkowicie zalana krwią.

Krasnolud usłyszał, że stojący za nim Hauk coś mówi, odwrócił się więc. Hauk patrzył na trzymany przez Hornfela Królewski Miecz.

Hornfel zaś powoli złożył Królewski Miecz obok Tyorla. W skierowanym na głównię wzroku thana pojawiły się - na chwilę - odraza i niechęć, które zmroziły serce spostrzegawczego Stanacha. W promieniach słabego światła zmierzchu rozbłyły szafiry na rękojeści. Zbocze lśniło czerwienią kuźni Reorxa.

Hauk bez słowa odsunął Lavima i zajął jego miejsce. Drżącymi palcami leśnik ujął ramię Tyorla. Hauka poruszał wargami bezgłośnie, jakby chciał wymówić imię przyjaciela, który przewędrował połowę świata, by wybawić go z łap i lochów Realgara. Stanach nigdy jeszcze nie widział tak pustych oczu, jak oczy spoglądającego na śmierć druha Hauka.

Krasnolud delikatnie położył dłoń na ramieniu Kelidy. - Lyt chwaer. -Przysiadł obok dziewczyny. - Posłałam Lavima po Kembala. - Głęboka rozpacz sprawiała, że głos dziewczyny drżał i załamywał się nieustannie. - Ale to na nic. Stanachu, on umiera...

Krasnolud objął ją ramieniem i podtrzymał, ona zaś lekko wspierała Tyorla. - Przykro mi... - To było wszystko, co Stanach mógł wykrztusić.

Kelida oparła się o Stanacha i ukryła twarz w jego gęstej, czarnej brodzie.

Stanach delikatnie poklepał ją po ramieniu i podniósł oczy, szukając wzroku Hauka. Niedowierzanie, z jakim leśnik przyjmował wiadomość, że jego przyjaciel kona, sprawiło, iż

niedźwiedziowaty młodzieniec wyglądał teraz bardzo dziecinnie.

Tyorl drgnął. Jego usta poruszyły się, jakby chciał coś powiedzieć. Dłoń Tyorla wsunęła się w rękę Kelidy, ona zaś odwróciła się ku niemu. Zielone oczy dziewczyny pełne były łez. Delikatnie, tak by go nie urazić, Kelida pochyliła się i pocałowała konającego.

- Tak... - szepnął elf. - Raz jeden pocałowałaś mnie już na szczęście, przy pożegnaniu w Long Ridge... pamiętasz? - Podniósł dłoń i powiodł palcami po jej twarzy i włosach. - Kelido...

Dziewczyna chwyciła opadającą dłoń elfa. Rozpłakała się, serce Stanacha zaś wypełniły bezgraniczny żal i smutek. Tyorl zginął zabity Ostrzem Burzy.

Rozdział trzydziesty drugi

Ostrze burzy. Królewski Miecz stworzony ze złączonych w jedno strzępów zmierzchu i zapalającej się o północy gwiazdy.

Mimo iż oręż niezaprzeczalnie należał do niego, Hornfel nie przypasał Miecza i nie obciążył nim bioder przez trzy dni, które minęły od bitwy u Północnych Wrót. Krasnoludy Thorbardinu uznali Hornfela za królewskiego regenta - jedne z radością, inne bez entuzjazmu - koronacja i uroczystości miały się jednak odbyć dopiero za siedem dni. Nie byłoby rzeczą właściwą, gdyby obnosił się z Ostrzem Burzy wcześniej.

Hornfel podniósł pokrywę kufra, w którym złożył Królewski Miecz. W kufrze tym wyłożonym aksamitem o barwie dymu i satyną czerwoną jak ogniste zboczce, przechowywano Królewskie Miecze przez wiele pokoleń Wielkich Królów.

Teraz zaś, rozmyślał Hornfel, w kufrze tym spoczywa miecz królewskiego regenta i będzie leżał tu, na Dworze Thanów, dobrze strzeżony, ale tak, by każdy mógł go zobaczyć i podziwiać.

I przychodzili... jak ludzie pragnący zobaczyć błogosławioną relikwię. Dwór Thanów zaś nigdy przedtem nie był tak pilnie strzeżony. Przez całą dobę zmieniały się w nim warty sześciu thanatów, składających się na królestwo Thorbardinu.

Hornfel cofnął się od kufra stojącego na długim i niskim podeście, który za każdym razem, gdy tu przychodził, coraz bardziej przypominał regentowi katafalk. Hylar zastanawiał się, czy którykolwiek z poprzednich Wielkich Królów musiał za swój Królewski Miecz zapłacić tak drogo jak on.

Gdy do Theiwarów walczących z Klarami dotarła wieść, że ich than nie żyje, wybuchło wśród nich wielkie zamieszanie i wszyscy uciekli do swoich mrocznych siedzib.

Zamieszanie to nie uspokoi się, rozmyślał dalej Hornfel, dopóki Theiwarowie nie znajdą czasu na to, by przebrnąć przez burzliwe wody wewnętrznych zamieszek i nie wybiorą przywódcy spośród tych, którzy zostali przy życiu.

Rance nie dał się złapać po stronie przegrywających, choć Daergarowie szybko i zaciekle stanęli do walki w cieplarniach przeciwko uciekinierom. Sturm zablokował im drogę na południe, Caramon zaś odciął ich od północy. Tanis i jego wodzowie okazali się godni pokładanego w nich zaufania.

I to był koniec buntu. Rance utrzymywał, że ze swymi wojownikami bronił posiadłości Daergarów przed Przybyszami z Zewnątrz, którzy - jak mniemał - chcieli skorzystać z okazji, jaką stwarzał im bunt Theiwarów, i ograbić sąsiadów. Nie można było dowieść, że sprzymierzył się z

Realgarem.

Hornfel wzdrygnął się odkrywając, że Miecz przyciąga jego wzrok. Wyplatana srebrem złota rękojeść, doskonałe szafiry i ostrze z najprzedniejszej stali z ognistym zboczem: jakże wiele żywotów kosztował ten oręż!

Rozterka Hornfela była głęboka, Hylar bowiem nie wiedział, czy zdoła swym panowaniem okupić życie krewnych, przyjaciół i obcych, którzy dali gardła dla tego miecza.

Usłyszał za sobą lekkie kroki. Odwrócił się, wspomniawszy nagle Fajarę. Niewiele brakowało, a byłby głośno wymówił imię maga, w samą porę jednak ujrzał, iż nadchodzącym był Lavim, który wyłonił się zza grubej kolumny.

Hornfel wytrzeszczył oczy. Kender przemknął obok dwudziestu czterech uzbrojonych strażników, żaden zaś nie miał pojęcia, że mija go coś bardziej realnego niż cień!

Lavim tymczasem nie chełpił się tą sztuczką, tylko zbliżył się do Hornfela i pozdrowił go ze zwykłą dobroduszością.

- Panie, czy wiesz, że szukają cię w całym pałacu? Już prawie wieczór. Czekają na ciebie w Dolinie Thanów. Pomyślałem sobie, że jesteś gdzieś tutaj, i przyszedłem po ciebie. Poza tym chciałem obejrzeć Ostrze Burzy. - Wskazał palcem na kufer. - Od paru tygodni patrzę na ten Miecz. Muszę ci rzec, panie, że wygląda tu trochę inaczej. - To znaczy jak? - Hornfel uśmiechnął się lekko. - No... przede wszystkim wydaje się większy.

Podszedł do skrzyni, by przyjrzeć się lepiej. Hornfel również zbliżył się i stanął obok Lavima. Lavim był zabawny i pomysłowy, ale przede wszystkim pozostał kenderem.

- Nie - odezwał się Lavim, rewidując swą poprzednią opinię. - Nie jest większy. Po prostu... no, nie wiem. Nie wygląda mi na miecz Kelidy lub Hauka czy kogokolwiek innego. - Lavim wzruszył ramionami i spojrzał w głęboki mrok gnieźdzący się w jednym z rogów sklepienia. - No tak. Należy do niego. Hornfel poczuł przenikający go dreszcz. - Lavim... - spytał powoli i spokojnie. - Kogo masz na myśli?

- Fajarę, a kogóż by innego? - Pokrytą gęstą siecią zmarszczek twarz Lavima rozjaśnił uśmiech.

Fajarę. Hornfel słyszał już tę historię przy Bramie, gdy Lavim, trajkocząc jak najęty, wyjaśniał, w jaki sposób udało mu się dotrzeć do Północnej Bramy, pokonując pięciosto-powej szerokości ścieżkę,

zawieszoną na wysokości tysiąca stóp nad płonąca doliną. Kender utrzymywał, że prowadził go duch Fajary. Historię tę, acz niechętnie, potwierdzał i Finn. Hornfel nie wiedział jednak, czy wierzyć w nią, czy nie.

Lavim, którego oczy pełne były teraz łagodnej kpiny, pochylił głowę i przez chwilę jakby słuchał głosu, którego nie mógł usłyszeć Hornfel.

- Och - odezwał się wreszcie, jakby właśnie dopiero teraz coś sobie przypomniał. Z właściwą swej rasie szybkością sięgnął do kieszeni starej opończy i pogrzebał w niej... dość krótko. To, co z niej wydobył, wywołało uśmiech na twarzy Hornfela. Był to dobrze mu znany kawałek wiśniowego drewna, gładki niczym jedwab... jednym słowem flet Jordy'ego.

24. Bohaterowie 02 - Ostrze burzy

- Wiesz, panie, co to jest, prawda? To flet Fujary. Magiczny. Wiem, bo dwakroć się nim posłużyłem. Raz, by uratować młodego Stanacha z łap tych... jak im tam... - Theiwarów.

- O, właśnie. Drugi raz, by przenieść mnie, Finna, Kerna i... - Lavim zawahał się na chwilę, a w jego oczach pojawił się cień. - I Tyorla ze Wzgórz Krwi. Stanach zamierzał oddać go tobie, twierdził bowiem, że ty i Fujara byliście bliskimi przyjaciółmi. - Bliskimi przyjaciółmi? Tak powiedział?

- No... niezupełnie. To ja tak mówię. Stanach jednak na pewno byłby tak powiedział, gdyby przyszło mu to do głowy.

- Lavim, czy on naprawdę przemawia do ciebie? - Hornfel wyciągnął rękę i dotknął instrumentu.

- Ależ tak! - Lavim pokiwał głową tak energicznie, że jego biały warkocz podskoczył parę razy. - Opowiedział mi o tym, jak wyciągnął go z lochów i jak do miasta trafia światło z Zewnątrz... i mówił o ogrodach i cieplarniach. Mówił mi też... och, nie... tego nie wolno mi powiedzieć. - Wzruszył ramionami. - Ale nie przejmuj się, panie, i tak wkrótce się dowiesz. Jedną rzecz jednak mogę ci powiedzieć. - Co mianowicie? - Rozbawiony Hornfel uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Powiedział - Lavim nagle spowaźniał i schował flet do kieszeni opończy - że powinieneś wziąć ze sobą Ostrze Burzy do Doliny Thanów, gdy przybędziesz na... no... gdy tam przybędziesz.

Pogrzeb Tyorla. W ciągu ostatnich dni w Thorbardinie było wiele pogrzebów. Hornfel brał udział w tych, na które go proszono. Ten jeden będzie skromny, prywatny i inny niż pozostałe. Pogrzeb Tyorla będzie -przynajmniej dla Hornfela - również w pewnym sensie pogrzebem Fujary.

I Kyana. Elf, krasnolud i człowiek, wszyscy zginęli dla Ostrza Burzy i dla niego, dla Hornfela.

Choć byłoby właściwe, gdyby na ten pogrzeb wziął Królewski Miecz, Hornfel nie mógł go przypasać przed uroczystościami koronacyjnymi. Nie mógł tego uczynić nawet dla poległych przyjaciół.

- Nie, Lavim, nie mogę tego uczynić. - Krasnolud potrząsnął głową. -Nie mogę nosić Królewskiego Miecza. Jeszcze nie.

- Hmm... Naprawdę nie możesz? Złamałbyś jakieś prawo czy byłaby to zwykła niegrzeczność? - Jedno i drugie.

Lavim przez chwilę rozmyślał nad tym, co usłyszał, lub może kogoś słuchał. - No, to go nie noś. Przynies go po prostu w rękach. - Lavim, naprawdę myślę, że nie powinienem...

- Sam widzisz - rzekł szybko Lavim, podchodząc do kufra. - To właśnie kłopot z wami wszystkimi. Mówicie „myślę, że nie powinienem...”, a tak naprawdę powinniście myśleć odwrotnie. Takie myślenie to nic dobrego. Przynosi same kłopoty.

Z szybkością, która zadziwiłaby skaczącego ponad strumieniem łososia, Lavim chwycił Królewski Miecz i rzucił go Hornfelowi, który złapał oręż w locie.

- No proszę! Trzymaj go sobie. Jeśli złamałeś jakieś prawo czy okazałeś się prostakiem, nie ma znaczenia, czy trwało to dziesięć sekund, czy godzinę, prawda?

Ostrze Burzy leżało w dłoni Hornfela. Miecz wykuto dla jego ręki i świetnie do niej pasował.

- Fujara prosi, bym zabrał Miecz ze sobą? Lavim poważnie kiwnął głową. - Dobrze więc, wezmę go do Doliny. A co z fletem?

- Aaa... - Lavim poklepał się po kieszeni. - Masz przecież do niesienia taki ciężki miecz. Nie martw się o flet. Zatrzymam go na razie dla ciebie... o, tu... będzie w mojej kieszeni.

- Rozdział trzydziesty trzeci

Dom, pomyślał stanach. Jestem w domu!

Przytoczył kolejny kamień, pomagając sobie ramieniem prawej ręki, do sterty głazów. Od świtu nieustannie powtarzał sam sobie, że naprawdę jest w domu. Teraz, gdy strome ściany Doliny Thanów czerwieniły się już w promieniach zachodzącego słońca, nadal musiał sobie o tym przypominać.

To nie Thorbardin się zmienił. Kamienie i stal pozostały tu takie same. Zmienił się on sam.

Niechętnie wspominał powrót do rodziców i spotkania z przyjaciółmi. Nie lubił przypominać sobie ich przerażonego wzroku, kiedy ujrzeli jego zmiażdżoną dłoń, lub spojrzeń, jakie wymieniali między sobą, kiedy pojęli, że nie jest tym samym cichym i miłującym pokój czeladnikiem w kuźni, którego pożegnali kilka tygodni wcześniej. Wybrał się do Krain Zewnętrznych i wrócił odmieniony.

Odmiana zaś nie dotyczyła tylko jego kalectwa. Wszyscy ujrzeli ją w jego wzroku. Zmieniło swój wyraz spojrzenie ciemnych oczu, osadzonych głęboko w zaznaczonej blizną twarzy Stanacha - niedawny czeladnik oglądał horyzonty dalsze niż niejeden jego ziomek.

W Dolinie Thanów dął zimny i przenikliwy wiatr. Dolina była jedyną częścią Thorbardinu, nad którą zamiast sklepienia jaskini rozpięto się czyste niebo. W dawnych czasach również była jaskinią. W zamierzchłej jednak przeszłości jej sklepienie się zapadło, przekształcając ją w dolinę, pośrodku której utworzyło się niewielkie jezioro, pozostawiając na brzegach miejsce na starannie pielęgnowane ogrody. Grobowce thanów i Wielkich Królów wznoszono pośrodku, w ogrodach, dalej zaś znajdowały się groby spólstwa.

Dolina Thanów, w której grzebano zmarłych, była również miejscem, gdzie krasnoludy - zwykle nieufne wobec magii - godziły się z jej obecnością. Wysoko nad Doliną, rzucając cień na wody jeziora, wisiał Grobowiec Duncana. Nie podtrzymało go w powietrzu nic prócz czaru rzuconego przez nie żyjącego od dawna maga.

Tutaj więc pochowano Duncana, ostatniego z Wielkich Królów. Od jego śmierci, a więc od trzystu lat, w Thorbardinie nie było jego następcy. I mimo to, że wielu oddało życie, aby odzyskać Królewski Miecz, nikt w Thorbardinie nie zostanie Wielkim Królem. Kharas bowiem, przyjaciel i obrońca Duncana, za pomocą magii i boga, który pomagał w wykuciu oręża, ukrył bojowy Młot Duncana. Od tamtego czasu nikomu nie udało się go odnaleźć. Isarn zaś orzekł, że Hornfel będzie Wielkim Królem.

Stanach potrząsnął głową. Nie, Hornfelowi nie będzie dane zasiąść na tronie Wielkiego Króla. Zostanie królewskim regentem, choć Reorx świadkiem, że Hornfel będzie dbał o sprawy królestwa nie gorzej od Wielkiego Króla. I to powinno wystarczyć.

Krasnolud oparł się o stos kamieni i przetaił twarz ramieniem. Na białej koszuli pojawiły się pasma brudu i plamy potu. Stanach nigdy już nie

stanie przy kowadle, najlepiej jednak czuł się w starej koszuli i brązowych, skórzanych portkach, jakie niegdyś nosił w kuźni. Znaleźliby się ludzie, którzy wykonaliby tę robotę za niego, było to w końcu zajęcie dla kamieniarzy i grabarzy. Stanach jednak nie zgodziłby się, by cairn dla Tyorla zbudował ktoś inny.

O grobowcu Fujary, wzniesionym przez Stanacha na skraju Qualinesti, Tyorl powiedział: „Masz wprawę we wznoszeniu grobów. Twój przyjaciele nie cieszą się przesadnie długim życiem. Ile grobowców zbudowałeś od wyjścia z Thorbardinu?”

Stojąca wtedy na warcie na szczycie wzgórza Kelida zaprotestowała przeciw okrutnej uwadze elfa. Stanach nie uważał wtedy, że słowa te są okrutne, nie uważał ich za okrutne i teraz. Były prawdziwe.

Usta krasnoluda wykrzywiły się w przewrotnym, pozbawionym wesołości uśmiechu. Pierwszy grobowiec usypał dla Fujary, drugi dla Tyorla.

- Ten będzie ostatni - szepnęła. - Nie inaczej, Tyorl, ten będzie ostatni. Choć prawdę rzekłszy,

nigdy nie myślałem, że usypię twój grobowiec i że uczynię to w Dolinie Thanów, w cieniu grobu Wielkiego Króla.

Słowom towarzyszył przenikliwy świst dmącego wysoko ponad doliną wiatru. Po chwili wiatr przeszedł na niższą nutę, jakby wtórując Stanachowi w ponurych myślach. Stanach przypomniał sobie o flecie Fujary. Thorbardin pełen był żałoby i wiele uwagi poświęcono Jordy'emu, którego dzieci ochrzciły mianem Fujary.

Zuchwały i przewrotny Lavim utrzymywał, że choć Fujara jest martwy, przemawia doń, szepcząc wewnątrz jego głowy. Zgodnie z tym, co twierdził kender, były to przeważnie pouczenia i wymówki. Stanach ponownie zabrał się do pracy. Nie wierzył w duchy. Fujara jest martwy. Pochował go osobiście, tak jak wkrótce pochowa Tyorla.

Owego wieczoru dla uczczenia pamięci Tyorla w cieniu Grobowca Duncana zebrało się siedem osób.

Hornfel okazał wielki szacunek temu, który zginął, broniąc jego życia, kazać go pochować w ogrodach Doliny Thanów, gdzie - jak dotąd - grzebano jedynie królów i thanów. Miarą jego szacunku miało być też to, że sam postanowił wygłosić żałobny pean.

Stanach zastanawiał się, dlaczego Hornfel przyniósł do Doliny Thanów Ostrze Burzy.

Ponury i spocony krasnolud obserwował stojących obok grobu Hauka i Kelidę. Na ustach Stanacha po raz pierwszy tego dnia pojawił się radosny uśmiech. Od kilku dni tych dwoje było nierozdzieloną parą. Zachowywali

się tak, jakby ich zażyłość trwała wiele lat.

Ciało Tyorla przynieśli do Doliny Thanów Kembal i Finn, oni też złożyli je do wykonanego przez Stanacha grobu. Obok cairnu leżał stos ciemnych kamieni wyglądający jak gęsty mrok. Leśni stanęli obok Hauka. Byli ostatnimi, którzy pozostali z Kompanii Koszmaru i przyszli pożegnać brata.

Okazując szacunek zebranym przyjaciółom Hornfel - jakby oddając wojskowe honory - dotknął Ostrzem Burzy ziemi, potem oparł Królewski Miecz o stos kamieni i stanął u podstawy grobowca. Lavim, którego zielone oczy spoglądały wyjątkowo poważnie, stanął obok Stanacha. Krasnolud miał nadzieję, że nie będzie mówił o duchach. - To twoja robota? - Kender delikatnie klepnął Stanacha po ramieniu. Stanach kiwnął głową.

- Bardzo ładny - szepnął Lavim. Następnie wskazał Grobowiec Duncana. - Ale cień tego... co tam unosi się w górze, trochę jakby przeszkadza, nie uważasz? Fujara mówi, że to Grobowiec Duncana i że... - Och, zaniknij gębę, Lavim. Nie teraz. - Stanach zamknął oczy. W Dolinie Thanów powiał lekki wiatr. Jego śpiew nie zakłócił milczenia zebranych wokół grobowca, przeciwnie - jeszcze je podkreślił.

Rozpoczynając mowę, Hornfel zacytował stare przysłowie, którego mądrość pojął w pełni, kiedy przy Północnej Bramie tłumiał bunt nad pożarem szalejącym na dnie przepaści znajdującej się pod nim.

- Czyhający u drzwi wilk - zaczął cicho - może zbratać obce sobie przedtem osoby. Groźny wilk od dawna wył i kłapał zębami u wrót Thorbardinu, my jednak zamykaliśmy drzwi i wierzyliśmy, że jeśli go nie słyszymy, to znaczy, że go tam po prostu nie ma. Teraz usłyszeliśmy jego wycie... my, którzy wcześniej je ignorowaliśmy. Usłyszeliśmy je w żałobnych pieniach krewniaków i w krzykach tych, którzy ginęli rozdzierani szponami wojny. Słyszeliśmy wycie wilka w łopocie smoczych skrzydeł. Tyorl uciszył je na chwilę, wkrótce jednak usłyszemy ów łopot ponownie. - Hornfel podniósł wzrok i powiódł nim po zebranych. - Dano nam jednak również coś zobaczyć. Ujrzeliśmy braci w tych, których wcześniej uważaliśmy za obcych. Widzimy w nich ziomków, choć nie krewnych. Widzimy w nich ziomków, od których się odwróciliśmy... ziomków, którzy próbowali

zmusić wilka do milczenia, podczas gdy my czekaliśmy, aż bestia pójdzie precz i napadnie kogoś innego. Wilk nie odejdzie; Verminaard nadal pożąda naszych ziem i nie unikniemy wojny, ona zaś nie nasyci się, dopóki nie odbierze nam wszystkiego i wszystkich. Tak jak zabrała nam Tyorla. Razem z wami oplakuję dziś śmierć

- przyjaciela...

Pogrążony w smutku po stracie przyjaciela, zasłuchany w echo peanów żałobnych, Stanach nie zauważył, że Hornfel skończył, dopóki nie poczuł, potem zaś nie usłyszał zmiany w pieśni wiatru. Krasnolud spojrział na stojącą po przeciwnej stronie grobu Kelidę. Dziewczyna pochyliła główkę, na jej włosach załśnił ostatni promyk słońca - i także nasłuchiwała.

Hauk spojrział na Kembala. Finn zadarł głowę i zaczął wypatrywać czegoś w dolinie.

Lavim zaś szybko zaczerpnął tchu i wypuścił go w jednym cichym, pełnym zdumienia i zachwytu westchnieniu. Stanach odwrócił się w samą porę, by ujrzeć, jak kender wyjmuje z kieszeni stary flet. Flet Fujary.

Stary wyga nasłuchiwał przez chwilę, jakby pragnął dostroić się do melodii i przyłączyć się do niej we właściwej tonacji, potem zaś podniósł flet do ust i zaczął grać. Na skaliste zbocza wokół Doliny Thanów padł nagle cień wyblakłych wspomnień.

W srebrnym nurcie rzeki zatańczyły promyki słońca, Stanach zaś nie tylko zobaczył słoneczny blask, ale i poczuł zapach ciężkiego mułu osiadłego na brzegach i słodką woń rzeki.

Diamentowy szron okrył gałęzie drzew, topniejąc pod dotykiem dłoni po to jedynie, by za chwilę zastygnąć w nowe klejnoty. Kelida podniosła dłoń i dotknęła palcem ust, Stanach zaś poczuł chłód na własnych wargach.

Na twarzy Hauka błysnęła parująca szybko w promieniach letniego żaru kropla rosy i niczym łza wsiąkła w gęstwinę jego brody. Zniknęła jak widmo, rozmywając się w promieniach słońca. W sekundę później wyschły i łzy na twarzy Stanacha.

Później krasnolud wielokrotnie usiłował przypomnieć sobie ową melodię. Zawsze jednak, choć potrafił przywołać obraz puszczy, którą oglądał w rozproszonym świetle tamtego zmierzchu, pieśń mu umykała. Pamiętał jedynie śmiech wiatru wśród gałęzi.

Lavim ukucnął i patrzył, jak Hauk, Kembal i Finn układają ostatnie głązy na grobowcu Tyorla. Cała dolina rozbrzmiewała głuchym odgłosem tej smutnej budowy. - Nie chciałem, by płakali - szepnął kender.

- Co ja słyszę, tkaczu zakłęcz... - Głos Fujary był bardzo łagodny. - Cóż więc chciałeś uczynić?

- Chciałem zagrać pieśń, dzięki której będą pamiętali o Tyorlu, nic więcej. - Lavim westchnął i potrząsnął głową, wsłuchując się w pieśń wiatru, który teraz był jedynie wiatrem. - Wiem, że Stanach sam

- wybudował ten grobowiec i że Hornfel orzekł, iż Tyorl powinien być pogrzebany wśród królów i thanów, ale wydało mi się trochę smutne, że elf nie spocznie wśród drzew. Chciałem, żeby dla niego przypomnieli sobie Qualinesti... - I tak się stało. Utkaleś piękną pieśń, Lavimie. - Ja? Ja sam? To nie ty ani flet? - Lavim zmarszczył brwi. - Czyj to był pomysł? - Mój. - Więc to twoja pieśń, nieprawdaż?

Cała ta magia była jego dziełem! Lavim wytrzeszczył oczy i poderwał się. - Fujaro! Czy ja...

- Cyt, Lavim! Jeszcze nie koniec. Przez chwilę patrz uważnie i zachowaj spokój. Potem zrób to, co ci powiem.

Gdy Hornfel wyciągnął Ostrze Burzy z pochwy, miecz rozśpiewał się przenikliwą pieśnią obnażonej stali. Choć nad Doliną Thanów zgasł już ostatni promień słońca, zbocze główni płonęło ognistą czerwienią. Blask z kuźni Reorxa pulsował łagodnie, rzucając czerwoną poświatę na twarze

tych, którzy zgromadzili się wokół grobu. Stoimy tu niczym krwawe cienie, pomyślał Stanach.

W sekundę jednak potem krasnoludowi - oczarowanemu światłem rozsiewanym przez głownię, którą pomagał przecież wykuć, wspominającemu radość tworzenia Królewskiego Miecza, obietnicę kryjącą się w sercu głowni i nadzieję, jaką ze sobą niosła - błysnęła inna myśl.

Nie, nie stoją tu niczym krwawe cienie, choć Reorx świadkiem, że dla Ostrza Burzy rozlano już dość krwi. Krwawe cienie byłyby zimne jak sama śmierć. Tymczasem blask Królewskiego Miecza rozświetlał mroki. Niczym latarnia w dłoni dzielnego męża. Właśnie tak. Hornfel uniósł miecz.

Wiatr nagle ucichł. W tej chwili stojący przy grobie Tyorla podnieśli nieco głowy, jakby wyczuli w owej ciszy coś niezwykłego.

Stanach usłyszał, jak zdumiony Lavim wzdycha nagle, głęboko i z radością.

W żołnierskim pożegnaniu Hornfel oparł lśniąca głownię Ostrza Burzy o największy z kamieni składających się na grobowiec Tyorla. Gdy miecz dotknął głazu, rozsiewane przez głownię światło pojaśniało nagle, rozpraszając mrok tak, jak radosny śmiech i przepełnione uciechą świńnięcie kendera rozgoniły ciszę. - Oczywiście! To jasne! - zawołał Lavim. Kelida zachnęła się. Stanach odwrócił się błyskawicznie, by chwycić kendera za kark i przywołać go do porządku. Lavim jednak zrećźnie zanurkował pod ramieniem krasnoluda i obok grobu Tyorla podbiegł do Hornfela.

- Wiem, gdzie jest! Wiem, gdzie jest! Fujara mi powiedział! Podejrzewał to od samego początku, jak tylko odzyskałeś, panie, Miecz. Ja chciałem od razu, ale on nie... nie był jeszcze pewien. Powiada, że czuł to jak świerzbienie w głowie, ale musiał poczekać. Gdy jednak dotarł tutaj, zyskał pewność. Mówi, że przedtem był w Dolinie kilka razy, ale wtedy żył jeszcze i nie widział rzeczy tak, jak ogląda je teraz, gdy jest martwy. -Nigdy w to nie uwierzycie! Hornfel... eee... szlachetny panie! Wiem, gdzie jest!

- Oby cię pokręciło, kenderze! Czy nawet w takiej chwili nie można mieć odrobiny spokoju? - Finn porwał starego kendera za ramiona i bez wysiłku podniósł nad ziemię.

Hornfel, który nie spuszczał wzroku z Ostrza Burzy - blask głowni bladł szybko - kiwnięciem dłoni nakazał Finnowi, by ten uwolnił kendera. - Co, Lavim? Co, wiesz, gdzie jest?

- Fujara mi powiedział. — Lavim szybko cofnął się o krok, odsuwając się od Finna. Gdy spojrzął na Hornfela, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Wiem, gdzie jest. Powiedziałbym ci wcześniej, panie, ale nie bardzo wiedziałem, o czym on mówi. A mówił mianowicie, że nie przystoi ci rola królewskiego regenta. Odpowiadałem, że nie za bardzo znam się na tych sprawach, ale w rzeczy samej nie wyglądasz mi, panie, na jegomościa, co tylko pilnuje sklepu, gdy właściciel wychodzi na obiad. Fujara kazał przynieść tu dziś Ostrze Burzy, bo Królewski Miecz będzie wiedział, gdzie szukać. A ja powiedziałem, jasne, zrobię to i...

Stanach zadrżał, gdy po plecach przebiegł mu lżejszy niż nic babiego lata pajęczek słabego przeczucia. Przypomniawszy sobie ostatnie słowa Isarna. - Lavim! - ryknął. - Kończ już!

Lavim podskoczył jak ukłuty szydłem i spojrzął na Stanacha szeroko rozwartymi ze zdumienia oczyma.

- Młodzieńcze, usiłuję tylko powiedzieć Hornfelowi coś naprawdę ważnego. Życzyłbym sobie, by choć ten jeden raz mi nie przerywano. -Odwrócił się do Hornfela. - O czym to ja... a, prawda. Wiem, gdzie jest Młot Kharasa.

Hornfel, dzierżący w dłoni Królewski Miecz, spojrzął na kendera z mieszaniną niewiary i nadziei w oczach. - Gdzie? - wyszeptał tylko. - Niedaleko stąd - zaśmiał się Lavim. - Naprawdę blisko. -

- Oczywiście, będziecie musieli posłać kogoś, by go stamtąd wydobył. Trzeba będzie pewnie kilku osób, bo Kharas ukrył go naprawdę dobrze. Uczynił go niewidzialnym, zastawił wszelkiego rodzaju pułapki i osnuł magią, bo nie chciał, by znalazł go ktoś przypadkowy. Chciał, by Młot dostał

się prawdziwie Wielkiemu Królowi. Komuś takiemu jak Duncan albo ty... - Gdzie? - raz jeszcze wyszeptał Hornfel. Lavim uśmiechnął się i wskazał palcem prosto w górę.

Hornfel podniósł wzrok w niebo. Podążając za spojrzeniem thana, Stanach ujrzał pierwsze słabo świecące gwiazdy - pośród nich czerwonym blaskiem wyróżniała się jedna, którą krasnoludy nazywają iskrą Kuźni. Nie... pomyślał, och, nie... Lavim, co też strzeliło ci do łba?

Kelida, która spojrzała dokładnie tam, gdzie wskazywał Lavim, westchnęła i dotknęła ramienia Stanacha. Hauk uśmiechnął się i przytaknął kiwnięciem głowy.

- Nie na niebie, Stanachu - odezwała się dziewczyna głosem drżącym ze zdumienia i dreszczu nagłego przeczucia. - W grobowcu.

- Właśnie! - Kiwnął głową Lavim. - W Grobowcu Duncana. A gdzież by indziej?

Stanach spojrzał na Hornfela. W stojącym z pochyloną nad rękojeścią miecza głową thanie, czeladnik ujrzał Wielkiego Króla krasnoludów.

- Hornfelu... - szepnęła. - Tyś jest Wielkim Królem. Hornfel podniósł głowę i Stanach przyklęknął na jedno kolano, nagle bowiem coś skłoniło go, by w ten właśnie niespotykany sposób złożył hołd ziomkowi. Przemówił też, zanim zdążył pomyśleć, słowa jednak, które wypowiedział, płynęły prosto z serca.

- Najjaśniejszy Panie, Młot Kharasa jest twój. Znajdę go i sprowadzę do Thorbardinu.

- Ależ tak! - zawołał Lavim, stając u boku Stanacha. - To będzie całkiem proste! Jest tam kilka dziecinnych pułapek, trochę magii i tak dalej. Fujara wie o tym wszystko, co da się wiedzieć. Wrócimy, zanim zdążyście zauważyć, że nas nie ma! - My?! - Stanach odwrócił się ku kenderowi.

- No... ty, ja, Kelida i... - Lavim obejrzał się na wodza banitów i Kelidę. - I kto tam jeszcze zechce pójść z nami. Pomyślałem sobie, że zechcą pewnie wszyscy... no, bo cóż będą robić tu sami w Thorbardinie, gdy ty i ja... i Fujara udamy się na poszukiwania Młota? - Wiesz, jak to jest, Stanachu. Może nam to zająć dzionek albo dwa... Nad Dolinę Thanów spłynęła noc, siejąc mrok tam, gdzie przedtem były

cienie. Siedzący na ziemi obok grobu Tyorla Stanach spojrzał na Kelidę.

- „Dzionek albo dwa...” tak powiedział. - Uśmiechnął się przewrotnie. - Albo „Fujara tak mówi”. - Stanachu... ty w to wierzysz?

- Nie da się zaprzeczyć, że Finn potwierdza jego opowieść o tym, jak to Fujara poprowadził ich jarem. - Krasnolud wzruszył ramionami. - Lavim mówi też, że to Fujara naprowadził kuszę elfa na cel, gdy Tyorl mierzył w smoka. - Krasnolud umilkł na chwilę. - Tyorl był przednim łucznikiem, ale...

- Było ciemno. - Kelida kiwnęła głową. - Nikt nie zdołałby przebić się wzrokiem przez ten mrok tak, by trafić smoka w jedyne słabe i nie chronione łuską pancerza miejsce. Miło jest pomyśleć, że...

Stanach westchnął. Miło jest pomyśleć, że Fujara nadal - w pewnym sensie - jest członkiem ich kompanii. Miło byłoby też pomyśleć, że... Stanach skrzywił się i zachnął.

- I ja mam udać się na poszukiwania Młota Kharasa, polegając na słowach postrzelonego, widzącego wszędzie duchy kendera? - Wszyscy pójdziemy na poszukiwania. - Naprawdę wszyscy?

Kelida przysiadła obok Stanacha i nie odpowiedziała na pytanie. Przesunęła palcem po nagrobku. Po krótkiej chwili milczenia odpowiedziała: - Będzie mi go brakowało. - Mnie też.

Dziewczyna nagle odwróciła się. Jej policzki zapłonęły rumieńcem podniecenia. - Stanachu... powiedziałam to w Głębokich Jaskiniach, nie wyprę się tego i teraz. Pójdę tam, dokąd uda się Hauk. Pójdę tam, dokąd pójdziesz ty. Pomogę wam znaleźć Młot Kharasa.

Stanach spojrzał na wiszący nad jeziorem grobowiec. Powierzchnię wody zmarszczył lekki wietrzyk. Światło gwiazd łagodziło czerń toni i odbijając się od szarej powierzchni, oświetlało

brzezi. Kelida delikatnie nakryła dłonią okaleczoną rękę krasnoluda.

- Lepiej wracajmy. - Stanach wstał i podniósł dziewczynę. - Nie mogę sobie przypomnieć, czy Lavim oddał flet Hornfelowi. Dość już się nasłuchałem o jego wyczynach i nie zasnę spokojnie, dopóki flet nie znajdzie się w dłoniach Thana.

Opuszczali Dolinę Thanów, idąc obok siebie. Gdy zatrzymał się przy wejściu w głąb góry i obejrzał się za siebie, ujrzał, iż wywołany blaskiem Solinari cień Grobowca Duncana niczym żałobny całun otula cairn Tyorla. Wiatr zaświstał cichą pieśń i Stanach wszedł do Thorbardinu, rozmyślając o puszczańskich głębinach.